

Strzemieńczyk





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Strzemińczyk

Strzemińczyk

CZASY WŁADYSŁAWA WARNEŃCZYKA

TOM I

I

Ktoby był wiosennego jednego wieczora 1412 r., spotkał się z panem Cedrem Strzemińczykiem i zajrzał mu we krewią nabiegłe oczy, przypatrzył się pofałdowanemu jego czołu, zaciętym ustom i rękoma silnym w kułaki jakby do boju pościskany, uwierzyłby łąco temu staremu podaniu, które głosiło, że rodu tego ludzie, Strzemińczycy, głównymi byli i najokrutniejszymi przy zabójstwie św. Stanisława, popędliwego króla pomocnikami.

Temu przypisywano, że ród Strzemińczyków, od owego dnia krwawej pamięci, upadł, zubożał i do pierwszej świetności podźwignąć się już nie mógł.

Cedro Strzemińczyk, choć z dobrego szlacheckiego wiódł się gniazda, choć pradziad jego jeszcze znaczne majątkości dzierzył w krakowskim, zubożał był zupełnie, nie miał nic nad mizerny chłapiec ziemi pod Sanokiem, z którego wyżyć jemu ze dwojgiem dzieci byłoby trudno, gdyby go łaska królewska nie posiłkowała.

Pamiętni dawnych z tym domem związków, Różyce i Śreniawici, polecili go królowi Jagielle, przy którego on dworze się wysługiwał, pełniąc różne obowiązki.

Ale teraz, choć się zawsze na rejestrze dworu pańskiego liczył i pobierał jurgielt jakiś, do niczego już zdolnym nie był. Wiek, zgryzoty, przecierpiane niewczasy, choroba i sam charakter zgryźliwy, który ciągle mu krew burzył, do ostatka, niegdyś olbrzymią siłę, wyczerpały.

Nie miał Cedro nad lat sześćdziesiąt, co naówczas człowieka starym nie czyniło, bo ludzie zahartowani od młodu, trzymali się długo krzepkimi, lecz patrząc nań, można mu było dać dziesiątkiem więcej, tak podupadł, szczególnie na nogi.

Ogromny wzrost i tuszę dźwigać ma już było ciężko i one go słabszym czyniły. Na nogach ledwie się trzymał, dyszał ciężko, gdy się trochę przeszedł lub rozgrzał rozmową, w piersi mu chrzęszczało, a lada drobnostka wprawiała go w chorobliwy gniew i zapamiętanie.

Nieraz latem brzęczenie muchy do wściekłości go niecierpliwiło.

Był Cedro Strzemińczyk wdowcem od lat dziesiątka, a po żonie świętobliwej niewieście, synaczków mu dwóch zostało. Przy ubóstwie wielkiem i siłach ubywających, troska o nich dniem i nocą pokoju mu nie dawała; a choć dziećmi się gryźć nie miał powodu zbytecznie, stękał, że ani im ma co zostawić, ni ich komu powierzyć, ani się spodziewać może sam wychować i w świat puścić.

Czuł on, że sam coraz mniej mógł nawet na chleb powszedni zarobić, nadzieję więc całą widział w chłopcach.

Mąż rycerskiego rzemiosła, niegdyś łowczy i stanowniczy króla, nie rozumiał dla dzieci innej przyszłości, tylko służbę na koniu z kordem u pasa.

Młodszy syn, ulubieniec ojca, którego Zbilutem wołano, do stanu rycerskiego okazywał powołanie, jakiego ojciec sobie życzył; lecz był też jak przysły wojak, niepomiernie zuchwały, drapieźny, a co gorzej przebiegły, płaszczący się, kłamca zręczny i pochlebny. Ojciec mu wiele przebaczał i widząc w nim wszystko najlepsze, po nim sobie najwięcej rokował. Starszego Grzesia cierpieć nie mógł, bo mu się krnąbrnym i upartym wydawał.

Ten się ojcu nie wyklamywał nigdy, karę znosił cierpliwie, ale się do myśli jego namacać nie dawał.

Właśnie dnia tego Cedro go zbił na kwaśne jabłko, a chłopak choć się krewią oblał, nie pisnął nawet i poprawy nie przyobiecał...

Ojciec krzyczał, że z nim na gałęź potrzeba, bo innej rady niema.

Trudno się było domyśleć o co mu chodziło. Oto Grześ ów, starszy, mimo zakazu całe dnie, gdy się tylko wymknąć zdołał, trawił w szkole z klechami, taką miał do nauki ochotę. Cedro zaś dla rycerskiego człowieka, bakalarstwo znajdował niepotrzebnym. Śpiewywał też ślicznym głosem w kościele Grześ, co jako babską rzecz, ojciec potępiał.

— Klechy w rodzinie mieć nie chcę i nie potrzebuję — powtarzał ciągle stary.

Grześ teraz dwunastoletni, Zbilut o dwie lecie młodszy, przykazanem mieli od rana dzirytem rzucać, z łuku strzelać, w szable się ścinać i na koniach starych, które umyślnie

Cedro trzymał na to, toczyć i wprawiać się do silnego siedzenia. Zresztą wolno im było jakie chcieli harce wyprawiać, byle nie ślęczyć nad abecadłem i tablicą.

Jakby na przekorę rodzicowi, starszy poznawszy się z bakalarzem przy farze, który go polubił, ciągle zbiegał do niego, potajemnie się uczył chciwie pisma, śpiewu i co tylko szkoła dać mogła, przesiadywał w niej, a choć ojciec go za to srodze ciemniżył, nauki tej, do której się palił, z głowy mu wybić nie było można. Cedra to czasem we wściekłe gniewu wprawiało, naprzód że nieposłuszeństwa w dziecku ścierpieć nie mógł, powtóre, że nauką jako rycerzowi niepotrzebną się brzydził, a klechów nią się parających nie znosił. Było to może we krwi.

Pobożnym po swojemu był, ale duchowieństwa więcej się lękał, niż je szanował.

Dwaj bracia, dosyć do siebie z twarzy podobni, oba piękni bardzo, jak malowani, bo to wzięli po matce, charakterami się od siebie różnili wielce.

Nie kochali się też bardzo, choć Grześ młodszemu krzywdy nie czynił.

Ulubieniec ojca rozpieszczony, młodszy starszemu wszystkiego zazdrościł, podglądał go, szpiegował, ojcu donosił, gdy co pochwycił, lizał mu się i przypochlebiał nikczemnie.

Zbroił-li co i na karę zasłużył, umiał się zręcznie wyklamać i wyprzysiądz, na brata winę złożyć, a rodzicowi do nóg paść i płacz a skruczę udawać, choć się potem wyśmiewał z jego łatwowości.

W młodym wieku w niwecz już był popsuty... Uchwycić coś potajemnie, złasować, psotę krwawą wyrządzić, słabego zgnieść, zwierzę męczyć, było dlań najmilszym. Gdy swawolic nie mógł, do góry brzuchem leżeć objadłszy się i próżnować gotów był dnie całe.

Ojcu się przypochlebiając, z tyłu mu język pokazywał i szydził sobie z jego niedołężności.

Tak samo postępował z bratem i ze wszystkimi. Na zuchwalstwie mu nie zbywało, a męztwa prawdziwego nie miał i stanąć do walki z mocniejszym się nie ważył.

Gdy go rówieśnicy na rękę wyzywali, uciekał... Słowem, wszystko w nim rokowało niepoprawnego łotra i rozpustnika.

Grześ miał też samą krew gorącą, ale charakter szlachetny, moc duszy nad wiek swój, wytrwałność i statek nadzwyczajny. Zdolności też, na których bratu zupełnie zbywało, okazywał zdumiewające.

Bakalarz od fary, który w szkole tamtejszej uczył, mawiał często, że Grześ zdawało się jakby sobie przypominał tylko to, czego nauczano go, tak mu wszystko łącznie przychodziło. Dziwniejsza rzecz, byle najmniejszą skazówkę miał, sam już dalej szedł tą drogą jaką mu ukazano, nauczyciela w zdumienie wprawiając.

Piękny, zręczny, silny, dobrze zbudowany, z oczyma dużymi, ciemnymi, w których już nie dziecięcy rozum gorzał, Grześ rwał się tak do nauki, jak Zbilut się nią brzydził.

W początkach nie był ojciec temu przeciwnym, aby synowie się czytać nauczyli, ale klechów z nich robić nie myślał i ta Grzesia namiętność uczenia się coraz więcej, coraz innych rzeczy, okrutny gniew w nim obudzała.

Śpiewanie i brząkanie na cytrze, karał smaganiem nielitościwem...

Zakazał mu przestąpić później próg szkoły, bakalarzowi zagroził, jeśliby go śmiało przyjmować, siekl nieposłusznego, ale wszystko to nie pomagało.

Grześ, gdy się nie mógł przekraść ku farze, pisał po ścianach i piasku. Zbilut ojcu o tem donosił, Cedro bił, a chłopak wracał do swego i poprawy nawet nie przyrzekając, milczał.

Ciągła więc walka była pomiędzy krnąbrnym Grzesiem a gniewliwym rodzicem.

Dnia tego właśnie stary Cedro miał znowu taką z synem przepawę. Oskarżył go Zbilut zdrajca, że na strych wlaższy, potajemnie tam coś pisał, dostawszy nie widzieć z kądem kawał papieru czy skóry...

Pochwycono go na uczynku, z kartą jeszcze mokrą, ojciec obił go znowu, a teraz zburzony cały, po izbie w dworku swoim się przechadzał, z gniewu jeszcze nie mogąc ochłonąć. Nie mając się przed kim skarżyć, mrucał i kłął po cichu.

Sponiewierany chłopak, z potarganą czupryną, oprócz różeg napytawszy sińców, siedział za węglem dworku, podparty na rękę i dumał.

Boleść mu lży z oczów wycisnęła, ale na pięknej, smutnej jego twarzyczce więcej było zadumy, niż gniewu... Dwunastoletnie chłopię rozmyślało...

Z za drugiego węgla niepocziwy Zbilut wyglądał, podpatrywał, aby coś donieść ojcu na brata. Nie mógł jednak dojrzeć w nim tej złości, jakąby on sam uczuł, gdyby go podobna kara spotkała. Grześ biedny wzdychał i dumał. Widać było, że ojcowską władzę, nawet gdy niesprawiedliwie karciała, uznawał i poddawał się jej z pokorą, szukając tylko środków, aby pogodzić wolę ojca z tem, czego własna jego dusza pragnęła.

Dawszy się bratu wywzdychać, Zbilut, który zarówno ojca jak jego okłamywał i udawał że się nad losem Grzesia lituje, zbliżył się powoli do niego.

Twarz na pół dziecięca, niezręcznie przybrać usiłowała wyraz serdeczności i współczucia, po za którym kryło się szyderstwo.

— A! a! — szepnął po cichu — mój Boże! jaki ten ojciec okrutny i niemiłosierny... To cię skatował!

Grześ popatrzył nań i nic nie odpowiedział. Zbilut stanął przed nim, bacznie w niego wlepiając oczy. Chciał wyzwać na słowo, któreby ojcu powtórzył. Starszy milczał.

— Po co bo tobie ta szkoła i głupie pisanie — dodał.

Ramionami poruszył tylko Grześ. Domyślał się i odgadywał brata, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę.

Tymczasem mrok nadchodził i gospodyni wieczereź do izby niosła, chłopców na nią wołając. Grześ wyprosił sobie u niej suchy chleba kawałek i pozostał za węglem.

Ojciec też, obejrzawszy się że go niema przy stole, nawet się nie upomniał o niego. Poczekawszy dopiero, gdy Cedro jedząc ochłonął, Zbilut się odezwał po cichu.

— Grześ za węglem siedzi, kulaki gryzie ze złości, żeby choć zapłakał!!

— Milcz — przerwał stary krótko i ostro.

Nie lubił on Grzesia, widok jego obudzał w nim gniew niepohamowany, chęć złamania uporu tej duszy krnąbrnej, ale dziwił się temu charakterowi żelaznemu syna i litował nad nim.

Przy wieczery stary jadł mało, mrucał, pięścią o stół bił, na pochlebce nawet nie spojrział. Cały był w sobie, myśląc nad środkami, jakiemiby nieposłuszne dziecko mógł poskromić.

Nieprędko też legł spać Cedro, choć się czuł zmęczonym i zbolałym.

Zbilut, w rękę go pocałowawszy, ścisnąwszy za kolano, nie zaglądając do brata, wysunął się do izby, w której oba sypiali i do snu pospieszył...

Najpóźniej, na palcach, po cichu, wśliznął się do komory Grześ i nie rozbierając rzucił na posłanie.

Nazajutrz rano, gdy Zbilut, słysząc szmer we dworku, oczy przetarł już o białym dniu na posianiu obok Grzesia nie było.

Ojciec nie pytał o niego.

Zbilutowi zaraz na myśl przyszło, że brat pewnie chyłkiem zbiegł do fary, na skargę do bakałarza, który był jego opiekunem i powiernikiem...

Nie mylił się chłopak domyślny i byłby może korzystał z tego, puszczając się za bratem i śledząc kroki jego, aby o nich donieść ojcu, ale pilniejszego coś miał do czynienia, bo żarłocznym był i łasym, a naprzód musiał u gospodyni coś odkraść, aby głód zaspokoić. Wiedział też kędy kury się niosły i jaja podbierał, które ze smakiem wypijał.

Stary Cedro wkrótce się wywłókł na miasto.

Od dworku Strzemieńczyków do fary, spory kawał drogi iść było potrzeba krętymi uliczkami, ale Grześ miał sobie tylko znaną, bliższą drożynę, między sadami i płotami, którą się był zwykł przekradać.

Budynek szkolny przy farze, w którym się bakałarz z kantorem mieścili, tak był nędzny i opuszczony, jak większa część podobnych domostw w onym wieku. Wprawdzie nie było znacniejszego kościoła, któryby szkoły nie miał, choć do niej niewiele dzieci uczęszczało, ale mało gdzie starano się pilniej o ściąganie ich i regularne nauczanie młodzieży. Szedł kto chciał i kogo posłali rodzice.

Byli przy Farach scholastycy, którym dozór szkół z obowiązku przypadał, ale ci doglądali tylko, aby bakałarz wedle przepisów synodalnych naukę wpajał i religijne zasady. Nikt do szkoły nie napędzał.

W miastach niektóre rodziny, liczniejszem mężkiem obarczone potomstwem, w widokach poświęcenia stanowi duchownemu jednego z synów oddawali bakalarzowi. Posyłała dzieci z tąż myślą uboga szlachta. Dla wielu duchowna sukienka wydawała się lżejszą do noszenia od kubraka i zbroi.

Bakalarze, klechy, kantorowie byli to także biedacy, albo wdychający do święceń lub klerycy niedouczeni, którzy nie mogli ich otrzymać, głodem przymierali posługując przy kościołach.

Z mnogich jednak widać przykładów, że w takich szkółkach dosyć skutecznie uczono pierwszych zasad, krzewiono początkowe przygotowawcze wiadomości, gdy tacy z nich ludzie wychodzili jak arcybiskup Wojciech Jastrzębiec, co zaczął od farnej szkółki w Bensusowie.

Nie wzdragała się ich szlachta uboższa, synów na księży chcąc sposobić, a osobnego bakalarza trzymać do nich nie mogąc.

Za kostnicą, między murowanym domem proboszcza a wikaryą, stała drewniana szkoła, tak opuszczona i biedna, że nielepiej od chlewu wyglądała. Jedna w niej pusta izba była dla młodzieży przeznaczoną, reszta służyła za skład łomu i rupieci kościelnych, a komora przylegająca za schronienie kantora i bakalarza. Niezawsze nawet szkoła ta niezajętą bywała, bo w lecie gospodyni proboszcza rozkładała się w niej nieraz z zieleńmi i warzywem, jesienią z owocami i nasionami, a szanować musiano co pieczy bakalarza powierzyła.

Dziwnymi też zapachami woniała nieprzewietrzana szkoła, bo w niej jadło, konopie, zieleninę, stęchliznę, dym przywrzały do ścian i kościelnego kadzidla resztki, razem się mieszały.

Światło wpadało skąpe, a oprócz ław na wbitych w tok nogach i stołu porzniętego przez dzieci, pary półek u ścian i popękanego pieca, innego sprzętu nie było.

Klepisko chyba dzieci przez miłosierdzie zamiotły.

Bakalarz, posiwiaty już w spełnianiu swych obowiązków, człowiek milczący, posępny, blady, surowy na oko, łagodny z natury, zwał się Jackiem Rybą. Miał on wprawdzie różgi za piecem w ceberku moknące, ale częściej je pokazywał dla postrada, niż używał.

Niepozorny, zbiedzony, całego życia niepowodzeniem złamany, dobił się już był do tego skraj, na którym stojąc patrzy się ze spokojem i rezygnacją na wyżyny oddalone, choć się ich doścignąć nie mogło.

Dusza to była wypogodzona, w której miłości ludzi i Boga nie zabiła zła dola i długich lat męczarnie. Jacek Ryba nie zgorzkniał, Bogu i przeznaczeniu wyrzutów za swe losy nie czyniąc.

Największą dla niego rozkoszą było młode umysły do życia budzić, wpajać im to, co sam zdobył, a gdy czasu stało i ksiąg poważnych mógł się chwycić, czytać je i dumać nad niemi. Rękopisem nowego dostawszy, o co naówczas bakalarzowi nie było łatwo, siadał go przepisywać, dnie i noce przy kaganku czasem spędzając nad Boëcyuszem lub jakim rzymskim poetą.

Przywozili naówczas do Polski te skarby mnodzy duchowni, którzy do Rzymu i Włoch w sprawach kościoła lub dla nauk wysyłani byli.

Jacek Ryba pierwszym był Grzesia Strzemieńczyka nauczycielem, i wychowawcą tym swoim czuł się dumny. Miał on go za dziecię cudowne, od Boga ubłogosławione, wielką przyszłość zapowiadające.

Bakalarz ledwie się był, umywszy i pacierz odmówiwszy, przygotował iść na jutrznię do kościoła, gdy z podziwieniem ujrzał wpadającego żywo do komory ulubieńca swego, z zarumienionemi policzkami, zdyszanego, przelęknętego. Nic nie mówiąc chłopak pochwylił go za rękę i całować ją zaczął wzruszony.

— Cożes ty tak rannym ptakiem? — zapytał niespokojny Ryba.

Spojrzał bacznie; Grzesiowi w oczach wymowne łzy stały. Bakalarz wiedział co chłopiec cierpiał od ojca, ścisnęło mu się serce, pogłaskał go po głowie.

— No, mów! — rzekł głosem cichym.

— A! ojczulku! — odezwał się Strzemieńczyk, nawykły go tak nazywać — nie wiem co mam począć! Dłużej już tak nie wybędę. Dziej się wola Boża. Ojciec... ojciec...

Bakalarz potrząsnął głową znacząco, jak gdyby powiedzieć chciał:

— Wiem ci ja! ale rodziców szanować potrzeba.

Chłopak westchnął.

— Dlatego, że ojca szanuję i gniewać go nie chcę, muszę precz ztąd, muszę.

Zachnął się Ryba w tył cofając.

— Co tobie? na Boga milego! Dokąd?

— Dokąd? albo ja wiem! — szepnął Grześ. — W świat! Do Krakowa... Ojciec z nas obu chce koniecznie żołnierzy zrobić, a mnie sam Pan Bóg do czego innego przeznaczył. Samiście mówili mi nieraz, że głosu Bożego słuchać potrzeba, a ja czuję go w sobie!

Bez nauki żyć, wołałbym umierać, dla niej w świat iść muszę.

Łzy prędko otarłszy chłopiec, czarnemi oczyma bystro spojrzął na bakalarza, który stał smutny i zamysłony.

— Słyszałem od was, że w Krakowie dla ubogich jak ja pacholąt, ludzie są litościwi, którzy ich karmią, aby na chwałę Bożą uczyć się mogli.

— Dziecko! dziecko! — podchwycił bakalarz. — Bóg ci litościwy jest nad opuszczonymi, i ludzie są dobrzy na świecie, ale pójść w świat z sakwą na plecach, z drewnianą miską u pasa, prosić jałmużny chleba i jałmużny światła, nie wiesz co przecierpieć trzeba.

Chłopak strząsnął się dumnie.

— Alboż to ja cierpieć nie potrafię? — zawołał — albo mi to w domu był raj? Ja już od dziecka do głodu nawykłem i chłodu.

Tu pocałowawszy znowu w rękę bakalarza, jakby go tą pokorą chciał zmiękczyć i przekupić dla siebie, dodał.

— Nauczylście mnie trochę śpiewać, po ulicach pieśni nabożne z drugimi nucić mogę. Za to ludzie dobrzy dają kołaczki i grosze... Umiem też, z łaski waszej, pisać niczego...

Ryba się uśmiechnął klepiąc go po ramieniu.

— A! ty! ty! — rzekł weselej — niczego! Ty malujesz nie piesz i kaligraf z ciebie, choć smarkaty, że się i ze starymi nie powstydzisz iść na wyścigi. O tem niema co mówić, to prawda, to prawda.

Grześ przerwał żywo.

— No, więc czego się mam obawiać? Bylebym się dowłókł do Krakowa, albo to bieda wielka. Na każdej plebanii nocleg mi dadzą, w każdym klasztorze pokarmią. Chleba dużo nie potrzebuję, łyżką strawy będę syty.

Gdy to mówił, oczy mu się świeciły.

— A ojciec — cicho zagadnął Ryba. — Co powie ojciec, gdy cię nie stanie?

Grześ oczy spuścił.

— Ojcu się Zbitut zostanie — odparł cicho. — On go lepiej niż mnie kocha. Ja mu tylko zgryzotą jestem i ciężarem. Zbędzie się, zapomni, lżej mu będzie.

Słuchać go nie mogę, więc obrazy Bożej uniknę, a po mnie — dokończył smutno — płakać nie będzie.

Bakalarz zadumany, nic nie mówiąc, głową potrząsał. Stał w niepewności jakiejś, nie chcąc ni radzić ni odradzać. Dziecka mu ulubionego żał było, które się tu mogło zmarnować. Miał to przekonanie, że w Krakowie z niego coś nadzwyczajnego zrobią. Z drugiej strony, postradać tego ucznia, tego ulubieńca, którego sam własnem tchnieniem wywiódł tak cudownie ze swawolnego pacholęcia, żał mu było.

Grześ pisał tak ślicznie, a wszystkie charaktery naśladował tak kunsztownie! W kościele gdy śpiewał, głos miał tak piękny, że do łez poruszał, do modlitwy duszę podnosił!

To dziecię biedne, puścić w świat na stracone imię, na losy, które Ryba znał najlepiej, bo ich sam doznał w wędrówkach po świecie, strach było!! żał srogi!

Ukradkiem stary bakalarz otarł rękawem oczy, ale myśl mu przyszła, że Bóg ojciec sierotom...

Na twarzy chłopca malowało się po tęsknocie takie męztwo, takie pragnienie tego co mu przyszłość gotowała, takie jakieś powodzenia przeczucie, że wstrzymać go, któż wie, czy się godziło?

— Ojczulku! — dodał Strzemieńczyk śmiało. — Myślałem całą noc, modliłem się panu Bogu, prosiłem go o natchnienie. Już to postanowione... Nie przeciwie się. Idę w świat!... Za ojca wy mi dajcie błogosławieństwo.

I przykląkł przed nim, za rękę drżącą chwytając starego, który głowę jego ująwszy, modlitwę cichą szeptać zaczął. Popłakali się oba. Mówić już nie było co więcej.

Dzwoniono na jutrznię, poszli razem do kościoła, ale ostrożny bakalarz, obawiając się, aby stary Cedro nie przyszedł tu szukać syna, ukrył go na chórze i drzwi zaryglował.

Grzesz upadł na kolana, złożył ręce i modlił się gorąco.

Mało na jutrzni pobożnych było, oprócz kilku starych kumoszek z różańcami w ręku; mieszczenie na wiosnę mieli dosyć do czynienia w polach i ogrodach. Msza już była przy ofiarowaniu, gdy męzkie buty i chód posuwisty usłyszał bakalarz, głowę wychylił i zobaczył Strzemieńczyka starego, który idąc na wszystkie się strony oglądał, niewątpliwie szukał syna.

Grzesz się przychylił i za słup schował.

Cedro ukląkł w ławie mszy świętej słuchać, bo bezbożnym nie był, ale domyślił się łatwo bakalarz, że on tu nie dla nabożeństwa, ale dziecka zbiegłego przyszedł szukać.

Zaledwie ksiądz przeżegnał, gdy Ryba chłopcu dając znak aby pozostał na chórze, sam zszedł z niego, nastręczając się Strzemieńczykowi, bo wiedział, że go pytać będzie. Sam nie zaczepiając starego, zwolna, święconej wody wzięwszy u drzwi, wyszedł Ryba na cmentarz.

Cedro za nim pospieszył, brwi miał ściągnięte i twarz posępną.

— Nie wiecie o Grzesiu moim? — zapytał rzeźko.

— Albo co? — odparł Ryba.

Staremu gniew tymczasem ze krwią do głowy bił..

— Zbiega mi, bestya krnąbrna, dla tej waszej nauki, która mu się na nic nie zdała.

Siekę go, morduję i nic nie pomaga...

Bakalarz poruszył ramionami.

— A ja co na to mogę? — odparł.

— Wy — krzyknął w pasy Strzemieńczyk, rękę podnosząc do góry — wyście mu pierwi głowę nabili tem przeklętym obciadłem, a jemu ono do czego? Klechy z niego mieć nie chcę, dosyć jest tych darmozjadów! He!

Ryba słuchał obojętnie.

— Pociście go uczyli? — powtórzył Cedro.

— Bo tak pan Bóg przykazał — odparł bakalarz — a bożego przykazania słuchać muszą nie waszych gróźb. Dziecko do nauki miało ochotę i zdolność, com go nie miał uczyć??

— Ja lepiej wiem co mojemu dziecku potrzeba — wyrwał się coraz popędliwiej Strzemieńczyk — jam nad niem panem, nie wy...

Nie chcąc dalej rozprawiać z nim, bakalarz ruszył zwróciwszy się ku szkole i zostawił samego, zagniewanego starca, który pluł i kłął, a w końcu nie mając z kim się kłócić, musiał nazad do domu iść. Po drodze jednak skręcił do szkoły, i nie wchodząc do niej, u okna tylko stanąwszy, zakrzyczał na głos.

— Jak mi go tu przyjmować i chować będziecie, szkołę podpałę... tak mi Boże dopomóż!! Rąk moich nie ujdziecie.

Ryba zbliżył się okna...

— Idźcie z Bogiem... a nie krzyczcie! dziecko zamęczone w świat poszło... mieć będziecie je na sumieniu... Nie ojcem mu byliście, ale oprawcą...

To wyrzekłszy zniecierpliwiony Ryba od okna odstąpił i poszedł się zamknąć do komory.

Cedro stał chwilę zadumany, ramionami zżymając, oglądał się czy z kim waśni przedłużyć nie znajdzie, naostatek mruczając się powlókł do domu.

Nie chciało mu się dawać temu wiary, ażeby syn mógł w świat ujść od niego.

Gdy Strzemieńczyk zdala już był od fary, po drodze znajomych zatrzymując i rozwodząc przed nimi żale swe do bakalarza i klechów; Ryba przez zakrystę do kościoła powrócił, wszedł na chór, i wyzwolił ztamąd Grzesia.

— Nie chcesz do ojca powracać? — zapytał go.

Chłopak wstrząsł się cały.

— Nie mogę — rzekł — wołę głodem mrzeć!! W świat pójdę...

Zadumał się Ryba długo... Zdawało się, że i on to postanowienie pochwalał, a myślał tylko o środkach, jakby tego dokonać.

— Gotów stary jeszcze cię tu szukać — odezwał się po chwili — musisz się więc ukryć, dopóki ja nie opatrzę cię na drogę... Choć za mną...

Ryba mówiąc to, wziął Grzesia za rękę, obejrzał się po cmentarzu i prześliznął z nim szybko do szkoły, ale nie wprowadził go do swej izby.

W lewo był skład zamknięty rzeczy kościelnych, które się przy farze pomieścić nie mogły. Stały tu rusztowania od przybierającego na wielki tydzień grobu, wisiały opony odpustowe, połamane chorągwie, wschody od wielkiego katafalku rzadko kiedy używane, ogromne lichtarze drewniane i całe kupy lampek glinianych, którymi czasem farę oświetcano.

Każdy choćby najmężniejszy dzieciak, wieku tego co Grześ, byłby się uląkł tej ciemnej izby, smutnej i pełnej grozy grobowej. Ryba spojrzał nań pytająco, czy do wieczora się tu skryć zechce... Grześ odpowiedział wesoło głową potakując i przeżegnawszy się wsunął śmiało, gdy mu drzwi otworzono.

Przez jedno zakratowane gęsto okienko trochę światła wpadało do ciemnej izby, w której kątach złowrogo, na czarnych deskach wytrzeszczające zęby, głowy trupie widać było... Grześ siadł u okna, aby w dziedziniec kościelny mógł patrzeć i dostrzedz, gdyby ojciec lub brat go tu szukał.

Miał najmocniejsze postanowienie niepowracać już do domu, choć za nim tęskno mu było.

Milczące przyzwolenie bakałarza dodawało odwagi. Siedział cierpliwie, czekając co z nim Ryba postanowi. O południu otworzyły się drzwi ostrożnie, stary przyniósł chleba kawałek i w garnku polewkę od ust sobie odebraną, aby go pokarmić, kazał Grzesiowi jeść, sam przysiadłszy na wschodzie od katafalku.

— Iść! iść! — zaczął mrużyć niespokojny — dobrze to mówić, a wieszże drogę? do Krakowa kawał... gościniec ci jest, ale dróg siła, a jak się obłąkasz?

— Ludzie mówią, droga wszelka na końcu języka — odparł Grześ...

Popatrzał bakałarz...

— A nuż stary w pogoń pojedzie lub pośle? — zapytał.

— Sam pojechać nie może — odezwał się chłopak — posłać niema kogo. Pomyśli, że już dziś zbiegł, i dognać mnie nie będzie mógł, a w ostatku... pewnie się niebardzo o mnie zatroszczy...

Ryba podparty na rękę dumął...

— Żywczak jutro do dnia do Dukli i Starego Sądca jedzie za kupią, a bodaj i na Węgry. Można by uprosić, aby cię na wóz wsadził i dowiózł choćby tam dokąd, sam jedzie... Z Sądca do Krakowa...

— Dam sobie rady — przerwał Grześ śmiało — nie obawiajcie się o mnie.

— Ale czy Żywczak zechce i ojca się waszego nie złąknie? — dodał Ryba...

Żywczak różną kupię z Węgier był zwykł przywozić, człowiek śmiały, czeladź miał zbrojną, bo w owe czasy bezbronnemu na gościńcach, zwłaszcza w obcym kraju, nie można było się pokazywać. Znał go Ryba, i postanowił rozmówić się z nim zaraz, więc Grzesia znowu w izbie zamknawszy, poszedł na miasto.

Zamożny woźnica miał własny swój dom w Sanoku, a choć ciągle się po gościńcach tłukąc, mało w nim przebywał, liczył się do znaczniejszych mieszczan. Bakałarz dlań chudzina niewiele znaczył, ale zawsze suknię na nim kleczą szanowano.

Gdy Ryba Chrystusa chwałąc do izby wszedł, zastał Żywczaka z dwoma współmieszczanami żegnającego się przy miodzie.

Woźnica i kupiec zobaczywszy go, pewien był zrazu, że bakałarz, jak to się kilkakrotnie do roku trafiało, przyszedł, aby sobie gomółkę jaką lub osełkę wyprosić, płacąc za nią życzeniem szczęśliwej podróży i obietnicą modlitwy.

Wesoło go jednak powitał i kubek przed nim postawił. Ryba miód przyjąwszy, nie rad temu, że świadków niepotrzebnych tu zastał, siedział długo milczący... Mieszczanie jednak nie bawiąc się porozchodzili.

— Ja mam prośbę do was, panie gospodarzu — odezwał się bakałarz — korzystając z tego, że zostali sami, ale, osobliwego ona rodzaju jest, i sam nie wiem jak począć.

Stanął Żywczak przed nim.

— Mówcież no — rzekł krótko...

— Rozumiecie to, boście bywali i mądrzy, panie gospodarzu — zaczął bakałarz przy pochlebając się Żywczakowi — iż kogo Bóg do siebie powoła, ten głosu Jego słuchać musi.

Żywczak głową dał znak, iż i on tak sądził, choć zgola nie rozumiał, co to znaczyć miało.

— Mamy chłopca w szkole, którego Pan Bóg widomie do służby swojej przeznaczył — ciągnął dalej Ryba — a tu ojczysko uparte uczyć mu się nie daje... Niema innego sposobu, tylko chłopcu, który uczyć się chce, drogę wymościć i do szkoły go lepszej niż nasza posłać. Do Krakowa mu trzeba, do Panny Maryi...

— A cóż ja na to wam poradzić mogę? — spytał zdziwiony Żywczak...

— Jedzicie pono do Dukli, a może i do Starego Sądca — rzekł Ryba.

— Pewnie! — potwierdził Żywczak.

— Tożbyście dla miłości Bożej podwieść mogli biedactwo — dokończył bakałarz, rękę zniżając do kolan Żywczaka.

Mieszczanin stał jakoś obojętny, głową potrząsał.

— Cóż to za jeden ten wasz chłopak? — zapytał. — Od ojca go odkradać... dziecko własne!! A gdyby mi tak kto mojego chciał wziąć!!

— Wybyście pewnie woli Bożej się nie sprzeciwili? boście człkiem pobożnym i rozumnym, a wiecie iż się nie godzi.

Żywczak wciąż głową kręcił, niezupełnie przekonany.

— Czyżże to chłopiec? — zapytał.

Bakałarz jeszcze się wahał z odpowiedzią i dodał.

— Katuje go ojciec za to, że się uczyć chce, a chłopiec już dziś śpiewa w chórze i pisze tak jak z nas żaden!

— Może go jednego ma? — wtrącił Żywczak.

— Dwu ich u niego — rzekł żywo Ryba.

Patrzali sobie w oczy, mieszczanin nie okazywał ochoty mieszać się w tę sprawę drażliwą.

— Powiedzciez mi czyj chłopiec jest? — zapytał powtórnie Żywczak...

— Nie zdradzicie mnie przecie? — przebąknął bakałarz.

— Albowm ja taki co za język ciągnie, aby człeka sprzedał? — ofuknął obrażony mieszczanin — po mnie się to nie okazało.

Wstał z ławy bakałarz i w ramię go pocałował.

— Miejcie litość — rzekł... Potem obejrzał się do koła i szepnął mu do ucha — Strzemieńczyka starszy...

Żywczakowi się oczy zaśmiały... wróżba była dobra... Znał on starego Cedrę i nie jeden się raz z nim waśnił, a nie mógł znieść dumy jego szlacheckiej, która przed mieszczańskim dostatkem głowy ugiąć nie chciała.

— Strzemieńczyka chłopiec — zawołał. — Nie dziwota, że od niego ucieka, bo z tym katem nikt nie wytrwa. Zbój jest, tylko szczęście, że siły już niema, boby z nim codzien przyszło się borykać...

Wóz jeden kryty skórą idzie — dodał — chłopca do środka wsadzić każe i do Dukli a bodaj i do Starego Sądca powiozę, ale co potem, bo ja na Węgry zawrócę?

Bakałarz ręce aż złożył z wdzięczności i zawołał.

— Z Sądca pójdzie pieszo! radę sobie da... W klasztorze go pokarmią, bo tam panny od furty nikogo głodnym nie odprawiają...

Śmiał się Żywczak.

— Dobrze tak staremu panoszy! — dodał. — Jeść nie ma co, a swój szczyt tak nosi jakby złotym był i ludzi drugich niema za Boże stworzenia. Przekonają się wszyscy co zasz jest, kiedy od niego własne dziecko ucieka...

— A! — westchnął Ryba — chłopiecby srogość ojcowską zniósł, bo cierpliwy jest i pocziwy, ale uczyć się chce, a rodzic mu broni.

— Tak, aby z niego takiego niezdarę uczynił jak sam jest — krzyknął Żywczak. — Nie ujmuje ja czci szlachcie i panoszom, toć oni się biją i bronią nas a na świecie potrzebni są, ale i drudzy też ludzie, choć ziemię orzą i kupią wożą...

— Lub Boga chwałą — przerwał bakałarz.

Żywczak skłonił głowę.

— Chłopca więc weźmiecie? — spytał Ryba uradowany.

— Co nie mam go wziąć! — rzekł Żywczak. — Powiadacie, że to ma być Bogu na chwałę... a no i od kata wyzwolić też zasługa. Ino mi go jak dzień przyslijcie, bo ja na niego ani na nikogo czekać nie myślę. Komu w drogę temu czas. Dnie poczynają gorące być, chłodem trzeba do popasu.

— Sam go wam przyprowadzę — dziękując dodał odchodzący bakałarz.

Spieszył potem do szkoły, aby i dobrą wieść przynieść zamkniętemu i wyzwolić go z izby... Nie było się już co obawiać napaści starego Cedry, więc Grześ do komory przeszedł...

Gdy się to działo w szkole, Strzemińczyk ciągle na syna powrót oczekiwał. W głowie mu się to nie mogło pomieścić, aby dziecko śmiało od niego uciekać. To ukrywanie się po wczorajszym obiciu, wydawało się najsroźszej kary godnem. Bić go znowu wstręt miał i własnej popędliwości się obawiał, bo milcząca cierpliwość dziecka, wściekłość w nim rodziła... Postanowił więc, jak skoro się zjawi, w ciemnym loszku zasadzić go na chleb i wodę...

Czekał tylko rychło Zbilut, który też na niego czatował, da znać, że Grześ powrócił. Lecz oba czekali i wyglądali na próżno i gniew ojca coraz się wzmagał.

Po południu już zamiast zamknięcia do lochu, zaprzysięgał się obić go wprzódy i trzymać dopóty, póki by nie obiecał poprawy.

Nad wieczór niepokój się wzmógł, Grzesia nie było... Zbilut nawet do ojca nie śmiał się zbliżyć.

Nadzieja powrotu dziecka słabła coraz, stary Cedro to gniewem się unosił, to czynił sobie wyrzuty. Łzy mimowolnie zbierały mu się pod powiekami. Zbilut parę razy próbował zdaleka coś szepnąć do niego, i nie otrzymał odpowiedzi. Z twarzą zwróconą w stronę fary stał długo Cedro mruczając coś niewyraźnego, noc nadeszła. Grzesia nie było.

Idąc do snu i całując ojca w rękę, Zbilut coś chciał powiedzieć o bracie, Cedro nogą uderzył w podłogę.

— Słyszysz! żebyś mi więcej imienia jego nie ważył się wspomnieć!...

Zyskał na tem młodszy, że ojciec mając go jednego, z oka już na chwilę nie spuszczał.

II

We dworku Strzemińczyków, z pozostałych mieszkańców mało kto zasnął tej nocy. Najmniejszy szelest rozbudzał, bo się ciągle jeszcze krnąbrnego dziecka spodziewano. Ojciec wstawał kilka razy, szedł do okna i w mrokach dziedzińca upatrywał Grzesia, który już nie miał się tu pokazać. W starej szkole pod farą nikt też oka nie zmruczył.

Grześ miał odwagę dziecka, które się niczego nie lęka, bo nie zna niebezpieczeństwa. Nic go to nie obchodziło, że wybierając się na długą wędrówkę, miał na nogach stare, podarte chodaczki tylko, sznurkami na onuczkach poprzywiązywane, na grzbiecie koszulinę jedną zgrzebną, kubraczek szary połatany, a dla pokrycia głowy czapczynę lichą, pomiętą i poszarpaną. Bakałarz doświadczeńszy już, myślał, czy się go puścić tak godzi? Wprawdzie wiosna już była i dnie gorące, ale biedactwo odarte, wyglądało prędzej na żebraka, niż na dziecko szlacheckie, gdyby twarzyczka rozumna i piękna, nie płaciła za wszystko. Odzieży sam Ryba miał tak mało, że nie było się czem podzielić, a z niego na Grzesia nicby też nie przyszło. Krajać i obszywać nie było czasu. O lepszym więc na podróż przybraniu nie było co i myśleć, a chłopak odzież sobie lekceważył, byle grzbiet miał przykryty. Wiedział, że żebrak będzie musiał i strój mu się zdawał właściwy, bo mógł mówić za niego.

Żywczak miał go na wozie ukrytego podwieść do Dukli, ale o przekarmieniu mowy nie było, należało więc jaki taki posiłek zapewnić na dni pierwsze.

Trochę soli zawiązanej w szmatkę, kromka czerstwego chleba odkrojona z bułki bakałarza, którą on sobie odjął od gęby, gomółka zawiędłego séra, w które go opatrzone, zdawały się Grzesiowi aż nadto wystarczające i za te dziękował uradowany niespodziewanym zapasem.

Ryba miał jeszcze z dawnych czasów zachowaną jako pamiątkę, miseczkę drewnianą, którą sam niegdyś u pasa nosił, chodząc w Krakowie do szkoły. Spoczywała ona na półce nietknięta i pyłem przysuta. Zdjął ją, smutnie się przyglądając, oczyścił i milcząc podał

Grzesiowi, któremu przyszłego jej użytku tłumaczyć nie było potrzeba... Była to może największa ofiara ze strony bakalarza, któremu z dni młodości nic nad nią nie pozostało.

Z miską taką stawał chłopak pode drzwiami mieszczan, a litościwe gospodynie nakładały w nią kaszy lub klusek.

Ryba i Kantor gaduła, oczekując dnia, starali się przestrogami i naukami różnemi przygotować Grzesia do tego, co go w przyszłości czekało. Oba oni przeszli przez też same koleje i z własnego doświadczenia czerpali.

Opowiadali szeroko o swoich szkolnych latach, o życiu studentów ubogich i zwyczajach, do których się potrzeba było zastosować, o żebraniu, śpiewaniu pieśni pod oknami i wydrwiwaniu grosza od przełękłych żydów.

Bakalarz na tem największe pokładał nadzieje, iż Grzesiowi długo żebrać nie będzie potrzeba, bo nad wiek swój do pióra był wprawny, pisał bardzo pięknie, charaktery wszelkie naśladował misternie, a przepisywaniem naówczas, grosza było można sporo zarobić. Za proste Ojciec nasz płacono grosz, a za Donata dziesięć groszy. Grześ zaś nietylko kopiał pięknie, bez omyłek, z łatwością, ale pisał prędko i paliło mu się w ręku, co wziął do roboty. Oprócz tego piękny głos jego i śpiew, którym się zachwycano, mógł być także pomocą, bo pieśni pobożne i inne nucił na pamięć, na cytrze brząkał, a miał taką ochotę do gędzby, że nawet, gdy go nikt nie słuchał, sam dla siebie wyśpiewywał.

Wszystko to mu przyszło bez pracy prawie, ledwie cokolwiek pokazano, sam już potem z łatwością uczył się dalej, a starzy z podziwienia wyjść nie mogli. Wbijalo go też to może w pychę, ale dawało wiarę w siebie i to męztwo z jakim się ważył w świat, pewien że wypłynie.

Bakalarz bojaźliwszy, trochę mu rogów przycierał, podszeptując.

— A no! a no! co w Sanoku, to nie w Krakowie... Tam i kaligrafów siła jest i na śpiewakach nie zbywa... Posłyszysz, zobaczysz... będziesz się jeszcze miał uczyć czego...

Ale chłopak się tem nie zrażał... Ufał w to, że przy pomocy Bożej, da sobie radę.

Rozmawiając tak przy gasnącym kaganku, który syczał i pryskał w glinianej miseczce, Ryba coraz wyglądał przez okno, czy się brzask nie robi, aby z chłopcem nie opóźnić się do Żywczaka. Za ledwie na wschodzie szarzeń poczynalo, gdy raz jeszcze podszedłszy z nim pode drzwi kościelne i pokłękawszy na modlitwę, Ryba pustemi uliczkami poprowadził go do dworku mieszczanina. Rano było tak jeszcze, że nawet gospodynie do kądzieli nie powstawały, spało wszystko, ale u Żywczaka zastali już wozy z szop powyciągane, a przez okna widać było światło w domu.

Parobcy przy luczycach smarowali i uprząż przygotowywali...

Bakalarz z chłopcem, niechając uprzykrzonym być, stanęli pokornie w ganku i czekali. W tem sam Żywczak wyszedł za czemś z izby, już odziany i podpasany, jak do podróży, a zobaczywszy klechę i chłopca, któremu o mroku porannym nie mógł się dobrze przypatrzeć, do izby ich wprowadził. Tu na kominie się paliło, a jejmość w jubce i chustce na głowie, polewkę grzała dla męża.

Spojrzał bystro mieszczanin na szlacheckie dziecko, nędznie odziano, ale tak pięknością rysów i szlachetną a śmiałą postawą uderzające, że co miał sztydzić z niego, sposępniał.

Z twarzy bił rozum i męztwo, zadziwiające w wyrostku. Żywczak odezwał się do niego pytając, czy nie lęka się w świat tak puszczać sam jeden...

— Bóg jest wszędzie — odparł Grześ śmiało. — Gdybym złego co myślał, bałbym się kary, ale na chwałę bożą chcąc pracować, nie boję się niczego; a co mnie spotka, przyjmę z pokorą.

Wymowna odpowiedź zamknęła usta mieszczaninowi, który popatrzył na dzieciaka, ramionami poruszył, głową pokręcił, a babie swej szepnął, aby mu kubek piwa grzanego dała.

Dostał i bakalarz swoją porcyę i byłby mógł podziękowawszy odejść, ale chciał dotrwać do końca, zobaczyć, jak się Grześ do wozu dostanie, i pożegnać go raz jeszcze...

Dniało coraz jaśniej, wozy co żywiej zaprzęgano, w domu ruch się robił większy, nadchodziła chwila odjazdu. Na pokrytym skórami pałubie z przodu siadłszy Żywczak uzbrojony, z tyłu za sobą ukazał miejsce Grzesiowi, który tak był zasłoniony, że gdyby nawet starego Strzemińczyka spotkali, domyślećby go się tam nie mógł.

Grześ zapląkał, żegnając bakalarza, wsunął się w kąt, i wozy z przed dworku ruszyły...

Co się tam w tej młodej głowie i sercu działo, gdy chłopak znalazł się sam na gościńcu, z ludźmi obcymi, na łasce ich, odurzony tem co go od dwóch dni spotykało, Bóg jeden wie... Myśli mu się plątały, radby był wyskoczył, wrócił, ojcu padł do nóg, to znowu nadzieja dziwna pchała w świat otwierający przed nim złote wrota... Dzień się wola boża! Noc spędzona bezsennością, znużenie, kołysanie się wozu, do którego nie był przywykły, wprędce twarde sen sprowadziły. Zasnął jak młodość tylko spać umie, i nie wiedział ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje, gdy około południa zbudził go Żywczak, pamiętający o nim, wołając do swej miski...

Nie rozpoczynał z nim rozmowy, bo do czynienia miał dużo, a sam doglądał wszystkiego, ba i ręki przykładał, ale głodem mu mrzeć nie dawał, tak że Grześ chleb swój i sэр na dalszą podróż ze Starego Sądca mógł oszczędzić. O niej też przemyślał ciągle, usiłując przewidzieć wszystko, co go spotkać mogło i przygotować się na to jak miał radzić w potrzebie...

W Dukli mało co się Żywczak zatrzymał, tak że chłopak ciekawy ledwie miał czas, z pod skór się wydobywszy, rzucił okiem na górę Cergowę i po pięknej okolicy. W miasteczku u rynku, gdzie stanęli, ruch był wielki, bo gościniec tędy wiódł na Węgry, z którym handel naówczas szedł żywo.

Grześ po raz pierwszy zobaczył tu nowych ludzi, których języka nie mógł zrozumieć, stroje i zbroje nieznanne, a krzątania ich wydała mu się po spokojnym Sanoku, dziwną i niemal straszną. Cóż to dalej być miało na świecie?

Żywczak, jak wszyscy woźnicy z kupią jeżdżący, rozpytywać się musiał o gościńce, o bezpieczeństwo, o mosty na rzekach i brody, które czasem w górskim kraju bywały nie do przebycia, a chłopak odpowiedziom się przysłuchiwał ciekawie.

Nie uszło też ucha jego, gdy kupcy z Węgier powracający rozpowiadali, jak król Władysław Jagiełło, właśnie tych dni z Węgier miał do Krakowa jechać, bodaj na Sądca Nowy, gdzie świeżo osadzonych Norbertanów klasztor chciał widzieć.

Głoszono też, że od Zygmunta Luksemburczyka, z którym się poprzyjaźnił, wiózł w podarku drogie dla Polski skarby, starą koronę Bolesławowską, szczerbiec, berło i jabłko, które był po koronacji swej zabrał król Lois do Budy. A była z tego radość wielka, gdyż do tych klejnotów, jak do relikwii świętych, wielką wagę przywiązywano.

Żywczaka mało może obchodziły skarby te, które do Polski powracały, a więcej, że przejazd króla, gościńce czynił bezpieczniejszymi i łatwiejszymi do przebycia.

Grześ zaś, dowiedziawszy się o królu, jak był umysłu zuchwałego, powiedział sobie, iż gdyby na pański dwór i obóz trafił, będzie za nim ciągnął także... Nie rozważał tego, iż pieszemu za konnemi nadążyć nie było łatwo.

W Starym Sądcu z Żywczakiem się trzeba było rozstać. Grześ się już do tego gotował i gdy zamczył na górze w widłach Popradu i Dunajca się ukazało, jedną już nogą tylko był na wozie... Dotąd miał opiekuna i żywiciela, teraz poczynała się dopiero wędrówka o łasce bożej i własnym rozumie... Serce mu jednak rosło...

Gdy wóz stanął przed gospodą, opodał od klasztoru panien, do którego chłopak się chciał wprosić zrazu dla spoczynku, skoczył żywo Grześ i pospieszył, odkrywszy głowę, opiekunowi swemu dziękować, jak zwykle ubodzy, Bogu polecając zapłatę za siebie.

Żywczak, który mu się zdała z wielką przypatrywał ciekawością, w ciągu podróży podobał go sobie, poklepał po ramieniu kłaniającego się pokornie.

— Kiedy taka wola Boża i przeznaczenie twoje — rzekł — idźże zdrów... a masz choć parę groszy w saku na złą godzinę?

— Ani denara! — rozśmiał się Grześ — mnie pieniądze niepotrzebne. Kawałka chleba ludzie nie odmówią, a dobiwszy się do Krakowa, już tam bezpieczny...

Żywczak głową potrząsł, dobył z sakwy dwa groszaki białe i wcisnął mu je w rękę.

— Niech Bóg prowadzi.

Tak się z sobą rozstali. Grześ kij sobie nad drogą wylamawszy i przystrugawszy go, rozmyślił się, że do wieczoru czasu jeszcze dosyć było i wskazaną drogą, zamiast do klasztoru na odpoczynek, ruszył zaraz pieszo do Nowego Sądca.

Stał mu ciągle ów przejazd króla, na który po dziecinnemu rachował wiele. Myślał, że przy królu zawsze księży i pisarzy kilku bywało, do których się chciał dostać. Ale nadzieja ta omylić go miała.

W Starym Sądnczu wiedzano tylko, że się króla spodziewano, ale kiedy miał przybyć, pewności żadnej nie było i czy stanowniczo wie już na zamek podążyli, bo ci zawsze pana popprzedzali.

W podróży na wozie Żywczaka wygodnie było chłopcu, na niczem mu nie zbywało, karmił gospodarz, a o drogę nie potrzebował pytać, teraz jednak, gdy się sam znalazł na gościńcu swobodnym, weselej mu się zrobiło i raźniej. Mógł czynić co chciał, odpoczywać, pospieszyć, rozmyślać i rozpatrywać się po okolicy.

Zaśpiewał po raz pierwszy od wyjazdu z Sanoka, bo przy Żywczaku głosu nie śmiał dobyć.

Piękne wzgórza otaczające, zielenią wiosenną okryte lasy i pola, śpiewające ptactwo, przechodzący ludzie, którzy przypatrywali mu się ciekawie i zagadywali go, wszystko zajmowało gorąco. Stawał sam do siebie uśmiechając się i czując wolnym... Słuchał, rozpatrywał się, a świat na podziw wydawał mu się pięknym. Dotąd wszystko mu się wiodło nadzwyczaj pomyślnie, ucieczka z domu, droga do Sądncza, opieka Żywczaka, dwa groszaki jego, które mu się ogromnym skarbem wydawały, nadzieja spotkania z królewskim dworem, dodawały odwagi i ochoty...

Jeśli się wiodło dotąd, dlaczego nie miałyby się powodzić dalej?

Na domiar szczęśliwych trafów, spotkał zaraz na gościńcu włościanina z wozem próżnym, który wyrostka pieszego zobaczywszy, sam mu się podwieść ofiarował.

Był to kmicz, świątnik, ze wsi Norbertanom nadanej, który z kolei do posług przy klasztorze i kościele wyznaczony, na służbę jechał, a znał nietylko okolicę, ale w Wieliczce i Krakowie nieraz bywał, od niego więc języka dostać było można.

Gadatliwy wieśniak wybadał zaraz chłopca, który się tać z niczem nie potrzebował. Zapewnił go, że nocleg pewnie w klasztorze otrzyma, bo księża ubogich od furty nie odpędzali, i żywili każdego dla miłości Chrystusa, sami z łaski króla będąc dobrze wyposażeni.

Gwarząc tak ze świątnikiem dojechali do miasteczka, a i nowe budynki klasztorne nieopodal widać było. Około zamku na górze, jako też na gościńcu, zbliżając się dostrzegli ludu siłę, kupami stojącego, nie było więc wątpliwości, że obiecany król, albo już przybył, albo też był spodziewanym co chwila.

Sprawdziło się to, gdy do klasztoru podjechali, z którego właśnie duchowieństwo wychodziło na spotkanie Jagiełły. Ale to co Grzesiowi pomyślnem się wydawało, na złe mu wyszło.

Księża Norbertanie i co żyło tu, tak było królem i przyjmowaniem go zajęte, tłum ciekawych ze wsi pobliskich tak wielki, iż na biedną chłopię nikt nie spojrział.

Zepchnięty z drogi, gdy z wozu zszedł, Grześ musiał z większą gawiedzią w tłumie stać, i woźnicą swego, który mógł mu być pomocą, zgubił.

Wynagrodziło mu się to tem tylko, że widział przeciągający orszak królewski i samego pana na pięknym koniu, ale w szarym kubraku dziwnie wyglądającego wśród okazałego dworu i lśniących od zbroi rycerzy, tak że się wierzyć nie chciało, aby królem mógł być...

Tuż za nim ciągnęły poczty wielkie, jazda różna, wspaniale poprzyodziejwana, wozy wielkie ładowne, i chłopskie pełne zwierza po drodze nabitego, koni pod kapami moc a koło nich ciurów z obuchami i halebardami mnóstwo...

Gdy Jagiełło na zamek pociągnął, a lud się powoli rozplywać począł, pomyślał Grześ o sobie, ale za orszakiem się wlec nie było sposobu, bo cisnących się odpędzali pachotkowie, więc do niedokończonego opactwa, które jeszcze murowano, usiłował się dostać.

Tu by mu pewnie innego czasu nie odmówiono gościny, ale teraz tak pełno było tych co się na zamku nie mogli pomieścić, że Grześ do bramy się docisnąć nie umiał i musiał na miasteczko iść, do mieszczanina gdzieś wprosić do szopki na siano.

W natłoku tym o pomieszczenie łatwo nie było, i od chaty do chaty chodząc, trafił wreszcie na litościwą duszę. Starowina mieszczanin w pustym chlewku mu się przespąć pozwolił. Trochę słomy znalazłszy w kącie, przeżegnał się Grześ, legł i zasnął tak, że go dopiero rzenie koni o białym dniu zbudziło.

Wyszedszy z szopy zastał już wszystkich na nogach. Pobiegł co prędzej umyć się do studni, podziękował staremu za gościnę, i dowiedziawszy się od pierwszego spotkanego w ulicy człowieka, że król już w dalszą drogę do Krakowa na Wieliczkę pociągnął, nie tracąc czasu ruszył też w tę stronę.

Za miasteczkiem dopiero, kawał drogi uszedłszy, siadł, głód, który się dał czuć, zaspokoił chlebem i serem bakalarza. Pierwszego, który suchym był gdy mu go dano, byłby nie ukąsił wodą nie odwilżywszy, ale się ta szczęściem nad drogą znalazła i suchar z solą i serem dobrze smakował. Trzeba go było jednak oszczędzać, bo nie przewidywał gdzie i jak się pożywi, a groszy, które mu dał Żywczak, naruszać nie chciał. Tymczasem słońce przypiekać zaczęło i podjadłszy trochę, Grzesz w dalszą puścił się drogę.

Tego dnia żaden wóz ani miłosierna ręka w pomoc mu nie przyszła. Musiał iść pieszo, popijając wodę z ruczajów i studni, zmęczony przypadając pod wierzbami i w zaroślach przy gościńcu, i tak pod wieczór przywłókł się do kościelnej wsi, wprost kierując się na plebanię.

Szkoły tu żadnej nie było, kościółek drewniany, niewielki, stary, probostwo pod słomą, a w miejscu plebana wikary gospodarzył. Ten zrazu ostro i szorstko przyjął ubogiego chłopca, zowiąc go włóczęgą i szaloną palką, a grożąc mu że się zmarnuje i t. p., ale powoli odpowiedzi Grzesia roztropnych i pokornych wysłuchawszy, trochę się ksiądz udobruchał, odesłano go do starej gospodyni na kuchnię, a ta, choć także na darmożądów i żebractwo wyrzekała, dała trochę ostygłej kaszy ze skwarkami, chleba kromkę i na siano do szopy spać wyprawiła gościa.

Gdy z rana zadzwonił dziań kościelny na mszę świętą, Grzesz poszedł się też pomodlić, a że trafił na śpiewanie różańca i on też głos podniósł. Pewnie z serca Bogu na chwałę nucił, ale i ze śpiewem rad się był popisać może, bo wiedział, że głos ma osobliwy, czysty, łagodny, przenikający. Wszyscy ku niemu głowy podwracali.

Po nabożeństwie już się miał tylko z wikaryuszem pożegnać, gdy ten sam go zawołał, pochwalił śpiew piękny i zaciągnął z sobą na plebanię. Tu na nowo badać go zaczął pilniej, a gdy chłopak pochwalił się, że i pisać umie niczego i wiele modlitw w Sanoku dla księży i ludzi pobożnych przepisywał, wikaryusz zażądał próby, zatrzymując go na ten dzień dla spoczynku u siebie. Nie opierał się Grzesz, bo niewprawny jeszcze do chodu, czuł się dosyć zmęczonym i tak dnia tego, zamiast iść dalej, siadł dla wikarego na papierze wydartym z agendy kaligrafować pod dyktą *Skład apostołski*...

Nie spodziewał się widać księżyna takiego w młodym chłopięciu talentu, jaki Grzesz okazał, i zdumiał się pisaniu więcej jeszcze niż śpiewowi. Radby go może dłużej zatrzymać u siebie, przy kościele, ale chłopak miał mocne postanowienie dostać się do Krakowa, i księdzu podziękowawszy, nakarmiony, z podwojoną odwagą następnego ranku wyruszył w drogę. Wikary litościwie świeżym go chlebem i sera gomółką opatrzył, a drogę mu do Wieliczki rozpowiedział tak dobrze, nauczywszy gdzie się miał zatrzymywać na spoczynki i noclegi, że Grzesz prawie już nikogo o to pytać nie potrzebował.

Wiodło się tak podążającemu co sił starczyło Grzesiowi, szczęściem różnem, a co pierwszego dnia znużenie czuł wielkie, później nabrawszy sił i oszczędzając je, chłodne ranki wybierając do podróży, a odpoczywając w południe, nie czuł już prawie zmęczenia. Księża nie odmawiali nigdzie noclegu i jakiegokolwiek pokarmu, choć niektórzy ramionami ruszali i uśmiechali się z tej jego podróży do Krakowa, nie wierząc, aby wyrostek mógł wybrnąć o swej sile, wśród wielkiego miasta, w którym łatwiej było zepsuć się niż czegoś nauczyć. Radzili mu niektórzy rzemiosło, nie wiedząc że szlachcicem był, inni strofowali za nieposłuszeństwo przeciw rodzica woli.

Dowlókl się wreszcie tak, słoty i burzy, błota i kurzu zakosztowawszy, boso, bo chodaki nie wytrzymały podróży i resztki ich na miasto trzeba było zaoszczędzić, do Wieliczki.

Wiedział, że już ztąd do Krakowa było niedaleko. Murami obwiedziono miasto, około którego ruch był większy daleko niż w Dukli, bo nieustannie ztąd na wszystkie strony sól wywożono i fury przybywały dla zabierania jej, zamożność mieszkańców, różność języków, bo Niemców i żydów wałęsało się dużo, w początku Grzesia onieśmieliły. Nie było do kogo się udać, mało kto chciał odpowiadać, każdy tu myślał o sobie, a mieścina wyglądała na jedną wielką targowicę. Do gospód, których tu siła było, nie śmiał zachodzić, boby go tam nie przyjęto, a wszystkie też napchane mu się wydały, pod kościół więc podążył, gdzie na młodego wikaryusza natrafił, który się nim ochoczo zaopiekował.

Miał Grzesz taką twarz szczęśliwą, że na niej wypisane stały uczciwość i pojętność, a choć mu na męztwie nie zbywało, przez surowego ojca wychowany, umiał być pokornym i starszych szanował. Ujmowało każdego sieroctwo dobrowolne i ta miłość nauki, która go z pod strzechy domowej wyгнаła.

Wikaryusz rozpytawszy się chłopca, wziął go do izby z sobą. Sam uboższego sołtysa syn, o własnej sile doszedłszy do święceń i kapłaństwa, znając Kraków i młodzież tę, która się do szkół jego cisnęła, lepszego losu spodziewając, nie zdziwił się Grzesiowi, ani mu męztwa nie odbierał. Począł tylko po trosze wybadywać co umiał i jak miał w głowie, a znalazłszy go usposobionym nad spodziewanie, rokował najlepiej.

— Biedy już ci przycierpieć przyjdzie — rzekł — ale komu Bóg dał cierpliwość a wytrwanie, wybrnie szczęśliwie...

Z Wieliczki do Krakowa codziennie wozów tyle idzie z solą na skład, że drogi pytać nie potrzeba. Pójdziecie za pierwszym lepszym woźnicą, a traficie łatwo. Przybywszy trzeba do bakalarza i mistrza u Panny Maryi zgłosić się, nikogo tam nie odpychają...

Pan Bóg miłosierny... Gdyby u Panny Maryi was nie przyjęto, jest ci oprócz tej szkół dosyć, u św. Anny, przy kościele Bożego Ciała, u św. Floryana, przy szpitalu św. Ducha...

Machnął ręką.

— Jest prawda i ubogich chłopiąt dosyć jak ty, ale jednym więcej, nie ogłodzisz Krakowian.

Wikaryusz tak był dla Grzesia dobrym, że mu u siebie w izbie dał przemocować i nakarmił go jak żaden jeszcze. W Wieliczce wszędzie dostatek widać było wielki, mieszczanie, robotnicy, gmin zażywno i wesoło wyglądali. Prawda, że i hałaśliwo też było po gospodach i browarach, a w ulicach do późnej nocy krzyki i śpiewanie się rozlegały. Ani się dziwić temu było potrzeba, bo się tu ludzi tyle ściągało, woźnic, gawiedzi, siłaczów do dźwigania ciężarów, handlarzy, przekupniów, iż spokojnie być nie mogło.

Nazajutrz rano, po mszy świętej, wikary mając miłosierdzie nad Grzesiem, naraił mu wóz, który kupca z Krakowa tu przywiózł i tak jak próżno powracał... Pozwolono mu się przysiąść ztyłu, tak, że tegoż dnia nareszcie już się do Krakowa dobić spodziewał.

Z bijącym sercem wyglądał tylko, rychło się gród ten okaże, o którego wielkości tyle się po drodze nasłuchał, iż równie żądał dostać się do niego, jak lękał w nim znaleźć.

Tu dopiero losy jego przyszłe rozstrzygnąć się miały...

Podróż na wozie nie tak jednak była pospieszną, jak się Grzesz spodziewał. Kupiecki woźnica żadnego szynku nie pomijał, stawał przed każdą gospodą, zasiadał się w niej i pił, gdy konie głodne, z głowami spuszczonej razem z chłopcem godzinami czekać musiały. Prawda, że napili potem smagał je i ruszał z kopyta, ale byle wiecha się pokazała nad drogą i konie znarowione i on się zatrzymywał.

Grzesz w końcu postrzegł się, że jużby rychlej pieszo podążył, a miarkował, że do stolicy nie musiało być daleko. Gdy więc woźnica w lasku raz jeszcze stanąwszy na piwo szedł, skarżąc się, iż upał był nieznośny, chłopak pożegnał go i na piechotę ruszył, bo dłużej wytrwać nie mógł.

Dzień był piękny i pogodny, a słońce już się miało ku zachodowi, gdy Grzesz z wozu zląwszy, wielkim gościńcem puścił się ku miastu, którego bliskość czuć było...

Coraz gęstszy przechodnie, jezdni, wozy, żebractwo, wojskowi ludzie, pachołkowie, coraz też więcej budowli i szałasów nad drogą, sam gościńiec kołami porznięty, rozjeżdżony szeroko, oznajmywały gród ludny...

Było na co patrzeć, czego słuchać, ale i strzedz się też czego, bo napływających a zuchwałych wałęsało się mnóstwo i bójki też wśród drogi pomijać musiał.

Brzegiem więc, ścieżyną, powoli szedł Grzesz dumając, gdzie dziś noc przepędzi... Okolica przedmiejska źle rokowała, kiedy w niej tak było gęsto i ludno, cóż dopiero w mieście samem?

Myśląc tak i niebardzo pospieszając, krok za krokiem szedł chłopak oglądając się czy do kogo nie będzie mógł przypytać, gdy naprzeciw niego ukazało się dwóch wyrostków, prawie tegoż co on wieku. Jeden z nich na plecach niósł wielki pęk różnego zielska, którego użytku nie umiał sobie Grzesz wytłumaczyć. Nie było to ani siano jakim bydło i konie karmią, ani też ziele jakie gospodynie dla chlewni pod płotami wyrzynają. Więcej kwiatów widać było niż liści.

Drugi przy nim idący, starszy trochę, także pęk ziela miał w ręku i nakopanych korzeni...

Strój obu tak był niemal ubogi jak Grzesia, kubraki wyszarżane, czapki wypłowiałe, tylko że oba na nogach mieli chodaki, a nie obcy tu musieli się czuć, bo wesoło i śmiejąc się gwarzyli, z przejeżdżających i przechodzących żarty sobie strojąc.

Byłby ich może Grześ pominął, gdyby w tej chwili nie zaciążyło im owe zielsko, i rzucawszy je na ziemię, oba około niego pod krzakiem przypadli odpoczywać.

Chłopak zbliżający się powoli wpadł im w oko. Swój swego najłatwiej wszędzie dopatrzy... Drewniana miseczka bakałarza wisząca u pasa Grzesiowi, była jakby znakiem jego powołania.

Mając siedzących minąć, Grześ ich pozdrowił.

Starszy, któremu z oczów patrzyła swawola, wesołość i śmiałość, podniósł rękę i powołał go do siebie.

— Ani chybi — odezwał się — idziesz pewnie do szkoły.

— A dokądżeby jeśli nie do niej — odparł Grześ. — A juściż?

— Zkąd?

— E! zdaleka bardzo!

— A no, nie z Tatarszczyzny pewnie? — zaśmiał się starszy.

— Z Sanoka!

Chłopcy popatrzyli na się... Niewiele myśląc Grześ, pot z czoła otarłszy, przysiadł się do nich. Oba studenci oglądali go od stóp do głów, aż młodszy bąknął.

— Bosy!

— A tyś to w żółtych butach tu przyszedł? — przerwał starszy i zwrócił się do Grzesia.

— Umiesz-że choć obiecadio? — zapytał.

— Nie bójcie się, jużem i Donata kosztowałem i z partesów śpiewam i z piórem się obchodzę jak należy — rzekł Grześ z pewną dumą.

— Daj go katu! — rozśmiał się starszy — a czegoż się tu myślisz uczyć?

— Juści znajdzie się jeszcze wiele, nim bakałarzem albo i mistrzem zostanę — śmiało odparł Grześ.

— Ho! ho! wysoko patrzy bosonogi! — rzekł drugi.

Śmieli się wszyscy a Grześ z nimi...

— To mi sam Pan Bóg was w dobrą zesłał godzinę — odezwał się po małej chwili.

— Nie odmówicie mi głuptaszkowi, co ani miasta, ani ludzi nie znam, pomocy i rady...

Starszy w oczy mu zaczął patrzeć.

— Pójdiesz z nami — rzekł — nie na wiele my ci się zdamy, ale dobra psu mucha.

— Przydadcie mi się, byleście chcieli, na bardzo wiele — odparł Grześ — a Bóg wam zapłaci.

Wtem starszy z podelba zerknął.

— Nim Pan Bóg się rozrachuje z nami, gdybyś tak piwa albo podpiwku kazał dać, nie byłoby od rzeczy... Masz za co?

Zarumienił się Grześ mocno, bo kłamać nie chciał, a groszy jedynych jakie miał od Żywczaka, bardzo mu żal było.

— Całe moje mienie dwa grosze w kalecie — rzekł wzdychając — dla siebiebym ich nie ruszył pewnie, ale dla was...

Starszy się namarszczył.

— Za podpiwek, cienkusz nie zapłacisz wiele, a znajomość oblać potrzeba... Przeszedłszy do szkoły będziesz i tak musiał zmienić swój skarb i wkupić się do trzody... Zrobim tutaj początek...

Rad nie rad Grześ z węzłka u koszuli jednego groszaka dobył, a starszy z nim poszedł do bliższego szynku po piwo, obiecując odnieść resztę pieniędzy.

Pozostawszy sam na sam z młodszym, zapytał Strzemińczyk na co ziele to zbierali i dokąd je nieśli.

— Nie taki to łopuch i zielsko paskudne jak się tobie zdaje — odpowiedział chłopak śmiejąc się. — Masz wiedzieć, że to wszystko do leków i dla zdrowia ludzkiego przydatne będzie, gdy ks. kanonik Wacław, dla którego my zbieramy kwiaty i korzonki, przyprawi je jak należy.

Pokazał nam on, jakie rośliny mu są potrzebne i dla niegośmy je wykopywali i zbierali. Są takie, których sam kwiat obrywać każe, innych korzonki kopać, innych samo liście osmykać.

Tu chłopak począł z kupy wyciągać co niósł i zdumionemu Grzesiowi ukazywać.

Tymczasem starszy, któremu imię było Dryszek, powrócił z piwem i pieniędzmi, wiernie denarów resztę Grzesiowi oddając... Zasiadli do podpiwka i rozmowa się dalej toczyła. Z początku niewiele sobie przybysza tego ważyli, już poduczzeni studenci, zwłaszcza, że z takiego zapadłego kąta jak Sanok przybywał, ale gdy bliżej go poznali, starszy go oszacować potrafił. Zgadało się o pisaniu, więc Grześ, nie mając się z czem chwalić, przyznał się, że na niem wielką pokładał nadzieję.

Obaj studenci, którym pismo nie smakowało, bo nad niem dobrze przysiadywać było potrzeba, mówili, że mu nie zazdrościli tej umiejętności.

— Z tem się nie wydawaj, że piszesz dobrze, jeżeli to prawda, że sanockie dobre pisanie, w Krakowie też niegorszem będzie — rzekł starszy. — Mistrze i bakalarze, gdy się tylko dowiedzą, że ci pióro rażno w rękę chodzi, pokoju nie dadzą, żebyś im Donatów i Aleksandrów, albo i Prisciana przepisywał... Zamęczą cię u pulpitu i uczyć się nie dadzą...

Grześ na to nie odpowiedział, nie siedzieli już długo, bo wieczór nadchodził, więc cienkusz dopiwszy, który ich pokrzepił, ziele zabrawszy, dalej do miasta ciągnęli. Nie sam więc i pod opieką rówieśników, miał się do niego Grześ dostać, co mu śmiałości dodało.

Gdy wreszcie ukazał się oczom ich Wawel piętrzący się na wysokiej górze, wieże kościołów, miasta mury i bramy a baszty potężne, a budowle w zielonych ogrodach rozsiadające się szeroko, chłopak nie mógł się wstrzymać od wykrzyku, zdjął czapkę, przeżegnał się i począł modlić.

Strach go ogarnął...

Uśmiechali się z niego Dryszek i Samek z początku, lecz i im na myśl przyszło jak oni pierwszy raz tu się dostali i drżeli a płakali zwątpiwszy o sobie...

Gród wielki, który chłopak miał przed sobą, nie dawał się ani porównać do tego, co w życiu swem widział, do ubogiego Sanoka, większej już Dukli i Wieliczki, malejących wobec tego olbrzymia w zbroi kamiennej, wieżycami nasrożonej.

Zdala już dychało to miasto głośno i jakby zmordowane wyziewało dymy i opary... Dzwony wieczorne odzywały się nad niem jęcząco i wesoło... Wybiegające w niebo dzwonnice i wieże, zdawały się stać na straży i w dal patrzeć... Gościniec pod wieczór, im bliżej ku wrotom, tem był pełniejszy...

— Cóż wy ze mną zrobicie? — zapytał ich Grześ. — Jak myślicie? gdzieby mi o nocleg prosić i gospody szukać?

— Na tę noc — rzekł Dryszek — chyba gdzie zakonnicy przyjmą, ale i u nich zawsze pełno. Ja mam u mieszczanina kąt, ale tam na drugiego miejsca niema, a gdyby było, mój stary niełatwoby nieznanego wpuścił.

— Ja — dodał Samek — w kómrce u księdza Waclawa nocuję, za co mu służyć muszę. Ten także ladakogo nie przyjmie, a pod noc rozmówić się z nim niełatwo... Ze studentów wielu nie ma gdzie głowy położyć i sypia pod murami i po pustych szopkach... Noc wiosenna niedługa, choćbyście też ją na ziemi gdzie przebyli!!

— A gdzież was jutro napytam? ja, co miasta nie znam? — odezwał się Grześ.

Samek podumał.

— Idź ze mną — rzekł — przy ulicy św. Anny wiem plac, kędy dom murują. Stoją tam tarcice o parkan oparte, pod któremi na trawie jak w pałacu spać będziesz, a jutro ja was tam znajdę, albo wy mnie koło szkoły św. Anny.

Gwarząc tak pominęli bramę i Grześ znalazł się w ulicach, wśród których i znającemu lepiej miasto, o mroku niełatwo było się pokierować. Byłby się obłąkał, gdyby Samek nie wziął go z sobą, ale musiał za to od Dryszka ziele przejąć i korzenie i nieść je za nim, bo starszy około Panny Maryi u mieszczanina miał przytułek...

Gdy tak szli ulicami coraz dalej w głąb miasta, Grześ nie mógł się napatrzeć tego, co mu się nastęczało i nieustannie Samka pytał, który śmiejąc się tłumaczył mu każdą rzecz, na pół po prawdzie, pół drwiąco... Baczemu chłopcu nic nie uszło i straconem nie zostało.

Odgadywał też wiele i był pewien, że kilka dni starczy dłań, aby się tu nie czuł obcym...

Po drodze do mieszkania ks. Waclawa kanonika krakowskiego, Samek pokazał towarzyszowi ów parkan i tarcice, pod które się miał na noc schronić... Ale, stało się inaczej...

Ziela i korzonków nakopanych nie mógł wszystkich do komory kanonika zanieść Samek, Grześ je dźwigał za nim. Mieszkanie ks. Waclawa na piąterku było. Weszli już na

ciemne wschody niewygodne, których nieznając Grześ, macać musiał ostrożnie i dobrze się trzymać poręczy, gdy szelest usłyszawszy niespokojny księżyna, wyszedł z kagankiem.

Miał już zapewne polajac spóźnionego posłańca, gdy razem w oko mu wpadły i zioła, których zapach aromatyczny do niego dochodził i twarz piękna, z ciekawymi czarnymi oczyma nieznanego chłopaka.

Podstąpił naprzód niecierpliwie ku kwiatom, które z widoczną radością chwycił w palce, zaczął rozpowiadać gdzie i jak złożone być miały, potem zwrócił się do Grzesia.

— A tyś zkąd?

Nim chłopiec zebrał się na odpowiedź, Samek już z gadatliwością dziecinną, paplał o spotkaniu na gościńcu, a ksiądz, kaganek zbliżywszy ku twarzy Grzesia, przyglądał mu się ciekawie.

— No, i cóż ty myślisz! gdzie będziesz nocował? — odezwał się kanonik.

— Pod tarcicami — odparł śmiało przybyły...

Kanonik ramionami ruszył i zwrócił się do Samka.

— Weź go na ten raz do siebie — rzekł — miejsca nie ma, ciasno, ale go tak precz wyrzucić się nie godzi, tylko żeby mi żadnej swawoli nie było.

Pogroził palcem. Grześ, nie rzucając swego ciężaru, zbliżył się, aby go w rękę pocałować. Otwarto drzwi komórki, w której rośliny schnąć miały. Kanonik wszedł do niej także, aby dopilnować rozłożenia ich, i rad był, że Grześ roztropnie dopomógł do tego. Uderzyła go widać fiziognomia przybłądy, bo nie dosyć, że mu nocować pozwolił u siebie, ale go do izby swej powołał dla indagacji. Poznać było można po niej uczonego owych czasów, w których chciwi umiejętności ludzie, chwyтали wszystko co ich na drogę nowych odkryć lub dla przeświadczenia się o podaniach zawartych w pisarzach starożytnych, mogło prowadzić. Komora zarzuconą była księgami, naczyniem różnym, kośćmi, szczątkami zwierząt i nieznanymi narzędziami, które w Grzesiu ciekawość i poszanowanie wzbudzały. Stanął zdala, pokornie u progu, wielkie wytrzeszczając oczy.

Kanonik z zajęciem słuchał jego opowiadania, chociaż pochwalić nie mógł oporu rodzicielskiej władzy. Naganił to chłopcu więcej z obowiązku, niż z przekonania.

— Nauka, moje dziecko — rzekł w końcu — piękna rzecz, ale *ars longa, vita brevis*, to znaczy, że więcej jest do uczenia się niż życia starczy i nie każdemu dano dobić się do świątyni mądrości, a każdy może i powinien być poczciwym człowiekiem... Tak, nauka dobrą jest rzeczą, ale i złą być może, gdy upaja i w dumą wbija.

Idź spać i spocznij, a jutro pomyślimy o tobie...

Samek niemal zazdrośnym był, że się tak Grzesiowi powiodło... Położyli się więc spać milcząco, a choć biedny wędrowiec miał o czym myśleć, młodość zwyciężyła i ledwie legli, zasnął mocno...

Rano obudził go Samek. Kanonik bowiem wstawał do dnia... Grześ razem z towarzyszem poszedł na mszę do świętej Anny.

Tu wpadł niespodzianie między całą gromadę przyszyłych współuczniów, którzy także na ranne nabożeństwo się stawili. Stanął z boku nie śmiejąc się do nich przyłączyć, a wszystkich oczy skierowały się na niego. Wytrzymał te szyderskie i nie zbyt przyjacielskie wejrzenia...

Wyglądał biednie i oszarpano, ale tego nie miał się co wstydić. Inni też nielepiej byli odziani. Wielu miało podarte chodaki, kurtki i kubraki łatane, koszule niebielone i twarze wynędzniałe. Niemał wszystkim jednak z oczów patrzyła odwaga, oswojenie się ze swym losem, pewność jakaś, której Grześ nie miał jeszcze.

Studenci zaczęli śpiewać pieśni pobożne w czasie mszy, znane dobrze Grzesiowi, nie miał za grzech i on głos podnieść. Być może, iż i tu rachował na ten swój śpiew w Sanku sławiony. Jakoż oglądano się na niego, ale i drudzy zawadzili niegorzej a wprawniej i piękny głos jego zagłuszono.

Ubogich tych chłopców spora była gromadka, tak różnego wieku, że niektórzy pod wąsem już, dorośli stali obok berbeciów, którzy im i do pasa nie dochodzili.

Zuchwałe miny starszyny tej dowodziły, że ona tu przewodzić musiała. Wiedział z doświadczenia Grześ, iż wszędzie przybywający obcy i guzami i pokorą opłacić się musiał, był do tego przygotowany. Reszta groszy od Żywczaka otrzymanych była już na to przeznaczoną, aby pierwszą burzę odwrócić.

Przy wyjściu z kościoła otoczyli go zaraz studenci, ale Samek im coś szeptnął i dali powrócić do kanonika, który zapowiedział, że się z Grzesiem rozmówi, a poniekąd opiekę mu swą przyobiecał. Ciężka więc ta pierwsza godzina do przebycia, odroczoną została.

Ks. Wacław powracał do mieszkania, a Grześ w ślad za nim dążył...

III

Dobrą godzinę stał ciekawy Samek podedrzwiami kanonika, ucha nastawiając, aby rozmowę jego z Grzesiem usłyszeć, ale, czy drzwi były grube, czy głosy za ciche, nie pochwycił wiele. Tem się tylko niepokoił, że badanie trwało zbyt długo.

Znając Grzesia i jego talenta, łatwo się było domyśleć przyczyny. Pochwalił się z piśmem nieborak, księdzu w ten tak przedwczesny dar łatwego kaligrafowania wierzyć się nie chciało. Zasadził chłopca na próbę, a Grześ się z niej świetnie wywiązał.

Na wzór liter w rękopiśmie sobie ukazanych, narysował ich kilka bardzo zręcznie, ksiądz Wacław się zdumiał mocno, lecz nie chciał chłopcu okazać, jak go odkrycie to ucieszyło, ani wzbijać w dumę, pochwalił chłodno... Obiecywał sobie z tego szczególnego uzdolnienia korzystać.

Kilka odpowiedzi na zadane pytania z Donata i gramatyki dowiodły, jeśli niewielkiej nauki, to roztropności chłopca, która wiele obiecywała. Wszystko to nęciło kanonika, aby wziąć Grzesia do swych usług, ale dwu trzymać nie mógł, a Samka odpędzić tak nie chciał, dla własnej wygody.

Ogólnemi więc słowy, poleciwszy chłopcu, aby się w potrzebie zgłaszał do niego, odprawił z tem, żeby się szkoły świętej Anny trzymał, gdzieindziej nie szukał pomieszczenia...

— A teraz pierwsza rzecz — dodał — kiedy z jałmużny żyć musisz, abys się do ojca zebrzących udał i pod jego poddał władzę.

To mówiąc kanonik drzwi otworzył i Samka chciał zawołać, a stało się to tak niespodzianie, że chłopak ledwie zdołał odedrzwi odskoczyć, aby nie być złapanym na gorącym uczynku.

Nadbiegł Samek przestraszony...

— Idź mi z nim do Patra mendikantów (*Pater mendicantium*) — rzekł kanonik — powiedz mu, że ja go posyłam i że do szkoły przy świętej Annie ma chodzić. Niech go sobie zapisze i wyznaczy kędy ma jałmużnę pobierać...

Odebrawszy rozkaz ten, dodany przewodnik razem z Grzesiem zbiegł ze wschodów z kwaśną miną.

Obawiał się współzawodnika...

Ledwie doszli na dół, gdy Samek nie wytrzymałszy, zawołał srożąc się do wczorajszego przyjaciela.

— Ty! Lizunie jakiś! Jużeś się kanonikowi przypochlebił! No, patrzajże, jak on dla ciebie mnie przepędzi, nie masz tu co popasać. Zbijemy tak, że żyw nie będziesz.

Grześ pobladł trochę.

— Czego ty chcesz odemnie? — odparł. — Anim się myślał lizać twemu kanonikowi, ani miejsca twego nie zajmuję. W szkole dla wszystkich dosyć jest...

To mówiąc Grześ chciał go porzucić i iść już sam, gdy chłopak się pomiarkował i wziął go za rękaw...

— Choć ze mną — dodał — kanonik kazał, zaprowadzić cię muszę do Patra, ale pamiętaj!!

Pogroził mu.

Owego ojca zebrzącej młodzieży zwano Żurawkiem, mieszkał on na tyłach domku przy Kanonnej ulicy, a był chłop już dorosły, wąsaty i nietylko studenci, ale i mieszczaństwo się go obawiało.

W dwunastu ówczesnych szkołach kościelnych, co najmniej kilkaset chłopców się znajdowało ubogich, pod zwierzchnością Patra zostających. Wszyscy oni na jego skinienie gotowi byli, a nikt porządku między tą swawolną gawiedzią utrzymać nie mógł, oprócz niego.

On jeden miał prawo ćwiczyć, do kuny czyli karczeresu sadzić, i niepoprawnych z miasta wyświecać.

Żurawek miał pewnie lat do trzydzieści, szkołę elementarną dawno skończył i zapomniał czego się w niej uczył, sam nie wiedział jak przyszedł czasu jakiejś zawieruchy przy pogrzebie żydowskim do zwierzchnictwa nad pauprami, a że energiczny był i surowy, władzę przywłaszczoną zostawiono przy nim.

Chodził Żurawek, obyczajem wieku w sukni klechy, niby duchownej, ale o powołaniu tem wcale nie myślał, ani o przyszłości, bo mu z tem ojcowstwem ubogich wcale dobrze się działo.

Żydzi mu się opłacali dla spokoju, aby paprom nie dozwalał znęcać się nad niemi, mieszczenie go częstowali też, aby porządku między chłopakami pilnował, bo starsi nieraz się dopuszczali bójk i czeladzią rzemieślniczą i jeden Żurawek mógł ich w ryzie i garści, jak powiadał, utrzymać.

Choć w czarnej sukni kleryka chadzał, postawę miał wcale nie kleszą, i więcej na pacholka lub Viertelnika wyglądał. Nie wolno było uczącym się nosić żadnego oręża i do sukni duchownej on nie przystawał, ale przez szpary patrzano na to, że Żurawek zawsze chadzał z obuszkim lub nawet kordem pod połą. Potrzebował on ich, bo często zważnionych gołemi rękami rozerwać nie było można, trzeba było bić kijem lub płazować.

Plecu szerokich, słuszny, kościsty, niskiego czoła, oczu wpadłych, twarzy zawsze skrzywionej i nadąsanej, Żurawek strach wzbudzał w dzieciakach... Głos też miał taki, że gdy na rynku krzyknął, niemal go u Floryańskiej bramy słyszać było...

Chodził poważnie, nie spiesząc, ale nogi mając długie, dognał zawsze kogo mu pochwycić było potrzeba.

Gdzie się żywił i czem odziewał, on sam wiedział tylko, nie stołował się nigdzie, ale głodny nie był, i na piwie, które lubił, nie zbywało. Karmili go i poili wszyscy, od żydów począwszy do duchowieństwa.

Z podwładną sobie młodzieżą nie obchodził się łagodnie, utrzymując, że te wszy, (tak się nieprzyzwoicie wyrażał), zjadłyby go, gdyby ich nie karmił. Dobrego słowa nie dał nigdy nikomu, a rzadko która czupryna i uszy ostały się przed nim całe.

Miał to za zasadę, że potrzeba było przy pierwszym spotkaniu postrach obudzić, bo inaczej posłuszeństwa utrzymać nie można.

Nie folgował nikomu, i wiedziano, że z nim nie przelewki.

Samek nie ostrzegł o tem Grzesia, co go u Żurawka czekało, zły już na niego był i życzył mu, co ominąć nie mogło, aby Pater zażył go z mańki.

Wchodzili na Kanonną, gdy Samek postrzegł wychylającego się z kamienicy swej Żurawka, z obuchem w ręku i twarzą zarumienioną. Pospieszył więc biegiem naprzód, aby poselstwo sprawić od kanonika, i Grzesiowi wskazawszy Patra, sam drapnął.

Namarszczony stał Żurawek, oczekując zapowiedzianego papra. Począł ostro go pytać. Grześ, choć się strwożył, nie czuł się winnym, odpowiadał śmiało, Pater jeszcze mocniej się nasrożył słuchając.

— Kto nie słucha ojca, matki, musi słuchać byczej skóry! — zawołał Żurawek w końcu. — Rozumiesz ty to? He? Zbiegłeś z pod kańczuka ojcowskiego, ale ja też mam dyscyplinę i nie żałuję jej.

Chłopak milczał czy spuściwszy...

Nastąpiły pytania i odpowiedzi, przyjmowane szydersko, a po nich powtarzane groźby... W końcu nałajawszy Grzesia bez winy, Żurawek poprowadził go z sobą, aby mu ukazać te domy i ulice, w których prosić o jałmużnę wolno było.

— A jak mi cię gdzieindziej złapią moje stare papry — dodał — takie dostaniesz cięgi, że do sądnego dnia popamiętasz.

Obejście się było tak szorstkie, że Grześ zaniemiał strwożony.

Walczyć z głodem i niedostatkiem gotów był zawsze, ale ze złą wolą, nie miał siły.

Spostrzegł Żurawek, nie mogąc z niego słowa wydobyć, że dostatecznie chłopca zastraszył, zamruczał coś jeszcze, pogroził i odprawił go z fukiem...

Stał jeszcze Grześ w miejscu, w którym go Pater porzucił, gdy mu się szczęśliwym trafem wczorajszy Dryzek nastęrczył, który nic o losach jego nie wiedział. Poznał go zaraz, a bodaj piwo wczorajsze przyjaźnie go dlań usposobiło.

— Cóż się z tobą dzieje? — spytał.

Grześ opowiadać mu zaczął...

Nie taił się z tem, że dużo z wczorajszej stracił odwagi, a choć kanonik pobłażliwie go przyjął, Pater za to za boże stworzenie nie miał.

Rozśmiał się Dryszek ramionami ruszając.

— Nie bój się — rzekł — więcej on burczy, niż kasa, a byłeś ze studentami się poznał i z niemi trzymał, nie zrobi ci nic... Że czasem za czuprynę pochwyci, lub za ucho pokręci, to u nas chleb powszedni, od tego ludzie nie umierają.

Dryszek się ofiarował zaraz ze studentami starszemi od św. Anny pomódz zrobić znajomość...

Obyczaje i u pauprów już naówczas naśladowując szkół wyższych tradycje, choć potajemnie i ukradkowo, każdego nowego przybysza zmuszały do wykupienia się od męczarni, które pod pozorem okrzesywania nieuków, zadawano nowicyuszom...

Mieli nawet pauprowie gospodę taką, w której kozłom ofiarnym, przybywającym, rogi odpilowywano i brusy niezgrabne obcinano, aby ogłady nabrały...

W Grzesiu zapowiedź lych obrzędów wstręt i strach obudzała. Począł się Dryszkowi wypraszać i gotów był mu cały grosz oddać na poczęstowanie, byle się od piłowania i ociosywania uwolnić.

Ośmielił go, grosz wzięwszy chłopak, iż mu krzywdy uczynić nie da i wszystko się obejdzie, lekko.

Otrząsiny miały się odbyć nad wieczorem... Trzeba jeszcze było iść do preceptora zebrzących i temu się też stawić... Dryszek miejsce i godzinę wskazał. Rozstali się, na wieczór odkładając drugie spotkanie.

Grześ nieszczęśliwy, głodny, zmęczony, w końcu musiał pomyśleć o sobie i trafiwszy na owo schronienie pod tarcicami, ostatki chleba i sera tam spożył...

Tu siadłszy sam, zadumał się smutnie, owo życie, którego pragnął, rozpoczynało się twardo i groźnie... Były to początki wprawdzie, ale nie rokowały one drogi łatwej...

Cofać się już nie czas było...

Czuł, że w Samku miał już nieprzyjaciela, a grozę, jaką obudzał ojciec, tu obcy budził w nim. Pomodlił się, lzy otarł, posiedział w kryjówce i dobył się z niej w końcu...

Dnia tego miał jeszcze zapoznanie się w gospodzie z towarzyszami i zaszeregowanie do tej gromady, której musiał być częścią posłuszną.

Dryszek był mu pomocą niemałą. Zarządził tak, aby dla starszych więcej piwa zostało, iż młodszych do gospody nie zawołano... Skończyło się na kilku poszturhańcach, na pytaniach podstępnych, na nauce potem jak trzeba było kupy się trzymać i choćby cię pieczono i warzono w smole, nikomu nie powiadać co się działo w szkole... Piwo i pocałunki braterskie dokończyły obrzędu, po którym Grześ wolniej odetchnął...

Samek, który się stawił na otrząsiny, dodał przestrożę od siebie, że gdyby broń Boże kanonikowi się przyliżał, a jego z komórki wysadził, niech lepiej potem z miasta się wynosi...

Grześ jakoś się poczuł śmielszy.

— Słuchaj no — rzekł — jam do księdza kanonika sam się nie wpraszał... Zaprowadziłeś mnie do niego... Nie będę się z tem taił, że mi kazał pokazać sobie jak pisać, a pisanie mu się podobało... Jeżeli mi potem za opiekę nademną, każe sobie przepisywać, czym winien?

— A ja ci to tylko powiadam, słysz — przerwał Samek — że jak mnie odpędzi, ja na twoich plecach szukać będę mojej straty!

Grześ zamilkł...

— Nie pójde do niego, chyba mnie sam zawoła — rzekł po chwili.

Starsi zagadali o czem innem, a Samek mrużąc w kąć poszedł... O noclegu nie myślał dotąd Grześ, albo pod tarcice znowu wleźć, lub gdzie się pod kruchtę wcisnąć, zdawało mu łatwym... Tymczasem godzina wieczornej zebrany nadeszła, głód dokuczał, i trzeba było poraz pierwszy iść ode drzwi do drzwi z miseczką.

Domy sobie miał wskazane, pamiętał je dobrze, ale kto w nich mieszkał, i jakie go tam, nieznanego, czekało przyjęcie!! Bóg wiedział tylko...

Z bijącym sercem, miseczkę swą odjąwszy od pasa, zastukał do drzwi pierwszego dworku... ale tak nieśmiało, że nikt go nie posłyszał, czekał długo, poraz wtóry uderzyć nie śmiał, i odszedł z próżną miską.

W progu drugiego domostwa, patrząc na to, stała średnich lat niewiasta, trzymając kilkoletnią dziewczeczkę za rękę.

Mieszczka była przystojna, pięknej tuszy, biała, w czółku na głowie błyszczącym, w rańtuchu świeżym, twarzy wypogodzonej i wesołej. Dzieweczka może ośmioletnia, podobna do niej, śmiejąca się, tupcząca nóżkami, także przystrojona jaskrawo, razem z matką przypatrywała się Grzesiowi zdaleka, i gdy z kolei zbliżył się do nich, zdejmując czapczynę, a pokazując próżną miseczkę, jejmość pochyliła się ku niemu, bo na wysokim wschodku stała i chcąc lepiej mu się przyglądać, pod brodę go wzięła...

Piękna twarzyczka chłopaka z czarnymi oczyma, uderzyła ją i litość wzbudziła...

Nim się odezwał, poczęła mówić żywo złamanym językiem, poczem poznał Grześ, że rodem niemka była.

— A ty zkad! Jeszcze cię nigdy tu nie było...

Małe dziewczę śmiejąc się, pieszczoszka zuchwała, przybliżyła się także do Grzesia i naśladując matkę, pulchniutką łapką chwyciła go za podbródek... Chłopak zobaczywszy tę białą rączynę dziecka tuż przy ustach swych, pocałował ją, co w dziewczęciu śmiech głośny wzbudziło...

Matce oczy się zaświeciły...

— Cóżes ty za jeden? mów!

Nim się na odpowiedź zdobył Grześ, mieszczka po namyśle skinęła na niego i za sobą wprowadziła do dworku... Dziwnie pięknie i czysto wydało się tu Grzesiowi. W izbie, do której weszli z sieni, drzewo i mosiądz, cyna i szkło świeciło, jakby tylko co z rąk kunsztmistrza wyszło... Woń jakaś zdrowa i miła napelniała mieszkania.

W krótkich słowach, od pokłonu począwszy, chłopak rozpowiadać począł o sobie. Nie uważał tego, że na ławie w kącie, nad sporym kufem, podparty na łokciach obu, siedzący w milczeniu mężczyzna, przysłuchiwał się też opowiadaniu...

Grześ nie pamiętał własnej matki, niewiast mało widywał i to takie, które dzieci nie lubiły i ostro się z nimi obchodziły; łagodny głos i wyraz twarzy matki i dziecka, serce mu otworzył, dobył z niego i uczuć i słów wcale różnych od tych, którymi tłumaczył się przed innymi ludźmi...

Poskarżył się na swoją dolę...

Był sam, nad nim jeden Bóg na niebie, na noc nie miał dachu nad głową, chleb musiał u litościwych wypraszać ludzi...

Mieszczka słuchała, dziewczeczka nawet zdawała się go rozumieć i litować nad nim. Co więcej, siedzący opasy nad kufem mężczyzna zamruczał dziwnie i zaszwargotał coś niezrozumiałego...

Grześ stał ze swoją miseczką jeszcze, gdy zawołano sługi. Ruszyła się dziewczyna od matki i biegnąc a spiesząc się przyniosła garnuszek, z którego, kazawszy usiąść na ławie, dano chłopcu jeść kluski z mlekiem, które mu bardzo smakowały. Matka, dziecię i opasy mężczyzna siedzący w czapce za stołem, z pociechą jakąś przypatrywali się pożywającemu.

Mieszczka pytała go ciągle, a Grześ ośmielony, wesoło rozpowiadał o sobie. Dzieweczka, niespełna po polsku rozumiała, kiedy niekiedy pytała matkę o tłumaczenie tego, co chłopiec mówił o sobie.

Wszyscy widocznie litowali się nad biednym. Gdy przyszło do zapytania o nocleg, a Grześ o swoim schronieniu pod tarciami mówić zaczął, mieszczka załamała ręce białe, a gruby milczący człek z za stołu po niemiecku coś zamruczał i z kobietą się naradzać zdawał.

Zjadł w końcu Grześ i pokłoniwszy się pięknie, jejmość chciał w rękę pocałować, gdy ta go zatrzymała.

— Nie może być, abyś tak na podwórzu spał — rzekła. — Pan Bóg cię nam zesłał, trzeba ci dopomódz. Jest komórka u nas próżna, gdzie się przespać możesz, póki sobie lepszego nie znajdziesz miejsca.

Nie wiedział chłopiec jak dziękować. Zajęto się nim zaraz pilno. Dzieweczka równie, a może więcej od matki Zaprowadzono go do owej komórki na tyłach, w której kilka próżnych fas stało, a knecht Niemiec, przysadzisty, karłowaty, słomy mu w kątku posłał.

Izdebka była prawda przyciemna, z jednym okienkiem małym za gęstą kratą, bez zamknięcia, ale powietrze wiało łagodne i na sypialnię lepszego kąta nie mógł chłopak pożądać. Bogu więc dziękował.

Sen przyszedł rychło, a choć z nim dziwne marzenia, w których studenci mu dokuczali, przeleciały także. Grześ się przespał do rana, i jak tylko w podwórku ruszać się zaczęto był na nogach...

Stara służąca zobaczywszy go wchodzącego, z polecenia swej pani, dała mu jeszcze kawałek chleba z serem i przypomniała, żeby śmiało na noc przychodził.

W kościele św. Anny Grześ nie zastał jeszcze nikogo, oprócz dziadów, którzy zamiatali i porządek robili, czekał więc cierpliwie w progu. Zadzwoniono na mszę i dziatwa ściągając się powoli zaczęła, choć Grześ wczoraj już został przyjęty do gromadki, nie obešlo się bez potrącań i psot, bez pytań i śmiechów. Krakowskim pauprom ten przybłąda z Sanoka wydawał się biedotą i nieukiem. Szydzili więc sobie z niego, co on cierpliwie znosił. Stanął już do mszy świętej w szeregu z innemi, ale na końcu, jako najpóźniej przybyły, z niedorostkami, którzy nie byli litościwsi od starszyny.

Ze mszy wprost potoczyło się co żyło do szkoły, która podzielona była na kilka części, a do najostatniejszej ledwie Grzesia przyjęto.

Wszedł o kiju preceptor pauprów, starowina zawiędy, z gębą zaciśniętą, bezzębną i policzkami wpadłemi. Katederka sosnowa z pulpitem, w której zasiadł, tak ustawiona była, że po obu jej stronach ławeczki się mieściły, a w nich studenci. Grześ ledwie się do ostatniej docisnął. Poczęła się nauka od modlitwy, po której rzuciwszy okiem na uczniów, stary Blasyusz senior, dojrzał nieznajomego Grzesia. Powołano go na środek. Gotowali się towarzysze wyśmiać nieuka, ale Sanoczanin wyszedł śmiało.

Blasyusz tedy przystąpić mu bliżej rozkazawszy, wziął się do indagacji. Okazało się naprzód, że chłopak czytać dobrze i pisać umiał lepiej, niż się tu ktokolwiek spodziewał. Przyszło potem do Donata i Prisciana, których że Grześ już parę razy przepisywał, umiał *expedite* obu i z gramatyki wyszedł zwycięzko.

Zdumienie wielkie wyraziło się milczeniem ponurem. Senior usta jeszcze mocniej zakąsił. *Dystychy Katona*, z którymi ofiarował się popisać chłopak, do reszty towarzyszków jego przybyły...

Na wiek swój, nie można było powiedzieć inaczej, tylko że Strzemińczyk ubogi był cudownym dziećciem. Zazdrość obudziła się w chłopiętach, które gotowały się wyśmiewać z niego.

Preceptor tylko nie dał poznać po sobie zdziwienia, wyegzaminowawszy chłopca sięść mu kazał i spozierając na niego zdala ciekawie, wziął się do innych.

Grześ miał tyle powściągliwości, że wcale zwycięstwem nie okazał się dumnym, a przy wykładzie seniora pilno uszu nastawiał. Tem go sobie pozyskał.

Godzina nauki przeszła ze zwykłymi epizodami, kar, strofowania i powtarzanych lekcji a gdy dzieci rozchodzić się miały, Blasyusz dał znak Grzesiowi aby się zatrzymał. Poglądził go po głowie, pochwalił, i z tem odprawił, że nazajutrz obmyśli, gdzie go posadzi i czego mu się uczyć każe.

W dziedzińcu pozostała gawiedź, gdy Grześ wyszedł, już go inaczej powitała. Nie szydzono sobie z niego, ale widocznie mu zazdrozczono. Samek koso nań patrzył.

Miał polecenie od kanonika Wacława, aby go z sobą do niego przyprowadził. Nie groził mu już teraz, kwaśno tylko i powzdychując, żalił się na swój los, w ciągłej będąc obawie, aby go przybysz z komórki kanonika nie wysadził.

Uspokoił go chłopak jak mógł i umiał, zaręczając, że z niczyjej krzywdy nie chciałby korzystać i samby się za nim wstawił. Gospody też nie potrzebował już, bo mu ją opatrność cudownie naraiła.

Z wielką dobrocią przyjął go ks. Wacław, rozpytując o szkołę i jak mu się powiodło. Grześ miał do dobrego starego księżyny śmiałość wielką, i wszystko mu opowiadał co mu się przygodziło, a kanonik ciągle tylko powtarzał.

— Panu Bogu dziękuj, panu Bogu dziękuj, a w pychę się nie wbijaj.

Ponieważ wczorajsza próba pisania tak wypadła dziwnie, iż kanonikowi w nadzwyczajną kaligrafię dziecka wierzyć się nie chciało, tym razem miał już przygotowany papier, inkaust, pióra, pulpit, wzór, i stanawszy za Grzesiem kazał mu w oczach swych modlitwę przywiezioną przez pewnego pątnika z Jerozolimy przepisywać.

Nie była ona długa, ale ten co ją kaligrafował wprawną ręką, nie żałując *rubrum*, i popisując się z rozmaitemi wykrętami, zrobił ją jakby popisowym obrazkiem.

Grześ takich elegancyi nie widział jako żywo, długo się naprzód przypatrywał, ale o sobie nie zwątpił. Wziął się naprzód do rubrykowania, które pisanie ułatwiało, potem zlekka pooznaczał miejsca, które na czerwone litery zostawić było potrzeba, wreszcie przeżegnawszy się zasiadł do roboty.

Rękopism był dosyć stary, więc tem wyraźniejszy, bo w XV w. już coraz mniej pięknie i nie tak dokładnie pisywano, a skrócenia się mnożyły, Grzesiowi więc łatwo przyszło wiernie powtórzyć co miał przed sobą. Było tego razem około dziesiątka wierszy nie długich. Około Amen, piszący naplątał linii naśladowujących niby gałązki z liśćmi, co mogło się najtrudniwszem wydawać, a Grześ i z tego wyszedł zwyczajko, i *rubrum* potem wzięwszy, czerwone litery podopisywał bardzo zręcznie.

Kanonik patrząc za boki się trzymał, oczy przymrużał i mruczał.

— Chwat! gracko! Daj go katu...

W tem nagle zapytał.

— Wieleż liczysz lat?

— Liczyli mi dwanaście skończonych.

— *Mirabile!* — zamruczał ks. Wacław biorąc modlitwę do ręki. — Ucz się ucz, chlebieć będziesz.

Nie śmiał go zaraz do roboty zaprzędz, ale za modlitwę dał mu kilka piąteczek i kazał się dowiadywać do siebie.

— Ucz się łaciny — dodał — wyjdiesz na człowieka!!

Izba była pełna rękopismów u ks. Wacława, wziął się więc je pokazywać Grzesiowi jedno po drugim, coraz piękniejsze, zachęcając go, aby i on do takiej doskonałości dążył.

Ale tu już były i takie, na które się chłopak wcale porywać nie mógł, bo i pierwsze ich karty i nagłówki i boki stały farbami cudnie malowane, jakby w kwiaty żywe, a wielkie litery tak były misternie budowane, że się w nich mieściły całe obrazy... Boga Ojca z Duchem świętym, krzyż synowski trzymającego na łonie, Zwiastowanie Bogarodzicy, Wniebowzięcie, zesłanie Ducha świętego i t. p.

Grześ podziwiał tę sztukę, z jaką miniaturzyści wszystko to w małych rozmiarach tak ślicznie umieli pomieścić, nadając życie postaciom drobnym. Oprócz tego kunszt był nie mniejszy w złoceniu i malowaniu kwiatów i zwierząt takich, jakich żywych nigdy ludzkie oko nie widziało...

Z tych śliczności poznał dopiero Grześ, jak mu wiele brakło, aby się mógł zwać kalfimem, a nawet w duszy przyznać musiał, że malować tak nie potrafi nigdy.

Nie zraziło go to jednak od pracy. Tak dzień ten przeszedł w części u kanonika, potem ze studentami, u Samka, a gdy się wieczór zbliżał Grześ, choć z pewną trwogą pociągnął do domu Niemca.

Wiedział już, że go zwano Balcerem, że miano był za bogatego, i ludzie o nim mówili dobrze. Handlował on towarami łokciowymi, sklep miał w Sukiennicach i ławnikiem był wybrany.

Choć Niemiec, Balcer, dawno tu zamieszkałszy, do kraju się przywiązał, a żona i córka jedynaczka nauczyły się trochę po polsku.

Stał on o to, aby języka nabył i sam choć łamaną mówił polszczyzną.

Jeszcze Grześ był od dworku Balcera daleko, gdy dostrzegł, że dziewczeczka ze drzwi w ulicę wyglądała, jakby się go spodziewała. Jakoż poznawszy, pobiegła do matki i gdy się zjawił w progu, sama już dźwigała garnuszek chlebem przykryty, uśmiechając się do niego...

Balcera, który wczoraj za stołem siedział, dnia tego nie było, jejmość tylko i służdy. W czasie gdy się posilał pauper, mała Lena stanęła przy nim, oparła się na ławce i zaczęła go, dopóki nie począł z nią rozmowy...

Dziecko było jak piękne tak rozumne, wesołe i śmiałe a gadatliwe. Szczebotało niegorzej od matki po polsku i z tym językiem się przed Grzesiem popisywało. Musiał przez wzgląd dla matki zabawić ją chłopak, aż póki się nie zrobiło ciemno, Balcer nie powrócił, a jemu do komórki odejść nie dozwolono...

Takie były początki studenckiego życia Strzemińczyka...

Nadzwyczajne zdolności bardzo wprędce dozwoliły mu się odznaczyć i zająć miejsce w szkole między najstarszymi, a być nawet pomocą nauczycielom. Rokowano mu wielką przyszłość, tembardziej, że pokornym był i w dumę się nie wzbijał.

Czuł to bardzo dobrze, iż mu całe morze do wypicia w nauce zostawało, że stał u brzegu dopiero... Sięgał myślą tych wyżyn, których się chciał dobić. Chłopcy, co mu zazdrościli w początku, prześmiewali i szkodzić byli radzi, uciekali się teraz o pomoc do niego, której im nie odmawiał. Mało jednak z nich umieli mu być wdzięczni, był im solą w oku, bo seniorowie na niego drugim ukazywali i chwalili.

U Balcerów, choć im ciężarem nie chciał być, tak się złożyło, że mu już odejść nie dano. Staremu zapisywał rachunki, a Lenka wyprosiła sobie, żeby ją uczył po polsku, czego i matka i ojciec życzyli. Komórkę opróżniono z fasek, dano okiennicę w niej i zrobiła się z niej izdebka niczego, w której stół się znalazł i ławka...

Ks. kanonik Wacław posługując się także Grzesiem, którego bardzo polubił, dał mu starą koszulę i suknię przenoszoną, którą przerobił krawiec na tak piękną, iż jej paupry zazdrościli.

Balcerowa i Lenka różne mu gałganki wtykały, opatrując go i coraz się do niego więcej przyzwyczajając... Uczył wciąż Grześ po polsku przy matce córkę, a stało się, że i sam z tego niespodziewanie skorzystał, bo mimo wiedzy i woli prawie, począł po niemiecku szwargotać.

Miał i pamięć doskonałą i łatwość uczenia się wielką, tak że rok nie upłynął, a już się mógł po niemiecku rozmówić.

Z łaciną też szło rażno i dystychy Katona przeszedłszy, dalej retoryki już poczynął kosztować Grześ, szybkie w niej czyniąc postępy. Śpiewem, do którego miał głos i ucho osobliwe, celował pomiędzy uczniami i przy kantorze stawał, młodszych musztrując...

I tu go podziwiano, a lubowano się dyskantem, gdy przy cytrze pieśni zawodził.

Rok przeleciał jak błyskawica... nie zmieniło się nic, oprócz że Grześ pewniejszym coraz był siebie, a to, czego się uczył chciwie, nie starczyło mu. Radby był prędzej przebył tą przestrzeń, którą drudzy mozolnie przechodzili, lecz nauczyciele sami wstrzymywali go i hamowali tą porywczą młodzieńczą.

Rósł też chłopak jak na drożdżach, a co drugim lata często dziecinną piękność odejmują i z wyrostków przystojnych, czynią pospolitych ludzi, jemu wiek i do rozwinięcia się dziwnie wdzięcznego dopomagał. Nie szkodziło to wcale, bo marna ta piękność cielesna, choć trwa tyle co kwiatek i niewiele ważyć się zdaje, przecie serca i oczy porywa, uprzejmość zyskuje, uprzedza dobrze i w życiu pomaga.

Grześ stawał się coraz piękniejszym, a twarz, której oczy ciemne patrzyły rozumem, miała wdzięk jakiś, którego sile nikt się oprzeć nie mógł. Pieszczono go u Balcerów, lubiono wszędzie, zapraszano z cytrą na ucztę, aby śpiewał, obdarzano chętnie. Nie zbywało mu na niczem.

Osobliwie mieszczanin, żona jego i Lenka przywiązali się do paupra, tak że domownikiem ich stał się i jakby do rodziny należał.

Misczką drewnianą Ryby mógł na półce postawić, bo jej wcale nie potrzebował. Nieznacznie jakoś przyszło do tego, że mu u stołu zrobiono miejsce, a gdy się spóźnił, zostawiano jedzenie.

U ks. Wacława zawsze jaką godzinę spędzał za pulpitem, coś mu przepisując, więc się do coraz nowych charakterów przyzwyczajał, nabył wprawy jeszcze większej i nietylko kopiował co mu dano, ale począł charaktery wszystkie naśladować tak, iż pisma jego od oryginału rozpoznać nie było podobna.

Uparłszy się nawet, trudne i zawiłe znaki notaryalne w dokumentach tak przerysowywał, iż ci, co je kładli, ze strachem się przyglądali ich powtórzeniu, i krzywem okiem patrzali na chłopca, który, gdyby nie pieczęcie, każdy akt mógł tak naśladować, że najwprawniejsze oko fałszerstwaby nie odkryło...

Grześ jednak wcale o złem nie myślał i dla popisu tylko sztuki te okazywał.

Drugiego roku chłopak znowu podrósł znacznie, zmężniał, a że ciągle z ks. Wacławem obcował i przysłuchiwał się ciekawie każdemu jego słowu, pochwytał od niego wiele wiadomości, które naówczas mało komu były znane. Uczył się własności ziół, kamieni, osobliwych tworów natury i świata zwierzęcego, których był bardzo ciekawym. Samo przepisywanie, gdy z łaciną coraz się więcej oswajał, szło mu na korzyść, bo choć nie wszystko rozumiał, gdy o objaśnienie zapytał księdza, kanonik mu je chętnie dawał, i miło mu było widzieć tę ciekawość amanuensa.

Lecz ks. Wacław też wpajał w niego, że natura pełną jest niezbadanych tajemnic, i że człowiek w jej wielkiej, żywej księdze, zaledwie czytać się uczył, tyle tam było rzeczy zakrytych, których nigdy może rozumem swym do badać się nie potrafi.

Czasem, gdy się starowina rozgadał, a był usposobionym, poczynął Grzesiowi prawić o tych cudach, jakie w owych wiekach po księgach i w tradycjach obiegały, głoszone za prawdę... Więc smoki, gryfy, bazyliszek, inne stworzenia bajeczne, własności dziwne kamieni, istoty powstające *sponte*, odradzające się na stosach jak fenix, przesuwwały się w tych opowiadaniach, jak poemata przed zasłuchanym w powieści starego Grzesiem... Świat ten nęcił go nadzwyczajnie, lecz wiedział, że nie był on dostępnym wszystkim, i że arkana te tylko dla wybranych się otwierały. Jemu naprzód potrzeba było tych skrzydeł, które go podnieść miały tam, zkąd dalekie mógł horyzonty oglądać. Nauka języków była najpierwszą i najtrudniejszą... Jednego pisarza starożytnego poduczywszy się rozumieć, z jego mową oswoiwszy, Grześ postrzegał, że gdy nieznanego potem wziął w rękę, na nowo jego język musiał sobie przyswajać... Gramatyka co wszystkie wrota otwierać miała, doprowadzała tylko do progu, Donat, Aleksander i Priscian nie starczyli mu...

Ale głowa się chłopcu otwierała, a im więcej się uczył, tem się nauki pożądlivszym stawał...

Kanonik patrzył nań z pociechą i z trwogą.

Przy takich zdolnościach i takiej chciwości wiedzy, zdawało się niewątpliwem, że chłopię to do innego stanu jak do duchownego przeznaczonem być nie mogło.

Świeccy ludzie, w życiu czynnem, które szło wybitemi kolejami, nauki w ogóle nie potrzebowali. Była ona wyłącznym monopolem duchowieństwa.

Nie podlegało wątpliwości, że ów Grześ musiał w końcu księdzem zostać, ale kanonik zagadując go o powołanie, nie mógł w nim odkryć dotąd ani myśli, ani szczególnej chęci obleczenia sukni duchownej.

Grześ jakoś o przyszłości w ogóle wcale nie myślał, i gdy drudzy uczyli się dlatego, aby ją sobie zapewnić, on uczył się dla nauki. W ubogim chłopcu było to tem dziwniejszem...

W początkach po przybyciu do Krakowa, nie jeden raz myśl Strzemieńczyka zwracała się ku dworkowi w Sanoku, do ojca i brata. Choć się tam z nim nieludzko obchodzono, trochę serca przywrzało do kolebki. Powoli jednak zacierały się wspomnienia, przywiązywał się do tego miasta, w którym naukę było czerpać łatwo...

Ale i dalszy świat go nęcił.

W domu Balcerów nasłuchiwał się o Niemczech dużo, o miastach, w których i bogactwa wielkie i nauki skarby były nagromadzone. Przybywali tu ludzie zdaleka, powieści przylatywały z całego świata... Tu zasłyszał o Włoszech, do których jeżdżono po naukę i z Polski, o krajach na zachodzie, z których do Polski wyroby tak piękne i misterne przywożono, jakich tu nikt robić nie umiał.

Powziął więc wielkie wyobrażenie o tych nieznanach krajach i gorącą chęć ich poznania. Na męztwie do rzucania się w podróż nie zbywało mu... Taił się z tą myślą przed wszystkimi, boby go zakrzyczano pewnie, iż rwał się bezrozumnie za góry, gdy w domu, w Krakowie *Collegia* były otwarte, w których nauki wszelkie wykładano, i gdzie bakałarzem, mistrzem, a nawet doktorem było można zostać, tak że i na obcych nie zbywało, co z tych źródeł czerpali.

Wiedział o tem Grześ, a przecież myśl wędrówki go nęciła.

U Balcerów rozpowiadano o tem często, jak w Niemczech dla nauczycieli różnych, młodzież od miasta do miasta wędrowała, od każdego z nich coś nowego się ucząc. Pełne były naówczas Niemcy tych ubogich pątników, których Vagantami zwano, a że nie wszyscy trzeźwo żyli, Bacchantami też ich szydersko mianowano...

Nie wiedział on, iż znaczniejsza część tych pielgrzymów, którym statku brakło i prawdziwej miłości nauki, włóczyła się od furty do furty, od gospody do gospody dla chleba, kradnąc gęsi po drodze, i wyzyskując postrachem mieszczan i włościan, lecząc i czary odprawiając bałamutne. Zdawało mu się, że ich taka żądza wiadomości gnała w świat, jaką on sam czuł w sobie.

Do tej wielkiej ochoty uskokzenia w świat, przed nikim się nie przyznawał, choć ją w sobie żywił. W tej myśli też korzystał z pobytu w domu Balcerów, coraz się pilniej ucząc niemieckiego języka, który mu za Łabą miał służyć...

Gospodarzom swym nawet nie wyjawiał żądzy, która umysł jego opanowała.

Trzy już lata upływało od przybycia Strzemieńczyka do Krakowa, i szkołę trywialną Grześ dawno skończywszy, uczył się już dochwytkowo tu i owdzie, zaglądając wszędzie gdzie mógł i zapas sobie przysposabiając na drogę...

W piętnastym roku wąż mu się zaczął wysypywać przedwcześnie, wyrósł, wypiękniał, siły nabrał, a nic o przyszłości nie postanowił dotąd, oprócz, że nauki musi kędyś dalej szukać, aby ją przyniósł do domu...

Uciec jednak nie opowiedziawszy się nikomu, nie godziło się. Współuczniom, którzy zawsze zawistnym nań spoglądali okiem, spowiadać się nie potrzebował z tego, co chciał począć, ale Balcerów tak opuścić, kanonika porzucić, serce wdzięczne nie pozwalało.

Do swej gospodyni, która nań była bardzo łaskawą i niemal jak dziecko własne go kochała, przywiązał się równie jak do starego Balcera, a najbardziej do dwunastoletniego wyrostka Leny... Dziecko to w oczach jego rozkwitło i rozwinęło się cudownie, a rodzice utrzymywali, że Grześ przyczynił się do ułatwienia tej nauki, jaka kobiecie była do jej życia potrzebną. Od niego nabyła wprawy do mówienia po polsku, on ją na cytrze grać i śpiewać poduczył, jemu winną była, że ojcu mogła pomagać w rachunkach, a nawet coś zapisać za niego. Dziewczę nadzwyczaj było pojętne, nauczyciel pilny i serdeczny, Lenka też nie potrzebowała wiele, bo kobiety naówczas małym się ograniczały, naturalny rozum, dowcip, domysłność z tego ziarenka, które im dano, snuły resztę.

Grzesiowi opuścić ten dom i swą uczennicę, która do niego była przywiązaną, boleśnie przychodziło... ale też sama żądza, co go wyгнаła z Sanoka, parla dalej w świat, obiecując złote góry.

Trzy lata tu przebywszy, skorzystawszy wiele, postanowił puścić się na wędrówkę. Pierwszemu z tą myślą zwierzył się kanonikowi Wacławowi, który przyjął zdumionem milczeniem niespodzianą wiadomość.

Gdyby był mógł, wstrzymałby go był pewnie, ale sumienie czyniłoby mu wyrzuty; mówił sobie w duszy, że chłopaka przeznaczeniem było szukać mądrości, że w nim głos wewnętrzny był oznaką powołania.

Mimowolnie zwilżyły mu się powieki, nie rzekł słowa, zbliżył się do Grzesia, wziął go za głowę i w czoło pocałował. Chłopak przypadł mu do kolan.

— Jeżeli czujesz w tem wolę Bożą, idź — rzekł. — Szkoda mi ciebie, ale któż wie? może podróż ta będzie pomyślną, a ty z niej wrócisz, abys był chlubą i ozdobą naszą.

Trudniej przyszło Grzesiowi przyznać się do zamysłu swego Balcerom. Cicho naprzód powiedział o tem samej jejmości. Balcerowa lubiła go bardzo, ale dziecię swe kochała więcej jeszcze, a obawiała się może coraz wyraźniej objawiającego przywiązania ubogiego chłopca do swej jedynaczki...

Niebardzo się więc sprzeciwiała. Dobroć jej tylko okazała się w macierzyńskim staraniu o wybór do tej podróży, na którą Grzesia chciała wyprawić zaopatrzonego we wszystko, co ją mogło ułatwiać...

Przed Leną tajono długo, że ją młody nauczyciel i towarzysz miał porzucić. Jednego wieczora stali oboje we drzwiach od ulicy, rozmawiając i śmiejąc się, gdy Grześ spojrzawszy na wesołe dziewczę, nagle posmutniał.

Z napastliwością pieszczonemu dziecięcia, które wie, że mu nic odmówionem być nie może, Lena zaczęła badać o przyczynę zachmurzenia.

— A! — odezwał się chłopak — jakże nie mam się smucić, gdy lada dzień będę musiał precz ztąd iść.

Lena poskoczyła w ręce uderzając.

— Dlaczego? dokąd? — krzyknęła. — To być nie może.

— Być musi — rzekł smutnie Grześ — całym majątkiem to co umiem i czego się nauczę, muszę więc w świat iść szukać mądrości.

Lenie lzy stanęły w oczach, nie mówiła nic, rękami tylko strzepując.

Grześ jako starszy, począł tłumaczyć konieczność i mówić o przyszłości, o powrocie...

Dziewczę nie wiedząc jak go przekonywać i od tego zamiaru odwodzić, na skargę pobiegło do matki, ale znalazło ją już przygotowaną...

Trzeba się więc było poddać konieczności, której Lena wcale nie rozumiała... Uległa jej ze srogim żalem do Grzesia, na którego się gniewać chciała i nie mogła...

Plakała w swej izdebce, a matka nie mogąc inaczej, pocieszała ją tem, że dobry przyjaciel powróci...

W komórcie chłopaka leżały już węzłki gotowe, bielizna, trochę odzieży, żywność i kaletka z groszykami uzbieranymi. Grzesiowi ścisnęło się serce... Obawiał się pożegnania i własnej słabości, i jednego dnia wiosennego, podobnego do ranka w którym Sanok opuścił, wyszedł z tłumoczkami na plecach, z kijem w ręku, przestępując próg gościnnego domu, gdy wszyscy spali jeszcze... Po cichu otworzył i zamknął drzwi za sobą... Spojrzał na ciche domostwo, pobłogosławił dobrym ludziom, i budząc w sobie męztwo, puścił się ulicami pustymi miasta ku Floryańskiej bramie...

Godzina była tak wczesna, że nikogo prawie nie spotkawszy, dostał się na przedmieścia. Zwrócił się raz jeszcze ku grodowi temu z niemem pożegnaniem, i nagle, jakby sam się lękał siebie, począł szybko iść gościńcem, nie oglądając się już, a w duchu powtarzając tylko:

— Powrócę! powrócę...

Gdy przez cały dzień Grzesia nie widziano w mieście, wieść się zaraz rozeszła, że zbroiwszy coś, uszedł, obawiając się kary.

Bronić go nie było komu.

IV

W pięć lat po owej mniemanej Grzesia ucieczce, w gospodzie pod Krakowem, która się zwała Podrębą, na przyźbie odpoczywał młody podróżnik, którego suknie pyłem okryte, uznojona twarz, buty zbłocone i zbiele od kurzu, o długiej wędrowce powiadały.

Właśnie był spory tłumoczek zdjął z ramion i złożył go przy sobie na ziemi, rozglądając się po okolicy. Z sukni i stroju miarkując, przybysz się wydawał cudzoziemcem. Ubrany był tak jak w Niemczech naówczas chadzano, nie wykwinicie ale czysto. Samo to, że pieszo odbył podróż dowodziło, iż niezamożnym być musiał. Suknie z grubej tkaniny i niepokaźne potwierdzały to przypuszczenie.

Do pewnego stopnia wszakże twarz i postawa wędrowca kłamały temu; oblicze miał piękne, rysy szlachetne, a wyraz ich energiczny i dumny, nie godził się z wyszarzanym kubrakiem. Spoglądał śmiało dokoła, a usta mu się dziwnym uśmiechem ściągały.

Gospoda przedmiejska podobną była do wszystkich tego rodzaju zajazdów, do których się zbiegają szumowiny gminu, włóczęgi, żebracy, i to co w mieście albo się pokazać nie śmie, lub tu łatwego zarobku szuka...

Przed wiechą siedział ociemniały starzec na ziemi z wyciągniętą ręką i oczyma białymi podniesionymi do góry, głosem schrypłym nucąc pieśń jakąś. Przy nim małe chłopię, zwinięte i zgarbione ze znużenia, drzemało...

Dalej roztruchacze opatrywali konie chude, najpewniej gdzieś z paszy skradzione, które im obdarci ludzie narzucali za bezcen.

Z izby słycać było buchający gwar pijanych i krzykliwie zawodzono śpiewy. W sionce ująwszy się pod boki niemłoda kobieta, z zarumienionymi mocno policzkami, przechylała się z nogi na nogę, jakby wzywała do płasów.

Wozy włościańskie zatrzymywały się na chwilę i kmiecie nie zsiadając, wołali do gospodarza o piwo...

Gospodarz, człek wzrostu wielkiego, obrosły strasznie, z czarnymi oczyma, które patrząc bodły jak noże, wybiegał coraz, w niskich drzwiach się pochylając, to z drewnianym kubkiem, to z blaszaną miarą, wynosząc napój, a łając tych co się po niego z wozów ruszać nie chcieli.

W koszuli, fartuchu, z nogami bosemi w chodakach odartych, zabrukany, karczmarz był niezmiernie czynnym. Oka jego nic nie uszło, a wszyscy co się zatrzymywali pod wiechą jego, zdawali mu się być znajomi. Odzywał się wołając ich poufale po imieniu, naprędce dawał rady roztrucharzom, groził sprzedającym marchę, śmiał się z pijanych, a nie zapominał denary odbierać i wysypywać je do skórzanego worka, który mu wisiał u pasa.

Był to sławny Dziegiel, człek, którego za rany i sińce wyświecono z miasta, znany gwałtownik. Przyjaciele i krewni jego wyrobili mu to, że choć w mieście się pokazywać nie mógł, tuż pod nim jednak trzymał gospodę, na co przez szpary patrzano.

Dzięgiel już parę razy rzucił był okiem na podróżnego, który na przyźbie odpoczywał, a niczego od niego nie żądał.

Sądził że się domyśli w końcu siadłszy pod strzechą, zapłacić za gościnę, czy napojem czy jadłem.

Wprawdzie ostatniego u Dzięgla było dostać trudno, bo tu ludzie więcej pili niż jedli, ale chleb, ser i mleko było w komorze.

Podróżny zdawał się gospodarza nie widzieć wcale, albo na niego nie zważać. Dzięgiel miał już odejść skrzywiony, gdy w tej samej chwili konno od miasta nadciągnął wąsaty młodzian, z mieczykiem u pasa, wyglądający na miejskiego lub szlacheckiego sługę. Konia zatrzymał przed wiechą, pot otarł z czoła i pochylając się krzyknął.

— Dzięgiel! piwa! człowiek pod te gorąco beczkęby całą wychlał, gdyby mu ją nachylono.

Głos ten usłyszawszy podróżny, który w inną stronę miał zwróconą głowę, drgnął i począł się przybyłemu przyglądać pilno.

Ten też spostrzegłszy go, zdawał się zdumiony, niepewny, jakby sobie w nim jakąś starą przypomniął znajomość, konia trochę naprzód podpedziwszy, rękę przyłożył do czoła i mruczeć coś zaczął.

Podróżny tymczasem z ławy wstał.

— Jak Bóg żyw — odezwał się po polsku, choć suknie miał niemieckie — toć Dryszek.

Ten posłyszawszy imię swe już ze szkapy się zsunął.

— Grześ Strzemieńczyk! — krzyknął. — Żyw więc jesteś, a my cię tu już pogrzebali...

Podali sobie ręce.

— Choć w ostatnie czasy nie byliśmy przyjaciółmi — począł Dryszek — boś ty nas wszystkich twoją nauką zbłądził, a no miło mi, że cię żywym widzę! Kędyżeś bywał... taż to pięć lat temu...

— Pięć lat, które mi przeszły jako pięć dni — rozśmiał się Grześ. — Kędym bywał za długoby było opowiadać. Prędzej ty pono powiesz mi, jakieś z ławki szkolnej dostał się na konia i do miecza przypasał. Toż ci się bakałarzem albo seniorem być chciało.

Dryszek się skrzywił i ręką w powietrzu zamachnął. Ponieważ Dzięgiel właśnie mu piwo podawał, nim się zebrał na odpowiedź, począł od wychylenia całego kubka tchem jednym; otarł wąsy rękawem, rzucił na dłoń nastawioną gospodarza pieniądze i zwrócił się dopiero do Grzesia.

— A no, prawda — rzekł — chciało mi się bakałarzem być, ale nauka do łba nie lazła, ani weź. W końcu mi się wąs sypał i wołę Bożą czuć zacząłem, a do *quadrivium* nie mogłem się dobić. Tymczasem trafiła mi się bogatego sołtysa córka, dziewczka jak łania... wolałem ją niż *ciziojany*!! Komu co przeznaczono, nie minie. Gospodarzę przy ojczymie i drę z nim koty...

Ruszał ramionami i śmiał się.

— Teraz jak na papier spojrzę — dodał — ciarki po mnie chodzą, a jak wspomnę szkołę, albo mi się ona przyśni, tom na cały dzień zły i kwaśny... A ty? z czem powracasz!

— Ja? — odparł Grześ, pokazując mu węzełek pod strzechą leżący. — Ja wiozę pierwszego może Virgiliusza do Krakowa.

— Cóż to za kat ten Wirgi...nusz? — odparł Dryszek.

Grześ się rozśmiał.

— Wolę go niż twoją sołtysównę — rzekł wesoło. — Przez całe pięć lat uczyłem się a uczył wędrując. Poszedłem naprzód do Wrocławia, gdzie piwa prawda było pod dostatkiem, ale nauczycieli brakło, potem do Lipska. Było się i w Magdeburgu i w Norymberdze i dalej nad Renem aż po całych Niemcach... A co to za osobliwy świat, a jacy ludzie!! Było na co patrzeć i czego się uczyć.

— No i sakwy pełne mądrości przynosisz z sobą — dodał szydersko Dryszek — a groszy dużo?

— Prawie tyle — odezwał się ramionami poruszając obojętnie Grześ — co naówczas, gdyście mnie z Sanoka idącego spotkali...

Dryszek pogardliwą zrobił minę.

— Miałeś po co chodzić tak daleko — zamruczał — goliznę miałeś i w Krakowie.

— Ależ tego rozumu, com go nabył między ludźmi, nie miał — rzekł Grześ.

— I cóż z nim robić myślisz! — wtrącił szydersko Dryszek, oglądając się ku swemu koniowi. — Pewnie na klechę kroisz? No, toby jeszcze było pół biedy, ale i ci panowie kolegiaci nasi, profesorowie i doktorowie, choć kapłani i mądrzy ludzie, chleba siła nie mają. Pójdź na ulicę św. Anny, a choćby i do większego kolegium, zobacz jak mieszkają i jedzą!! a jak pracują... Bóg z wami, ja wolę sołtysią córkę i moje gospodarstwo.

— Jak co komu służy! — rzekł Grzesz. —

Popatrzyli na się wzajemnie takimi oczyma, jakby sobie powiedzieć chcieli, że się pono nigdy nie rozumieją.

W tem Grzesz żywo wtrącił.

— Żyw kanonik Wacław?

Dryszek się musiał namyślać nad odpowiedzią, bo mało co się troszczył o tych ludzi, którzy Grzesia najwięcej obchodzili.

— He? medyk? — spytał — a no! żyw! postarzał trochę, suwa nogami, ziele zawsze zbiera, ludzi morzy i leczy.

— A z Samkiem co się stało?

Samek też wyszedł pono był z pamięci Dryszkowi, bo długo się namyślał nim go sobie przypomniał.

— Ten już suknię kleszą nosi, ale mu święceń nie dają, bo nie umie co potrzeba — rzekł po chwili.

Kilku współuczniów wspomniawszy, o których Dryszek niewiele wiedział, Grzesz się w końcu nieśmiało jakoś, wahając, odważył spytać o to co go najbardziej obchodziło.

— Cóż się z Balcerami dzieje?

Dryszkowi oczy błysnęły złośliwie.

— He? — zawołał — tożes się był powinien naprzód o nich pytać? Balcerom twoim wiedzie się jak się wiodło, pobogacieli tylko jeszcze. Kamienic Niemczysko nakupował wiele i utył tak od świdnickiego piwa, że brzuch przed sobą ledwie dźwiga. Sama Balcerowa też nie schudła, a córeczka ich wyrosła na najpiękniejszą lalczkę w mieście. Ludzie do niej idą jak do cudownego obrazu, bo prawda, że na podziw urodziwa, a mówią, że i rozumna. Przytem jedyna u rodziców i wszystkie kamienice Balcera spadną na nią, więc tam bodaj pan i szlachcic gotów w swaty.

Grzesz smutnie i na pozór obojętnie słuchał tego opowiadania; Dryszek jedno oko przymrużywszy przypatrywał mu się. Zwrócił się potem oczyma ku niebu, aby się ze słońcem obrachować i wczas do domu dojechać.

— Jechać muszę — rzekł — a i wam też nim wrota pozamykają pospieszyć trzeba, aby na Kleparzu nie nocować... Radbym z wami gadał, ale gdy późno przyjadę, teść będzie lajał, a żonka posądzi, żem się z dziewczętami na Okółu zabawiał. Z nią sprawa nie osobliwa, wolę licha nie drażnić.

Zabierał się do siodła, rękę podawszy Grzesiowi.

— A cóżes się tak z żonką szczęśliwym mienił — odparł Strzemińczyk, — gdy ci się jej i teścia obawiać trzeba?...

Dryszek zrobił minę dziwną.

— Niema chleba bez ości, niema ryby bez kości — odparł cicho. — Wolę już, żeby mi żona nałajała i teść nagroził, niżbym głodem miał mrzeć i głowę łamać nad pisaniem.

Bywaj zdrów.

Tak się rozstali. Grzesz powrócił na przyzbę i dobywszy chleba z serem po staremu, kazał do nich podać miarką cienkusz, którym wieczrę popił. Wziął potem tłumoczek na plecy, kij do ręki i żywo puścił się znaną już drogą ku miastu. Myślał teraz porównując pierwsze swe przybycie do Krakowa i powrót do niego po latach ośmiu, ważył i rachował co zyskał, a miał z tego powód być dumnym. Czuł, że czasu nie stracił i że jego węzełek, na który tak pogardliwie Dryszek spoglądał, więcej zawierał w sobie, niż to co tamten zyskał po dziewczynie w posagu... Przebył wiele, przemęczył się niemało... wśród obcych, ale plon mu za to nagroził...

Teraz już mógł śmiało do Akademii się zapisać, a słuchać nauki wszelkiej, bo był przygotowanym i nauk tych świadomym. Bakałarzem, mistrzem, doktorem chciał być, a potem w kolegium zasiąść i młodzieży wykładać co mozolnie zdobył...

I suknię wdziać duchowną — myślał w duchu — a czoło mu się zachmurzyło... Piękna Lenka stanęła przed nim i świat żywy, cały, który duchownym był zamknięty.

Westchnął.

Tak, potrzeba było wybierać ze dwojga, mądrość albo życie, jeden z dwóch światów, klastrum nauki, albo teatr czynnego żywota... Od dawna już walka tych dwóch niezbytich i niepojednanych przeciwieństw duszę jego rozdzierała... a gdy śnił o tem, iż trzeba było jedno wybierać, w końcu odtrącał oboje, bo zawsze po czemś płakaćby przyszło...

— Czasu mam dosyć — mówił sobie — Bóg wskaże co czynić. Wiódł mnie dotąd... natchnie w chwili stanowczej...

Już na pacierze wieczorne dzwoniło do miasta, gdy Grześ przebywszy wrota, wszedł w ulicę, a widok tych miejsc znanych, zasianych pamiątkami tyłą, rozweselił go...

Wracają mu żywo spędzone tu lata.

Ale napróżno zwracał oczy ciekawe ku ludziom, których spotykał, twarzy znajomych nie było... Nikt go tu nie witał, spoglądano jak na obcego. Na Floryańskiej, Niemiec stojący przed domem, zobaczywszy go i po stroju domyślając się wędrownego współziomka, zagadnął go swym językiem.

Grześ był z nim przez tych lat pięć oswojony i z mowy Polaka w nim poznać nie było podobna. Odpowiedział niemczyzną taką, iż mu mieszczanin rękę podając, do gospody do siebie zapraszał.

W istocie potrzebował jej choćby na noc jedną. Do Balcerów się wpraszać znowu nie chciał, choć mu ich widzieć pilno było. Przyjął więc ofiarę pana Kurta pasamannika, który go do izby wprowadził, ani wątpiąc, iż ziomka ma przed sobą. Strzemieńczyk też nie sądził potrzebnem wydawać się z tem, kim był i na zapytania tak zręcznie odpowiadał, iż się nie zdradził.

Ponieważ odzież i postawa nie dozwalały się domyślać, iż studentem był, wzięto go za czeladnika od cechu jakiegoś i rzemiosła.

Nie mógł zostawić w tym błędzie gospodarza Grześ i przyznał mu się, że na naukę do akademii przybywał.

Nie było to już rzadkością w Krakowie podówczas, że cudzoziemcy tu do młodej macierzy się ściągali. Węgrów, Czechów i Niemców nawet schodziło się wielu, a szkoła Jagiellońska zażywała w świecie sławy niemniejszej od najstarszych siostr swoich...

Objawiało się też tu w tych czasach pierwszych, zwłaszcza w teologicznem kollegium, życie wielkie, gorące, młodzieńcze, czego najlepszym dowodem był zastęp uczniów liczny już ze świętobliwości swej i nauki, z żywota ofiarnego, ascetycznego, apostołskiego, dających się poznawać.

Nie zdziwił się więc pasamannik Niemcowi, który tu przyszedł po mądrość, chociaż wydało mu się to osobliwem, iż z tak daleka się przywłókl...

Z tą gościnnością chrześcijańską, która była wszędzie naówczas obowiązkiem i obyczajem, dano Grzesiowi posiłek i legowisko... Rozpowiadał im za to o dalekich krajach i o miastach, za którymi tęsknili.

Nazajutrz rano, tłumoczek swój dosyć ciężki, bo w nim papier ważył nad wszystko zostawiwszy, przebrawszy się Grześ pospieszył naprzód do kościoła św. Anny.

Tu już między studentami, po leciech pięciu, ani jednej znanej nie znalazł twarzy, bo dziatwa powyrastała i zmieniała się, a starsi w świat poszli. Kościół za to pozostał niezmienny, jak gdyby Grześ z niego wyszedł wczora...

W progę zawahał się. Serce go ciągnęło do Balcerów, a strach jakiś odganiał. Poszedł do kanonika Wacława... Gdy zapukawszy do drzwi, wsunął się na próg, staruszek siedzący w krześle nad ogromną księgą, podniósł oczy zmęczone, wpatrzył się w niego, i nie poznał.

Był-li temu winien uczeń, co się tak odmienił, czy źrenice, które tak osłabły?...

Dopiero gdy do pocałowania ręki przybliżył się Grześ, odezwawszy ze zwykłem — *Laudetur*, kanonik na obu poręczach się oparłszy, uradowany porwał się na nogi...

— Grześ! — zawołał — Bogu wielkiemu niech będą dzięki... Cały! żyw! a zmężniałeś? a rozumu-żes nabył? a nauki przyspożyłeś?

Starcowi głos mienił się łzawo...

Wzrok miał osłabły, a chciał się przypatrzeć chłopcu, więc go przyciągnął ku sobie i z pociechą przyglądał się męskiej jego twarzy, a z ust wrywały mu się pytania, na które nie doczekawszy się odpowiedzi, zarzucał go nowemi.

Strzemieńczyk, któremu w sercu po przywitaniu z kanonikiem zrobiło się ciepło, rozgadał się swobodnie, a o pięcioletniej podróży zaprawdę było co mówić.

Przypatrywał się wszystkiemu. Choć języki i poezja, zwłaszcza starożytne najwięcej go ku sobie pociągały, niemniej też śledził i badał co uczono z historii natury... Była to na nieszczęście nauka w kolebce, nie wchodząca w programy i Grześ tylko spotykając się z lekarzami, mógł mało-co zdobyć wiadomości, które się ograniczały do odgrzebanych z pisarzy starożytnych. Z tych zaś łaciniści tylko byli przystępni znaczniejszej części uczonych, bo język grecki zaczynał dopiero poznawanym być lepiej i o Grekach wiedziano tyle, co się przez łacinników o nich dowiedzieć było można.

Kanonik zaś nietylko teologią i historią, poezją i retoryką się zaprzętał, co rzeczami nauk przyrodzonych tyjącami. Był to, jak dawniej ich zwano, człowiek ciekaw natury, (*naturae curiosus*) w całym znaczeniu tego wyrazu.

Grześ też miał skłonność badać te tajemnice, ale dla niego kluczem do nich była nauka języków, bo razem z wielu swojego czasu ludźmi, pojmował, że naprzód należało przyswoić to sobie, co ludzkość od wieków zdobyła, aby iść dalej na drodze odkryć i postępu.

— Cóż teraz myślisz z sobą czynić? — zapytał w końcu ks. Wacław, ciągle się w ucznia wpatrując.

— Ojcie kochany — rzekł Grześ wahając się — zpełna nie wiem, co uczynię. Poproszę Boga o natchnienie, jaką mam pójść drogą, to pewna, że się uczyć chcę, że się w naszej akademii rozslucham i rozpatrzę i dobijając się będę bakalarstwa a bodaj biretu, jeżeli siły starczą.

— Tak, tak, nie może być innem przeznaczenie twoje — rzekł ks. Wacław — musisz przywdziać suknię naszą i będziesz filarem kiedyś tej Jagiellońskiej szkoły, która światu zaświeci blaskiem wielkim.

Nauka, kto z nią raz ślub wziął, staje mu się wierną do zgonu życia towarzyszką.

Zbyt jeszcze młoda krew płynęła w żyłach chłopaka, aby mógł zupełnie wyrzec się świata, zamilkł więc, ani przecząc, ni potakując.

Kanonik rozpytywał ciągle o niemieckie miasta i szkoły, o lekarzy, o zioła, o zwierzęta osobliwe, jakie mógł widzieć lub słyszeć o nich w podróżach. Lecz, pomimo ciekawości swej, mało co z tego przynosił, co ks. Wacławowi pożądanem było.

Miał za to Wirgilego, Owidyusza i Statusza w tłumoczku, którzy uczonego lekarza mało obchodzili, choć w średnich wiekach Wirgiliusz uchodził za czarnoksiężnika i świadomego wielkich arkanów natury.

Chwilę długą przebywszy z staruszką, ruszył się w końcu Grześ, żegnając go, aby, jak mówił, pomieszczenia sobie szukać w mieście.

Była już naówczas, obyczajem w innych akademiach zwykłym, bursa Isnera, zwana ubogich, lub królewską Jagiellońską, przy Wiślniej ulicy, o której pomyślał ks. Wacław, czyby w niej Grzesia nie umieścić, ale ta podczas, jak prawie zawsze, przepelnioną była, a Strzemińczyk też nadzieję miał, nikomu nie będąc ciężarem, przepisywaniem sobie zarabiać na życie.

Kunszt ten, z którym już na wędrowną się puścił, w czasie niej doprowadził do takiej doskonałości, iż śmiało mógł z najpierwszymi kaligrafami ozdobnością pisma iść o lepsze.

Tak samo w muzyce uczynił postępy wielkie, a że pamięć miał nadzwyczajną, więc pieśni kościelnych, sekwenj, hymnów, równie jak łacińskich i niemieckich piosnek wesołej treści, zapas z sobą wielki przynosił. Gra na cytrze i głos, który z wiekiem się zmienił, ale na brzmieniu nie stracił, czyniły go na owe czasy muzykiem niepoślednim. Na organach też umiał sobie towarzyszyć. Z temi wszystkimi talentami, umysłem żywym i bystrym, odwagą i powierzchownością ujmującą, ubogi szlachetka, któremu i pochodzenie ułatwiało zdobycie miejsca między ludźmi, mógłże zwątpić o sobie?...

Wyszędzszy od kanonika, który żądał, aby rychło do niego powrócił, bo mu chciał miejsce znaleźć przy sobie i izdebkę wyprosić w domu, który zajmował, Grześ miał postanowienie udać się do Balcerów...

Dlaczego obawa jakaś, dziwne uczucie nieśmiałości, przecucie zawodu, wstrzymywało go, nie mógł sobie wytłumaczyć.

Szedł i zwalniał kroku, zatrzymywał się, cofał.

Co tam miał zastać po latach pięciu? Dawną towarzyszkę zabaw, którą siostrzyczką nazywał, wypięknioną, dumną, zmienioną? Dryszek mu o niej mówił, że ludzie za nią biegali, aby na piękność jej popatrzeć!

Grześ może, sam o tem nie wiedząc, obawiał się, aby nowa Lenchen, którą miał ujrzyć, nie odebrała mu, nie zatarła miłego wspomnienia tamtej, którą kochał i z jej obrazem w duszy całe te pięć lat przechodził po świecie.

Zwlekał tak z odwiedzeniem Balcerów, że już ku wieczorowi było, gdy się na mężtwo zebrał i skierował ku ich domowi...

Zdała widział dom, wcale niezmienny, taki jakim był, gdy po cichu, rankiem wymknął się z niego. Lecz w ulicy i przy domu działo się coś, czego Grześ nie mogąc zrazu zrozumieć, wstrzymał się na chwilę. Na progach wszystkich dworków, w oknach, na drodze pełno było ludu, w powietrzu śmiechu i radości pełno.

Zdała dochodziły brząkania gęśli, pisk fujarek, bicie w bębunki, okrzyki jakiegoś i rąk klaskanie.

Oprócz tłumu ciekawych, który napelniał ulicę i chodniki, wpośród niego dostrzegł orszak postrojonych mieszczan, niewiast w bogatych czółkach, jupkach, zasłonach i mężczyzn w czapkach paradnych, płaszczach bramowanych, butach spiczastych...

Ogniskiem ruchu, miejscem, ku któremu wszystko się to ściągało i skupiało, Grześ nie mógł się omylić, był dworek Balcerów...

Uderzyło go to i poblądł. Domyśleć się było łatwo, iż nic się tam innego tak wesołego odbywać nie mogło, chyba zaręczyny albo wesele, nie czyje inne jak Leny.

Była jedynaczką, a na tak uroczyste i kosztowne zrękowiny lub ślub, mógł się zebrać chyba człowiek tak bogaty jak Balcer.

Stary to zwyczaj był szlachecki równie jak mieszczański, iż wesele musiało być jak najwspanialsze i trwać jak najdłużej. Ci co nie dawali wiana za dziećmi, zmagali się na to, aby dzień ten uroczysty uczynić dla nich pamiętnym.

Musiała już naówczas prawo zapobiegać, aby się na bankiety zbyt ludne, na półmiski zbyt liczne, na trefnisiów nadto kosztownych nie rujnowano.

Wesele Lenchen!! I trzeba było aby los właśnie Grzesia sprowadził tego dnia i godziny, gdy się ono odbywało?

Stanął z rękami załamane biedny, a głos wewnętrzny mówił w nim.

— Tak chciał los twój, aby ci wskazał drogę i przeznaczenie!!

Choć się nie przyznawał do tego sam sobie, Strzemieńczyk żywił jakąś nadzieję, że Lenka o nim będzie pamiętać, że może...

Byłby, któż wie? w zapale pierwszym wyrzekł się dla niej nauki, zdobyłby jakie już zyskał i przyszłości...

Wszakże Dryszek tak poświęcił wszystko dla sołtysównej??

Uśmiechnął się smutnie. W jego życiu wszystko było jakby zawczasu wyznaczonem dla niego, potęga jakaś wskazywała mu drogę, którą on iść musiał. Opierać się jej nie mógł...

Podniósł oczy i patrząc zdała na wesoły tłum oblegający dworek... wśród którego osób nie można było rozeznąć, ważył czy powinien zająć na wesele, czy uciec od niego?

Lecz po co było uciekać? Wszakże zapomniano tam o nim i nikomu serce się nie krajało z tęsknoty. Lenchen nauczyciela i towarzysza nie pamiętała wcale... A on?... Miałże być słabszym od nich i jak dziecko płakać straconej zabawki?

Miał ważniejszy cel w życiu...

Tak myśląc Grześ powolnym krokiem zbliżać się począł do dworku Balcerów, powtarzając sobie, iż było cudem bożym, zesłanie go w tym dniu i godzinie, aby pękł ostatni węzeł, co mu nie dozwalał powołania usłuchać...

— Suknia klesza! cela klasztorna! samotne życie do zgonu, to przeznaczenie moje.

Szedł coraz większego śmiałka udając ku dworkowi, a choć gorzko mu było w duszy, jakby piolunem zapłynęła, postanowił być wesołym. Zdawało mu się to powinnością.

— Grać im będę i śpiewać i śmiać się jakbym był najszcześniejszym — mówił w duchu — inaczej po co iść do nich?

Do progu dworku trudno się było docisnąć, wielka część gości stała na ganku i w sieni, a ztąd widać było stoły zastawione, nawet na podwórku wewnętrznym, które oczyszczone i zielem pachnącem posypano. U progu stała muzyka przygrywając piskliwie i dziwacznie, ale jej też nikt nie słuchał, bo podochoćeni już goście nucili i rozmawiali głośno.

Grzesia, który na ten dzień dostatnio z niemiecka był przyodziany i pięknie wyglądał, nie poznawał nikt...

Patrzano na niego dorozumiewając się przybysza... Balcer, Balcerowa i panna młoda byli wewnątrz domu. Jedna stara sługa, co niegdyś się nim opiekowała, gdy był studentem, niosąc cynowy półmisek, jak obejrzała się przypadkiem, zobaczyła go, osłupiała z podziwienia, krzyknęła i z rąk jej wypadła cyna i ryba, która na niej była...

Nadbiegła na brzęk i szczęk Balcerowa, nie wiedząc co się stało... i ta poznała zaraz Grzesia... Pobladła, zaniemiała, ale po krótkiej chwili oprzytomniawszy zbliżyła się do niego...

Strzemińczyk tymczasem robił co mógł, aby twarz okazać wesołą.

Złożyło się tak, iż nim mieszczka mogła się docisnąć do tego tak niespodziewanego, a może i niepożądanego gościa, Lena, którą mąż prowadził do stołu na miejsce jej przeznaczone, ukazała się we drzwiach na chwilę.

Wzrok jej pobiegł ku matce, pobladła i krzyknęła... Zrobił się popłoch, bo nikt przyczyny nie mógł odgadnąć, czego się pani młoda strwożyła... Przypisywano gorącu i zmęczeniu, że na poły omdlała, matka i pan młody ledwie od upadku uratowali.

Grześ, choć nie widział nic oprócz jej twarzy, zmienionej bardzo, wypiękniałej a smutnej, poznał ją na pierwsze wejrzenie.

Cudownie była wdzięczną i śliczną jak anioł, a ubiór bogaty, rąbki białe, klejnoty, któremi okryta była, podnosiły urok twarzyczki, wśród mnóstwa ładnych, świeżych i młodych, wyróżniającej się czystością rysów i szlachetnym ich wyrazem.

Obok niej domyślił się Grześ w młodym, rumianym, po swojemu też pięknym chłopaku, którego młodość i zdrowie, a jakaś dobroduszość twarzy wesołej i pocziwej, czyniły dosyć miłym, przyszłego męża Leny.

Był to syn bogatego kupca z Nissy na Szlązku, którego Frączkiem po imieniu zwano...

Omdlenie panny młodej i zamieszanie, którego ono było przyczyną, nie trwało długo. Ponieważ przy weselach na wszystko zważano, a każda najmniej znacząca przygoda zaboronnie się wydawała przepowiednią przyszłego pożycia małżonków, matka podbiegła do córki, szepnęła jej coś do ucha i po chwili Frączek już wiódł przychodzącą do siebie Lenę.

Podnosząc się rzuciła okiem ku drzwiom, wzrok jej spotkał się z Grzesia wejrzeniem, uśmiechnęła mu się smutnie.

Matka teraz przecisnęła się przez zastęp gości i zbliżyła do stojącego u progu, z tak przymuszonym uśmiechem jak córka.

Witała Grzesia serdecznie, ale na twarzy jej malował się frasunek.

— Chodźciez bliżej — rzekła wprowadzając go do środka. — Dziwnie się wybrał dzień powrotu waszego...

Wiecież? myśmy tu was już za zginionego mieli. Chodziły wieści różne. Zapewniano nas, że nieszczęście was spotkało...

Lena nauczyciela swego oplakała... Wszak ci to pięć lat!!

Otyły Balcer, który od gorąca, paradnego stroju i zmęczenia, cały był jakby z łaźni, wyszedł czerwony i mokry, szedł także witać Grzesia, nie tak zdziwiony i poruszony jak inni...

Student tymczasem ze wszech sił swych starał się okazać bardzo wesołym... Śmiał się głośno umyślnie, żartować poczynił i udawał takiego lekkoducha włóczkę, jakim nigdy nie był.

Ponieważ towarzystwo weselne po większej części się z Niemców składało, Grześ musiał ich języka używać, lecz tak nim władał teraz, że mu wierzyć nie chciano, gdy się Polakiem opowiadał.

— Co dziwnego — wołał do Niemców otaczających — byłbym niezdarą, gdybym pięć lat po Niemcach się włóczę, ich mowy sobie przyswoił.

Bez przymówki do was, mości panowie, co tu w Krakowie po lat dwadzieścia siedzicie, a polskiego języka mało znacie...

Nierychło po tych pierwszych szarmydlach, ze drzwi Balcerowa podprowadziła Grzesia do pani młodej, aby się też z nią bliżej przywitał i z Frączkiem zapoznał.

Lena go oczyma oddawna ścigała, a gdy podszedł, wyciągnęła rękę do niego, do męża się odzywając.

— To mój nauczyciel, o którym wam rozpowiadałam, patrzcie abyście sobie przyjaciółmi byli dobrzy.

Frączek też, chłop serdeczny, wstał Grzesia uściskać bez zazdrości najmniejszej, z uśmiechem poczciwym i wyraził to zprostą, jak się cieszy, iż na wesele Pan Bóg mu dał gościa tak miłego jego żonie.

— Bóg widzi — odezwał się Grzesz, ciągle wesołość udając — że czyste losu zrządzenie mnie tu przyniosło, cudem prawie. Wszakże w ulicę wchodząc o weselu wcale nie wiedziałem, a Dryszek, którego wczoraj spotkałem na drodze, chciałem go o państwa Balcerów pytać, nic mi o tem nie wspomniał.

Balcerowa posadziła zaraz Grzesia pomiędzy młodzieżą, nieopodal, dobre dając mu miejsce, z którego się pani młodej mógł przypatrywać.

Siedziała smutna, ale to wiadoma rzecz, iż mężatka młoda na weselu swem zbytniej radości okazywać nie powinna. Nie uderzało więc to nikogo. Frączek za to, jakby go na sto koni wsadził, śmiał się, żartował, nalewał, a trefnisiom, co się do nich zbliżali, pieniądze garścią sypał do nastawionych kołpaczków...

Towarzystwo składało się przeważnie z mieszczan, kupców i Niemców, chociaż duchownych i klechów także się w niem kilku znajdowało... Ci, dowiedziawszy się kto był Strzemieńczyk i przypomniawszy co tu o nim rozpowiadano, zaraz do niego przyłgnęli... A że wina i miodu w bród było i w głowach wesołe myśli krążyły, ku końcowi uczy, przypominano sobie śpiew Grzesia i głos jego...

Nuż go tedy prosić i oblegać o piosenkę... Cytra się znalazła pod ręką, wetknięto mu ją gwałtem prawie. Stara Balcerowa, gospodarz, pani młoda i jej mąż tak usilnie nalegali, że choć może śpiewać mu się nie chciało, uległ prośbom...

Nakazano milczenie trefnisiom i muzyce, a Grzesz palcami po strunach przebijając począł od niemieckiej piosnki.

Wybierał ją długo w myśli, bo miał z czego, nie chciał smutnej, nie mógł wesołej, zaśpiewał więc obojętną o siedmiu życzeniach :

Hält ich siben Wunsch in meiner Gwalt...

Znali ją wszyscy, ale głos Grzesia, nawet dla tych co go dawniej słyszeli srebrnym, dziecięcym, słodkim, zabrzmiał tak, iż najdalsi biesiadnicy porwali się z ław, biegnąc bliżej, aby go lepiej posłyszeć.

Rozległ się z taką siłą, z takim dźwiękiem, iż nawet ci, co w początku sobie lekceważyli ten popis, zamilkli osłupieli...

Nikt tu, jak żyw takiego śpiewu nie słyszał nigdy; wprawnego, śmiałego, długim doświadczeniem uczynionego posłusznem narzędziem pana...

Pieśń nie zdawała się nic kosztować tego, co ją nucił, przychodziła mu łatwo, bez wysiłku, jak ptakowi na gałęzi.

Gdy skończył swych życzeń siedm, pomiędzy którymi była i miłość pięknej kobiety, ale wciśnięta między takie pospolite życia potrzeby, że jej tam wstyd mieścić się było, niewiele zważając na słowa, podziwiali wszyscy śpiew cudowny.

Biesiadnicy byli podochoceni, pieśń chłodna nie dość się im zdała do serca przypadać. Nalegano na jedną z tych niemieckich pieśni miłosnych, któreby do śmiechu i do rumieńców pobudziły... Grzesz uległ, ale wybrał skromną i smutną, śpiewał ją z oczyma spuszczonemi na cytrę i choć głos chwalono, żądano czegoś śmielszego od wędrownego studenta...

Oparł się temu.

— Wesołej chcecie, to wam zaśpiewam naszą, szkolną, studencką... ale po łacinie... Pochwycił kubek z winem, oczy mu dziko zaświeciły, usta gwałtem zmusił do jakiegoś uśmiechu rozpaczliwego, struny szarpnął silnie i... silnym począł głosem:

*Vinum bonum et suave,
Bonis bonum, pravis prave...
Cunctis dulcis sapor, ave!
Mundana laetitia!*

Choć nie wszyscy rozumieli, wesoła, szalona nuta starczyła za słowa, wszyscy poczuli wtórować Grzesiowi, tupiąc w takt nogami i bijąc o cynowe misy...

Wtem nagle, jakby wysięk ten był nad moc jego, student wypuścił z rąk cytrę, kubek napełniony wychylił do dna duszkiem i powstał.

Twarz mu pobladła i zmieniła się, udawaną radością się zadławił.

Poruszył się z ławy, chcąc wyniść, tłumacząc nużącą podróżą, skwarem i potrzebą spoczynku...

Nie śmiano nalegać. Grześ po chwili wysunął się niepostrzeżenie, rzucił zdala wejściem tęsknem ku pannie młodej, jakby ją żegnał, wmięszal w tłum chodzących około stołu gości i wśród nich zniknął tak, że nie wiedzano kiedy wysliznął się z domku Balcerów.

Tymczasem wesele z muzyką i płasami, do białego dnia trwało...

V

W tych czasach, gdy Grześ przybył do Krakowa, w młodej akademii sławił się starszy od niego wiele, ale rozkwitający do życia Ambroży Boner...

W dwudziestu kilku latach zdobył sobie pierwszy laur akademicki i gdy inni rówieśnicy jego uczyli się jeszcze, on już pisał komentarze nad Piotrem Lombardem.

Dziecię zamożnej rodziny, mógł się spodziewać, okazawszy chęć obleczenia sukni zakonnej, najwyższych dostojęstw w kościele. Prorokowano mu nadzwyczajną przyszłość. Świecił jak dyament, nietylko pomiędzy młodszymi, ale w gronie starych teologów...

Radzili się go doktorowie, podziwiali łatwość argumentowania, dyalektykę, i styl piękny wszyscy owych czasów styliści...

Z nauką, młodością swą, stosunkami rodziny, mógł sobie prędko obiecywać infułę, a nikt nie wątpił, że ona go czeka.

Lecz świetny ten początek całe co innego wróżył, dwudziestokilkuletni księżyna, nagle zamknął się na Kazimierzu w klasztorze ks. Augustyanów Eremitów, u św. Katarzyny, przywdział habit, odbył nowicyat i objawił niezłomną chęć poświęcenia reszty życia na chwałę Bogu i usługę biednych ludzi

Cudowny młodzian, który w zakonie nosił imię Izajasza, stał się jednym z tych mniichów, jakich tylko stare dzieje pierwotnych wieków znały.

Posty, modlitwy, włosienica, nocne nabożeństwa, odwiedzanie chorych, grzebanie umarłych, posługa ubogim, pochłonęły całego... W chwilach odpoczynku zatapiał się w ascetycznych księgach... Z tego życia, którego celem było zapanowanie nad sobą i osiągnięcie chrześcijańskiej doskonałości, nic go wyrwać nie mogło...

Uczony młodzian, którego umysł bystry i erudycja cudownie nabyta, zawstydzali mądrych profesorów, posiwiących nad księgami, nie znalazł u Augustyanów ludzi, coby go ocenić umieli, przecież z pokorą wielką korzył się przed przełożonymi, rozumem i wolą... Był to wzór zakonnika i naówczas już widziano w nim za żywota ubłogosławionego...

Grześ w czasie pierwszego pobytu w Krakowie, gdy Izajasz zwał się Ambrożym i był jeszcze świeckim kapłanem, widywał go i miał u niego łaskę.

Boner ceniał żywy umysł chłopaka, pojęcie łatwe i posługiwał się nim do przepisywania.

Od tego czasu lat upłynęło kilka, Boner się zamknął w klasztorze...

Grześ powróciwszy nie słyszał o nim jeszcze, choć w całym Krakowie za wzór świętobliwości go wskazywano.

Zaraz nazajutrz po weselu, gdy przechodził ulicą zadumany, ten traf, który w życiu Strzemińczyka, grał tak opatrzoną rolę, nastroczył mu... Izajasza, który od grobu świętego Stanisława do swego klasztoru powracał. Miał on do świętego męczennika szczególne nabożeństwo.

Pod tą suknią nową nie byłby go Grześ poznał pewnie, zwłaszcza że i twarz, niedawno rumiana i świeża młodego Izajasza, umartwieniami, postem, dobrowolnemi męczeństwami, nadzwyczaj zmienioną była.

Blady, z policzkami zapadłymi, w starym habicie wytartym, bosi, z nogami poranionymi, nie zwrócił nawet na siebie uwagi zamyślonemu studentowi, który pogrążony był od wczoraj w smutnych jakichś dumaniach o przyszłości, walcząc z sobą i wahając się jeszcze, co pocznie, ale Boner z tem jasnowidzeniem dusz wybranych, które szukają wszędzie

bolesci, aby ją pocieszać, wątpliwości, by ją rozjaśniać, przypomniał go sobie, wyczytał w twarzy jego utrapienie, przystąpił do niego i pozdrowił.

Grześ nie mógł go sobie przypomnieć. Głos i twarz były mu znane, ale człowiek wydawał się obcym.

Mnich położył mu ręką na ramieniu i uśmiechając się łagodnie, szepnął, iż był tym, dla którego on przepisywał niegdyś wyjątki Boecyusza...

Strzemińczyk teraz dopiero poznał go i zawołał zdziwiony.

— Ale cóż z wami się stało?... ta suknia?...

— Dała mi spokój, dobiełem do portu... jestem szczęśliwym — rzekł uśmiechając się Boner. — Dwu panom służyć nie można, wybrałem więc tego, ku któremu wielka mnie miłość ciągnęła... baranka skrwawionego na krzyżu...

Z zazdrością prawie i poszanowaniem skłonił przed nim głowę Grześ i westchnął.

— Widzę z twego oblicza smutnego — dodał ojciec Izajasz — żeś... na rozdrożu, a w niepewności dusza twoja... Chodź ze mną, zwierż mi się, ażali nie przemówi przez niegodne usta Duch święty, może ci pociechę dam, a przynajmniej zaboję z tobą...

Szli tak razem ku klasztorowi św. Katarzyny na Kaźmierz, a Grześ powoli opowiadał o swych wędrówkach.

Choć się ze stanu duszy swej nie zwierzał przed Izajaszem, łatwo mu było z samej powieści go odgadnąć. Milczał mnich nie przerywając... Razem weszli do celi mnicha.

O. Izajasz z umysłu zajmował i wyprosił sobie najnędniejszą, ciemną, wilgotną, małą, a spojrzenie na nią malowało człowieka, który na świecie żył jeszcze, lecz już nie dla świata.

Nie było tu ani łoża, ani pościeli, bo asceta sypiał kilka godzin za ledwie, krzyżem leżąc na podłodze.

W kącie stał klęcznik twardy, a około niego zaschłej krwi krople rozprysłe, świadczące o biczowaniu... Krzyż i trupia głowa koronowały go...

Było to schronienie męczennika...

Z wesołą twarzą wprowadziwszy go, mnich zwrócił się do Grzesia...

— Tu szczęście moje! — zawołał — nie ma go gdzieindziej!

Trwoga jakaś ogarniała studenta, który stał zaniemiały...

— Mów jako przed bratem, co cię boli — dodał zakonnik.

— Znacie trochę żywota mojego — począł Grześ. — Uszedłem z domu rodzicielskiego dla nauki, bom do niej czuł popęd wielki, dla niej o głodzie i chłodzie włożyłem się po świecie. Nie jestem syt, nie wszystka nauka słodką mi się wydaje... Powróciłem w rozterce z sobą samym.

Mam-li wdziak suknię duchowną, czy w życiu czynnem, do którego pochop też czuję, starać się służyć ludziom i Bogu?

Co czynić? co przedsiębrać? nie wiem. Świat mi się uśmiecha jeszcze, nie mam siły się go wyrzec, a potęgą jakąś z góry zdaje się mnie popychać na inną drogę...

Wy, ojczyście szczęśliwi jesteście, bo głos, który mówił do was, inne zagłuszył, a ja...

Izajasz słuchając go, stał z rękami złożonymi do modlitwy i zdawał się więcej może modlić, niż słuchać go, prosić o natchnienie z góry...

— Cóżes przyniósł z tej wędrówki po obczyźnie? — spytał łagodnie...

— Ten sam niepokój z jakim wyszedłem ztąd, wątpliwości wielkie, niepewność wszystkiego, do czego się dobijałem tak usilnie. W tej mądrości ludzkiej, którą zdobyć pragnąłem, za ledwie kielich jej ust moich dotknął, ambrozja się w żółć zmieniała. Co zdala jaśniało mi, zblizka wydaje się nikczemnem... Gdzim się spodziewałem ziarna, pustą znalazłem lupinę...

Izajasz milczał.

— Uczyc się pragnę zawsze, lecz są chwile, w których nauka wstrętną mi jest, bo ją czuję zawodną. Mam-li wdziak suknię duchowną??

Mnich dumął, dał znak ręką i poszedł do klęcznika, padł na kolana, złożył dłonie, pochylił głowę i zatopił się w modlitwie.

Grześ stał patrząc nań z podziwieniem i trwogą.

Na tej rozmowie z Bogiem, Izajasz zdawał się o nim zapominać, nareszcie powstał zwolna... Spojrzał na oczekującego miłosiernie...

— Nie spiesz z tem — rzekł — co powinno być dziełem przekonania i natchnienia. Walczą w tobie nieukołysane żywioły, a walka ta, jak każda w życiu, może być płodną. Ale w tym ducha stanie, do bozkich ołtarzy przybliżać się nie godzi. Pomnij, że pierwsi chrześcijanie katechumenami długo stać musieli po za zgromadzeniem wiernych, niżeli do agapów byli przypuszczeni...

Lepiej jest nie wchodzić tam, z kądem wyjść się nie godzi, niż wnieść ze sobą, nie już zgorzenie, ale wątpliwość. Wzrok twój mgła ziemiska jeszcze zaciemnia, nie widzisz jasno, módl się i pracuj...

Gdy człowiek jest bezsilny, naówczas, na godnego pomocy, spływa łaska... z łaską spokój ducha, a z nią spadają z oczów łuski...

Nie, nie kwap się! — powtórzył Izajasz.

Grześ odetchnął swobodniej.

— Widzisz — dodał Boner — sam kapłan i zakonnik, nie ciągnę cię do tego, co dla mnie portem jest i szczęśliwością, albowiem wyzuc się trzeba ze starego człowieka, aby nowym być, a w tobie kipi krew i bije serce...

— Skazany więc jestem — przerwał Grześ smutnie.

— Na walkę, jak wszyscy ludzie — odparł Boner. — Jedni z nich przez klasztor idą do nieba, inni przez świata drogi cierniste... I purpura bywa włosiennicą i korona cierniem bywa... Różnie powołuje Bóg i sobie służyć każe...

Jak mądre dziewice, czekaj z lampą zapaloną, patrząc aby ci ona nie zagaśła...

Strzemińczyk zbliżył się wzruszony i w rękę go pocałował. Boner zamilkł.

— Pozostaniesz w Krakowie? — zapytał po chwili.

— Sprzykrzyły mi się wędrówki — odparł Grześ — chcę słuchać nauk w akademii naszej i jej służyć...

Pozwolicie ojcze, abym w godzinach zwątpienia i utrapienia, o pociechę i pomoc was prosił?...

— Widzisz — rzekł Boner — zem sam pierwszy zwrócił się do was. Jako służyć wszystkim, tak i tobie, radą a pocieszeniem chcę służyć. Idź z Bogiem w pokój...

Uścisnął go zakonnik okazując mu jakby miłosierdzie wielkie, w czym Strzemińczyk, choć widział pewną pociechę, czuł też przepowiednię ciężkich walk, jakie go na świecie czekały, a które błogosławiony mnich przeczuwał wcześniej...

Pokrzepiony wszakże radą tą i umocniony w postanowieniu czekania, aby się powołanie do stanu duchownego silniej w nim objawiło, wyszedł Grześ z klasztoru i powrócił do miasta...

Zostawało mu wiele do czynienia, a naprzód samo opatrzenie mieszkania, gdyż ks. Wacławowi ciężarem być nie chciał.

W tych myślach na rynek krakowski wchodził, gdy jednego z współbiedników wczorajszych, dawniej też sobie znajomego syna kupieckiego, którego Gąską zwano, ujrzał w wesołym humorze, kroczącego ku Sukiennicom.

Poznał go zdala Gąska i stanął...

Z wczorajszego wesela i biesiady jeszcze mu coś dobrej myśli pozostało. Począł wabić ku sobie studenta.

— Toście wczoraj nam z pola zbiegli niedotrzymawszy placu — rzekł wesoło. — Szukano was nadaremnie...

— Ani się dziwicie temu — odparł Grześ — com miał smutny i znużony robić między wesołymi?

— Bylibyśmy cię upoiłi i rozochocili?

— Albo ja was otrzeźwił i zasmucił. Trosk mam dosyć i do czynienia wiele...

— Ktoby temu wierzył! — rozśmiał się Gąska — albośmy to cię dawniej nie znali, żeście umieli podolać wszystkiemu, tak i dziś... Nie darmo macie głowę na karku...

— I głowa nie pomoże wiele, gdy rąk niema za co zaczepić — smutnie odezwał się Grześ.

— No, mówcież jaśniej, czem się tak frasujecie?

Strzemińczyk z prawdziwej troski mu się spowiadać nie chciał, człowiek był nadto lekki, aby go rozumiał, więc tłumacząc się od niechcienia, rzekł, że nawet gospody sobie nie znalazł jeszcze...

— Tak-że mów — przerwał Gąska — i chodź ze mną... Wicie lub nie, zem po ojcu dom odziedziczył przy Grodzkiej, żyję w nim sam z matką, izb dosyć próżno stoi... Wybierzcie sobie jaką zechcecie...

— Najmiecie mi ją?

— Dam lub najmę, jak wola — odezwał się Gąska. — Wiem to, że wy pisać musicie, a do pisma światła potrzeba, nad gankiem izdebka jest, wschodki do niej nieosobliwe, ale nogi masz młode...

— Chodźmy — rzekł Grześ.

Tak się mieszkanie znalazło rychło. Komora była prawie próżna, a służyła dotąd tylko znajomym gościom do Krakowa przybywającym.

Gąska nie żądał za nią wiele i dodał śmiejąc się, iż Grześ za komorne czasem mu pieśń zaśpiewa...

Zeszli potem na dół do staruszki matki Gąski, która w swej izbie siedziała, niebardzo się już poruszając mogąc, bo niemoc w nogach miała i z krzesła służby i gospodarstwa dozierała.

Pomimo wieku i osłabienia, babina wesołą była, nudziło się jej samej w domu z dziewczkami, syn rzadko przesiadywał, powitała nowego komornika bardzo rada, że ich w domu więcej będzie.

Strzemińczyk też miał to szczęście, że się powierzchownością niewiastom podobać umiał. Stara jejmość dla gościa i dla syna, chcąc ich zatrzymać dłużej, wina zagrząć kazała.

— Chwalić Boga, że was mój Maciek złapał — rzekła — w domu nas więcej będzie... Nie chce mi się żenić, choć go proszę i swatam; a ja stara już w domu podołać nie mogę... Pomożecie mi może, aby go do wesela namówić...

Tu babuś przerwała sobie.

— Nie napatrzyłeś tam kogo na weselu? — spytała, i nieczekając odpowiedzi ciągnęła dalej. — Ot i tę, Lenchen Balcerów, gdyby był jeno chciał, byłby miał, jak Bóg żyw, a dziewczę śliczne i wiano piękne...

— Ale! ale — przerwał Gąska — Balcerówniej dostać nie było łatwo. Prawda że piękna i bogata, ale za mąż iść cale nie chciała, i rodzice ledwie ją na pół uprosili, wpół zmusili...

— Cóż to jej było w głowie? — spytała stara.

— Pewnie sobie roila panka. Wojewodzica czy kto ją wie kogo... — mówił Gąska. — A i to pewna, że choć mąż chłopak ładny i nieubogi i rodzina poczciwa, ledwie nieledwie ją matka skłoniła...

Staruszka kiwała głową.

— Drożyła się — wtrąciła — jak to one wszystkie; a takie małżeństwa przecie najlepsze bywają. Z wielkiej miłości zawczasu, potem tylko kwasy i swary...

Grześ, który słuchał z uwagą, tknięty tem, iż o Balcerównie powiadano jakoby za mąż iść nie chciała, poruszył się ciekawie.

— A zkądże o Balcerównie wicie, iż do kobierca ochoty nie miała? — zapytał.

— Całe miasto wie o tem — rzekł Gąska. — Osobliwa była dziewczyna, bo jej pan Bóg wszystko dał, a tak chodziła zawsze zatęskniona i smutna, jakby najnieszczęśliwszą była. W końcu kumoski matce otworzyły oczy, że ją koniecznie za mąż wydać trzeba...

— No, i dobrze ją wydali — odezwała się matka Gąski. — Mąż, chłop dorodny, dobry, stateczny i szpetny nie jest.

Słuchający syn, palcem się w czoło uderzył, babina to postrzegła.

— To co? — przerwała — albo ona za dwoje rozumu nie ma... Wszyscy przecie i o tem wiedzą, że ona na kobietę aż nadto oleju ma w głowie. Nie wiem czy nie kłamię, ale rozpowiadali, że pisać i czytać ktoś ją potajemnie nauczył...

Zarumienił się Grześ i spuścił oczy.

— A co jej potem — dodał Gąska — wolałaby szyć i kuchni pilnować...

Matka nie zaprzeczała temu. Strzemińczyk się nie mieszał do rozmowy. Wtem gospodarz wstał i odezwał się.

— Nie pójdziecie dziś do Balcerów? Wesele trwa i pewnie jeszcze dni kilka się przeciągnie. Ja zajrzę też, chodźcie ze mną.

Zawahał się Grześ, ciągnęło go tam bardzo, obawa jakaś odpychała. Iść tam, aby mu serce bolało więcej? Nigdy on wprawdzie na wielkiej przyjaźni do swej uczennicy, nadziei żadnych nie pokładał; wiedział, że ubogie chłopie, choć szlachectwo jego coś ważyło, do

zamożnej kupcowej nie mógł się posunąć, a jednak teraz, gdy ją widział zamężną, zazdrość i jakieś uczucie niewysłowionej bolesti, serce mu uciskało...

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Gaska nalegać począł mocniej.

— Chodź ze mną. Wczoraj za wami tam wszyscy się oglądali, będą wam radzi...

— Wyście też byli na weselu? — zapytała stara.

— A jakże! — rzekł Gaska. — Stary pono znajomy Balcerów i bardzo go tam witali serdecznie.

Strzemińczyk z gorzkim uśmiechem zwrócił się do gospodyni.

— Tak — rzekł — gdym pauprem przybył do Krakowa lat temu już sporo, pierwsi mnie żywili Balcerowie.

Staruszka potrząsnęła głową, Gaska tymczasem za rękaw go ciągnął i nalegał.

— Chodź ze mną...

Rozum iść nie kazał, a słabość ludzka ciągnęła. Grześ w końcu dał się skusić.

Dnia tego wprawdzie już wczorajszego ścisku i tłumy nie było, ale wewnątrz dworek pełniuteńki, i muzyka i ochota a okrzyki około stołów, z których miski i dzbany nie schodziły.

W progu ich powitała Balcerowa, z twarzą zmęczoną i posępną...

Grześ wsunął się nieznacznie, szukając pani młodej oczyma. Siedziała sama otoczona mężatkami, a mąż jej wesół w drugim końcu izby poił gości... Żona, jak matka, zdawała się znużoną, blada była jak wczoraj, i roztargnionym wzrokiem toczyła po izbie, gdy niespodzianie Grześ się jej nastęczył.

Lekki rumieniec okrył jej twarzyczkę, i jakby się lękała, aby gość ten jej nie uszedł znowu jak wczoraj, wstała żywo, śmiało się zbliżając ku niemu...

Uśmiezek zjawił się na jej ustach...

Strzemińczyk widząc ją wprost idącą ku sobie, musiał też naprzeciw niej kilka zrobić kroków. Goście weselni, których pełno było, podweseleni, mało na co zważali, tak byli sobą zajęci. Wśród nich więc mogli tak swobodnie rozmawiać, jakby się na osobności znajdowali...

— Długo, długo was w Krakowie nie było — zaczęła cichym głosem Lena. — Wam w podróży czas biegł pewnie prędko, nam tutaj powoli. No! i wy mnie porzuciliście dzieckiem, a znaleźli w czepcu!

Westchnęła. Grześ się silił na wesołość.

— W sam czas przybyłem — rzekł — aby wam powinszować...

— Nie wiem czy jest czego — przerwała — bo mnie się iść za mąż serdecznie nie chciało... Ale ojciec kazał, matka prosiła i płakała...

Spuściła oczy jakby je ukryć chciała.

— Zostaniesz w Krakowie? — spytała.

— Muszę — rzekł Grześ — powróciłem jak wyszedłem z sakwy próżnemi, pracować potrzeba, a między swemi lżej i ochotniej...

Oczy Leny podniosły się teraz i długo uparcie wlepione pozostały w Grzesiu. Zdawała się porównywać żywego z tym, który został w jej pamięci.

— Nie zapominajcież o nas — odezwała się spokojnie — gdyście Bogu dzięki wrócili. Stara przyjaźń nie powinna umierać.

— Wdzięczność tem bardziej — przerwał Grześ. — U waszego progu pierwszy znalazłem chleba kawałek i miłosierną rękę...

Na tę rozmowę poczętą ledwie, młody mąż Balcerówny nadszedł, szukając jej nie-spokojny, wesołą twarzą witając wczorajszego gościa... Z drugiej strony przysunęła się matka, a tuż i niektórzy z gości, przypomniawszy śpiew Grzesia, targać go zaczęli, znowu się o pieśni dopominając.

Dlaczego Strzemińczyk znalazł się teraz usposobionym lepiej i prosić się nie dając, wziął cytrę, sam on pono nie wiedział... Kołem otoczyli go wszyscy, cicho się w izbie zrobiło, i miłosa pieśń stara niemiecka zabrzmiała... Grześ wprawdzie zdawał się na struny cytry patrzeć tylko, lecz ukradkiem wzrok jego biegał po izbie...

Smutek ranny, niepokój i zwątpienie, które go do celi Izajasza zawiodło, wszystko co od niego słyszał, zapomniane zostało... Świat mu się wydał nie tak czarny, życie w nim nie tak utrapione, przyszłość nie tak groźna...

Mógł zdaleka patrzeć choć na cudze szczęście... Nie sami źli ludzie byli do koła... Śpiew przynosił pociechę, a grzechem być nie mógł...

Czemu nie miał pozostać takim śpiewakiem ptaszyną, co nucąc drugim i sobie żywot osładza?...

W tych myślach dokończył piosenki, i natychmiast drugą rozpoczął... Cały teraz był znów, jak nieraz w chwilach niedoli wędrownego życia, w pieśni, która go przenosiła jakby gdzie wyżej i dalej, a nie dała boleć nad tem, co było blisko.

Cudowna moc poezji i muzyki upajała jego samego powoli, a siła jej też ze śpiewaka promieniając, owładowała wszystkimi.

Kobiety miały na oczach łzy, mężczyźni dumali, wzdychali starzy, rozmarzali się młodsi, on zapominał... Stąpano coraz ostrożniej, szeptano coraz ciszej, i gdy on nareszcie zamilkł, długo jeszcze czekano, czy nie rozpocznie na nowo...

Wtem pani młoda, która z innymi razem zasłuchiwała się w pieśniach, jakby rozbudzona, poszła do stołu, nalała kubek i przyniosła zadumanemu śpiewakowi.

Grześ się porwał.

— Za zdrowie wasze! za szczęście! — zawołał głośno, ale ze drżeniem jakimś.

Obstąpili go wszyscy, rozmowa na chwilę przzerwana stała się gwarną, a student kozystając z nowego napływu gości, wysunął się do nowego swojego mieszkania.

W kilka dni potem był już obeznany ze wszystkimi i oswojony ze swym położeniem. Na tułactwie wielu rzeczy liczył i zakosztował, do wielu skarbnic zajrzał, nie miał czasu nigdzie czerpać do dna. Wszystkie strony słabe nauczania i nauki bystry wzrok jego pochwytał, a poważnych zaniedbał... Potrzeba było czas niestracony, ale dopiero teraz mający się na korzyść obrócić, spożytkować, biorąc się do studyów gorliwie. Wiedział już Grześ, że łupin znajdzie wiele, że powłoki mu zaciężą, formy znużą, wywody zdadzą się niepożyteczne i długie, lecz rozumiał i to, że wykłady nie dla samych bystrych i pojętnych przeznaczone były, ale też dla nierozbudzonych i leniwych, którzy nic o własnej sile nie mogli zdobyć, a wedle wyrażenia gminnego, wszystko im łopata w głowę kłaść było potrzeba.

Z pomocą dawnych swych znajomych i towarzyszków, za protekcją kanonika Wacława, nietrudno mu było przyjętym zostać na słuchacza w kolegium mniejszem, które sam wybrał sobie...

Pomnażały się właśnie w owym czasie kolegia, i akademia rozrastała szczęśliwie, chociaż cała ona na ofiarności ludzi, na miłości nauki i poświęceniu się dla niej opierała. Szczupłe były, zaledwie najniezbędniejszym potrzebom starczące, pierwsze fundusze profesorów, którzy jeżeli głodem nie marli, winni byli swym beneficjom duchownym i bardzo skromnym wymaganiom. W kolegium większem i najstarszem, na stół (*mensa vere philosophica*), którym się tylko filozofowie mogli zaspokajać, zbierano co tydzień grosz wdowi... Jadano razem i wesołość a chrześcijańska wstrzeźliwość stanowiły potraw ubogich przyprawę.

Mieszkali tu sami teologowie i filozofowie, a życie było istnie klasztorne i reguła surowa...

Kolegium mniejsze, w którym Grześ miał słuchać nauk, założone i wyposażone przez dobroczynnych ludzi, mieściło się w skromniejszym, drewnianym budynku, było uboższe jeszcze, ale życie w niem mnożyło się i rosło... Miłość nauki je ogrzewała i karmiła. Tu więcej i przeważniej zajmowano się poezją, retoryką, gramatyką... wymowy profesorów płacił zapis Nowkona, astronoma Stobnera, a poetę Mężykowa wojewodzina ruska. Inni profesorowie żyli prawdziwie łaską Bożą i manną niebieską. Nikomu to wówczas nie zdawało się ani dziwnem, ani złem, ani uwłaczającym, owszem znajdowano, że zgodnie z powołaniem swem filozofowie i poeci, którym marność świata tego były obojętne, zatopieni w kontemplacji piękna i prawdy, łatwiej od innych bez chleba i dostatków obejść się mogli.

Było to logicznem, licowało z pojęciami wieku i nie odstręczało wcale od nauki i poświęcenia się jej całkowitego...

Grześ nie potrzebował wkupiać się do gromadki studenckiej, która go znała i wiedziała, że wielekroć wprzód Beanusa z niego otrząśnięto, rogi mu opiłowano, myto, golono i uczono *participiów* szczypaniem...

Tylko się bez uczty, *propiny*, nie obeszło, na którą Strzemińczyk zaprosił współtowarzyszów... i sam smutny dosyć, wesołością się ich cieszył. Położenie jego było zupełnie odrębne i wyjątkowe... Umiał więcej od wszystkich współuczniów, a równo może z wielu profesorami; nauka jego, pochwytana łatwo na rozdrożach, szerzej sięgała, niż szczupłe zakresy programów ówczesnych, lecz jak w sakwach jego podróżnych leżał Virgiliusz obok Stacjusza i Plaut z Gualterem de Vino Salvo, tak i w głowie młodej zapasy nie były uporządkowane...

Współuczniowie i profesorowie zarówno byli przybysza ciekawi, lecz Grześ w początku, z wyjątkiem kanonika Wacława nie otwierał się nikomu. Chodził pilno do lektoryów, słuchał uważnie, a gdy stawało czasu, zbiegał i do kolegium większego wciskając się między teologów, i do kolegium lekarskiego na ulicę Kanonną.

Z tego, co się w jego umyśle działo, z procesu ducha, który potrzebował owładnąć sobą i przyjść do równowagi, nie spowiadał się nikomu.

Im więcej trapiły go wątpliwości, im mniej był zaspokojony pokarmem duchownym, jaki mu z katedry podawano, tem uparciej milczał, i z poszanowaniem przyjmował, co było na dziennym porządku.

W oczach jego tylko czasem baczniejszy postrzegacz mógłby był pochwycić coś jak ironię i zdumienie, jak rozczarowanie i czasem zwątpienie.

Niektórzy z nauczycieli bystrzejsi, zdawali się przeczuwać w nim sceptycyzm i krytykę, lecz nie wydał się przed nimi...

Składało się zresztą wszystko pomyślnie dla niego, nauka nie wymagała zbyt wiele czasu, bo był do niej przygotowanym, resztą więc poświęcić mógł przepisywaniu, które się opłacało a znużony grał i śpiewał, sobie lub drugim.

Śpiew był dla niego jakby napojem Letejskim, zapominał nucąc o tem, co mu ciążyło, w świecie poezji chmury zwątpień znikaly przy jej słońcu...

Rozweselał się czasem aż do młodzieńczego szału, który trwał u niego niedługo. Jedno nic czyniło go poważnym i chłodnym.

Zapraszany do zamożnych mieszczańskich domów, ugaszczany dla głosu tego, ulubieniec kobiet, bo piękność jego zyskiwała mu serca równie jak talent. Grześ czasem dawał się wciągać między ludzi, a niekiedy zamykał i dziczył.

Pomimo zapraszań swej dawnej uczennicy Leny i jej męża, Strzemińczyk widocznie domu ich unikał i wyraźne chyba wezwanie, na chwilę go tam sprowadzało.

W kilka miesięcy po przybyciu do Krakowa, dnia jednego wychodząc z kościoła, w którym na chórze śpiewał, spotkał Grześ u drzwi stojącą i jakby oczekującą na kogoś starą Balcerową. Byłby ją pominął skłoniwszy się, bo mu pilno było, ale go sama zatrzymała.

— Patrzajcie niewdzięcznika! — odezwała się do niego — żebyś to choć zajrzał do nas?

Grześ ruszył ramionami.

— Roboty mam siła — rzekł chłodno.

— Nie plótlbyś, kiedy wiem, że u innych gościsz, u Keczerów i Sowki godzinami siadujesz? Córka i zięć prosili cię, ja także, i doprosić trudno. Masz co do nas??

— Uchowaj Boże — zawołał Strzemińczyk zmieszany. — Byliście dla mnie jakby rodzice drudzy, sercem zachował wdzięczne.

— A okazać nam tego nie chcesz?

Grześ głowę spuścił. Przyparto go do ściany, zamyślił się i podniósłszy oczy, śmiało spojrzął na Balcerowę.

— Byliście mi matką — rzekł poruszony — nic dla was tajnego mieć nie chcę. Nie przychodzę do was, aby sobie serca i Lenie nie rozraniać, alboż nie wiecie, żem ją kochał i Kocham? Trudno miłość utaić, a ludzie są zli...

Balcerowa trochę się zmieszala.

— Kochaliście się dziećmi — rzekła powolnie i niewyraźnie — no, to cóż? została przyjaźń... Lena za wami tęskni... ciągle was wygląda, przypomina i widzieć żąda... Bez złej myśli, jako przyjaciel i brat, czemubyście przyjść nie mogli??

Zatrzymała się trochę stara i dodała głosem cichszym jeszcze...

— Choruje, Bóg widzi z tęsknoty za wami... Nie dziwaczcie...

Grześ jeszcze chciał coś mówić, ale stara go za rękę pochwyciła i dodała żywo.

— Przyjdźcie a prędko. Powinniście...

I odwróciwszy się odeszła.

Grześ stał chwilę jak upojony, i zebrawszy myśli nierychło, z głową zwieszoną do domu się powlókł.

Tego dnia jednak do Balcerów nie przyszedł. Nazajutrz w biały dzień, bo mu się to właściwszem zdało, zjawił się we dworku.

Zastał Lenę z matką, starego Balcera i męża nie było. Zobaczywszy go stara, aż do progu podeszła witać i usadowiwszy przy córce, sama z izby się wysunęła.

Z początku słowa do siebie przemówić nie mogli.

— Któraż was mieszczka oczarowała, tak, że już o nas zapomnieliście? — odezwała się Lena.

— Bóg widzi, żem na te czary zbrojny, i przystępu one do mnie nie mają — odparł Grześ. — Albo w kolegium siedzę lub w domu, rzadko mnie wyciągną z niego...

Lena zaczęła mu patrzeć w oczy.

— Czy dlatego, żem za mąż poszła — dodała — nie chcecie mnie znać? Ależ was pięć lat nie było i o was ani słuchu, ojciec naglił, matka prosiła, opierałam się długo... wręciem musiała dla nich do ołtarza iść...

— Albożem ja mógł mieć jaką nadzieję? — przerwał Grześ smutnie. — Dlatego właśnie zeszedł wam z oczów, że jej nie miałem... Chcę widzieć was szczęśliwą i dlatego smutnej twarzy mojej tu nie przynoszę.

— Oh! — zawołała Lena — a ona przecie jedna rozweselićby mnie mogła. Dopóki was tu nie było, choć tęskniłam, alem znosiła lżej samotność, teraz gdy o was wiem, słyszę, tom zazdrosna...

Jam przy was wzrosła i żyć zaczęła...

Głos jej drżał.

— Szczęśliwe to były czasy — rzekł student — a co dawniej było wolno, dziś wzbrowione...

— Nie chcę o tem wiedzieć — przerwała kobieta gorąco — jakośmy byli, tak być powinniśmy! Chcecie chyba, abym wam w oczach zmarniała?...

— A Frączek co powie? — zagadnął Grześ.

— Frączek? — z lekceważeniem dodała Lena — to tylko powiedzieć może, co ja mu pozwolę! Ani się go boję, ani się przed nim kryć myślę... Wie on dobrze, żeśmy przyjaciółmi byli i musi was za mego przyjaciela przyjąć!

Ja was widywać chcę i przychodzić musicie do mnie!

Rozkaz był stanowczy...

— A ludzie? — szepnął Grześ.

— Co mi do ludzi, a im do nas! — odparła Lena.

Nadeszła na to Balcerowa na misce niosąc wino i owoce, aby gościa jak najdłużej zatrzymała. Pod ręką trzymała cytrę, która też miała swe znaczenie.

— No, proszę dobrej myśli być, abyście mi Lenę rozweselili — rzekła. — Pij, zakąsuj i śpiewaj... Będziemy was we dwie słuchały...

Strzemińczyk dłużej już nie walczył z sobą i nie opierał się. W istocie myśl dobra przyszła i śmiech na usta, proszony czy dobrowolny, poznać było trudno. Lenie też twarzyczka się zmieniła, pojaśniały oczy, zarumieniło lice, dziewczęcy humor, dawno nie widziany, powrócił. Z tej zmiany Balcerowa tak się czuła szczęśliwą, tak wdzięczną, że po pierwszej piosence pocałowała w czoło zawstydzonego Grzesia, a potem córkę.

Zapomniała o wszystkim zobaczywszy ją na chwilę szczęśliwą, odmłodzoną, taką jaką oddawna nie była.

Od tego dnia Strzemińczyk się nie mógł już obronić zaproszeniom do Balcerów i w końcu się im nie opierał. Przychodziła po niego Balcerowa, czasem otyły kupiec przez nią wysłany, a nawet Frączek, który najnatarczywiej właśnie nalegał i tak był zawsze wesół, a wcale niezazdrosny, iż Grzesia zupełnie ośmielił.

Młode mieszczki wprawdzie mówiły o tem dużo, śmiano się z Frączka, szepiano i zazdroszczono Lenie śpiewaka, ale głośniejszy nikt nie ośmielił się złego rzec słowa.

Obyczaje tamtych czasów, wiele swobodniejsze, dopuszczały w stosunkach poufałości większych, nie biorąc ich za złe. Grześ zresztą jako śpiewak wszędzie chwytny i pożądany,

miłością muzyki się tłumaczył. Ciągnęli go i panowie i duchowni do chóru, a nawet na dwór królewski go ściągnano...

Wśród współuczniów i w kolegium swem, Strzemieńczyk, jakeśmy mówili, stanowisko sobie zdobył odrębne. Jeżeli spór i trudność jaka zachodziła, o których rozstrzygać było potrzeba, rzadko się obeszło, aby go starsi nie zapytali o zdanie. Grześ wstrzymywał się od zbyt rzeźkiego sądu, starał się pojednawczo występować, chociaż ludzie o ironię go posądzali.

Usta mu się czasem ściągały jakby do śmiechu, który hamował...

W wielu przedmiotach nieuka udawał, ażeby sporu uniknąć...

Po dwu latach już mu bakałareat przepowiadano rychły, ale on zdobyć go nie spieszył.

Postarzały ks. Wacław zajmował się nim szczególnie i ciągle nakłaniał, aby kleszą suknię, którą już nosić musiał jako student, na duchowną zamienić.

— Nie naglijcie ojciec — odpowiadał Grześ. — Sam ja wiem i czuję, że ją wdziać muszę, ale zawczasu nie chcę, aby mi młodych ramion nie paliła... Bakałarstwa też dobijać się nie spieszę, dopóki nie zbadam wszystkiego, nie wysłucham do końca i nie uzbroję się w męztwo wielkie...

Kanonik patrzył ciekawie, nie spełna rozumiejąc.

— Od wielu bakałarzy i mistrzów umiesz więcej — rzekł — a zdaje się jakbyś z nauką tań się i zaczajał. Przecz to czynisz?

— Boć i obóz, do którego żołnierz się wpisuje — rzekł Grześ śmiejąc — i nieprzyjaciela, z którym się walczyć ma, dobrze poznać trzeba, nim się wyda wojna?

— Wojna? komu? — zapytał ks. Wacław.

Strzemieńczyk się zawahał.

— Kto wie z kim wojować przyjdzie? może właśnie z tymi, których ręce żywiły... i którym wdzięczność należy.

— Nie rozumiem — odparł starszek.

— Wszakci — dodał Grześ — bakałarstwo jest ślubem i przysięgą prawdzie, której sprawy bronić przeciw wszystkim obowiązkiem?

Kogo tym laurem uświęcą, ten jak rycerz prawdzie służyć musi, choćby przeciw rodzonemu?

— Nie rozumiem! — powtórzył kanonik. — Sąż między nami prawdy nieprzyjaciele?

Uśmiechnął się Grześ.

— Są może tacy co sądząc, że jej służą, męczą ją i katuja — zawołał. — Sądzicie ojciec, że nauczanie u nas takim jest jakby być powinno? że ci co oczy otwierają drugim, sami widzą?... że nic nie potrzeba naprawiać, nic burzyć, i z żadną nieświadomością a przesądem walczyć??

Starszek podniósł głowę i widać było, że się uląkł.

— A któż mówi ci, że ty jeden widzisz od wszystkich lepiej? i że burząc, z gruzów potrafisz odbudować gmach nowy?...

Pomnij na to, że pod dziurawym dachem lepiej czasu słoty mieszkać, niż nie mieć żadnego... Cóż gdy przy burzą dom wywrócisz?

Grześ stał zadumany, gryząc usta.

— Dlatego też sięgnąć po bakałarstwo nie spieszę, ojciec mój.

Mylić się mogę, zataić w sobie wątpliwość sumienie nie dozwala. Naówczas walka rozpoczęta posłuży na to, aby prawda zwyciężyła. Unikać jej grzechemby było.

Ks. Wacław zamilkł, zwieszając głowę na piersi.

— Czyń więc — rzekł — jako cię natchnie Duch boży, a com naglił do pośpiechu, mówię ci teraz, rozmyślaj i rozważ nim rozpocznesz bój, bo w gmachy światła i pokoju wnieść pochodnię wojny odpowiedzialność wielka...

Grześ w rękę go, pochyliwszy się, pocałował i zamilkł, tak jak był zwykł dotąd milczeć wyzywany, aby myśli swych nie zdradzić.

I stał znowu posępny a uważny na każde słowo w lektoryach i gorliwiej niż kiedy ucześnie na wykłady, a pytany odpowiadał chłodno i niejasno, jakby siebie niepewnym był.

— Zagadkowy człowiek! — mówili starzy profesorowie.

VI

Tak biegły lata, nadszedł wreszcie r. 1433, który w życiu Strzemińczyka miał być tą chwilą przełomu, co jedną epokę zamyka, a drugą otwiera.

Sięgnął po dawno mu należny laur akademicki, po który schylić się tylko potrzebował. Wszyscy wiedzieli, że otrzymać go był godnym, a jednak dysputa stanowcza, w której pokonał wszystkich swych przeciwników, napełniła ich zdumieniem, wprawiła niemal w osłupienie. Młodzieniec ten milczący, pokorny, skromny, nagle zmienił się im w oczach, w zuchwałego, wymownego, pewnego siły swej człowieka...

Przy rozprawach okazał taką umysłu dojrzałość, uczoność i samoistność przekonań, tak nowe i śmiało rzucał zdania, że ludzi trwożliwych, szanujących tradycje, napełnił niewymowną trwogą.

Wybuchło to nagle jak lawa z wulkanu, która się w łonie jego oddawna zbierała...

Spodziewano się zawsze po nim wiele, ale nie tego nowatora, jakim się im teraz objawił.

Od lat dwóch pozyskał już był sobie sławę z pracowitości i erudycji, był wyrocznią w kwestyach piśmiennictwa starożytnego, lecz nie wynosił się z tego i pytany, odpowiadał treściwie i skromnie.

Wiedzano, że wiersz łaciński płynął mu z pod pióra, jakby go nic nie kosztował, że wyzwany mówił wytwornie i z łatwością, a pisarzy łacińskich nie tylko znał dobrze, ale ich prawie na pamięć umiał wszystkich...

Trafiało się dawniej, że wstrzemięźliwy w mowie i skromny, czasem jakby mimowoli strzelił sarkazmem, rzucił słowo obosieczne, dowcipnym sądem rozstrzygnął zawile zadanie, ale natychmiast hamował się i w ostrożnem zamykał milczeniu.

Nikt wielkiej myśli nie umiał jak on w krótkich pomieścić wyrazach. Słowa jego były jak cięcia szabli ostre i zabijające.

Ale dotąd nie szafował niemi.

Starsi, chociaż był dla nich z poszanowaniem, przeczuwali w nim wroga i patrzali nań z obawą, która się teraz usprawiedliwiła.

Laur akademicki, uczynił go nowym człowiekiem, spadły zasłony, odkrył się cały, jakim był. Wyglądał jak wyzwoleniec rzymski, gdy z niego zrzucano kajdany...

Wzrok, postawa, mowa, wszystko w nim było odmienne. Wczoraj jeszcze nieśmiały i zamknięty w sobie, pokornie sądzący *in verba magistri*, teraz z dziwną stanowczością mówił z siebie, nie oglądając się na nic.

Zwykła *wesoła biesiada*, na którą młody bakałarz mistrzów swych zaprosił, dała miarę tego czem być miał nowy profesor poetyki w kolegium mniejszem...

Przy miodzie i winie, które starym kolegiatom usta otworzyły, rozmowa wszczęła się żywą i poufną.

Spodziewano się, że wedle modły przyjętej wykładać będzie jednego z tych poetów, którzy w średnich wiekach niezasłużoną wziętość mieli, Statiusa lub Alana *De planctu naturae*, opierając się na silnej podstawie gramatyki Aleksandra i Prisciana.

Na wspomnienie o gramatyce, zaczął się Grześ uśmiechać.

— Nie godzi się nią pogardzać — odezwał się wesoło — ma i ona swą wagę a dobrą stronę, ale nią samą nauki języka ograniczać nie można.

Cobyśmy powiedzieli o człowieku, który bramę do miasta mając otwartą, drapałby się do niego przez mur wysoki? Zaprawdę gramatyka tym murem bywa, gdy poeci i pisarze są drzwiami... Przez nich do wnętrza mowy wnijść łatwiej...

Starzy pedagogowie spoglądali po sobie... Strzemińczyk mówił dalej...

— Z poetów też wybierać potrzeba takich, co w czasach, gdy naród żył, śpiewali, a nie pogrobowych lub tych, co łaciny się uczyli, gdy Latium i Romy nie stało.

— Więc kogo? — spytał nieco obrażony stary profesor, który słuchając usta wydymał.

— Niech na to odpowiedzą dzieje, nie ja — odezwał się Grześ. — Złotego wieku Augusta poeci są najpiękniejszą literatury ozdobą; dalej gdy państwo za cesarów pod ich purpurą krwawą chyli się do upadku... z obyczajami język się psuje... Jak w chorym człowieku ciało się wydyma, żółknie i marszczy, tak w chorym narodzie mowa się staje zgrzybiałą.

Potrząsano głowami, ale nikt zaprzeczać nie śmiał.

— Pytam — odezwał się po chwili stary — kogóż weźmiesz do wykładu?

Grześ milczał trochę, jakby nie namyślał się, ale ciekawość chciał tem większą rozbudzić. Oglądał się i uśmiechał.

— Jak myślicie? — zapytał.

— Widzimy już — wtrącił drugi z panów kollegiatów — że was, mości Grzegorzu, odgadnąć trudno. Pragniecie nowości i one wam smakują.

— Zaprawdę! pragnę ich tak, jak nowych butów, gdy stare chodaki nogi cisnęły i podarły się na nich — odparł Strzemieńczyk — nowość ma to do siebie, że umysły rozbudza i nęci. I to coś warto. Cóż dopiero, gdy jest prawdziwie piękną i pociągającą?

Możeż piękniejszym językiem, wierszem dźwięczniejszym pisać kto, a raczej śpiewać, nad czarodzieja Vergila?

Szmer powitał to imię znane, lecz w szkołach nieupowszechnione. Nie czytano w nich ani *Sielanek*, ni *Georgik*, ani się ważono pokusić o *Eneidę*.

Starsi ramionami ruszali. Czytać Vergila? była to niesłychana zuchwałość. Nowy bakałarz miał się li naprawdę porwać na tego poetę? Niedowierzano.

Starym wygodniej było powtarzać to, co słyszeli, nie łamać sobie głowy nad trudnościami nowego wykładu...

— Od *Eklog* rozpocznę — odezwał się Grześ śmiało. — *Eklogi* i *Georgiki* w kraju rolniczym jak nasz, łatwe będą do pojęcia i umiłowania. U nas też wieś i rola życie stanowią...

Przez poezję tę trafię do gramatyki i obojga zrozumienie ułatwię...

W pierwszej chwili, przy biesiadzie wzięto oświadczenie za przechwałkę... Za plecami Grzesia starsi ramionami ruszając, wiary nie dawali jego obietnicom.

Lecz nie w tym jednym przedmiocie, czasu pamiętnej wesołej biesiady, Strzemieńczyk zdumiał zuchwalstwem swym siwowłosych mistrzów.

Pomimo lat wielu nauki, które go ukołysać i obuzdać były powinny, świeżo uwieńczony bakałarz zdawał się młodo i nazbyt gorąco zapatrywać na wszystko, za mało okazywać poszanowania dla tych zasad i pewników, które miano za niewzruszone.

Wszczęła się u drugiego stoła dysputa filozoficzna, w której dwaj przeciwnicy zapuściwszy się w scholastyczne formuły, poczęli sobie docinać boleśnie.

Szło o dystynkcyę tak subtelne, o definicyę tak wyrafinowaną, o jakąś naturę, istotę, byt, schwycone w chmurach nie w rzeczywistości, że spór rozstrzygniętym być nie mógł, bo był logomacją, któremu brakło rzeczywistej faktów podstawy...

Zamilkli wszyscy, podziwiając nieporównaną dyalektykę dwóch filozofów teologów...

Grześ także słuchał, ale z szyderskim na ustach uśmiechem, jakby tę niezwyčajnej wagi kwestyę miał za spór *de lana caprina*.

Nie śmiał głośno wyrazić zdania swojego o przedmiocie, dla którego samo nieposzanowanie, mogło być za herezyją poczytanem, ale twarz i rysy jego zdradzały, że mu się śmiać chciało.

Stojący przy nim młodzian, trącił go, ciekaw będąc czyją weźmie stronę. Zapytał go o to. Grześ ramionami poruszył, schylił mu się do ucha i szepnął po łacinie.

— *Vigilantium somnia!* sny na jawie! Omackiem szukają prawdy — dodał. — W tych subtelnych myśli wywodach, jak pajęczyna cienkich i kruchych, nie ma nic tylko to, co z siebie owe uczone pająki wysnuły...

Nie patrzą oni na człowieka, ani na naturę, roją i marzą.

Naukę ja inaczej rozumiem; potrzebuje ona podstawy doświadczeń i zbierania ich... Dopiero gdy ludzie nagromadzą dosyć danych, coś z nich na pożywienie wyciągnąć będzie można... Wiemyż my co? zdobyliśmy sami choćby ziarno. Nawet z tych spichlerzów starych, które Grecy i Rzymianie nasypywali, myśmy zapasu gotowego nie wyczerpali... Bawim się nie uczymy!

Młody słuchacz, może niedobrze rozumiejąc całe zuchwalstwo tych twierdzeń, na ów czas zbyt śmiały, milczał niemal osłupiony...

— Czegóż i jak uczyć się waszem zdaniem potrzeba? — spytał nieśmiało.

— Wszystkiego co nas otacza — rzekł Grześ. — Żyjemy zamknięci w świecie bajecznym, któryśmy sami stworzyli sobie, gardząc naturą i tem, co onaby nam łatwo dać mogła. Od mrówki do wielbłąda, wszystko to są przedmioty dla nauki. A i ten świat starożytny, co nas poprzedził, przysypany gruzami, któreby odgarnąć potrzeba.

Wszystko co dnia tego mówił bakałarz młody, tak nie licowało z tem, co zwykle było w obiegu, iż po części na upojenie przy biesiadzie dziwne jego zdania składano, a niektórzy brali je za trefne żarty.

Jeden ze starszych mistrzów, który mistrza Wincentego (Kadłubka) czytał, począł się rozwodzić nad pięknnością tej kroniki, błogosławionego i świętobliwego męża skreślonej ręką...

— Mąż świętobliwym był i przed jego pokorą zakonną a cnotą uchylić potrzeba czoło — odezwał się Grześ — ale kronika, widzi mi się, do wykładu w szkołach niebardzo się nadała...

Zmarszczyły się czoła, podniosły ręce. Napaść ta na czczonego mistrza, wydała się targnięciem na sławę narodu i niemal zbrodnią.

— Łacina w kronice — rzekł Grześ — wzorową nie jest, styl napuszony, retoryka to nie dzieje... Gorzej zaś nad to, że ucząc historii tej, bajek uczymy, które jawnie są zmyśleniem, bo rachuby czasu łamią...

„To co mistrz Wincenty w historii swej pisze o początkach narodu naszego, nietylko bajecznem jest, ale poczwarnem. Wywodzi starożytne pochodzenie nasze od potopu, mieni nas być Scytami, którym Aleksander Wielki wojnę wydawał, a rzymskiego Graccha chce mieć u nas grodu założycielem, marząc o powinowactwie z ubóstwionym Juliuszem, co ani z miejscem, ani z czasami, ani z rzeczami dokonanemi przez Rzymian i Aleksandra się nie godzi, a podobniejsze do babskich bajek przy kądzieli...”¹

Poruszył ramionami.

Nastało milczenie groźne niemal. Sam bakałarz zmiarkował, że na początek zaszedł zadaleko.

Staruszek ks. Wacław tuż siedzący, podniósł głowę sędziwą...

— Wszystko to dobre jako igraszka — rzekł — lecz sądząc zbyt surowo, na wiele się oglądać należy... Nauczywszy się obalać i burzyć, przeczyć i negować, dojdziemy do tego, że będzie *tabula rasa*, nie pozostanie nic, oprócz uczucia nieświadomości i nicestwa...

Młodym jesteś — dodał. — Nauki te, których treść ci się zdaje ułomną i jest nią może, są to przecie narzędzia, które umysły rozwijają, są to bodźce, co dają życie. A nauczy się kto bajki, jeśli razem posiędzie rozum i bystrość, z fałszu się łatwo otrzęsie...

Grześ nic nie odpowiedział. Starsi mistrzowie głośno ks. Wacławowi potakiwali. Jemu żal się zrobiło młodzieńca i wnet się poprawił.

— Radbym od niepomiernego burzenia was powstrzymać — rzekł — ale tej żywości umysłu jakiej dajecie dowody nie powściągać... Chwalebna to kusić się o zdobycie prawdy... jak Tytani do niebios szturmowali, więc — tu podniósł kielich w górę — naszego Tytana prze zdrowie, a niech go Jowiszowe głązy nie strąca z wyżyny i nie biją...

Starsi radzi z tego pojednawczego głosu, zwrócili się też ku bakałarzowi, który kłaniał się i dziękował, a ks. Wacława uściśnął.

Postarali się potem niektórzy biesiadnicy, aby rozmowa na te cierniami najeżone manowce nie zesła powtórnie. Ten i ów wesołym żartem starał się dać jej obrót nowy; zawołano o pieśni, przyniesiono cytrę laureatowi, który ją wziął do ręki i przywieszono z Niemiec zanucił, nieznanne tu jeszcze

Gaudeamus igitur...

Starsi słuchali tylko z uśmiechem na ustach. Była to pieśń młodości, która im stare dzieje, dawne czasy przypominać mogła... Po niej inne pieśni łacińskie się ozwały i wieczór skończył się w pokoju, zgodzie, chociaż odchodzący do domu kolegiaci, wynieśli z niego przeczucie trosk, na jakie Strzemińczyk miał ich narazić.

Nigdy i nigdzie bez boleści nic nowego na świat nie przychodzi. Tu się zapowiadały drogi nowe, ruch i życie, którym staruszkom wydołać było trudno.

Pocieszano się tem, że co *inter pocula* młodzian wygłaszał, tego uspokojony, ochłonawszy do skutku nie przyprowadzi.

Stało się inaczej. Grześ spytany nazajutrz czy w istocie *Eklogi* Wirgiliusza czytać zamierzał, potwierdził to, oświadczając, iż od nich rozpocznie.

¹To co mistrz Wincenty w historii swej pisze... — Dosłownie z życia Grzegorza, przez Kallimacha. (przyp. aut.) [przypis autorski]

Więść o tym fakcie rozbiegła się nietylko po uczęszczających do kolegium mniejszego, zanesiono ją na ulicę św. Anny, do kolegium nowego, prawniczego, a nawet lekarskiego. Imię łacińskiego poety nie było nikomu obcem, bo w średnich wiekach używało ono sławy wielkiej, nikt jednak go nie czytał i nie wykladał.

Zapowiedź była nowością ponętną, a że literatura łacińska naówczas była jedyną europejską, na to nazwanie zasługującą, chociaż z niej już wykluwały się inne, Virgili w kolegium obudzał takie zajęcie, że ktokolwiek się poezją i literaturą zajmował, do wykształcenia rościł prawo, świeccy, duchowni, starzy, młodzi, wszyscy chcieli posłuchać tego wykładu pierwszego tu, niebywałego, nowością swą pociągającego...

Imię Grzegorza Strzemińczyka, lub jak go tu poufalej zwano, Grzegorza z Sanoka, znalazło się na wszystkich ustach.

W ulicy spotykający się z sobą zapytywali.

— Kiedyż ten Virgili zawita do nas? Gdzie? w kolegium mniejszem!! Szkoda... Lektorya szczupłe, powinnyby mu w większem kolegium salę *maioris* wyznaczyć!!

— Zbiegowisko będzie wielkie, mało kogo zabraknie z tych, co tyle obiecującego młodzieńca radzi posłuchać. Dostojnicy miejsca zajmą, a inni za drzwiami zostaną...

W istocie wybierali się kto żył na to czytanie. Mogło to pochlebiać bakałarzowi, mógł sobie życzyć popisu przed słuchaczami dostojnymi, a jednak skromnie się tak znalazł, iż o dniu nie głosząc, niespodzianie przed samymi studentami, sielanki Virgilego czytać zaczął...

Po czasie już dowiedzieli się ciekawsi i sala szczupła napelniła się tak, że w końcu godziny dla nikogo więcej miejsca nie było...

Znaleźli się i starzy profesorowie, których zarówno ciekawość wiodła, jak nadzieja może, iż nowemu przedmiotowi niewprawy nauczyciel nie podola...

Ale Grześ wystąpił z takim spokojem, a czytał z taką jasnością i talentem nauczania, iż najmniej usposobieni z młodzieży rozumieli go doskonale.

Przytem sam ów przedmiot tak świeży, tak poezją wsi, pól, lasów i pasterskiego życia tchnący, przemawiał stokroć więcej do umysłów, do serc, niż napuszone deklamacje, niż przesadne pochwały Stacjusza... niż wszystko to, czem młódź dotąd karmiono.

Z Virgilim powiał jakby ożywczy oddech wiosny na szkołę... wleciała do niej ze złotymi skrzydłami poezja, wykwinna, strojna, wonna, trochę zalotnie utrefiona, lecz z piersią młodą, w której serce biło. Nie dziw też, że serca młode odpowiedziały jej współczuciem gorącym...

Nie było po odczycie jednego głosu, któryby laureatowi szczędził pochwał i zaprzeczył nadzwyczajnych zdolności. Zazdrosnym zamknął usta...

Pierwsza ta lekcja poruszyła bardziej jeszcze ciekawość wszystkich... Mówiono o niej wszędzie, u biskupa Zbyszka, na zamku u królowej, po pańskich dworach, po mieszczańskich domach, w celach zakonnych.

Kto tylko mógł obiecywał sobie iść słuchać nagle sławnym już będącego Grzegorza z Sanoka.

Ci co go nie znali wcale i nie słyszeli o nim, dopytywali ciekawie, coby za jeden był, z kąd się wziął i jakiego był wieku? Nauczyciel budził zajęcie człowiekiem. Opowiadano, że chłopię ubogie, dziecię szlacheckie, zbiegło przed laty z miłości dla nauki z rodzicielskiego domu, tułało się po świecie i nadzwyczajnym obdarzone geniuszem, o własnej sile zdobyło naukę zdumiewającą.

Wielu podobała się odwaga młodzieńca torującego drogi nowe, inni wątpliwie potrzęsaliby głowami.

Na drugi odczyt zawczasu zgromadziło się tyle duchowieństwa, starszyzny, ciekawych, że dla uczniów prawie miejsca nie stało...

I tym razem powszechny aplauz pozyskał sobie bakałarz młody, a po lekcji zbliżył się doń dostojny kanclerz akademii, opiekun, jej głowa, biskup Zbyszek, który był tu drugim królem, w kilku słowach uprzejmym wieszając laureatowi powodzenia i zachęcając go do pracy...

Nieruchomy ten i gorączkowe zaprzęgnięcie Virgilim nieco się uspokajając zaczęło. Słuchaczów nie brakło nigdy, bo i młódź cała napływała z wielką żądzą i miłością dla nauczyciela...

Wykład jego nie był tak suchym i zimnym jak innych pedagogów. Z uśmiechem na ustach, z tą swobodą, jaką mu ovladanie przedmiotem dawało, bez książki w ręku, z pamięci mówił bakałarz, a przywoził i cytował dla porównania poetów innych, nie potrzebując do nich zaglądać.

Czasami żart jakiś wtrącił, porównanie rubaszne, które przedmiot najlepiej objaśnić mogło, naówczas oczy młodzieży pobłyskiwały, usta się otwierały i igraszka ta wrazała się w pamięć silniej niż poważne słowo.

Trzydziestokilkoletni już nasz Grzegorz, pomimo wieku, zachował całą świeżość młodości. Nie zbywało mu na powadze w potrzebie, lecz się w nią nie lubił przyodziewać. Czuć w nim było zawsze obok uczonego, cytarzystę i śpiewaka.

Trwoga, która w początkach opanowała była starszą, obawiającą się zbyt niegodowności i nadto zuchwałych wystąpień młodzika, ustąpiła wkrótce, gdy się przekonano jak we wszystkim miarę umiał zachować. Cieszyło się nim szczególnie kolegium mniejsze, któremu dodał blasku, zazdrościli kolegiaci królewscy...

Razem z tem, zaczęły się znowu odzywać głosy, wyzywające Strzemieńczyka do obrania nareszcie tego stanu duchownego, któremu był przeznaczony. Nie ulegało wątpliwości, iż pod sutanną skończyć musiał... Tymczasem, nosił wprawdzie strój kleryków jak wszyscy profesorowie i uczniowie, ale do święceń się nie kwapił.

Nie odpowiadał nawet gdy go zagadywano i milczeniem zbywał...

Z miasta przeniósł się teraz bakałarz nowy na mieszkanie wspólne do kolegium mniejszego i zajął u stołu ostatnie miejsce, bo te po starszeństwie dawano.

Życie to niemal klasztorne, do którego wszyscy byli obowiązani, podlegało pewnym prawidłom, urządzone było wedle godzin i odjęło Grzesiowi część dawnej jego swobody. Miało zarazem korzyści, bo zbliżało go do starszych i nastęrczało wymianę myśli, które choć często na polemikę narażały, nie dawały zgnuszyć i usnąć.

W godzinach wolnych młody bakałarz nie mógł już teraz zajmować się przepisywaniem, które lubił, zarzucano go bowiem robotami... Musiał pisać nagrobki i wiersze pochwalne wszystkim zmarłym znakomitościom, a niejedna redakcja dokumentu w sprawach publicznych o niego się oparła...

Gdy szło o piękną i poprawną łacinę, Grzegorz z Sanoka uchodził tu za najbłębszego znawcę...

Posyłał mu z kancelaryi akta biskup Zbyszek, radzili się inni. Wiersz szczególnie był jego największą chlubą...

Wśród tych zaprzętań, które mu przyszłość zapewniały, a sławę roznosiły coraz szerzej, Grześ po staremu wiernym został przyjaźni dla Balcerów...

Był tu, jak niegdyś dawniej, niby we własnym domu... Nigdy pocziwy Frązek nie zmarszczył się zastając go przy żonie, a starzy Balcerowie jak rodzone dziecko kochali. I Lena teraz uzdrowiona, spokojna, pewna, że przyjaciel młodości nie opuści jej, zdawała się szczęśliwą.

Równie nad mężem i nad bakałarzem panowała, a prawdę rzekłszy władała wszystkim i wszystkimi w domu. Obcowanie z człowiekiem takim, jak Strzemieńczyk starczyło jej za naukę i księgi. Uczyla się przy nim, oswajała z wielą przedmiotami innym kobietom obcemi, i rozwijała w oczach na niewiastę męzkiego umysłu i charakteru...

Ludzie, którzy przeciwko temu dziwnemu stosunkowi zamężnej niewiasty do młodego nauczyciela sykali w początku, w końcu widząc, że jawnym był, nikogo nie gorszył, a Frączka wcale nie jątrzył, przyjęli go jako naturalny i godziwy.

Znajdowano go w domu Balcerów zastępującego niemal miejsce gospodarza, i nikt się już temu nie dziwił.

Lena Frączkowa nie dopuszczała też, aby jej posądzaniem uwłaczano, niewiasta była jak rozumna i zręczna, tak dumna i wyniosłego umysłu. Nikt nie śmiał ją słowem dwuznacznym zadraskać, wiedząc, że za nie z nawiązką zapłacić potrafi.

W dworku Balcerów powodzenie, sława i tryumfy Grzesia, tak były witane radośnie, jakby domowi zaszczyt czyniły. Chlubila się tym przyjacielem Lena, miała go na ustach ciągle, ale też i rządziła nim despotycznie. Służyć jej musiał jak kazała, na skinienie spełniać co pożądała, i nieraz najpilniejszą pracę rzucić, gdy się jej podobało powołać go do siebie. Przeniesienie się do kolegium nie zmieniło tych poufanych stosunków... Codziennie musiał

się Grześ stawić u Balcerów, często stół wspólny zaniedbać, a niekiedy z chłopcem i latarką późno powracać, gdy się jejmości zatrzymać go podobało.

Umysłu w innych rzeczach niepodległego, Grześ w sprawach powszednich ulegał niewieście, która nim jak dzieckiem rządziła... Piękna niegdyś, gdy dzieckiem była, pani Frączkowa po pójściu za mąż dopiero rozkwitła znowu w pełni wdzięku i słynęła w Krakowie jako z niewiast najpiękniejsza.

Coś dziewiczego w niej pozostało, ale zarazem powagą okrytego i zmuszającego ludzi do poszanowania.

Przewaga, jaką miała nad umysłem Grzesia, tak była wielką, iż w największych i najmniejszych sprawach bez jej rady nic nie czynił.

Nie zadziwiła się więc, gdy jednego ranka wcześniej nadszedł niż zwykle i od progu począł się tłumaczyć, że ważna sprowadza go okoliczność.

— Zaprawdę! — uśmiechnęła się wstając na powitanie Frączkowa — czy o nowej sutannie myślicie i chcecie abym wam wybrała flamskie sukno... albo o płaszczu?

Strzemieńczyk zbyt był przejęty tem, z czem przychodził, aby żart mu smakował, namarszczył się.

— A! gosposiu moja — zawołał — idzie o daleko ważniejszą sprawę, i gdybyś umiała po łacinie, powiedziałbym ci *paulo majora canamus*.

— Powiedźcie mi to lepiej po polsku — odparła wielkie swe oczy wlepiając w niego Lena. — Cóż to tam takiego? Wyście zazwyczaj spokojni, widzę poruszonym?

— Posłuchajcież — rzekł Grzegorz. — Już z mego stroju możecie wniesć, że gdym go w powszedni dzień włożył, to nie bez słusznej potrzeby...

— Widzę, suknia nowa — zawołała gosposia — trzewiki nowe, pan mój się wystroił jak na święto...

Grześ potarł się dłonią po czole...

— Nie wiem co to znaczyć ma, dworzanin wojewody krakowskiego Jana z Tarnowa, przybył do mnie dziś rano, zapraszając w imieniu pana, abym go odwiedził w ważnej, niecierpiącej zwłoki sprawie... Ja sprawy ani z wojewodą, ani u wojewody żadnej nie mam, akademia zostaje pod zwierzchnością ks. biskupa Zbyszka... Niepokój mnie ogarnął...

Lena głową potrząsała.

— Ja, równie jak wy, tego wezwania nie rozumiem — rzekła — ale nie widzę przyczyny, dlaczego ono was niepokoić miało.

Pomyślała chwilę, palce do ust przyłożywszy, a oczy wlepiając w ziemię.

— Samiście mi mówili, że często was o napisy łacińskie i różne podobne roboty napastują. Nic innego być nie może, nad coś podobnego. Wojewoda pan możny, więc się to wam oplaci.

— Ale pocóżby mnie wzywał osobiście, gdyby szło tylko o napis, który lada dworzanin mógł zamówić u mnie? — rzekł Strzemieńczyk.

— Idźcie do niego, a wszystko się to wyjaśni — przerwała Lena.

— Mamli iść? — zapytał bakałarz. — Sługą pana wojewody nie jestem, ani mnie jak pacholka do siebie godziło się pozywać?

Z dumą szlachecką podniósł głowę Grześ... Lena poruszyła ramionami.

— Stary i poważny pan, senator... tyś młody — rzekła — nie ma obrazu w tem, jeżeli przez dworzanina grzecznie zaprosił... Idźcie...

Namyślał się jeszcze, gdy położywszy mu rękę na ramieniu, piękna Lena popchnęła go zlekka ku drzwiom.

— Pycha nie w miejscu — szepnęła — idź, a z powrotem czekam na wyjaśnienie, bo chcę wiedzieć, jaką miał pan wojewoda sprawę do pana bakałarza...

Jak gdyby na jej rozstrzygnięcie czekał tylko, Strzemieńczyk nie wahając się już i sam pomiarkowawszy, że w istocie pycha chudemu pacholcowi nie przystała, szybkim krokiem poszedł do dworu wojewodzińskiego przy zamku stojącego.

Po panu krakowskim, wojewoda był tu najznaczniejszym dostojnikiem i miał władzę największą.

Lecz, gdyby nawet Jan z Tarnowa nie zajmował tego stanowiska, samo jego imię, stosunki, zamożność, powaga wielka i osobiste przymioty dawałyby mu znaczenie wielkie.

Był to mąż w latach już podeszłych, lecz krzepki ciałem i umysłem, nie skwapliwy do mówienia i szermowania słowy, ale gdy raz otworzył usta, nie oglądający się na żadne

względy, i rąbiący prawdę każdemu, choćby najwyżej położonemu. Mawiał ją tak nieraz samemu królowi, i gdzie potrzeba było wystąpienia śmiałego, jego naprzód popychano, bo się nie uląkł niczego. Wiek dawał mu zimną krew i panowanie nad sobą.

Nie zalecał się świetną wymową, ani kunsztem oratorskim, ale jasnością i wyrazistością słowa. Gdy drudzy już w szkole ówczesnej wyćwiczeni, zręcznie umieli zawikłać myśl i sztucznie ją tak przedstawiać, aby silniejsze czyniła wrażenie, Tarnowski znajdował to niemęzkim i nierycerskim, wyrażał się rubasznie, silnie a krótko.

Cechowało go to w radzie i w domu, że długo milczał, ale gdy się odezwał, zamykał rozprawę jakby ostatecznym wyrokiem.

Szanowali go wszyscy, bo oprócz tego, był to prawy senator i radzca pański, który tylko dobro ogólne miał na oku, a osobistemi względami nie dawał się z prostej zbić drogi.

Pan możny, zmuszony dla dostojęstwa ciągle się licznym otaczał dworem i występować z pewną okazałością, nie lubił błyskotek marnych, ani przepychu dla próżności, dom był pański i dostatni, ale nie tak czczo świetny i puszający się, jak panów z Kurozwęk i innych, którzy świeżo się do dobrego bytu dobili...

Pewna prostota starodawna zachowała się tu z czasów już zapomnianych i zatartych. Gdy inni przejmowali chętnie obyczaje cudzoziemskie, tu się ich wpływ dawał czuć jak najmniej.

Wojewoda sam wychował się w tych jeszcze latach, gdy rycerskie wykształcenie zastępowało wszelkie inne... W obcowaniu z ludźmi nabył później wiadomości wiele i oglądy, ale zawsze wzdychał nad tem, gdy go senatorska dostojność do ocierania się o Niemców, Włochów, Węgrów, ba Francuzów i innych narodowości ludzi zmuszała, gdy sprawy przychodziły, dla których łacina urzędowym była językiem, że za młodu języków mało się uczył, i kancelaryjnych talentów nie nabył...

W wielu też rodzinach naówczas u nas, rozumiano to, że przyszły senator, choćby od siodła i koncerza poczynał, razem musiał też nad księgą się mozolić, aby nie potrzebował kanclerzów i tłumaczy ciągnąć wszędzie za sobą, a w końcu na ich łasce i pod ich wpływem pozostać...

Owdowiały wojewoda, w czasie tym, miał pięciu synów, których wychowanie wielką dla niego było troską, dwaj starsi, Jan Amor i Jan Gratus, już sporemi wyrostkami będąc, dopominali się, aby o ich przyszłości postanowiono...

Wojewoda pobożny mąż, w duchu mówił sobie, iż tych dzieci, któremi pan Bóg małżeństwo jego pobłogosławił, jedno jako prawa dziesięcina, Jemu należało, ale żadnego z nich nie wyznaczał, pragnąc, aby się powołanie objawiło samo... Inni musieli naprzód rycersko służyć krajowi, potem zdobywszy zasługą stanowisko, radą i mieniem pomagać królowi...

W ganku dworu wojewodzińskiego, który o tej godzinie pełen był rycerstwa i szlachty, ten sam dworzanin, który przychodził z wezwaniem do bakałarza, zdawał się czekać na niego, bo zobaczywszy i poznawszy natychmiast się zbliżył i uprzejmie powitał, a z sobą do komory zaprosił, dopóki by wojewoda wolnym nie był...

Dworzanin, z uboższych Leliwitów, młody człek, który już jednak próbował zapasów rycerskich, i miał chlubne po nich pamiątki na obliczu wskrós blizną różową przeciętem, był wesołego usposobienia, a łatwy do ludzi.

Z tego korzystając bakałarz nasz, po kilku słowach, zręcznie go chciał wy badać, czyby nie wiedział na co go tu potrzebowano.

— Widać, że w miłość naszego pana nie zacie, gdy się o to dopytujecie mnie, prostego posłańca? któremu wojewoda myśli swych nie powierza... Daleko poważniejsi mężowie też tem się pochłubić nie mogą. Słowa on próżnego nie rzecze nigdy... a co myśli jeden tylko Bóg wie, ludzie zaś dopiero naówczas, gdy myśl czynem się staje...

Nie badał więc już ciekawy gość i czekał cierpliwie, aż go do wojewody wezwano.

Przyjął bakałarza stary i poważny mąż, ręką witając i słowem miłym, a mimo młodości, dla sukni duchownej, miejsce mu wskazując nieopodal od siebie.

Sami byli w izbie sypialnej wojewody, z taką prostotą i skromnością urządzonej, jakby możnemu panoszy przystała. Łoże było twarde, skórą okryte, stół dębowy kobiercem starym zasłany, a sprzęt dawny i niepokazny.

Wojewoda też odziany był ciemno w długi żupan, czarnym pasem ściągnięty, a krom sygnetu z pieczęcią na palcu, żadnej nie miał na sobie błyskotki. Broda siwiejąca, ciemna, szeroka mu się na piersi rozkładała, włos spadał długi na ramiona.

— Wieleśmy o was słyszeli — odezwał się obracając do Grzegorza wojewoda — a wszyscy wam sprawiedliwość oddają, iż uczonością i dowcipem celujecie wśród kolegum...

Wiem i to, żeście sami sobie winni to wychowanie... Ludzie was sławią, chciałem poznać bliżej tak wiele obiecującego na przyszłość męża...

Grzegorz dziękował krótko.

— W kolegium waszem — mówił wojewoda — pewnie bardzo pożytecznym młodzieży być możecie, ale dla siebie tam nie uczynicie wiele... Chudoście wyposażeni... głodem słyszę przymieracie...

— Praca to osładza — odparł Grześ.

— Piękną z niej czynicie ofiarę — mówił Jan z Tarnowa dalej — ale przy zdolnościach waszych, moglibyście łatwo wyżej się wzbić, a około młodzieży zastąpiłby was choćby i mniej zdolny nauczyciel...

Jam o was pomyślał dla siebie i dla waszej przyszłości razem — dodał stary pan. — Mam synów, radbym ich wychować tak, aby i Bogu i królowi służyć mogli rozumnie i dzielnie... Cóżbyście rzekli na to, gdybym wam zwierzyć chciał opiekę i władzę nad nimi?

Grześ, którego niespodzianie zaskoczyło to życzenie wojewody, zamilkł w początku chcąc zebrać myśli.

Pochlebne to było dla niego, wbijało go w dumę, lecz burzyło cały gmach jaki on sobie sam budował, obierając zawód nauczycielski w akademii.

Dozorca i bakałarz wojewodzińskich dzieci świetne miał przed sobą nadzieje, byt dostatni i swobodny, zapewnioną przyszłość, ale schodził z tej drogi, która w publicznym zawodzie, wiodła do sławy i znaczenia w świecie uczonym... Mignęła mu ta myśl, że miał zaprzedać za miską soczewicy dostojność swoją i prawa jakie dawała nauka, że się sprzeniewierzał zawodowi...

Wojewoda jakby odgadł znaczenie długiego milczenia, powolnie dalej ciągnął.

— Rozumiem ci to — rzekł — iż z katedry znijsz na bakałarstwo domowe, choćby u krakowskiego wojewody, wydać się wam może uwłaczającym; ale zaprawdę ważyć powinniście, że gdy senatorskie dzieci na przyszłych radźców królowi i krajowi wychowacie, w bojaźni bożej i nauce ich doskonaląc, będziecie może większą mieli zasługę, niż ubogich klechów ucząc łaciny...

Wszyscyśmy potrzebni na świecie, senatorowie i klechy, ale gdy u góry światła zabraknie, nie przyjdzie ono ze spodu...

Strzemińczyk milczał jeszcze.

— Rozważcie to sobie — dodał po chwili wojewoda — prędkiego rozstrzygnięcia nie żądam, boć on o losie żywota waszego stanowić ma. Biorąc was do synów moich, dla których wy się poświęćcie, słuszna, abym też wam zapewnił nagrodę równą pracy... Powołanie wasze duchowne ułatwi mi opatrzenie was, przy pomocy i łasce królewskiej...

Grześ podniósł oczy i chciał już się przyznać, że suknia, którą nosił, jeszcze go żadnym ślubem nie wiązała, lecz coś mu usta zamknęło. Skłonił głowę i po małym przestanku odezwał się.

— Nie mam co rzec na to, oprócz iż miłości waszej za zaufanie pokornie dziękować muszę.

Zaszczyt dla mnie i chluba... ale zarazem brzemię, którego na ramiona brać nie wiem czym godzien. Inna to rzecz, panie wojewodo, z katedry nauczać łaciny, poezyi, retoryki, a choćby i filozofii, inna zaś podjąć się wykształcenia dzieci na ludzi. Nauka tu narzędziem i dodatkiem, a człowieczeństwo celem... Ludźmi, chrześcianami i synami korony tej być muszą, a niepoślednimi, gdy ich w spadku wielkie obowiązki czekają.

Czy ja prosty bakałarz podołam temu!

— Z pomocą i pod okiem mojem! — zawołał wojewoda — dla czegoż nie! Najlepszym dowodem, iż wychować potraficie, to, żeście sami siebie wychować byli zdolni.

Grześ westchnął.

— Tak, panie wojewodo, ale mnie niańczyła i kształciła największa w świecie mistrzyni, nędza i sieroctwo... Kto wie, czy nie łatwiej ubogiemu się wydobyć na wierzch, gdy go smaga los, niżeli pieszczonemu w pieluchach, którego szczęście usypia, lub butnym zawczasu czyni i zuchwałym!!

— Zaprawdę pięknie mówicie — przerwał wojewoda — lecz nie wiecie o tem, iż ja trzymam z wami, a dzieci moje karnie i surowo prowadzę... Nie żądam też ani pozwolę, abyście im folgowali dlatego, że zrodzeni są w dostatku, owszem żądam, aby im nie pobbżano, gdy wykroczą...

Młodości zbytńo hamować nie godzi się, bo onieśmiena traci siłę, ale rozbując się też nie można dozwolić, aby znała granice...

To mówiąc powstał wojewoda i uderzywszy w dłonie, czekał na pacholę, które się w drzwiach ukazało.

— Amor, Gratus i Rafał niech tu przyjdą — rzekł i powrócił na siedzenie swoje.

Nie upłynęła chwila, gdy drugie drzwi otwarły się zwolna i troje pięknych chłopiat, jednako w szare kaftany ubranych, z których najstarszy mógł mieć lat dwanaście, wsunęło się skromnie i cicho, skłonili się ojcu pokornie i po starszeństwie przyszli podaną im rękę rodzica całować.

Na dany znak powitali też zdała bakalarza, który się im ciekawie przypatrywał. Miło było spojrzeć na te zdrowe, kraśne, rumiane, pełne życia oblicza, które bez nieśmiałości, ale z poszanowaniem zwracały się ku ojcu, jakby czekały rozkazów jego.

Amor i Gratus, starsi, podobni do siebie, wiekiem się niewiele różniący, już wzrostkami mieli w sobie coś rycerskiego. Rafał delikatniejszy, z wdziękiem niewieścim na ładnej i bladej twarzyczce, więcej od nich okazywał obawy i trzymał się, jakby ukryć pragnął za braćmi. Był też najmłodszym i dzieckiem prawie.

Wojewoda zapytał ich o to czem się zajmowali, co na dziś im wyznaczonem było. Amor odpowiedział na to w kilku słowach jasnych, z których zmiarkować mógł Grześ, że nauka zaledwie się rozpoczynała...

Niedługo ich zatrzymawszy wojewoda, wskazał, że odejść mogą. Chłopcy jakimś podejrziwym okiem zmierzwiwszy siedzącego klechę i pozdrowiwszy go zdała, ucałowali znowu rękę ojca i wyszli.

Dopiero za drzwiami słyhać było swobodne i żywe a pospieszne szeptanie uciekających i wyścigających się chłopaków...

— Chciałem abyście ich widzieli — rzekł wojewoda. — Silni są, zdrowi, nierozpieszczeni, alem zbyt zawczasu ich uczyć nie kazał, aby mogli wprzódy urosnąć i skrzepić się... Teraz już im ława i siedzenie nad tablicą nie zaszkodzi.

Zapukano do drzwi. Wojewoda wstał zwracając się do bakalarza.

— Pomyślicie — rzekł — jutro lub pojutrze dacie mi odpowiedź. Nie chcę, abyście bez rozmysłu przyjęli obowiązek, a pragnę aby wam słodkim był i co w mej mocy dla osłodzenia go, uczynię...

Niewola to będzie — dodał z uśmiejchem — ale któryż i kiedy człowiek jest wolnym? Ani królowie się tem poszczycić nie mogą, bo i ich obowiązek w żelaznych okowach trzyma.

Skłonił się Grzegorz, obiecując prędką odpowiedź i jak upojony wyszedł z wojewodzińskiego dworu.

Ztąd do Balcerów spiesząc tak w sobie zatopiony szedł, że ludzi nie widział i co około niego się działo nie znał... Lena w oknie siedząc na niego czekała, a był tak pogrążony w myślach, iż dworek pominął i zawołać go musiała, dopiero się opamiętał...

Wyszła na próg do niego.

— Ciężkie jakieś brzemie niesiecie! — rzekła.

— Zaprawdę i takie, któregom się spodziewać nie mógł — odparł Grześ padając na ławę.

Tu począł opowiadanie o swej rozmowie z wojewodą, którego mu Frączkowa dokończyć nie dała, w ręce klaskając i wołając ojca, męża i matkę z uniesieniem, w jakie ją wprawiła wiadomość o łasce pana wojewody.

Grześ stał trochę zdumiony, bo mu się to więcej ciężarem wydawało, niż dobrodziejstwem, ale Lena po swojemu sądziła...

— Cóż tu myśleć? co ważyć! — zawołała. — To pierwszy szczebel, do podniesienia się w górę.

Nie wiecież wy, iż dzieci wojewody codziennie na zamek chodzą, dla zabawy królewiczów, że one są towarzyszami ich i że nauczyciel Tarnowskich z niemi razem na pokoje królowej się dostanie!!

Dosyć, abyście przestąpili te progi, a tam, jak wszędzie, poznają się na was... Mielizbyście dla marnego bakalarstwa odrzucać los, który dla was jest zgotowany??

Kto wie czy nauczyciel wojewodzie nie zostanie bakałarzem królewiczów! A król stary! a królowa rozumna pani, a Władysław starszy panicz ma już zapewnioną koronę. Patrzcież co się to wam otwiera i czy wy się wahać możecie przyjąć szczęście, które pieczonym gołąbkami w usta wam spada.

Grzegorz stał jeszcze zadumany, gdy napastliwa kobieta, bijąc go po ramieniu, śmiejąc się, wieszając, mężowi kubek wina nalewać kazała...

— Wypijmyż przedzrowie, przyszłego nie wiem kanclerza czy...

Balcerowie, Frączek ściskali go już jakby rzecz była rozstrzygniętą, a Lena ani słuchała nie chciała o dalszych rozmyślach...

— Jutro pójdziecie podziękować wojewodzie i wybierzecie się z kollegium... Szczęśliwej drogi, bo nie wątpię, że ona być musi szczęśliwą...

Być może, iż Strzemińczyk byłby i bez tej namowy niewieściej przyjął wezwanie wojewody, to pewna jednak, iż to, co mu rokowała Lena uczyniło na nim wrażenie i przechyliło szalę...

Wyszedłszy z dworku już mniej niepewien siebie, wprost zaszedł do starego ks. Wacława... Kanonik pomimo nadwreżonego wzroku, szklami się posługując, jak zawsze czytał coś w księdze, którą złożył na pulpicie, widząc wchodzącego ulubionego ucznia swojego...

— Ojczy — zawołał żywo Grzegorz — słuchajcie z czem przychodzę... Oto co mi mój los znowu zgotował...

Ks. Wacław nie odzywając się, nastawił ucha... Szybko, treściwie począł mu wszystko opowiadać Strzemińczyk, ale już w ten sposób, jakby się bronił i tłumaczył, że ofiary takiej odrzucić mu się nie godzi.

Kanonik nie przerwał ani słowem, nie okazał zdziwienia, a gdy skończył, nie rychło przemówił.

— Niech będą Bogu dzięki, jeżeli to waszym pragnieniom i nadziejom odpowiada — rzekł chłodno. — Tak, jutrzienka ta błyska różowo! lecz sądzicież, iż życie przy dworze, w zgiełku i ruchu tym, kędy się krzyżują i ścierają żądze, ambicje, namiętności, szczęśliwszem będzie, niż nasze w tych ubogich i cichych celach, w których się nabywa mądrości, pogardy świata, miłości Boga i nauki? Sądzicież, że tam wam łatwiej przyjdzie zachować cnotę, umysłu niepodległość i spokój ducha??

Ja nie wiem... Mówią nam o ptakach, co na falach burzliwych ścienią gniazda... ja podziwiam cuda te przyrody, ale nie zazdrozczę im tylko tym, co pod strzechą siedzą...

I miłość nauki... potraficież zachować tam, gdzie od niej życie z pokusy swemi nieustannie was odrywać będzie??

Zamilkł starzec.

— Zaprawdę — dorzucił po chwili — gdyby najwięcej dali wam, nie zapłacą za to, co stracie!! Wyście im potrzebni, a oni wam??

Po rozmowie z ks. Wacławem tęsknota za życiem, którego się miał wyrzec, chwyciła go za serce, ale daleko silniej ciągnęło je jakieś nieokreślone pragnienie nieznanego, nowych, świetnych przeznaczeń...

W kollegium wiadomość o ustąpieniu Grzegorza z Sanoka uczyniła wrażenie dwójiste, uczniowie oplakiwali mistrza tego, towarzysze, starsi panowie kollegiaci czuli jakby ciężar jakiś spadł im z ramion. Obawiali się tego popędliwego umysłu, pędzącego na nowe drogi, zmuszające trzebić, gdy tak wygodnie jest wybitymi iść kolejami. Wieszowali szczęścia, nie powstrzymywali wcale, znajdowali, że Grzegorz zasłużył na to, co go spotkało, a następca na katedrze zawrócił od Virgilego do Alana, i po staremu Donata zalecał, jako najpewniejsze do łaciny wrota...

VII

W kilka miesięcy potem, skromnego bakalarza, który na dnie powszednie w wyszarzanej chadzał sukience, poznać było trudno w młodym nauczycielu wojewodzcichów.

Powołanie nowe, świat wśród którego się obracał, wymagania dworu, do którego się liczył, zmusiły go nawet powierzchownie się przeistoczyć.

Pan wojewoda też od tego począł, iż dostarczył sukna i jedwabiu, aby bakalarz dzieci, codziennie z nimi chodzący na zamek do królowej jejmości i królewiczów, występował jak przystało pańskim progom...

Królowa Sonka, wiadomem to było, sama lubiła strój wytworny, i od tych, co ją otaczali, wymagała ubioru, któryby oczu zaniedbaniem nie raził. Młodzi królewicze, oba zawsze występowali bardzo strojnie i wedle mody wieku...

Młodzi Tarnowscy, choć ojciec ich zbyt do błyskotliwych strojów nie chciał przyzwyczajając, musieli po troszę do wymagań królowej, której oka nic nie uchodziło, się zastosowywać. Gdy szli na zamek, ubierano ich pięknie.

Nauczyciel, który ich nigdy nie odstępował, musiał też kłaść suknie odświętne. Były to zawsze tylko czarne sutanny klechów, ale i tkaniną i krojem dostatku dowodziły.

Nie zbywało też na innych wygodach we dworze pana wojewody, który zarówno zbytku jak skąpstwa nie cierpiał. Trochę rubaszny i szorstki obyczaj studentów ubogich tu na inne obejście się z dziećmi pańskimi zmienić było potrzeba. Szczęściem dla bakalarza, jego młodzi uczniowie od razu do niego tak przyłgnęli, jak on do nich. Chłopcy byli serdeczni, niepopsuci, a życia równie jak nauki chcieli.

Ale w obu starszych, bądź co bądź przemagała krew rycerska. Posłuszni siadali do tabliczek, pisać się uczyli, łacinę przeflykali, ale dopiero gdy powieść jaka uderzyła o strunę wojenną, oczy im połyskiwały i rumieniły się policzki... Najmłodszy był spokojniejszego ducha, Amor i Gratus nie taili się z tem, że byle im pozwolono, chętnieby pióro na szablę zamienili.

Nie zapominano też przy nauce o kształceniu ich do przyszłego powołania. Pod okiem bakalarza przychodził stary żołnierz uczyć ich szablą władać, kawalkator dosiadać koników, łucznik strzelać do celu. Naówczas Grzegorz mógł się przekonać, że z nich pono uczonych nie potrafi uczynić, bo przez posłuszeństwo gotowi byli męczyć się nad pergaminem i papierem, ale życie w nich wstępowało dopiero na podwórku...

Oba pojęcie mieli bystre i pamięć dobrą, a Grzegorz nie był pedantem do form przywiązanym, i uczył więcej żywym słowem, niż suchą literą.

Gdy się nad książką zdrzemali, naówczas z pamięci począł opowiadać rycerskie sprawy Aleksandra, albo historią jednego z bajecznych bohaterów starożytności, i słuchano go pilnie...

Godziny zabaw na zamku dla wszystkich były zarówno pożądane, królewicze i wojewodzice czekali na nie, a niemniej i panowie nauczyciele... Naówczas w wielkiej sali dolnej zamku, rozpoczynały się igrzyska, w których pilny postrzegacz już mógł przyszłe wyrostków, wykluwające się rozpoznać charaktery...

Gdy poraz pierwszy ze swymi wychowancami zjawił się na królewskim zamku Grzegorz, chociaż bojaźliwym z natury nie był, uczył, że mu przyjdzie chwilę ciężką przeżyć, wystawionemu na wejrzenia i pytania ciekawe.

Przy królewiczach, naznaczeni na zjeździe od szlachty, znajdowali się dwaj dozorczy i nauczyciele, szlachcic niemłody już Piotr Ryterski i Wincenty Kot z Dębna duchowny, kustosz gnieźnieński. Z nich pierwszy miał pieczę nad ciałem więcej, drugi nad umysłem wyrostków, nad którymi nieustannie czuwała sama królowa Sonka, matka troskliwa, dla której dzieci były całym światem. Miała ona jednak oprócz nich do czuwania nad wielą sprawami, i musiała zjednywać sobie serca panów Rady, z których wielu Jagiellońskiemu rodowi było nieprzyjaznych. Odzywały się ciągle jeszcze wspomnienia Piastów, ich praw i odwiecznego w tem królestwie panowania.

Władysław starszy królewicz dochodził do lat dziesiątka, młodszy o lat parę Kazimirz, był jeszcze prawie dziecięciem. Rówieśnicy Tarnowskich, oba nawykli byli z nimi poobiednie spędzać godziny.

Dawniej towarzyszył im tu stary sługa Strzemesz. Gdy raz pierwszy przyszedł z chłopcami Grzegorz z Sanoka, nie obeszło się bez natrętnej ciekawości królewiczów i zapo-

znania się z ks. Kotem. Poważny kustosz, który już słyszał o młodym bakałarzu, i był ciekawym go poznać, chociaż dał mu uczuć wyższość swoją, przyjął go uprzejmie.

Mąż był światły, w wieku tym, który spokój daje umysłowi. Z pierwszych wyrazów rozmowy poznał w Grzegorzcu uczonego i rozumnego młodzieńca i z przyjemnością zawiązał z nim jakąś dysputę, która świetne przymioty bakałarza na jaw wyprowadziła.

Ryterski tymczasem naglącał na bawiących się chłopców, którzy po wielkiej sali wyprawiali hałaśliwe wyścigi. Starszy królewicz bywał zawsze wodzem tych wypraw wojennych, bo się inaczej jak w rycerstwo nie bawiono. Najmłodszy tylko Rafał dosyć bojaźliwie i niechętnie zaciągał się do tych szeregów, w których mały Każko stawał obok brata, mimo wzrostu i wieku.

Tego dnia, jak zwykle w ciągu zabawy, uchyliła drzwi naprzód, a potem weszła przypatrzeć się jej królowa Sonka.

Postrzegła ona postać nową i nieznaną sobie, która musiała obudzić ciekawość, gdyż zbliżyła się do ks. kustosa i dowiedziawszy się o bakałarzu, kazała go sobie przedstawić.

Grzegorz był tak szczęśliwy, że powierzchowność jego dobrze o nim uprzedzała, oprócz tego udało mu się na kilka pytań królowej odpowiedzieć zręcznie i tak, że w nim umysł żywy a energiczny poznać mogła.

Po krótkiej rozmowie, oddaliła się królowa, a i Tarnowscy odejść musieli do domu.

Codzień potem prawie Grzegorz już śmielszy szedł z nimi na zamek, królewicze się z nim nietylko oswoili, ale polubili go, gdyż chętnie się mięszał do ich igrzysk i był w nich sędzią i rozjemcą. Ks. Kot, mający często zajęcia, poznawszy bliżej bakałarza, czasem odchodził na chwilę, zostawując mu królewiczów razem z ich towarzyszami.

Parę razy zastała tak królowa ich samych z Grzegorzem, i w dłuższą wciągnęła go rozmowę. Jawnem było, że przybysz ten podobał się jej, i że umiała go ocenić. Badala go nieznacznie o synów, wzywała rady, i nawet stary Ryterski dostrzegł po jakimś czasie, iż bakałarz zyskał łaskę pani, czego mu powinszował.

Królowa miała ten instynkt ludzi wybranych, którym gdy samym sił brak do osiągnięcia wielkiego celu, umięją przybierać sobie pomocników, z wielką trafnością wydobytych z tłumu.

Grzegorz, który w początkach obawiał się zbliżenia do królowej, a z odgłosu powszechnego miał o niej wcale inne wyobrażenie, poznawszy ją lepiej, przekonał się jak mało ocenić ją umiano i spotwarzono niegodnie.

Wzbudzała w nim poszanowanie i współczucie.

Miłość jej dla nauk, których sama nie posiadała, a miała tylko jakby ich przecucie, chętna pomoc uczonym, opiekowanie się młodzieżą ubogą, wszystko to zjednało jej cześć młodego bakałarza i chęć służenia...

A że uczucia takie zawsze się zdradzają i najczęściej są opłacane, królowa też wyróżniała Grzegorza, i zdawała się czekać tylko chwili, gdy go do służby swej zawezwie.

Były to ostatnie lata panowania zestarzałego króla, który jeszcze się podrózami i łowami zabawiał, ale rządy kraju były więcej niż kiedykolwiek w silnych rękach biskupa Zbyszka i jego rodziny...

Na zamku i u wojewody spotkał też Grzegorz wszechmocnego władcę, który okazywał mu dosyć życzliwości, szczególnie ceniąc jego łacinę i znajomość literatury.

Zbigniew z Oleśnicy zresztą był człowiekiem zbyt samoistnym i żądnym władzy, aby tych, w których odkrył energię, mogącą w przyszłości stanąć mu na przeszkodzie, pociągał ku sobie i torował im drogi.

Poczuł on w Grzegorzcu z Sanoka człowieka, który cudzem być nie mógł narzędziem, nie podawał mu więc ręki, spychając go jak Ciołka na podrzędne stanowisko stylisty i wierszopisa.

Nie starał się też bakałarz o pozyskanie sobie biskupa, ograniczając się tem, ażeby go nie mieć nieprzyjacielem.

Królowa zaś, właśnie ceniąc tę energię w nim, na której się może w przyszłości oprzeć spodziewała, nie spuszczała go z oka.

Ani ks. kustosz, ani p. Piotr Ryterski nie zazdrościli bakałarzowi jawnych łask królowej, zresztą ograniczających się tem, że czasu zabaw rozmawiała z nim prawie codzień, coraz poufalej. Grzegorz się z tego nie wynosił, ale przewidywał, iż to mu na przyszłość posłużyć może.

Tak stały rzeczy, gdy nagle jak piorun spadła na królowę i królestwo niespodziana wiadomość o chorobie, a prawie jednocześnie o śmierci Jagielly.

Biskupa Zbyszka nie było naówczas w Krakowie, a na nim polegała Sonka, iż syna jej starszego na tronie osadzi. Poruszyło się po zgonie króla wszystko, co imię jego i powaga długim panowaniem pozyskana, spojnym i spokojnym trzymały.

Wszystkie zachcianki, nadzieje, urojenia, zabiegi przyjaciół Piastów, mściwe zachody wrogów królowej wybuchły i zakłóciły spokój.

Sonka nie miała się kim posłużyć, komu zaufać, potrzebowała ludzi... W tej godzinie stanowczej już dawno napatrzony Grzegorz z Sanoka, na myśl jej przyszedł. Posłała do wojewody i zażądała od niego, aby bakałarza swego odpuścił dla niej. Jan z Tarnowa zgodził się na chwilowe pofolgowanie mu w obowiązkach, ale nadto go umiał ocenić, aby się całkiem chciał z nim rozstać...

Grzegorz też, na teraz jeszcze pod żelazną ręką biskupa, nie bardzo życzył sobie być służką bez znaczenia i powagi.

Bakałarz czasowo przeszedł na zamek, dał się użyć jako poseł i pośrednik, ale nie rozstał się z Tarnowskimi. Aż do przybycia biskupa, który już do Bazylei nie jechał, bo pilniejsze nad sobór były sprawy królestwa, Grzegorz z Sanoka był na usługach królowej, chociaż niewidoczne i podrzędne zajmował na dworze stanowisko...

Była nawet mowa o tem, że go dodać miano posłom na sobór wyjeżdżać mającym, ale młody wiek jego i niedość znane teologiczne wykształcenie, może żywość i śmiałość, wstrzymały tę podróż.

Przypadła mu za to ciężka praca czuwania nad królewiczem Władysławem i przysposobienie młodzieńczego chłopięcia, do tych wystąpień, jakie go czekały.

Dawniej już Grzegorz umiał sobie wesołością, wymową, łagodnością zyskać wielką sympatyę przyszłego króla. Nieraz Ryterski i ks. kustosz używali go nieznacznie do przełamania małego uporu, do namowy na jakieś ustępstwo...

Grzegorz w sposób pełen uszanowania, ale żartobliwy i poufały, umiał królewicza skłonić do czego było potrzeba...

Już w dziesięcioletnim panu, przyszyły jego zwiastował się charakter, który w wielu rysach ojca przypominał. Przedewszystkiem był to krwią i wychowaniem rycerz już, który marzył o sławie, zdobyczach, o wielkich wojnach i czynach nadzwyczajnych.

Z dziejów, które królewiczom czytano, Krzywousty był jego ulubieńcem i wzorem. Zazdrościł mu młodzieńczych wypraw, walk i całego żywota, opiewanego przez Galla... Na ustach miał ciągle: Gdy dorosnę, a wyjdę na wojnę...

Najmilszym strojem jego była mała zbroja lekka, którą dla niego naumyślnie zrobiono, najulubieńszą zabawką igrzyska na podobieństwo małych turniejów w podworcu zamkowym. Ryterski musiał go hamować, a ks. Kot gwałtem zasadzać do nauki i wabić do niej historyami bohaterów.

Drugą cechą młodzieńca, wziętą po matce, i z obyczaju wieku, było upodobanie w wytwornym stroju i elegancyi, w oglądzie europejskiej.

Książęta niemieccy przybywający do Krakowa, opowiadanie o dworze cesarza Zygmunta, niepokoily Władysława, który chciał, aby polski dwór i zamek nie ustępowały tym, które przy nim sławiono...

Po ojcu wziął królewicz nadzwyczajną ową jagiellońską hojność, która nigdy nikomu nic odmówić nie umiała. Często bardzo to, co miał najulubieńszego, przyjaciółom Tarnowskim, gdy się im podobało, natychmiast chciał oddawać, a że swej woli nie miał, biegł z tem do matki, która nigdy pozyskiwaniu sobie ludzi przez dzieci nie była przeciwną.

Tak mało na kogo rachować mogła!!

Wśród tych dni burzliwych, gdy aż do ostatniej godziny wichrzyciele chcieli koronacyi Władysława przeszkodzić i nie dopuścić, gdy królewiczowi nieustannie trzeba się było ukazywać, kłaniać, prosić i mieć przytomność umysłu starego a wytrawnego człowieka, Grzegorz z Sanoka stał przy nim ciągle ukryty, dodawał mu męztwa, budził w nim słabnącą na widok łez matki energię, rozśmieszał go, aby mu nie dopuścić się rozplakać.

W dniu koronacyi, gdy na sali łajano się od ostatnich słów, a godziny uchodziły i nie można było wiedzieć, czy obrzęd da się spełnić, gdy Władysław błądy i strwożony stał w całym ubraniu królewsko-kapłańskim, czekając i drżąc, Grzegorz z Sanoka był u jego boku, udając wesołego i zapewniając biednego, że dziś włoży koronę na skronie...

Tych dni kilkanaście przebytych prawie bez przerwy na zamku przy Władysławie, więcej do niego zbliżyły Grzegorza z Sanoka, niż cały rok poprzedzający. Młody król był mu wdzięczny, spoufalili się z nim, nauczył ufać, nie tał z żadną myślą najszybszą.

Gdy wreszcie ukoronowano młodego pana, a wszystko się szczęśliwie skończyło, Grzegorz nie czując się tu już potrzebnym, pożegnał królową i powrócił do swych wychowańców.

Za tę usługę niewidoczną w dniach ciężkich, zaszczycono młodego bakalarza wezwaniem do napisania pochwalnego wiersza na cześć zmarłego króla.

Było to odznaczeniem go, ale razem zepchnięciem ze stanowiska, jakiego mógł osiągnąć. Wytykano w ten sposób palcem, jako poetę i uczonego, który miał pozostać łacinnikiem tylko i poetą.

Grzegorz z Sanoka spełnił dane mu polecenie, nie dając poznać po sobie, iż mógłby być przydać się do czego innego. Napisał pochwałę zmarłego, zebrał do niej rysy charakterystyczne, które dziś uderzają realizmem śmiałym i naiwnością swoją. Król chwalony wystąpił w nich jakim był za żywota, z silnie oznaczoną indywidualnością... Apologia nie stworzyła ideału, który mógł przystać do tysiąca innych postaci, dała wizerunek zmarłego...

Jak wszystko co pisał Strzemińczyk, wiersz ten obudził i podziwienie i zdumienie. Tętniło w nim życie, do którego w poetach owego czasu ludzie nie byli nawykli.

Młody król tymczasem sposobił się do przyszłych rządów... Biskup krakowski, panowie rady, a po za nimi królowa, zastępowali go w sprawach bieżących, które silnej dłoni potrzebowały...

Władysław w tej atmosferze, jaką stworzyła mu zawczasem osiągnięta korona dojrzał szybko.

Przyszły władca miał już, pomimo czuwania matki, pochlebców, ulubieńców, zabiegających o jego łaski, posłuszne sługi, potajemnie rade serce pozyskać.

Szczęściem czuwało nad nim oko matki, a królowa Sonka, gdy nie wiedziała nawet, sercem macierzyńskim przewidywała niebezpieczeństwo.

Skłonności też młodego króla nie zagrażały jego przyszłości. Przedewszystkiem był to marzący o swem rycerskim powołaniu młodzian niecierpliwy, który potrzebował sobie jednać przyjaciół i zawsze się otaczać rówieśnikami.

Garnęli się też do niego chętnie starsi nawet, widząc w nim hojność ojcowską... Przeciwno temu chórowi, który nigdy nie śmiał królowi w niczem się sprzeciwić, a wyprzedzał fantazje jego, trzeba było postawić jakiś samoistniejszy charakter, coby się nie wahał powiedzieć prawdy i nie dopuścić zbytniej samowoli.

Królowa, znająca już dobrze Grzegorza z Sanoka, nie schlebającego nigdy, mającego w potrzebie odwagę sprzeciwienia się, zażądała go mieć przy synu.

Zawołany na dwór, został wpuszczony do królowej, która już na niego oczekiwała.

Podala mu rękę do pocałowania, uśmiechając się.

— Mówiłam już z Tarnowskimi — odezwała się. — Jesteś wolnym, żądam abyś na zamek się przeniósł i króla nie odstępował...

Grzegorz się pokłonił.

— Miłościwa pani, zaszczyt to dla mnie wielki, ale jakież ja tu zajmę stanowisko? komu mam być podległy? jakie będą obowiązki moje?

Królowa z pewną niecierpliwością i objawem rozdrażnienia spojrzała na bakalarza. Piękne jej pełne wyrazu oczy, w których silna wola się malowała, chwilę mierzyły pytającego i przygotowywały do odpowiedzi.

— Pozostaniesz przy królu — rzekła — jako starszy przyjaciel jego, jako oko moje, jako stróż z ramienia matki. Nie będziesz podlegał nikomu oprócz mnie. O przyszłość swoją możesz być spokojnym.

— Nie troszczę się o nią, miłościwa pani — rzekł Grzegorz — ale o obowiązki jakie będą włożone na mnie, abym mógł im podolać.

Królowa oblekła się powagą i podniosła głowę, namyślając chwilę.

— Obowiązkiem waszym będzie stać przy królu i mówić mu prawdę, tam gdzie wszyscy prawić będą pochlebstwa... Władysław dobry jest, ma najszlachetniejsze serce, ale młody, rozmarzony, niedoświadczony, potrzebuje hamulca, królowi nie łąco kto ma się

odwagę sprzeciwić. Jam matka, nie zawsze przemówić mogę, nie wszystko mi się mówić godzi. Będziesz mieć odwagę za mnie?

Grzegorz myślał chwilę i rzekł z uroczystym namaszczeniem...

— Spełnię rozkazy wasze...

— Przenoście się na zamek, marszałek wskaże wam izby w bliskości królewskich...

Kończyła te słowa królowa, gdy z wesołą twarzą, strojny, piękny, wysmukły, z śniadą swą twarzyczką, ciemnymi oczyma, włosami w puklach spadającymi na ramiona, ukazał się Władysław. Zobaczywszy Grzegorza, uśmiechnął mu się, witając matkę.

Oba oni, starszy i młodszy nawykli byli nietylko ją szanować, ale bez najmniejszego oporu spełniać każdą jej wolę. Sonka łagodną była dla nich, ale nigdy z rąk władzy macierzyńskiej nie wypuściła...

Chciał odchodzić Grzegorz, gdy skinienie pani wstrzymało go.

Wskazała synowi na stojącego bakalarza.

— Grzegorz z Sanoka pozostanie na dworze, chcę byś go miał przy sobie, spodziewam się, że ci będzie miłym.

Król młody podał mu rękę.

— Nie wiem czy kogo Kocham więcej nad niego — rzekł z uśmiechem — chociaż kłócimy się z nim bardzo często...

— A ja właśnie dlatego sprowadzam go na dwór, aby kłócił się z tobą — przerwała królowa Sonka. — Nadto ci się wszyscy kłaniają...

— Niech on mnie strofuje! Ja się go nie boję — odparł Władysław zawsze wesoło.

Odpuszczono nareszcie bakalarza, który poszedł pożegnać swych wychowanców i wedle zwyczaju donieść pani Frączkowej o nowem szczęściu, czy obrocie losu jaki go spotkał.

Miał on wielkie znaczenie.

Zwlekane dotąd poświęcenie się stanowi duchownemu, musiał Grzegorz stanowczym krokiem zakończyć. Nosił suknię, nie mając święceń, wahał się jeszcze...

Dawano mu oddawna do zrozumienia, że byłby mógł otrzymać beneficjum jakiegoś, probostwo lub kanonię, gdyby kapłanem został. Rozdawano je wprawdzie naówczas i długo potem jeszcze, osobom świeckiego stanu, z obowiązkiem trzymania wikaryuszów, lecz było to wyjątkowem i przez duchowieństwo niedobrze widzianem.

A Grzegorz nie czuł w sobie jeszcze tak jawnego powołania, aby się wyrzec na zawsze swobody życia i nadziei...

Pani Frączkowa też, która była jego Egerią, nie nalegała na pośpiech, choć przewidywała, że się na święceniu skończyć musi.

I tym razem Grzegorz poszedł do dworku Balcerów naprzód, pochwalić się tem, co go nawiedziło... Spotkał w progu starą Balcerowę.

— A co, matuniu — rzekł do niej wedle poufalego zwyczaju dawnych czasów. — Żle ze mną. Ludzie się Grzesiem waszym rzucają. Tarnowscy już mnie nie chcą. Wyrzekli się...

Widząc uśmiech na jego ustach, nie ulękła się jakoś Balcerowa.

— Cóż myślisz poczynąć?

— Albo to człowiek ma w czem wolę swoją? — rzekł Grzegorz wchodząc za nią do izby. — Teologowie i filozofowie powiadają o wolnej woli, ale bodaj tak świat widzieli!!

Mus jest we wszystkim, chcesz czy nie, konieczność ciągnie...

— Dokąd? — wtrąciła nadchodząca pani Frączkowa.

Grzegorz witał się z nią i odparł obojętnie.

— Kazała mnie przywołać królowa dziś i poleciła przenieść się na zamek, a stać przy młodym królu.

Lena potrząsnęła głową.

— Skarżysz się na to? — zawołała.

— Jako żywo, bo ja na nic się nie zwykłem skarżyć, to raz, a powtóre, skarga się nigdy na nic nie zdała i jest rzeczą dziecinną, ale czy to bardzo wygodne i zdrowe? nie wiem...

Westchnął.

— Lepiej było w kollegium? — zapytała Frączkowa.

Wtem praktyczna Balcerowa wtrąciła.

— Cóż wam na zamku przeznaczono robić? bo już ciż miejsce dać musieli.

Grzegorz głową trząsał.

— Dali mi miejsce Ezopa przy królu.

Kobiety spojrzęły po sobie nie rozumiejąc.

— Cóż to jest? — spytały.

Śmiał się bakałarz.

— Trudno wytłumaczyć, mam królowi mówić prawdę, a tak słodką, aby ją przetykał — rzekł wreszcie. — Będę wisiał przy dworze, trochę więcej jak błaznem, a trochę mniej niż ochmistrem...

— Nie drwij — przerwała Lena, która nie lubiła, aby ją lekceważono.

— Mówię prawdę — ciągnął dalej Grzegorz. — Nie dano mi żadnego urzędu, ani obowiązku, królowa chce abym młodego pana miał na oku i ostrzegał go.

— Toć najlepszy sposób zbliżenia się, przywiązania do siebie i pozyskania.

— Nieprzyjaciela — dokończył Grzegorz. — Zbrzydź mnie sobie...

Kobiety nie chciały tego zrozumieć.

— Druga konieczność — dodał Grzegorz — że wreszcie suknię, którą noszę, trzeba będzie dać pokropić święconą wodą i wygolić sobie koronę na głowie.

Westchnął. Frączkowa się popatrzyła na niego i ramionami ruszyła.

— Nie chce mi się wierzyć w takiego księdza.

— Mnie też — dokończył Grzegorz — ale spieszyć nie będę...

Smutnie jakoś skończyła się rozmowa. Po chwili despotyczna pani Frączkowa zawczasu zaczęła nad tem boleć, że Grzegorz na zamku zajęty o nich zapomni.

— A ja tego nie ścierpię — dodała. — Nie było nas do siebie przyzwyczajając, teraz chcesz czy nie chcesz, musisz służyć Frączkowej...

— Tego się nie zarzekam — rzekł bakałarz. — Nie mam oprócz was na świecie nikogo...

W złą wyrzekł to godzinę.

Frączkowa się nagle spiesniejszym krokiem zbliżyła do niego z dosyć zafrasowanym obliczem...

— Nie w porę wam to oznajmię — rzekła — ale zataić trudno... Właśnieście powiedzieli, że nikogo nie macie, a bodajbyście nie woleli naprawdę nie mieć rodziny...

— Albo co? — przerwał zdziwiony Grzegorz.

Kobiety się na siebie popatrzyły.

— Nie ma co taić — odezwała się Frączkowa. — Drugi już dzień jak tu przychodzi obdarty, pijanica, zawadyaka okrutny, a mieni się waszym bratem Zbilutem i szuka was. Nie chcieliśmy mu o was powiedzieć, abyście wstydu nie mieli...

Grzegorz pobladł i zerwał się na nogi, ręce łamiąc.

— Być-że to może! Zbilut tu... Rodzony mój, Boże wszechmocny! W tej chwili!!

— Jeżeli go wiertelnicy pijanego gdzie nie pochwycili przy kościach, to tylko co go nie widać — mówiła Frączkowa. — Uparł się tu chodzić, aby koniecznie wymódl na nas wiadomość, gdzie ma szukać brata... Ale strach spojrzeć na niego! a wam się serce zakrwawi gdy go zobaczycie...

— Brat, brat!! — powtarzał Grzegorz wzruszony. — Rodzony brat! Jakże ja go mogą opuścić. Jego jednego w świecie mam! Może nędza do tego stanu biedaka przyprowadziła, może rozpacz każe mu szukać zapomnienia w pijaństwie. Brat! — powtarzał Grzegorz...

Wtem w sieniach dał się słyszeć głos chrypliwy.

— Puszczaj nicponiu! bo ci łeb rozkwaczę... Słyszysz! Szlachcic jestem ty łyku jakiś, rabie...

Frączkawa uszy zasłoniła sobie rękami i rzuciła się do drugiej izby, gdy Grzegorz, domyśliwszy się Zbiluta, zapomniał o wszystkim i wybiegł naprzeciw niego wołając.

— Zbilut! brat!

Szedł z rękami otwartymi, aby go przycisnąć do piersi, ale na widok jaki mu się przedstawił, cofnął się z jękiem przerażony...

Przed nim stał młody jeszcze mężczyzna, w sukni zbloconej, poszarpanej i odartej, w czapczynie na tył głowy zarzuconej, z brodą zarosłą i rozczochraną, z włosami, w których słoma i śmiecie tkwiło. Twarz jego czerwona krwawo, zwierzęcego wyrazu, oczy zasze krwią, sińcami okryte i guzami czoło, brudne ręce, czyniły go obrzydliwym i straszonym.

Na widok Grzegorza, zaniemiawszy na chwilę Zbilut, ręką niepewną, drżącą sięgnął do czapki i zamruczał.

— Czołem!

— Zbilut! — zawołał Grzegorz.

— Tak jest, Zbilut Strzemińczyk z Sanoka, — odparł bełkocząc pijany. — Szukam brata zgubionego... Ten słyszę tu opływa w dostatkach a krew jego wszy jedzą. Taka sprawiedliwość na świecie...

Otarł rękawem zaślinione usta, splunął i począł niepewien jeszcze kogo ma przed sobą, bo mu się w głowie mąciło, przyglądać się Grzegorzowi, który zawołał surowo.

— Chodźmy ztąd!!

W Grzegorzu walczyło wzruszenie i odraza, a smutek jakim go przejmował widok pijanego, zezwierzęconego człowieka, w którym chciał widzieć brata. Zbilut nie okazując najmniejszej czułości, wpatrywał się oczyma zażawionemi od pijaństwa temu, w którym się domyślał brata. Bakalarz wyszedłszy, tarł czoło, myśląc co pocznie z tym człowiekiem, z którym naprawdę wstyd było się pokazać w ulicy.

Potrzeba było mieć męztwo wielkie i miłość jaką czuł Grzegorz, aby spełnić ciężki obowiązek.

— Masz gdzie jakie przyporzysko? gospodę? — zapytał stojąc w ulicy.

Zbilut ruszył ramionami.

— Gdzie tu w tym przeklętym Krakowie znaleźć dziurę? Ludzie jak drapieżne zwierzęta! Trzy razy mnie w szynkach pobito... Nie mam kąta, nie mam grosza... Ostatnią noc nie wiem gdzie spał pod murem...

— Aleś pił i jesteś pijany?

— Co to, pijany? Człowiek, gdy nie ma co jeść musi pić — krzyknął Zbilut. — Jeżeli jesteś moim bratem, no, to prowadź mnie do siebie na gospodę... A juści!

— Nie mogę — rzekł Grzegorz — ja mieszkam na zamku przy królu, a tam takich obdartusów jak ty nie cierpią. Dostałbyś się do kuny...

— No, to gdzie chcesz mnie wsadzić, aby dach nad głową, jeść i pić w bród, bom głodny — rzeki Zbilut — a nie, to po ulicach wywoływać będę coś za brat!! Wstydu narobię.

Wziął się w boki.

— Jam tu darmo z Sanoka na piechotę przywłókl się!! Powiadali ojcu i mnie, że wy tu opływacie.

— Żyje ojciec? — przerwał Grzegorz.

— Nogami suwa, a ani go dobić! — odparł Zbilut. — I grosza mi już nie daje... a trzyma co ma pod sobą!

— Nie mogłeś to pracować? — zawołał surowo Grzegorz.

Zbilut splunął.

— Ale! — wykrzyknął. — Boso, w tym kubraku, bez konia szlachcicowi służby szukać? Stary nic dać nie chciał, on wszystkiemu winien.

Po krótkim namyśle, Grzegorz nie przedłużając rozmowy, począł iść w miasto... Nie mógł go gdziekolwiek umieścić, tylko pod dozorem człowieka, któryby litość nad nim miał, a razem energię do powstrzymania go od pijaństwa...

Za czasów, gdy począł tu do szkół chodzić, bakalarz na jednej ławie siadywał z bardzo biednym, starszym od siebie wyrostkiem, którego przezywano niewiedziec z kąd Grochowiną. Przydomek mu się ten pozostał. Grochowina, który uczyć się począł, gdy był pod wąsem, niedaleko zaszedł w szkole, porzucił ją potem i w mieście go do straży zaciągnięto. Był starszym nad częścią pacholców miejskich, Viertelników.

Choć sam nieuk, Grochowina miał wielkie poszanowanie dla ludzi stanu duchownego i nauczycieli, chlubił się tem, że z Grzegorzem razem do szkoły chodził, a spotykając się z nim, uśmiechał mu się i kłaniał. Był to człek dobry, ale nawykły do ocierania się ciągłego o gawiedź uliczną, do surowości wdrożony i nieubłagany dla hulajdajów.

Wiedział Grzegorz, że Grochowina mieszkał w lichej izbie u Floryańskich wrót i spodziewając się go tam znaleźć, bratu iść kazał za sobą. Zbilut mrużąc ciągnął za nim.

Grochowina stał właśnie w furcie, gdy nadeszli, na wieczorny obchód swojego kwartału się sposobiąc.

Pospieszył bakalarz przodem ku niemu, a poznawszy go zaledwie, drab zdjął kołpak z głowy i począł się uśmiechać z dziecinną radością.

— Grochu mój! — zawołał bakalarz — patrzaj na tego, którego z sobą przywiodłem... pijanicę co się tak zatacza... Jest to mój rodzony brat! Bieda go do tego doprowadziła. Nie mam na razie co z nim począć. Miej nademną miłosierdzie. Weź go do siebie do izby... nakarm, pić mu nie dawaj, włóczyć się nie pozwalaj...

Wyjął z kalety bakalarz garść denarów i wsypał je w szeroką dłoń Grochowiny.

— Nim się namyślę, co z nim począć, może się ustatkuje. Zatrzymaj go przy sobie, ale mu za próg nie daj wychodzić i pić nie dopuść!

Grochowina słuchał z uwagą, potrząsając głową.

— Jednak — dodał litując się bakalarz — nie bądź za surowym... obchodź się z nim łagodnie. Jutro przyjdę, aby coś na przyszłość obmyśleć.

Zbilut stał tymczasem oglądając się dokoła.

— Słuchajcie — zawołał do brata razem i do nieznanego Grochowiny — a gdzieby tu się posilić? Pić mi się chce wściekle...

Targnął za rękaw Grzegorza.

— No, cóż będzie?

— Zostaniesz tu, dadzą ci pomieszczenie i strawę — rzekł bakalarz. — Naprzód ci się wyspać potrzeba, nim ja z tobą mówić będę.

— Cóż to to? przecie nie gospoda — odparł chmurząc się Zbilut — wygląda na więzienie...?

— Izba jest jasna i dobra u mnie — przerwał z wolna go pod pachy biorąc Grochowina, i popychając przed sobą na ciasne wschodki. — Idźmy...

Grzegorz poszedł też za nimi.

Weszli do komory sklepionej, dosyć obszernej, w której kątach był nagromadzony rynsztunek wojenny. Parę okien kraciastych, niewiele światła dopuszczających, czyniły ją dosyć smutną. W kącie stał tarczan Grochowiny, a na stole w pośrodku postrzegłszy dzban i kubek, Zbilut wprost nie pytając nikogo, chwycił się do nich. Ale, oboje było próżne.

Z pogardą postawił je nazad i obejrzał się.

— Jeść! — zawołał — i pić!

— Wszystko przyjdzie swego czasu — rzekł Grochowina — a mnieby się widziało, abyście naprzód na mój tarczan szli spocząć.

Bakalarz stał z niewymownym litości wyrazem przypatrując się odzyskanemu bratu.

— Zbilut — rzekł poważnie. — Chceszli abym ci bratem był, stań-że się takim, byś mi wstydu nie czynił.

Będziesz miał wszystko, co ci potrzeba, oddam ostatnie, podzielę się z tobą czem mogę, ale hultaja nie ścierpię...

Zbilut zdawał się słuchać, piąte przez dziesiąte rozumiejąc ledwie.

— Alboś ty mi brat albo nie brat — odezwał się — a jeżeliś mi brat, to mi powinno być wszystko w bród! Za co ja mam nędzę cierpieć, kiedy ty w flamskim suknie paradujesz.

— Alem ja na nie zapracowałem! — odezwał się Grzegorz.

— To i ja z kordem w ręku, ino mi dać co się należy, potrafię też po łbach ludzi walić, bo to jest szlachecka sprawa, a ja jestem szlachcic zawołania Strzemię. Klechę, jako żywo nie będę, a w rycerskim rzemiośle nikt mi nie sprost!

Wyciągnął pięść, ale zachwiał się na wązkiej ławie, na którą padł, i gdyby go nie pochwycił Grochowina, na ziemięby się stoczył. Silny drab, raz go ująwszy, rzucił na tarczan i dał znak Grzegorzowi, aby był o niego spokojnym.

Zbilut znalazłszy się na posłaniu, zabelkotał coś niewyraźnie, ale wypity trunek go rozmarzał, i po chwili, choć rzucał się i chciał wstawać, sen nim owładnął...

Bakalarz spojrzął zdala z politowaniem, poszeptał z Grochowiną, i odszedł...

VIII

W tydzień potem, pijanicy Zbiluta, którym brat się zajął serdecznie, poznać było trudno. Naprzód od stóp do głów odział go swoim kosztem bakalarz, nakarmił, opatrzył, a gdy się wytrzeźwił i oprzytomniał, wymógł na nim przyrzeczenie, że pić nie będzie, obiecując mu rycerską służbę dobrą wyrobić przy jakim pańskim dworze. Zbilut otrzeźwiony, zdawał

się na wszystko zgadzać, przyrzekał bratu poprawę, lecz czem był w dzieciennym wieku, pozostał i teraz, to jest najchytrzejszym i najzepsutszym z ludzi. Umiał się ułożyć tak i przybrać pokorną i powolną powierzchowność, że bakałarz mu uwierzył... Tłumaczył się rozpaczą, do której go nieludzkość ojca doprowadziła...

Pobyty w Grochowiny, trochę więzienny, nie podobał się Zbilutowi, obawiał się tego draba, który pilne miał na niego oko, wyprosił się więc do jakiegoś mieszczanina, z którym zrobił znajomość.

Przez dni kilka układał się tak dla Grzegorza, aby go nigdy pijanym nie zastał. Późno potem w noc wykradał się do browaru i tam pił do upadłego; a że piwnice naówczas, zwłaszcza odleglejsze, pełne były kosterów; z nimi też kości rzucał i kilka guzów oberwał. Złożył je na jakiś przypadek, a przed bratem ciągle statecznego udawał, powtarzając...

— Ja teraz nic, tylko wodę! abym głodnym nie był!

Chcąc go w służbę wojskową dać, musiał Grzegorz o konia, o zbroję, o miecz, o koncerz, o suknie i o rząd się starać, tak że co miał tylko grosza, wydał na to. Zbilut przyjmował dosyć wdzięcznie, ale potrzeby coraz nowe wynajdował... a potem obiecywał pokazać dopiero co umie...

Bakałarz, któremu o te czasy przypadło razem starać się w akademii o nowy stopień mistrza (*magister*), bo ten mu był do dalszego pomieszczenia się potrzebnym, stać u boku króla, nieraz potajemnie być wzywany do królowej, a razem brata tego na ludzi wyprowadzać, nie miał jednej chwili wolnej.

Przybycie Zbiluta zubożyło go... oddał mu, nie jak postanawiał połowę tego co miał, ale niemal wszystko co uzbierał.

Lecz nie było mu strasznym ubóstwo, bo dla siebie nie potrzebował wiele, a cieszył się tem, że brata wyrwie z błota.

Wychwalał się tą szczęśliwą przemianą przed Frączkową, która jako kobieta nie tak łatwowierna, uśmiechała się tylko i głową trzęsła... Nie wierzyła w poprawę zawadyaki i pijaka.

Właśnie gdy już mistrzem mianowany Grzegorz z Sanoka, dla odrodzonego brata spodziewał się znaleźć pomieszczenie we dworze wojskowym wojewody sandomirskiego, jednego dnia dano mu znać z gospody, w której przebywał, że porąbany, pijany, odarty ze wszystkiego Zbilut, leżał w krwawych chustach, potrzebując więcej lekarza, niż służby...

Grzegorz pospieszył do niego...

Potłuczony Zbilut, który miał się czas wytrzeźwić, nie przyznał się do tego, że go przy kosterstwie odarto i posieczono, ale zmyślił baśń, jak go nocą lotrzykowie napadli.

Przysięgał się, że całe pijanym nie był, i że stał się ofiarą zbójów.

Okazało się, że i kupiony koń znikł, bo go wzięli roztrucharze, i zbroi nie było i sukni nie stało... Słowem cała ta wyprawa, na którą Grzegorz w pocie czoła zebrany grosz oddał, marnie przepadła. Uwierzyć niezręcznym kłamstwom Zbiluta nie było podobna. Wahał się jeszcze brat, mówiąc sobie, że nałogowy i popsuty człowiek nie od razu poprawionym być może, chciał go ratować, lecz w kilka dni potem polepionego plastrami łotra, zastał bez zmysłów spitego...

Wstręt i odraza, mimo litości, oburzenie go opanowało... Podniósł ręce, zakrył sobie oczy i zawołał do gospodarza.

— Czyń z nim co chcesz, ja więcej o nim wiedzieć nie chcę! Jego nie uratuję, a siebie zgubię...

Lecz łatwiej to było powiedzieć, niż skutecznić.

Zbilut wytrzeźwiony, wylizawszy się, począł od tego, że resztę rzeczy sprzedał i przepił, potem stanął około zamku na czatach i czyhał na brata.

Ze zwykłą logiką ludzi jemu podobnych, wywoływał głośno.

— Co to on sobie myśli, że ja mu tu będę z głodu marł, kiedy on u króla je i pije! Albow brat albow nie brat, musi mnie tak trzymać jak mi się należy. Ja swoje prawa znam i nie popuszczę...

Grzegorz uwiadomiony o tej napaści, która się na niego gotowała, z rezygnacją chrześcijańską zniósł ten krzyż pański. Dopóki miał nadzieję, że uratuje człowieka, gotów był na wszelkie ofiary, zrozpaczywszy o tem, postanowił nie czynić już nic, a upokorzenie znieść stoicko.

Szczęśliwy traf wyzwolił go od tego, coby go niechybnie spotkało, gdyby królowa w tajemnym poselstwie nie kazała mu jechać do Węgier do cesarzowej Barbary.

Gdy Zbigniew Oleśnicki wewnętrzne sprawy państwa, spory ze Świdrygiełłą, Krzyżakami, z warchołami hussyckimi załatwiać musiał, królowa tymczasem, w części bez wiedzy jego, lub wcale mu się nie zwiierzając, przewidywała zawichrzenia w Węgrzech i Czechach, po niewieściemu przygotowując się z nich korzystać.

Nie miała nawet wstrętu do hussytów, których Zbyszek odpychał jako kacerzy, przysposabiając pomiędzy nimi stronnictwo, któreby Kaźmirza małego na tron wezwać mogło.

Tak samo z pomocą cesarzowej Barbary, co ledwie do prawdy zda się podobnem, spodziewała się już Władysławowi węgierską zapewnić koronę.

Zygmunt cesarz chorzał, Barbara z zimną krwią i przewrotnością najzepsutszej kobiety, spiskowała z królową Sonką, czyniąc jej nadzieję, że zaślubi Władysława i uczyni go panem na Węgrzech.

Zabiegi te były naówczas jeszcze zaledwie rozpoczęte nieśmiało, nikt o tych marzeniach królowej matki nie wiedział, oprócz cesarzowej Barbary, tymczasem jednak pilno się starano o pozyskanie ludzi wpływowych w Węgrzech i Czechach.

Królowej Sonce niedosyć było dla Władysława polskiej korony, a prawdopodobnego wielkorządztwa na Litwie dla Kaźmirza, upajała się tą myślą dziwną, że jej synowie panować będą nad Polską, Węgrami i Czechami.

Potworna myśl przeszło pięćdziesiątletniej cesarzowej Barbary, poświęcenie syna tej kobiecie, której życie swawolne i bezwstydne dla nikogo tajemnicą nie było, wszystkie trudności tego olbrzymiego i zuchwałego planu, nie odstręczały królowej Sonki.

Wiedziała ona, że zwieryć się z tem nikomu nie mogła, bo niktby nie pobłażył myśli dzikiej i wstrętnej, zdawało się jednak Sonce, że powinna była pracować dla zapewnienia synom wielkiej potęgi, i w ciszy nie ustawała knować w Węgrzech i Czechach.

Zabiegi jej okrywała tajemnica największa, a Grzegorz z Sanoka, którego sądu obawiała się królowa, tak mało wiedział o tem jak i drudzy, bo mu nic nie mówiono. Sonka tylko znając go wiernym sobie i królowi, rozumnym i zręcznym, posługiwała się nim, jako narzędziem, gdy potrzebowała listy przewieźć, lub przeznaczone do Węgier i Czech pieniądze...

Nadzwyczaj czynna, królowa umiała milczeć, a synów tak przysposabiała do ślepego dla siebie posłuszeństwa, iż najmniejszego z ich strony oporu spodziewać się nie mogła.

Władza jej nad dziećmi była nieograniczoną. Król Władysław, choć dorastał i wkrótce być miał usamowlonionym, przy matce czuł się chłopięciem tylko, które skinienia jej słuchać musiało.

Niewidoczna dłoń pani na dworze poruszała wszystkim, nadawała kierunek, usuwała i ściągała ludzi...

Dzieci swe umiała zręcznie przygotowywać do tego, co wedle myśli spełniać mieli; budziła w obu ambicję wielką, żądzę sławy i panowania.

Starła się też przypatrzywszy rządowi Jagiełły, który sam przez się mało lub nic nie czynił, zahartować ich charaktery, aby nad sobą nikomu przewodzić nie dali.

Z Władysławem, rozmarzonym rycerzem, szło jej po myśli, gdy go do wojen i zdobyczy podzegała, ale energii w nim takiej, jakiej pożądała, wyrobić nie mogła. Jak Jagiełło dobrym był, łagodnym, hojnym i miękkim... Obok męztwa, które już w chłopięciu zapamiętało było i niczem niedające się ustraszyc, Władysław serce miał prawie niewieście. Potrzebował aby go kochano, nie dbał, by się go lękał kto inny, oprócz wroga na polu bitwy.

Kaźmirz równe obiecujący męztwo, zdawał się skłonniejszym do zahartowania i więcej w sobie zamkniętym...

Grzegorz z Sanoka obcujący z nimi, musiał wedle skazówek królowej, wpływ na obu wywierać.

Niechętnie pozbywała go się Sonka od dzieci nawet na czas krótki, lecz gdzie tajemnicę potrzeba było zachować, i przewieść jakie słowo, które do niczyjego po drodze ucha dostać się nie powinno, tam mistrz Grzegorz jechać musiał.

I teraz więc dnia jednego znikł on z Krakowa, a nikt nie umiał powiedzieć dokąd się obrócił.

Właśnie gdy Zbilut czatował nań, zapijając się po browarach i odgrażając na brata, Grzegorz był na drodze do Węgier...

Los chciał, by w nocnej jakiejś rozterce z łotrami, z którymi Zbilut przestawał, nie on pobity został, ale przeciwników swych pokaleczył. Schwytany z kosterami już nie poraz pierwszy, dostał się do miejskiego więzienia, i tu go znalazł Grochowina.

Ten znając już dobrze człowieka, a wiedząc ile strapienia przyczynił Grzegorzowi z Sanoka, postarał się o to, aby go bez zbytecznego rozgłosu, po prostu z miasta wyświecono.

Napróżno niepocziwy człek odwoływał się do mistrza brata i do królowej, ponieważ nie jeden już raz poszlakowanym był, wywiedziono go precz za miasto, a Zbilut wiedział, co go czekało, gdyby, mimo zakazu, był pochwyconym.

Gdy spełniwszy posłannictwo swe wrócił mistrz Grzegorz do Krakowa, brata już tu nie zastał. Frączkowa, która się niepokoiła tym zbójem, i rada była widzieć go wygnanym, miała o tem wiadomość. Zjawił się u niej Grzegorz i od niej posłyszał o tem, co Grochowinie był winien...

Rad był może, iż pozbył się ciężaru, ale pocziwem sercem odbolał tę stratę... Ojciec stary, który jak Zbilut mu opowiadał, dotąd nie przebaczył ucieczki, i ten niepoprawny łotr, składali całą jego rodzinę... Czuł się sierotą...

Wincenty Kot z Dębna, który był przy królewiczu, z nauczyciela jego postąpił na kanclerstwo, to go odrywało od młodych wychowanców, tem większy więc ciężar spadł na Grzegorza z Sanoka. Musiał on prawie nieodstępnie towarzyszyć królowi, i podzielać zabawy jego i zajęcia...

Młodzi Tarnowscy Amor i Gratus, dawni uczniowie, znajdowali się także na dworze. Wszystkim im, nie wyjmując Kaźmirza, Grzegorz umiał być miłym i zjednać ich sobie, chociaż żadnem pochlebstwem się o to nie dobijał.

Owszem mówił im często prawdę, ale zarazem wesoło, dobremi słowami, z serca płynąciami.

Królowa równie z niego była rada, chociaż surowego jego sądu obawiała się nieco i nie zwierzała mu z tego, czego była pewną, że pochwalić nie mógł. Odznaczał się tem, że przekonani swych dla przypodobania się, nikomu nie zrzekał.

Jak w akademii gorszył starszych pomysłami nowymi, tak na dworze nieraz mu uniżający się i płaszczący ludzie nie mogli darować tego, iż niepodległym się okazywał.

Lecz wiedziano, że na niego, raz go pozyskawszy, rachować było można.

Życie na dworze i przy królu, wcale nie przeszkadzało Grzegorzowi po nocach ślęczyć nad księgami. Właściwie, dzień dla niego był służbą, noc, życiem prawdziwym, bo wówczas przy lampce zasiadał do obcowania z nieśmiertelnymi duchami swych ulubionych poetów, i czytywał się w Plauta, którego naśladować usiłował...

Żałował teraz i bolał, że za młodu przedsięwziąwszy wędrówkę, nie przeciągnął jej za Alpy, do Italii tej, z której płynęły drogocenne rękopisma, słynącej skarbami swemi...

Goszcząc raz na zamku biskup Zbyszek, który piękną łacinę Grzegorza cenił wielce i przestając z nim, umyślnie może rozmowę zwracał na piśmiennictwo, aby go w inne nie wtajemniczać sprawy, usłyszał to życzenie a raczej żal, iż mu nie dano było gościć we Włoszech...

Zmarszczył czoło i spojrział bystro na młodego mistrza.

— Dziwnie się to składa — rzekł — bo życzenie wasze schodzi się z moją pilną potrzebą wysłania zaufanego męża na dwór Ojca św. do Rzymu? Gdyby królowa jejmość i młody pan zgodzili się na to, chętnieby wam powierzył poselstwo moje. Nie od rzeczyby też było może, abyście suknię nosząc duchowną i święcenia kapłańskie otrzymali, a te z łatwością byście tam uzyskali...

Myśl ta uśmiechała się wielce Grzegorzowi, lecz nigdy się nie spodziewając, aby ją mógł przyprowadzić do skutku, gdy nagle ujrzał blizką urzeczywistnienia, oniemiał prawie z podziwienia i radości.

Okazywać jej jednak nie śmiał, bo będąc na usługach królowej, nie wiedział czy go odpuścić zechce...

Wszystko więc pozostawił biskupowi Zbyszkowi.

Ile razy znajdował się w takim położeniu, w którym człowiek szuka kogoś, aby się z nim myśla i uczuciem podzielić, Grzegorz nawykł był zwracać się do dworku Balcerów.

Frączkowa, prawda, była kobietą nieuczoną, jednakże przy tym mistrzu nabyła, przyswoiła sobie zdrowy sąd nawet w tych rzeczach, o których otwarcie powiadała, że się na nich nie znała i nie rozumiała. Słuchała Grzegorza, i często zdumiewała go sądem zdrowym. Z nią zresztą mówił jakby sam z sobą, tak znajdował jej wyobrażenia pokrewnymi swoim.

I tym więc razem, rozkołysany myślą, że podróż do Italii przyjść może do skutku, poszedł się podzielić z Frączkową swoją nadzieją.

Już w progu, znająca go dobrze jejmość, na twarzy wyczytała, że coś pomyślnego przynosił, bo mu się oblicze uśmiechało.

Nie spieszył jednak z dobrą wieścią.

— Cóż mi tam przynosicie? — zapytała Lena siadając naprzeciw niego — bo czuję i widzę, żeście nie przyszli z próżnymi rękami.

— Otóżecie się omylili! — rozśmiał się mistrz — bo naprawdę, tylko wiatr i dym przynoszę w nich!! Nadziei wszelkich inaczej nazywać się nie godzi.

— A z jakąż nadzieją przychodzicie? — nalegała Frączkowa.

Grzegorz się wstrzymał trochę z przyznaniem do niej, przypomniał sobie, że jejmość nie była rada gdy podróżował.

— Dawnom marzył — odezwał się w końcu — aby się do Italii dostać, bo to królestwo ksiąg i nieprzebrane źródło nauki. Otóż, otóż się tak składa, że ks. biskup potrzebuje posła do Rzymu, a po drodze bym i o Bononię i Padwę zawadził.

Skrzywiła się Frączkowa.

— Ks. biskup?? — zapytała głową potrząsając znacząco, i ironicznie się uśmiechnęła — a wy, człowiecze dobroduszny, cieszyście się z tego?

Zdumiał się Grzegorz.

— A dlaczegoż radowaćbym się nie miał? — odparł niemal obrażony.

— Dlatego — zaczęła Lena — że onby was rad ode dworu, króla i królowej oddalił, bo może wam rosnącego wpływu zazdrości, może się go obawia!!

Grzegorz na chwilę się zadumał, ale gdy podniósł rozumne i spokojne wejrzenie na siedzącą naprzeciw Frączkową, która tryumfowała ze swej przenikliwości, wzrok jego niemal ją upokorzył, oznaczał on politowanie jakiegoś, miał siłę i wyższość, którą uczuła Lena.

— Przyjaciółko moja dobra — rzekł powoli — zaprawdę, zaprawdę w troskliwości waszej o mnie, wy nigdy wszelako nie zrozumiecie, do czego ja dążę i czego pragnę!

Sądźcie, że wysokie stanowisko przy królu, że stanowczy głos w radzie, że udział w rządzie, mogą być dla mnie celem pożądanym, i że ja o nie dobijać się myślę...

Tak nie jest! Marne to są sprawy, które za sobą wloką troski wielkie, walkę i odpowiedzialność. Nie pragnę, a niech mnie Bóg strzeże, abym miał wyręczać lub zastępować biskupa Zbyszka... Panować nie chcę! Władzy nie pożądam, za mądrością gonię i jej szukam... a spokoju... Księga nowa, światło nowe, które pozyskam, droższe mi są niż dostojęstwa i skarby...

Na chwilę zatrzymał się, zamilkł, jakby chciał aby słuchająca dobrze wagę słów jego pojęła.

— Tak — dodał — a jeżeliście mnie widzieli rzucającego cichy kąt w kolegium dla zyskowniejszego stanowiska u Tarnowskich, potem od nich przechodzącego w służbę królowej, nie sądźcie, abym to czynił dla władzy i marzeń o dostojęństwie... Wszystko, nawet mądrość kupować potrzeba... chciałem mieć za co nabyć sobie Plauta i Terencyusza! a na później, na starość zabezpieczyć kąt i strzechę, pod którąbym nie łaknąc chleba powszedniego, mógł ich czytać i rozmyślać nad niemi...

Nie troszcz się więc dobra przyjaciółko moja o los Grzegorza, który sam o niego inaczej się nie troska, tylko aby mu dał spokój do pracy...

Lena założywszy ręce na piersiach, milczała i patrzyła nań.

— Rozumiem i nie rozumiem — odpowiedziała po chwili. — Można juści marnosciami świata pogardzać, ale gdy tym światem ku lepszemu pokierować człowiek ma zręczność, czemużby z niej nie korzystał?

Nie dla siebie, a dla świata!

— Jejmość moja — śmiejąc się odparł Grzegorz — ostrożnie, abyśmy nie zabłądzili oboje na manowce filozoficzne!! Sądziś, że kto oprócz Pana Boga i jego wyroków kieruje światem?? Sądziś, że Zbyszek, któremu się zda, że prawa dyktuje, jest czem innym, jak narzędziem w ręku Opatrzności! Mylisz się! Każdy powinien czynić do czego się czuje powołanym, a o resztę się nie troszczyć...

Mnie do Włoch woła pożądlivość ksiąg i światła, pójdą za nią, a Bóg sprawi, że moja praca na użytek powszechny się obróci...

Frączkowa tą nauką daną sobie, trochę się czuła może obrażoną i odparła żywo.

— Sądziś więc, że ja się myślę i że Zbyszek nie ma na myśli cię odepchnąć?

— Owszem — obojętnie rzekł Grzegorz — przyjmuję to przypuszczenie jako możliwe i trafne, ale wzruszam ramionami na to... Obawia się biskup właśnie tego, co mu najmniej grozi... Współzawodnikiem jego być nie myślę.

— A oddalenie się od młodego króla — przerwała żywo Lena — nie dozwolił innym was z jego łaski wyrugować, a samym się w nie wcisnąć?

— Nie sądzę — spokojnie rzekł Grzegorz — lecz gdyby tak było nawet, nie smuciłbym się zbytnio... Król młodym jest, wszystko co może zawinić spadnie na doradców i przyjaciół jego, nie chcę za niego odpowiadać...

— Jam zawsze, co najmniej marzyła dla was o kanclerstwie — westchnęła Lena — ale widzę...

— Że ja probostwem się zaspokoję!! Dobra prebenda starczy!! — zamknął Grzegorz z Sanoka.

— I pojedziesz do Italii?

— Z wielką radością — odparł prędko Grzegorz. — Pomyślcie ino!! nie mamy w Krakowie dotąd jednego całego Cicerona, braknie nam wielu pisarzy łacińskich, bez których kalekami jesteśmy. Natomiast traktatów o filozofii, która jest bałamuctwem złożonym z formułek dziecinnych, aż nadto. Czas radzić, aby przyszłe pokolenia nie ogłupiały!

To co mówił Grzegorz zdawało się przechodzić granice wiedzy i pojęć Frączkowej, lecz choć może niejasnym dla niej było, tyle razy toż samo powtarzane słyszała z ust mistrza, iż jej to nie było obcem...

Dała głową znak potakujący, jakby mówiła.

— Powtarzasz mi starą piosenkę...

Ale twarz jej smutkiem się oblekła.

— Podróż za góry — westchnęła — pełna niebezpieczeństw i trudności.

— Dla tych co ją odbywają z trzosem nabitym, bo ich hultaje na drodze obdzierają a pod czas i zabijają, ale ja... mamony z sobą wieść nie będę i zaśpiewam zbójcom to mnie puszcza...

Choć mistrz rozmowę starał się wesołą uczynić, Frączkowa się zasępiła. Wolałaby była, ażeby nie jechał.

Nazajutrz powołano go do królowej, która go bystrem wejrzeniem zmierzyła.

— Czyście wy się sami nastęrczyli biskupowi do poselstwa? — spytała.

— Nie — rzeki Grzegorz — bom o potrzebie wyprawienia posła nie wiedział, ale przyznać się muszę miłości waszej, że gdybym był zawiadomiony, byłbym popełnił ten grzech, bom zdawna do Rzymu i Włoch wzdychał...

— Ale wy mi możecie być lada chwila bardzo potrzebni — odezwała się królowa głos zniżając i krokiem poważnym, ale żywym, jak zawsze parą razy przesunęła się po izbie zadumana. Zwróciła się potem do Grzegorza.

— Nie chciałabym, aby biskup zawczasu wiedział, że ja na was rachuję, więc i od tej podróży nie będę was odciągająca. Jedźcie.

Tu stanęła bliżej i palec podnosząc dodała.

— Jedźcie, lecz nie bawcie tam. Poselstwo sprawcie prędko. Ojciec św. gdy zażądacie, da wam odprawę rychło. Ja tu na was rachuję. Jesteście mi przy Władysławie potrzebni, a kto wie — szepnęła tajemniczo — może i gdzieindziej. Gdzieindziej! — powtórzyła z naciskiem. — Nie będziecie żalowali służby waszej u mnie.

Grzegorz się sklonił, a królowa po chwili dokończyła patrząc nań, aby wiedzieć jakie to na nim uczyni wrażenie.

— Probostwo w Wieliczce pono opróżnione, postaram się, aby wam je dano. Będziecie je mieć, ale do czasu milczcie.

Grzegorz ucałował wzruszony rękę królowej, która żywo powtórzyła.

— Wracajcie rychło. Ja tu nikogo nie mam, komubym się zupełnie zwierzyć mogła...

Chciała mówić wyraźniej i zawahała się nieco.

— Nie skarzę się na zdracę — ciągnęła dalej — ale nie wszystko co czynię chciałabym rozgłaszać przed światem, a nawet przed tymi, co jak biskup dobrze mi życzą...

Na twarzy królowej Sonki błysnął przelotny promyk dumy i pewności siebie.

— Ja kobietą jestem i po kobiecemu to czynię, co inni po mężku możeby w różny sposób od mojego chcieli zdobyć... Okaże się, komu się lepiej poszczęści!!

Uśmiechnęła się królowa ironicznie trochę i natychmiast wróciła do powagi zwykłej.

— Jedźcie gdy potrzeba — rzekła — bo biskupowi odmawiać nie możecie, ale pamiętajcie, że powracać wam należy rychło, jeśli mnie służyć chcecie... O probostwie w Wieliczce nie mówcie nikomu, ja wam je przyrzekam i mieć je będziecie...

Dzień to był, w którym nie dano Grzegorzowi spoczynku. Biskup Zbyszek wzywał go do siebie. Podróż do Włoch była postanowioną. Pisano listy do Papieża, biskup ustnie dawał instrukcje.

Sobór bazylejski i wszystkie spory i trudności, jakie wywoływał, były przedmiotem głównym poselstwa. Sprawy kościoła polskiego, obsadzenie katedr, stanowiły także ważne zadanie, które biskup Zbyszek chciał powagą Stolicy apostolskiej rozstrzygnąć.

Wszystko to miał przedstawić w Rzymie Grzegorz z Sanoka, ale dla niego Padwa i Bolonia, skarby, które się spodziewał zdobyć, stanowiły największą tej podróży ponętę.

Jak wszystkie umysły mające przecucie i przekonanie, że nauki postępu uczynić nie będą mogły, dopóki nie przejmą spuścizny po starożytnym świecie, Grzegorz z Sanoka w pisarzach dawnych widział kierowników odrodzenia i przyszłości. Równie z nim namiętnie inni też uczeni poczynali poszukiwać zaginionych pomników... Z nich mówił jakby głos zamilkły długo, który miał być hasłem dla postępu...

Może w tych chwilach rozbudzenia czci dla pogańskich pisarzy i mądrości, bałwochwalstwo dla nich było przesadzonym, może ono z trudnością dawało się pogodzić z nauką chrześcijańską, lecz w przekonaniu tych pierwszych korchowników, odgrzebujących gruzy, dobywających arcydzieła, świat pogrzebiony powinien być z żywym się przejednać, a wnuki przyznać do praojców...

Z tem gorącym pragnieniem światła, Grzegorz z Sanoka, o którego podróży celu mało kto był uwiadomionym, wybierał się z Krakowa...

Król Władysław nie wiedział dotąd o niej. Nie mówiła mu o niej matka, biskup nie znajdował potrzebnem wtajemniczać go w te sprawy.

Młodego pana dotąd kształcono rycersko, dawano mu się zabawiać z rówieśnikami, lecz zawczasu nie obciążano go zawikłanymi interesami kraju. Biskup zawiadamiał go tylko o głównych wypadkach i tłumaczył mu je tak, aby zdanie jego i rady sobie przyswoił.

Władysław też wcale nie pragnął mieszać się do tego, co za niego matka i biskup szczęśliwie spełniali. Rwał się tylko do wojny, resztę chętnieby był zdał na innych.

Matka i Zbyszek tak go przyzwyczaili do tego, aby się niemi wyręczał, iż Władysław wcale jeszcze woli swej nie miał...

Wszystkie młodości upodobania i żądze, przedwcześnie dojrzewającego pochłaniały. Matka czuwając, nie stawiała im na przeszkodzie...

Wśród najprzykrzejszych zajęć na Litwie, układów z przewrotnymi Krzyżakami, młody pan mógł swobodnie zajmować się swemi końmi, zbrojami, ludźmi, których dla siebie jako straż wybierał i stroił, turniejami, wyścigami i wesołymi zabawami z Tarnowskimi.

Matka dawała czasem wskazówkę, niekiedy surowsze napomnienie. Król naówczas ręce jej całował, rzucał się jej do kolan lub na szyję i odchodził szczęśliwy, że ją widział weselszą.

Nauki matki wszystkie jedno żywiły uczucie, ambicję bohaterstwa i panowania, zdobywszy ogromnych państw, znaczenia i sławy.

Królowa Sonka nie wahała się nawet po cichu boleć przed synem, iż nieboszczyk Jagiełło nie umiał korzystać z tego, co mu się niemal narzucało. Władysław obiecywał jej śmiejąc się, że pójdzie, choćby na skraj świata zdobywać, wrogów gromić i ziemie zagarniać...

Wśród wrzawy na pokojach młody pan próbował przywiezionej zbroi, którą Tarnowscy i kilku dworzan oglądali na nim i wychwalali, gdy wszedł Grzegorz z Sanoka.

Poważnej jego postaci i sukni Władysław wcale się nie obawiał. Kazał mu więc przytrzeć się sobie i powiedzieć, jak zbroję a szczególnie szyszak znajduje, na którym lew i orzeł osadzeni byli... Jaskrawo wyszywane i wystrzygane misternie wiesidła spadały po obu stronach i leżały na ziemi teraz (lambrekiny), bo uzbrojenie do konia przeznaczone było. Królowi pięknie było w tym stroju, a z pod otwartego hełmu, śmiała się młoda twarz pełna ognia i życia.

— Mistrzu, co mówisz na moją zbroję? — wołał król.

— Że się na niej nie znam i gdybym ją pochwalił — rzekł Grzegorz — moja pochwała nicby nie była warta...

— Tak jak moja, gdybyś mi czytał twojego ulubionego poetę — odparł król.

— Jeszcze mniej — rzekł Grzegorz.

Z oczów mistrza wyczytał pewnie Władysław, że nie darmo przychodził i że coś mu miał do zwierzania... a że się domyślał poselstwa matki, zwrócił się doń szepcząc.

— Masz co do mnie?

— Chcę waszą miłość pożegnać — rzekł cicho Grzegorz.

Król posłyszawszy to, prędko oburącz uwolnił się naprzód od hełmu, który śmiejąc się, obok stojącemu Amorowi wcisnął na głowę, potem począł zbroję ściągać, do czego mu inni dopomogli i z Grzesiem poszedł w drugi koniec izby.

— Dokąd jedziesz? — zapytał.

— O podróży tej albo biskup Zbyszek, lub królowa lepiej zawiadomią, waszą miłość — rzekł Grzegorz. — Jadę, bo mnie posyłają.

Król się zmarszczył.

— A jam temu nie rad — rzekł — bo mi was brak będzie. Wy jesteście moim rozumem i gdy mi zabraknie własnego, zwracam się do was jak do dzbana, kiedy kubek próżny...

Obie ręce położył młody król na ramionach ulubionego mistrza i serdecznie spojrzawszy nań łagodnymi oczyma swemi.

— Jedziesz — rzekł — jedź gdy trzeba, ale wracaj do mnie prędko.

Tu zniżył głos.

— Nie chcę, aby mi tu was jaki inny zastąpił, z którymby mi nie było tak dobrze jak z wami.

Tak był nawykły Władysław do posłuszeństwa rozkazom matki, że więcej dopytywać nie chciał. W tej chwili tylko myśl mu przyszła...

— Nie wiem dokąd cię ślą, może to być tajemnicą, ale jeżeli będziesz w jakim kraju, gdzie oręż i zbroje są piękne, kup ich dla mnie.

Grzegorz głową skinął na znak zgody.

— Jeżeli się na nich poznać potrafię — dodał.

— Ty!! — wtrącił król. — Ty! znasz się na wszystkim!!

Wyszedł mistrz i tegoż wieczora już go nie było w Krakowie.

Są ludzie tacy, mało napozór znaczni, których gdy zabraknie, pozostawiają po sobie niezapełnioną próżnię. Grzegorz należał do nich. Nie występował on nigdy naprzód, ani myślał o narzucaniu się ludziom, a mimo to, trudno się bez niego obejść było. Każdy w nim czuł rozum, pojęcie bystre i szanował jego zdanie. Gdzie zachodziła wątpliwość, nawet w rzeczach obcych napozór jego powołaniu, odwoływano się do niego...

Zabrakło go na zamku krakowskim, a już o tem, jak brak było codziennego gościa w dworze Balcerów, mówić nie potrzebujemy. Frączkowa chodziła milcząca i zafrasowana, a stara Balcerowa nic nie mówiąc, śledziła jej kroki i pieszczotliwie głaskała pod brodę...

W kollegiach też, choć Grzegorz nie nauczał, nieraz za nim zatęskniono. Tu wszelki spór zwykle, jeżeli nie poddawano rozstrzygnięciu jego, przynajmniej bez zasięgnięcia zdania się nie obszedł.

Z powołania nie teolog, wcale w filozofią scholastyczną niewtajemniczony, bo się z niej wyśmiewał zuchwale, choć nigdy wyłącznie się nie zajmował ani nauką natury, ni lekami, ni matematyką, miał Grzegorz we wszystkim dość wiadomości i rozeznania, aby dojrzeć i rozeznąć fałsz od prawdy.

Na swój czas zdumiewające były i rażące zdania jego, które wyprzedzały o wiele przyjęte naukowe aksjomata. Nie rozumiano go często, oburzano się czasami, lecz żywsze umysły miały jasnowidzenie, że prawdę głosił. Obawiano go się i szanowano.

W akademii więc tęskniono za mistrzem Grzegorzem...

W tych tęsknotach i wyglądaniu niemal cały rok upłynął. Listy naówczas tak chodziły powoli, jak ludzie. Powierzano je podróżnym, kupcom, z rąk do rąk przechodziły, ginęły, a gdy się dostały do swego przeznaczenia, częstokroć, ten, co je pisał, sam już także przybył z powrotem.

Ta cisza głucha, oczekiwanie czyniła tęskniejszym, można się było dorozumiewać wszystkiego złego i roić najstraszniejsze katastrofy.

Łatwo więc pojąć radość tych, co po kilku miesiącach trwogi, witali wędrowca z powrotem...

Grzegorz z Sanoka zjawił się naprzód na zamku, aby sakwy podróżne złożyć w starem mieszkaniu, potem szedł do dworu biskupa zdać mu sprawę z tego, co widział, słyszał i co mu zlecono w Rzymie. Zbyszek zatrzymał go wieczór cały i część nocy... Oprócz listów, świadek naoczny przywoził papieżkie życzenia i rozkazy. Położenie Ojca św. wobec Soboru i zawikłanych spraw, które się rozstrzygały, było trudnem a nawet groźnem. Biskup Zbyszek odczuwał to mocno, bo mu na powadze Stolicy apostolskiej wiele zależało, a lękał się, aby Sobór nią nie zachwiał...

Późno w noc ledwie mógł powrócić na zamek Grzegorz, gdzie już i królowa i młody król, dowiedziawszy się o przybyciu, dopominali się o niego.

Nazajutrz dopiero, po rannej mszy, mógł się królowej pokłonić. Nie spytała o nic, rada tylko była, że go miała z powrotem.

Pierwsze słowo, które mu rzekła, było.

— Gotujcie się do nowej podróży, będzie ona potrzebna rychło...

Król Władysław na szyję mu się rzucił radośnie, Grzegorz po kilku miesiącach niewidzenia ze zdumieniem postrzegł, że urósł znacznie...

— Przywiozłeś mi zbroję? mieczyk? tulich?

— Miłościwy panie — rzekł mistrz wesoło. — Wiadoma to rzecz, że się w podarku tym, których się miłuje, nie daje żelaza ani ostrza... Ledwem jedną tarczę i szyszak zdobył, ale się ich nie powstydzę.

Niecierpliwy król natychmiast pacholków posłał po obiecany gościniec...

Helm był przedziwnej roboty, ale tarcza krągła piękniejsza jeszcze.

Pierwszy wyrobem włoskim był, wielce kunsztownym, lecz niknął przy tarczy krągłej, przywiezionej ze wschodu, złotem dźwirowanej, nasadzonej kulami złocistemi, w około której jak wieniec tajemniczy okręcał się napis niezrozumiały...

Król jak dziecię się nią zabawiał...

Grzegorz mógł teraz już pójść tam, gdzie mu najpilniej było, do dworku Balcerów, niosąc pod suknią poświęcane różańce i sznury koralu dla obu jejmości.

Tu jeszcze nie doszła była wieść o jego powrocie. Frączkowa od miesiąca w łóżku leżała chora.

Nie wiedziała sama co jej było, nie rozumiała choroby i matka Balcerowa, ale sił brakło i ochoty do życia... Pobladła i wychudła biedna, a mąż napróżno lekarzy i jada najwymyślniejsze sprowadzał dla niej.

Gdy w pierwszej izbie wchodzący się Grzegorz ukazał, a Balcerowa radośnie wykrzyknęła, tak że w sypialni aż głos jej słyhać było, stał się cud prawie, Frączkowa, która z łóżka się nie mogła podnieść wczoraj, narzuciła na siebie suknię i chustę, i nim się przybyły z matką rozmówił, wybiegła z krzykiem radośnym, obiema rękami chwytając odzyskanego...

Ale wnet, jakby ją ten wysiłek wyczerpał, wpół omdlała zawisła na rękach matki...

Mdłość ta nie trwała długo, otworzyła oczy jasne i nowym blaskiem ożywione, a Grzegorz posadziwszy ją w krześle, podróż swą opowiadać zaczął, dobywając podarki.

Stary Balcer i Frączek znaleźli się tu wnet także na powitanie wędrowca. Znajdowano go opalonym, przychudłym, ale jakby pokrzepionym tą pielgrzymką.

— Teraz już nie pragnę nic — rzekł — bo chyba bym do grobu Pańskiego jeszcze mógł tęsknić. Widziałem Rzym i zwiedziłem te stare gniazda, w których się nauka pielęgnuje... A nie powróciłem bez zdobyczy i owoców. Czegom kupić nie mógł, tom nocami przepisywał, a czegom nie zdołał skopiować, dobrzy ludzie powierzyli mi lub dla mnie odpisywać kazali. Na całe więc życie moje mam nad czym ślęczyć, a czegóż mi więcej potrzeba?

— I dosyć już tych podróży! — zawołała Frączkowa.

Mistrz westchnął.

— Dla mnie byłoby ich już dosyć — rzekł — alem sługą, a zatem niewolnikiem.

Wszyscy poczęli go zarzucać pytaniami, a było opowiadać o czym, począwszy od kraju, którego niebo i słońce, rośliny i zwierzęta wydawały się, jakby z czarodziejskiej baśni wyjęte mieszkańcom północy, aż do gmachów, o jakich tu nie miano pojęcia... ludzi i obyczaju osobliwego... Grzegorz mówił z żywością młodzieńczą o wszystkim, słuchano go z poszanowaniem...

Tegoż dnia witał w kolegium mniejszem dawnych towarzyszy, przywołując im apostołskie błogosławieństwo.

Tu badano go chciwiej jeszcze, ale właśnie na te pytania, których odpowiedź była najpożądaną, Grzegorz miał usta zamknięte.

Natomiast z zapalem prawił o rękopismach, o pisarzach, komentatorach, o wszystkim, co w Bolonii i Padwie oglądał i czego się tam nauczył.

Twarz jego promieniała, gdy się o tem rozwodził a starzy nauczyciele ze złożonemi wtórowali mu rękami...

Jednych kościół, drugich nauka ciągnęły do tych Włoch, które przestawszy panować światu mieczem, królowały mu duchem i stanowiły jakby zadzierzgnięty węzeł, który miał całą ludzkość jednoczyć...

IX

Nadchodziła jesień i mistrz Grzegorz cieszył się dłuższymi wieczorami, które wcześniej dozwalały zamknąć się przy lampce nad księgami. W zamku i w mieście dzień kończący się rychlej do spoczynku napędzał, zabawy przerywał, a jemu dawał wolność usunięcia się do komory, w której obcował z duchami przeszłości.

Biskup Zbyszek, chociaż przyjazny i życzliwość okazujący towarzyszowi króla, nie odrywał go bynajmniej, ani od jego nadzorczych obowiązków, ani od ślęczenia nad ulubionym Plautem i Wergilim.

Posługiwał się czasami łaciną łatwą i piękną Grzegorza, ale go do tajemnic kancelaryi swej nie przypuszczał. Znawca ludzi otaczał się chętniej takimi, którzy mu ślepo będąc posłuszni, nie mogli być niebezpieczni. W Grzegorzu z Sanoka, gdyby do spraw rządowych był użytym, biskup słusznie obawiał się niezależności, z którą walczyćby musiał.

Nigdy też uczony nasz nie okazał najmniejszej chęci mieszania się do tych ciężkich zadań, jakie na biskupa ramionach leżały. Stał na uboczu, hamując zbyt żywe porywy rycerskie młodego króla, posługując królowej, gdy rady jego i pomocy potrzebowała.

Właśnie może ta wstrzeźliwość i pomiarkowanie Grzegorza, jednały mu królowę Sonkę. Nie było dnia, ażeby go nie powoływała, dając skazówki co do postępowania z Władysławem. Mistrz słuchał ich, nie sprzeciwiając się, chociaż nieraz w duchu się im dziwić musiał.

Niespokojna o przyszłość matka, zdawała się głównie dzieci chcieć natchnąć żądzą panowania, wielkości, podbojów, co według Grzegorza na umysły młode niebezpiecznie działać mogło.

Od powrotu z Włoch, niewtajemniczony w to, co się knuło na dworze, i w otoczeniu Sonki, Grzegorz widział jakiś ruch, niepokój, krzątanie się gorączkowe, których celu pojąć nie mógł.

Szczególniej uderzały go nieustanne przesyłki, posły i listy, które z Krakowa do Wyszehradu, Budy i Pragi biegały.

Ztąd też przybywali często ludzie, którzy choć usiłowali grać rolę mało znaczących, kupców, klechów, rycerzy najemnych, wydawali się mimowoli postawą i obejściem, jako mężowie znaczenia i dostojenstwa wielkiego. Tych z najrozmaitszemi ostrożnościami, pod różnemi pozorami, zwykle przyprowadzano tajemnie do królowej, która miewała z nimi narady.

Ponieważ biskup Zbyszek, albo wcale o tem nie wiedział, albo nie chciał dać poznać po sobie, że był wtajemniczony, cała ta jakaś robota skryta, zdawała się dziełem królowej.

Ilekróć się trafiło, że podobny przybysz ukazał się w Krakowie, poznać było można po królowej, iż ważne jakieś przywoził wieści. Była zajęta, niespokojna, uradowana, albo gniewna.

Grzegorza z Sanoka dotąd nie wzywano nigdy, ani do porad, ani do pomocy; a wysyłając go z pismami poufnymi na Węgry, królowa nie zwierzyła mu, ani co zawierały, ani nawet dla kogo były przeznaczone.

Tak samo jak z Wyszehradem i Budą, ciągle się z bliższą Pragą znoszono. Tu czujnego oka biskupa Zbyszka starano się widocznie uniknąć, a Grzegorz łatwo rozumiał przyczynę. Biskup wcale mieć nie chciał do czynienia z kacerzami, za jakich uważał nawet tych hussytów, dla których Sobór Bazylejski skłaniał się do powolności.

Nawet korzyści państwowe, jakie Polska wyciągnąć mogła, stając po stronie nowatorów, nie zdołały biskupa pociągnąć i przejednać. Dla niego jedność i zgoda z Rzymem, posłuszeństwo Stolicy apostolskiej, było pierwszym warunkiem zapewniającym przyszłość Polski.

Ci co z Czech przybywali do królowej, po pewnych znakach łatwo się kazali domyślać, iż do katolickiego obozu nie należeli.

Z rozmów z królową, jakkolwiek ostrożną, gdy one o religję potraçały, Grzegorz zdawna wyrozumiał, iż Sonka do kacerstwa wielkiej nie przywiązywała wagi, i gotową była podać mu rękę, byle ono synom jej zapewniło wpływ lub o władanie Czechami. Zdradzała się czasem z tą myślą, że tron czeski przystałby młodszemu Kazimierzowi.

Mistrz nie objawiał wcale swojego zdania w tych sprawach, słuchał i badał, lecz stał zupełnie na stronie. Nie okazywał też takiej zażartości przeciwko hussytom w ogóle, jak biskup Zbyszek, który na wspomnienie ich, burzył się, dowodząc, że z tego nasienia wyrośnie chwast, którego wieki wypłenić nie potrafią.

Szczęśliwym był Grzegorz, iż mógł nie mięszać się wcale w tę walkę, nad którą ubolewał.

Ten pozorny chłód jego i obojętność, a wypróbowana wiara, sprawiły, że królowa się nim chętnie posługiwała, gdzie trzeba było, niepytając coś spełnić i zachować tajemnicę.

Jednego jesiennego wieczora, gdy młody król już znużony przejazdka, poszedł na spoczynek, a Grzegorz zabierał się do pracy, i lampkę swą włoską zapalał, pacholik z komorników królowej przyszedł go wezwać do niej.

Godzina była trochę spóźniona, sprawa więc pilną być musiała.

Gdy mistrz zjawił się na progu komnaty królowej, znalazł ją siedzącą u stołu, i spieszenie kartę jakąś chowającą za suknię.

Słynna ta niegdyś piękność, była dotąd jeszcze niewiastą pełną majestatycznego wdzięku, oczy jej cały dawny blask zachowały, ale dziś była to nie owa uroczą Sonka, która wszystkich co się do niej zbliżali, czarowała, matka tylko i królowa...

Stroiła się zawsze i lubiła, aby jej okazywano cześć, a wrażenie jakie czyniła na ludziach, szmer podziwienia i zachwytu nie był jej obojętnym, ale teraz ta władza, jaką mogła mieć nad niemi służyła za narzędzie tylko do wyższych celów.

Gorączka jakaś trawiła ją, i nie dawała spoczynku...

Lękała się widocznie, ażeby biskup i syn nie usunęli jej od udziału i wpływu w rządach, nie chciała z rąk puścić tego, co raz pochwyciła...

Z biskupem potrzeba było postępować ostrożnie, z synem tak, aby się z pod władzy nie wyzwolił.

Ta nieustanna potrzeba bacności, ta obawa ciągła, nie dawały jej spoczynku.

W wewnętrznym zarządzie krajami Korony i Litwy, królowa zaledwie mogła oględnie bardzo dopilnować, aby nieprzyjaciele jej nie zdobyli stanowisk ważnych, zaledwie śmiała biskupowi podszeptać, lub przez jego przyjaciół poddać kogo życzyła, a kogo się obawiała.

Za to cała jej czynność i zabieglwość zwracała się ku stosunkom zewnętrznym... tu pragnęła okazać całą swą przebiegłość i umiejętność, tu na sercu jej leżało, dokazać cudów i zdumieć wszystkich.

Ni mniej ni więcej, szło o zawładanie Węgrami i Czechami, chociaż żył jeszcze cesarz Zygmunt i córka jego, której mąż był naturalnym spadkobiercą praw Luksemburczyka.

W Pradze i na Węgrzech zawiązywano stosunki, jednano przyjaciół, i cesarzowa Barbara rozgniewana na zięcia i córkę własną, z pomocą brata hr. Cilly i synowca, zdawała się nieobcą zuchwałym planom królowej Sonki.

Tajemnice tych knozań nie były jeszcze zdradzone. W tym roku właśnie ukoronowano Barbarę w Pradze, ale cesarz mąż jej zapadał na zdrowiu... Szemrano, że mu długiego życia obiecywać nie było można.

Cesarzowa już rachowała na to i potajemnie skupiała około siebie zwolenników.

Gdy Grzegorz z Sanoka wpadł, zwróciła się żywo królowa ku niemu.

— Potrzebuję was — rzekła. — Nie pytajcie mnie o cel podróży, spełnijcie tylko co wam polecę. Nieprawdaż, iż na wierność waszą rachować mogę? Jest tu Czech, który was przeprowadzi. Pojedźcie z nim do Pragi, nie wiem zresztą dokąd wypadnie. Oddacie listy hrabiemu Fryderykowi Cilly, bratu cesarzowej, niepotrzeba, aby was tam widziano i znano, jako mojego posła!

Królowa mówiła pospiesznie, żywo, jakby długo wprzód nagromadziwszy to, co miała powiedzieć, a mimowolnie teraz gorączkowo, starając się do razu całą myśl swą wyrzec, i wrażenie jej pochwyć. Wlepiała oczy w słuchającego z powagą i chłodem Grzegorza.

Ten milczał jeszcze, Sonka wstała z siedzenia i zbliżyła się ku niemu.

— Pojedźcie do Pragi, zdacie mi sprawę z tego, co tam będziecie widzieli i słyszeli. Być może, iż Cilly powoła was potajemnie do cesarzowej, że ona pytać będzie o mnie, o syna...

Tu zarumieniła się królowa, srom ją jakiś ogarnął. Nie chciała przyznać, co miała w myśli.

— Miłościwa pani, — rzekł Grzegorz — spełnię wiernie, co mi polecicie, lecz, że nie dość jestem świadomym kraju i ludzi, trzeba by się upewnić o przewodniku, abym ja za jego niezręczność nie odpowiadał, jeżeli w tem tajemnica jest potrzebna.

— Tajemnica! — przerwała gorąco królowa — tajemnica jest wszystkim! Nikt z otoczenia cesarskiego wiedzieć o was, ani się domyślać nie powinien.

— Miłościwa pani — odparł mistrz — wydaje mi się to trudnem bardzo, gdyż cesarz, jak głoszą, chory jest, i cesarzowa Barbara przy nim być musi...

Sonka wzruszyła ramionami, oczy jej błysnęły.

— Cilly i cesarzowa — rzekła — stanowią jedno, Zygmunt drugie. Sprawa ta wcale cesarza nie tyczy, i on o niej wiedzieć nie ma.

Nie wchodźcie w to więcej, dowiedcie się, gdy przyjdzie czas.

Mistrz skłonił głowę.

— Zastosuję się do woli miłości waszej — rzekł pokornie.

— Czech Biedrzyk, którego wam dają — dołożyła królowa — świadom jest tam wszystkiego, zręczny i przebiegły, możecie mu zaufać, bo wam przystęp do Cillego ułatwi.

Przeszła się, dłoń przykładając do gorącego czoła, i poczęła dalej.

— Jeżeliby cesarz zachorował niebezpieczniej, albo się gorszego czego spodziewać można, naówczas pospiesznie dacie mi znać...

To mówiąc, Sonka dobyła gotowy już zapieczętowany list, i wręczyła go Grzegorzowi. Ręka jej drżała.

— Nie omylcie się, — rzekła — list jest do Fryderyka Cilly, a dwu ich tam znajdziecie. Jeżeli cesarzowa wezwie was do siebie, a pytać będzie o króla...

Tu głos jej zadrżał.

— Powiecie, że jest ślicznym młodzieńcem, że żadnego z rycerskich przymiotów mu nie braknie...

Grzegorz słuchał, i na myśl mu tylko przyszło, iż z którą pokrewną cesarzowej młodego Władysława swatać chciano.

— Miłościwa pani — odważył się wtrącić — łączno domyśleć się, iż widoki, dla przyszłości króla naszego kochanego swatać go każą, lecz lepiejby stokroć było tę myśl zawczesną małżeństwa oddalić, młody jest...

Sonka wstrząsnęła ramionami niecierpliwie.

— Królowie — rzekła żywo — rządzić się muszą innemi względami, i poświęcać dla nich... Gdy idzie o zdobycie panowania, co znaczy jakieś małżeństwo, wczesne czy późne, z starszą lub młodszą niewiastą?...

Grzegorz mimo całej powolności swej dla królowej, nie mógł stłumić w sobie żalu, jaki go ogarnął... kochał króla.

— Miłościwa pani — odparł — po cóż królowi starać się o rozleglejsze królestwo i większe troski? Nie masz on dosyć ziem i ludzi?

— Królowi żadnemu nigdy dosyć być nie powinno! — zawołała nakazująco i prawie gniewnie królowa.

Wzrok jej dopowiedział reszty...

Zamilkł Grzegorz z Sanoka, królowa przechadzać się zaczęła.

— Jutro rano przyjdzie zabrać was z sobą Biedrzyk — rzekła — ale niepotrzeba, ażeby was z sobą widziano, ani mówiono o tem z kim i dokąd jedziecie...

Wysłuchawszy urywanych przestróg i zaleceń królowej, Grzegorz nareszcie komnaty jej opuścił, zadumany i smutny. Wiedział już i przeczuwał, że jego ulubiony pan młody, zaledwie się rozwijający do życia, poświęcony zostanie jakimś rachubom politycznym. Trapiło go to, chociaż nie przypuszczał całej poczwarności planu, który knowano.

Zamiast zasiąść przy lampce do księgi, musiał myśleć o tem, jak się do tajemniczej przygotować podróży. Spokojnej izby i życia żał mu było...

Rozglądał się jeszcze dokoła, gdy do drzwi zapukano i nieznajomy zupełnie człowiek wsunął się z pokłonem, ciekawie wlepiając oczy w mistrza. Łatwo się było w nim domyśleć zapowiedzianego na dzień jutrzejszy Biedrzyka, i z cicha przedstawił się gospodarzowi, jako przez królowę przysłany.

Do tej roli jaką odegrywał, lepiej dobrać niebyło można człowieka. Ów Biedrzyk podobnym był tak do tysiąca innych ludzi, twarzą, postawą i dobraną do nich odzieżą, tak się wydawał pospolitym, nieznaczącym, tak trudno było w nim pochwycić jakieś znamię zdradzające, kim był i czem się zajmował, że Grzegorz chwilę stał zdumiony, nie mogąc nawet oznaczyć, jak się miał do niego odezwać, i z nim obchodzić.

Nie czekając zaproszenia, przybyły Czech naprzód zajął miejsce przy stole, na którym złożył czapkę i rękawice, potoczył dokoła oczyma, i głosem równie obojętnym, bez dźwięku, cicho zaczął mówić do Grzegorza.

— Królowa oddała wam listy? — jesteście więc w gotowości, ja dziś jeszcze wyniosę się do gospody, a jutro do dnia z ludźmi mojemu czekać na was będę za wrotami miasta... Przyszedłem tylko pokazać się wam, abyście mnie poznać mogli, a ja was...

Zadumał się trochę, wlepiając oczy w stół, przy którym siedział.

— Nie obojętna to rzecz, — dodał — jak się przysposobicie do podróży, dla ludzi, co na siebie oczów ściągać nie chcą, i suknia wiele znaczy...

— Duchowna przecie a skromna — odparł Grzegorz — nie zadziwi nikogo. Jest nas wszędzie klechów i *włoków* dosyć... Gdy podszarzaną włożę...

Biedrzyk głową pochylał.

— Jeżeli chcecie suknie wasze zatrzymać — rzekł — weźcie takie, aby nie oznaczały stanu, a wprawiły w wątpliwość. Najstarsze, najmniej okazałe, najlepsze będą.

Musimy się przesuwac niepostrzeżeni.

Napomknawszy jeszcze o potrzebnych do podróży przyborach, o skrętnem przechowaniu listów, aby na wszelki wypadek, łatwo znalezionemi być nie mogły, Biedrzyk pokłonił się i zniknął.

Krótką z nim rozmowa, i to co słyszał od królowej, wprawiły Grzegorza w niemłą troskę, widział teraz, że poselstwo jego było niebezpiecznem i trudnem, a sama tajemnica, którą się otaczało, była mu wstrętliwą.

Cieszył się tem tylko, że niewtajemniczony, sumieniem swem nie odpowiadał za czynności, których był posłusznym narzędziem.

Do dnia otwarto bramę wyjeżdżającemu z zamku, i oprócz stróżów, nikt go nie widział. O mroku przebył puste ulice i w miejscu oznaczonem zastał już Biedrzyka, w kilka koni oczekującego za miastem. Orszak składał się z tak dobranych ludzi, że w nich pana od sług rozpoznać było trudno. Niemożna też było oznaczyć kupcy, mieszczenie, czy ubogie rycerstwo jechało, a suknie tak miały krój i barwę nieoznaczoną i startą wszelką cechą miejscową, że po nich narodowości się domyśleć nikt nie mógł.

Z drogami Biedrzyk i jego ludzie byli tak dobrze obeznani, że nie trzymając się głównego gościńca, bocznymi szlaki jechali, nie rozpytujac nikogo... Czech niewiele mówił.

Drugiego dnia wszakże, jakby lepiej oswoiwszy się z Grzegorzem, i mniej go obawiając, Czech otwartym być począł.

Utyskiwał on nad wojnami, które kraje niszczyły, z przyczyny wiary, wzdychając do tego, aby pod lepszym panowaniem pokój powrócił. Z kilku słów domyśleć się było można

człowieka, który z hussytami trzymał. Grzegorz nie chciał się z nim w żadną wdawać dysputę, odpowiadał ogólnikami.

— Wy Polacy z nami Czechami powinniście się połączyć i podać nam rękę — mówił Biedrzyk — nie obcy jesteśmy sobie, boć język tego dowodzi... Królowie nas rozłączyli, król jeden powinien złączyć. Z Niemcami my nigdy nie przyjdziemy do ładu... Wszystkim się o to starać potrzeba... Jest nas dosyć, aby się ostać i obronić...

Nie przeczył Grzegorz, ale przypomniał, że Zygmunta w Pradze przyjęli, uznali, ukoronowali jego i żonę, więc sami mu się w rękę oddali.

— Oho! — przerwał Biedrzyk — niewszyscy! Zresztą cesarz Zygmunt niedługo-wieczny, a cesarzowa...

Tu uśmiechając się, spojrział z porozumieniem na Grzegorza, który odparł.

— Córkę ma, która pewnie z mężem weźmie po ojcu spuściznę.

Okiem pomrugując, Czech się uśmiechnął i nie mówił więcej.

Zbliżając się do Pragi, Biedrzyk na noclegu zatrzymał, wysłał przodem człowieka, który powrócił nad ranem. Grzegorz spał jeszcze, gdy Czech przyszedł go budzić.

— Wstawajcie — rzekł — trochę będziemy musieli z drogi się zbić, mam wiadomość o cesarzowej.

Jedzie ona wezwana do chorego męża do Pragi, Zygmunt źle jest bardzo, ogień piekielny wdał mu się w ciało. Palce u nogi już mu odciąć musiano, ale to nie pomoże, kto raz dostał spalenizny tej, nie wyjdzie z niej i umierać musi.

Z mowy Biedrzyka widać było, że wcale Zygmunta nie żałował, i że przeciwnie wiadomość o ogniu prawie go uradowała.

— Cesarzowa spieszy do Pragi, i dziś tam ma przybyć. Nam się trzeba tak zwrócić, aby jej zabiedz drogę i poselstwo sprawić, nim dojedzie do męża — mówił Biedrzyk. — Łatwiej też nam będzie niepostrzeżonym w jej orszaku, który liczny być musi, wśliznąć się do Pragi.

Natychmiast ruszyło się wszystko z noclegu, a Grzegorz też rad był, że mu się łatwiej składało spełnienie polecenia królowej.

Posępny dzień jesienny, smutny a mglisty, z początku, dżdżysty potem nie wstrzymał ich w pospiesznej jeździe po manowcach, i przed wieczorem jeszcze napędzili cesarzową Barbarę.

Jechała ona otoczona wielkim i okazałym dworem Węgrów i Czechów, a poczty brata jej hrabiego Cilly i synowca dodawały świetności orszakowi.

Sama prawie młodzież urodziwa, strojna, butna, wesoła, otaczała kolebkę i składała dwór prawdziwie cesarskim odznaczający się przepychem. Wszyscy aż do kapelanów i kanclerza cesarzowej Barbary byli w wieku kwitnącym, bo niemłoda już pani wcale nie tała swych upodobań i fantazji, dwór dobierając z ulubieńców.

Pospiech do chorego małżonka i cel podróży niewesoły, wcale się nie zdawały wpływać na humor pańskiego dworu, który jechał ze śmiechami, okrzykami, harcując swobodnie i zbytnią niechamowany karnością.

Biedrzyk, który zdawał się tu znać wszystkich i być poufałym, posunął się przodem, dostał aż do kolebki złocistej, w której cesarzowa dla deszczu się schroniła, i wśród gościńca, w gołym polu cały pochód się zatrzymał.

Po krótkiej oczekiwania chwili, Czech przybiegł do Grzegorza z Sanoka, i tak jak stał kazał mu iść z listem do cesarzowej, która na niego już oczekiwała. Widać było nawet zdala, jak rozsunała skórzane zasłony kolebki i wyglądała oznajmionego jej posła...

Wszystkich oczy zwrócone na niego były. Zsiadł z konia Grzegorz i przybliżył się do powozu... Tuż przy nim stali we zbrojach, na koniach rycerstwo, dumnie po pańsku spoglądający dwaj hrabiowie Cilly, brat i synowiec Barbary. Nie miał czasu się im przypatrywać, ani ich pozdrawiać mistrz, bo wyciągnięta ręka już na list, który podać miał, oczekiwała.

Twarz cesarzowej, która powinna była obudzić poszanowanie, wejrzenie jej zuchwałe i wyzywające, odrazę jakąś i obawę sprawiły przystępującemu do kolebki Grzegorzowi. Lica stare, zwiędłe, z podbitymi oczyma, pofałdowane marszczkami, całe umalowane i ubielone, miało wyraz tak cyniczny i bezwstydnym, tak gminny i nieszlachetny, że poseł zawahał się chwilę, z uznaniem w niej tej pani, której dostojeństwo inaczej wyobrażał sobie.

Życie, charakter, obyczaj piętnowały się tak wyraziście na obliczu, jak gdyby nie chciała sobie nawet zadawać pracy, aby się wydać inną. Głosem krzykliwym, z jakimś śmiechem niezdrowym, odezwała się kilka słów niezrozumiałych, mierząc oczyma postać mężką Grzegorza...

Smutku i niepokoju z powodu niebezpiecznej choroby męża wcale na niej widać nie było, zdawała się tylko niecierpliwą i podrażnioną.

List przywieziony wziął z rozkazu jej starszy hrabia Cilly, a Grzegorzowi polecono jechać razem z orszakiem do Pragi...

Wszystko odbyło się pospiesznie, wśród wrzawy i Grzegorz ledwie się opamiętał, gdy mu Biedrzyk konia podać rozkazał, a sam wiodąc go z sobą, miejsce w orszaku naznaczył. Było ono dosyć oddalone od kolebki cesarzowej i przedniejszego dworu, tak że on i Czech, prawie w końcu długiego sznura wyciągniętego na gościńcu, pośród pośledniej czeladzi jechać musieli, ale tu tak utonęli i wmięszali się w tłum, jak gdyby do niego należeli.

Spoglądano z ukosa na przybyszów, lecz wkrótce dawna wesołość wróciła i Grzegorz znalazł się wśród gawiedzi rozpasanej, z którą nie miał ochoty ani znajomości zabierać ni rozmowy poczynać...

Szybko ze dworem cesarzowej posuwali się ku Pradze, której mury i wieże za zasłoną szarą deszczu, wkrótce się ukazały. Biedrzyk podszepnął towarzyszowi, iż gdy raz do miasta i na gród się dostaną, on mu w pobliżu pomieszczenie opatrzy...

Zdawało się, iż w Pradze już na cesarzowej przybycie oczekiwano i spodziewano go się dnia tego, gdyż znaczny poczet rycerski wyjechał na jej spotkanie. Na czele jego, jak Biedrzyk objaśnił, wysłany był Węgier, ulubieniec cesarski Michał Orszag. Widok jego nie zdawał się wielkiej sprawić przyjemności hrabiom Cilly, którzy go sztywno i dumnie przywitali.

Kazała go do siebie powołać cesarzowa, aby o zdrowie małżonka zapytać. Odpowiedź rozeszła się zaraz z ust do ust podawana. Mówiono, że Zygmunt był bardzo źle i że lekarze najmniejszej życia nie czynili nadziei. Wiadomość ta na cesarzowej nie zrobiła żadnego wrażenia, skrzywiła tylko usta i rzuciła ręką.

Orszag dodał, że Zygmunt wezwał do siebie córkę i zięcia.

Usłyszawszy to cesarzowa nagle zapuściła zasłonę kolebki i dano rozkaz do dalszej podróży. U obu Cillych, liczniejszy niż było potrzeba dla uczczenia przybywającej cesarzowej, poczet wojskowy, który otoczył kolebkę i jezdnych, jakby ich chciał pilnować i zaprzec im drogę, wywołał niepokój pewien. Zaczęli coś szeptać z sobą, lecz jechali dalej, większą jeszcze okazując butę.

W bramach miasta zwykłym obyczajem, mieszczaństwo witało cesarzową, która się śmiejąc i dziękując ze zbytnią grzecznością i uprzejmością wychyliła ku nim...

Na Biedrzyku wojskowy oddział w początku zrobił wrażenie nieprzyjemne, zbladł trochę i począł się oglądać niespokojnie, ale przyjęcie w bramach miasta, rozproszyło tę troskę...

Grzegorz, czując się już spokojniejszym, bo całe swe posłannictwo spełnił, mógł się swobodnie rozpatrywać po mieście i ludziach. Świeże Włoch wspomnienie, pięknie zamurowaną Pragę mniej może wspaniałą w oczach jego czyniło, ale pobyt cesarski, który ją napelniał rycerstwem i mnóstwem pocztów możnych panów i magnatów, dodawał blasku miastu, które na przyjęcie Zygmunta się przystroili odświętnie.

Wśród tych tłumów widać było niezwykle ruch, zajęcie wielkie, niepokój i krzątanie, którą przybycie cesarzowej zwiększyło jeszcze...

W ulicach przejazd był trudny; konni, piesi, wozy, jedni przeciągali, drudzy szukali pomieszczenia...

Z orszaku cesarzowej wylatywały pytania ciągle o cesarza, na które jednostajnie odpowiadano groźnymi wykrzykami i niemniej znaczącymi ruchy.

W ścisłym tym, wśród ogólnego zajęcia chorym Luksemburczykiem i przybywającą żoną jego, Grzegorz z Sanoka zginawszy wśród natłoku, niewidziany, niespostrzeżony, mógł się przypatrzeć i przysłuchiwać wszystkiemu co się działo wkoło niego. Mimowolnie przyszło mu na myśl, że przybył tu może, aby być świadkiem końca tego człowieka, który wplótł się tak smutnymi wspomnieniami w dzieje Polski.

Czoło to, na którym teraz spoczywała cesarska korona, niegdyś miała uwieńczyć Bolesławowska. Zygmunt nigdy nie zapomniał o tem i mścił się za pierwszy w życiu doznany zawód do końca.

Przyjaciel pozorny, a wróg nieprzejednany utrzymywał nieustanny niepokój w kraju, który rozszarpać pragnął i osłabić... Posługiwał się Polakami, nie spuszczał z oka żadnej zręczności wmięszania się w polskie sprawy, podżegania nieprzyjaciół, wyzyskiwania wszystkich słabości, omyłek i zrządeń losu...

Nie zwyciężył wprawdzie i nie przywiódł Polski do tego stanu bezsilności, jaki wchodził w jego rachuby, ale ciężko dał się we znaki tym, co go niegdyś wywiedli do granic, prosząc aby więcej nie powracał...

Życie jego pełne zmian i gorączkowych porywów, wysiłków, przebiegłości, zamachów, zamykało się wprawdzie z blaskiem najwyższego dostojeństwa, ale z luną pożarów, które na grobie zapłonąć miały... Córka i posuszny zięć, mieli wziąć po nim w spadku tę szatę Nessusa...

Grzegorz dumal nad niestałością rzeczy ludzkich, słuchając objających się o uszy jego najsprzeczniejszych wykrzyków.

Jedni ubolewali nad Zygmuntem, drudzy szydziłi z niego i cesarzowej. Dostawało się i przeciągającemu jej dworowi po drodze, witanemu grubijańskim wołaniem...

Biedrzyk zajął się swym gościem i razem z nim pomieścił się pod samym grodem, w którym cesarz leżał chory.

Zaledwie kąć znaleźć tu mogli i jakiegokolwiek pożywienie. Mieszczanie, dwór, co żyło poruszone było wiadomościami z zamku przynoszonemi...

Piekielny ogień, jak go naówczas zwano, zgorzelizna (*sacer ignis*) żarła za żywota ciało Zygmunta i od nóg posuwając się w górę, groziła mu śmiercią co godzina... Chwile były policzone.

Nie oglądano się tak dalece na Grzegorza, który z Biedrzykiem tu przybywszy, uważanym był za wtajemniczonego w to co się tu działo.

W drugiej izbie, obok której drzwi stały otworem, zbiegali się mieszczanie, dworzanie i rycerstwo z orszaku Barbary. Chcąc nie chcąc Grzegorz rozmów ich słuchać musiał, z których nauczył się wiele, bo dotąd nie wiedział w jakie wpadł gniazdo osie...

Zjawilo się naprzód kilku dworzan.

— Nabraliśmy się strachu — wołał jeden — gdy nas na gościńcu Orszag otoczył... Hrabiowie i cesarzowa i wszyscyśmy już sądzili, że zwąchali co się gotuje i wszystkich nas tam, z Barbarą razem uwiężą. Ale nie! Postrach był próżny! Zygmunt ją tak przywitał, że chyba niczego się nie domyśla... a choć Albrecht zięć i córka niebardzo są czuli, trudno po nich wymagać tego, gdy wiedzą, że oni tu panować nie będą.

— Cesarz gdyby chciał — począł drugi — nie wazyłby się tu w Pradze nic uczynić żonie, bo wie i on i jego zausznik Szlik, że znaczniejsza część miasta za niąby się ujęła i byłaby rzeź na ulicach a może i na grodzie!!

— Ja go tam ani bronie, ani miłuje — przerwał trzeci — a co prawda to prawda. Życ nie umiał, umierać umie. Ciało mu już kawałami pada, a tak siedzi spokojny na twarzy i na umyśle, jakby na ucztę czekał... i stroić się każe... aby ludzie nie wiedzieli, że na poły zgnił...

— Ja go też nie kochałem — odparł inny — zły człowiek był i król nam niedobry, przez którego krwi dużo poszło wylanej na wszelką rozpustę i zbytki, ale pychę umiał nadrabiać zawsze i o cesarskiej swej godności nie zapominał nigdy. Wszyscy wiedzą, jak z papieżem rozmawiał...

— A no? — spytał inny, czemu Grzegorz z Sanoka, gdyż o rozmowie tej nie słyszał nigdy, rad był bardzo.

— Toż wprost Eugeniuszowi rzekł: my Ojcie święty, we trzech rzeczach się różnimy, ale we trzech też jesteśmy do siebie podobni. Wasza świętobliwość spisz rano, a ja wstaję przededniem; pijesz wodę, ja wino; niewiast unikasz, ja się za niemi upędzam, ale za to w innych rzeczach równość między nami. Wasza świętobliwość hojnie szafujesz skarbami kościoła, a ja też sobie nie żaluję; Wasza świętobliwość masz ręce chore a ja nogi, naostatek Wy niszczyte kościół, a ja cesarstwo!!

Wpadł ktoś świeży. Posypały się pytania.

— Cóż cesarz? Co cesarzowa??

— Przyjmuje żonę tak, jakby nic przeciw niemu nie zawiniła. Chyba o niczem nie wie i nie domyśla się, ale uchowaj Boże na nią posądzenia i przeciw niej jakiego zamachu!! Nie damy krzywdy babie uczynić...

Nieustannie tak w sąsiedniej komorze wrzało i gotowało się.

Niektórzy opisywali, jak chory Zygmunt w szatach paradnych, z wieńcem na głowie, sykając z bólu, usiłował prowadzić rozmowę z Barbarą, z córką, z kanclerzem swym ulubionym Szlikiem i przygotowanym duchowieństwem.

Z rozmów widać było, że dwór i przyjaciele Barbary, obawiający się jakiegoś na nią zamachu, zupełnie zostali uspokojeni. Biedrzyk też z wycieczki powrócił do Grzegorza, zapowiadając mu, że jak skoro cesarzowa wolną będzie, pozwie go dla rozpytania się o polskim dworze.

Zdawało się że tej nocy na grodzie albo cale nie spano, lub ci tylko poszli na spoczynek, którzy żadnymi wypadkami niepokoić się potrzeby nie mieli.

Mistrz nasz miał wprawdzie wskazaną sobie szeroką ławą w kącie, na której mógł się położyć, lecz wyciągnąwszy się na niej, oka zmrużyć nie mógł, bo światła nie gaszono, a Biedrzyk i inni przez całą noc wchodzili i wychodzili, naradzali się, szeptali.

Pomimo zapewnień, że cesarzowa i jej brat niczego się obawiać nie potrzebują, w nocy młodszy hr. Cyllii przyszedł do sąsiedniej komnaty (poznał go przy świetle kaganka mistrz Grzegorz) i kazał swoim ludziom zalecić, aby w gotowości byli, gdyby nagle odjechać przyszło. Dokąd, o tem nie mówił...

Chociaż z tego wszystkiego co słyszał, pewne już wyobrażenie o położeniu powziąć mógł Grzegorz, i wyjaśniało mu się ono, spełna jednak nie pojmował jaki związek mógł zachodzić między sprawą cesarzowej Barbary a królowej Sonki i jej syna.

Następny dzień, był to 10 listopada, nie zmieniło się nic, tylko poruszenie wczoraj żywe i jawne, stało się mniej wyraźnem, starano się więcej pokryć niepokój i strzedz z nim okazać. Ale ta sama bieganina, przygotowania, narady pokątne, ciągle się odbywały. Biedrzyk wychodził niespokojny i powracał naprzemiany zafrasowany lub uspokojony.

Grzegorz z Sanoka, czując się wpośród tych ludzi obcym i jakby zapomnianym, a nie mając spoczynku, bo się odosobnić nie mógł, w końcu pod wieczór powracającemu Biedrzykowi wprost powiedział, że chce mieć odprawę i nie widzi potrzeby zatrzymywać się tu dłużej, tembardziej, że zapowiadający się zgon cesarza wymaga, aby o nim w Krakowie zawczasu wiedziano.

Czech się po głowie poskrobał.

— Nie możecie tak odjechać z niczem — rzekł. — Cesarzowej teraz widzieć, ani z nią mówić niepodobna, czekać musicie spokojniejszej chwili... Zygmunt nie wiadomo dla jakiego dziwactwa umierać tu nie chce i jutro rano poniosą go do Znaima, a my za nim z cesarżową razem iść w ślad musimy. Miejcież cierpliwość i dotrzymajcie do końca.

Biedrzyk dodał wreszcie, iż nie mógł odprawić go, nie zwracając uwagi, a unikać było potrzeba wszystkiego, co na cesarżową podejrzenia jakie ściągnąć mogło...

— Jakie podejrzenia? o co? — zapytał mistrz.

Czech spojrział nań, podumał, ale nic nie odpowiedział.

Z południa gdy na ławie spokojnie siadłszy dumał Grzegorz nie rad z tego, co mu się tu przygodziło, do komory sąsiedniej wpadło nagle kilku ludzi ze starszym hrabią Cilly. Jak wczoraj tak i teraz wcale na niego nie zważano, bo dom ten miano za oddany sobie i pewny.

Fryderyk hr. Cilly bardzo gwałtownie począł wyrzekać i dowodzić, że cesarz ma względem żony i jej rodziny złe zamiary, że łatwo to z oczów Albrechtowi i kanclerzowi Szlikowi wyczytać że dla tego tylko chce nazajutrz z Pragi się oddalić, bo wie i domyśla się, że tu cesarzowa Barbara i oni mają przyjaciół, którzyby im nic uczynić nie dali.

— Róbcie wy co chcecie — dodał hrabia Fryderyk — a ja jutro z drogi z Ulrykiem ujdę... bo głowy nie mam na zbyciu.

Drudzy zakrzyczeli iż obawa była próżną, ale hrabia sobie tego nie dał wmówić.

— Jeżeli wasza miłość ujdziecie, tem właśnie na cesarżową panią ściągniecie podejrzenie...

— Ślepi ludzie! — wołał hr. Cilly — co tu mówić o podejrzeniu, kiedy Szlik, ten wąż co się wśliźnie wszędzie i Bruno (della Scala) Włoch przebiegły na pewno o wszystkim wiedzą. Nie darmo ciągle coś cesarzowi do ucha przynoszą.

Ja też w oczach najjaśniejszego szwagra nauczyłem się czytać!

Tyle tylko słyszał Grzegorz rozmowy, która nagle urwaną została.

Wieczorem co żyło czyniło przygotowania do podróży. Znowu więc o śnie i spoczynku mowy nie było. Rozkaz wydany został, aby o samym świcie wszystko było w gotowości.

Dla cesarza przygotowano nosze, na których w krześle purpurą okrytem nieść go mieli tragarze poodziewani w suknie paradne szyte w herby cesarskie...

Cesarzowa w kolebce zaraz za nim jechać miała, w towarzystwie brata i synowca. Do jej dworu Biedrzyk z Grzegorzem z Sanoka miał się przyłączyć.

X

Dzień się zaledwie robić zaczynał, gdy tłumy niezliczone zalegały już ulice Pragi, które mi cesarz miał ciągnąć. Na zamku poczty zbrojne, wozy, czeladź, kolebki, komornicy, urzędnicy, już tylko oczekiwali na to, aby Zygmunta wyniesiono...

Cesarzowa Barbara siedziała w otwartej kolebce, po obu jej bokach mając brata i synowca w pysznych zbrojach i płaszczach gronostajami podbitych. Niemniej wspaniały od cesarskiego dwór skupiał się poza powozem pani.

Nosze, na którym stanąć miało siedzenie cesarskie, na ziemi ustawione oczekiwało. Szczęściu ludzi, mających się zmieniać co mila, ubranych w kapy, szyte herbami, w tokach z piórami na głowie, czekali na Zygmunta... Tuż halebardnicy z pozłaczanami w rękach halebardami, ubranymi w sznury purpurowe, gotowi byli otoczyć ten tron przenośny, obok którego konno jechać mieli kanclerz Szlik, Bruno della Scala, Michał Orszag i Matik ban sławoński, wszyscy Zygmunтови ulubieńcy. Tuż także towarzyszyć miał cesarzowi Albrecht, a za cesarzową jechała sama córka jej Elżka.

Pomiędzy nią a matką, widocznym było więcej niż oziębienie. Nie mówiły prawie z sobą, a cesarzowa do kolebki wzięła jedną z pań swoich, aby nie zaprosić do niej córki. Wszystkich biło to w oczy. Obaj hrabiowie Cilly, na koniach już siedzący, twarze mieli zasepione, oglądali się i jechali jakby zmuszeni.

Cesarzowa wychylała się z kolebki, otaczającym mnogim, znanym sobie z rycerstwa i mieszczan dając znaki głową i rękami. Uśmiechano się też do niej...

Dwory dwa, choć połączone w całość jedną, widać było, że się rozłamywały jakby na dwa obozy. Towarzyszący Barbarze, z ukosa spoglądali na cesarskich, Zygmunтови na Cilijskich...

Po długim oczekiwaniu, dzień się już robił, gdy ze sklepionej bramy, na ramionach czterech pachółków, którzy w górę podniesione krzesło złożone dźwigali, ukazał się Zygmunt cesarz... Siedział majestatycznie, tak jak wizerunek jego na wielkiej państwa pieczęci...

Odziany szatami uroczystymi, w sukni ze złotogłowu, w płaszczu szkarłatnym krojem dalmatyki, na piersiach spiętym wielką kłamrą kamieniami sadzoną, z łańcuchem na szyi...

Błada jego, żółkła, wychudzona twarz, z długą brodą, rozwianą na piersi, o czole szerokim i oczach zapadłych, ale jeszcze patrzących dumą i jakąś ironią życia a pogardą śmierci, pokryta była lekką koroną złotą, około której świeży, zielony obwijał się wieniec laurowy...

Bładych, kościstych rąk dwie, okrytych szytymi złotem rękawicami, spoczywały na krzesła poręczy... Nogi przysłaniały opony futrem podbite, z karmazynowego aksamitu...

Tak Zygmunt ostatni raz chciał się pokazać swoim Prażanom, w całym majestacie, którego śmierć nadchodząca pozbawić go nie mogła...

Jechał zwyciężcą, w laurze i w istocie zdawał się urągać nawet wyrokowi Bożemu, który go powolną karą śmiercią.

Ludzie w początku patrzeli osłupieni na to zjawisko, jakby z grobu wyszłe i do grobu idące, chwila litości i podziwu oniemiła tłum... Wtem uderzono we dzwony.

Tron cesarski stawał na noszach, tragarze brali go na ramiona i podnosili wysoko. Zygmunt nie drgnął, żaden fałd jego twarzy nie zdradził bólu, którego doznawał, patrzył z tej wysokości na lud, na pokłony, na blask, który go otaczał, oczy zwrócił ku kolebce żony, potem na Szlika, i dano znak do pochodu.

Ruszyło wszystko, zadrgały tłumy. On i lud ten wiedział, że jechał do grobu, ale na twarzy pańskiej nie widać było ani żalu, ani smutku, tylko ironiczną powagę i dumę...

Około zamku zebrane gromady ciekawych, zachowały się spokojnie, nie dały oznaki ani bóleści, ani urągowiska, ale w ulicach Pragi, zbита ciżba na wstępie w nie, powitała okrzykami.

Ucho najmniej czułe, mogło w nich wyraźnie rozeznaczyć wołanie.

— Wracaj uzdrowiony! Sława tobie!

I krzyki.

— Jedź, jedź! bodajbyś był nigdy tu nie przybywał i nigdy nie wracał... Jedź na stracenie!!

W niektórych miejscach przekleństwa i urągowiska stały się tak dobitnymi, że haberdarnicy zmuszeni byli ostrza przeciw gminu nastawić i grozić rozpędzaniem.

Nic to nie pomogło, bo gawiedź rozproszona, wracała tłumnie z nowym wrzaskiem, hałaśliwszym jeszcze.

Przez cały ten czas, gdy placami i ulicami ciągniono, aż do wrót miejskich, krzyki nie ustawały. Zygmunt, którego uszów dochodzić musiały, nie odwrócił głowy, nie dał najmniejszego znaku zniechęcenia i gniewu. Kanclerz tylko Szlik podnosił ręką ściśniętą w żelaznej rękawicy, a oczy jego i Orszaga pioruny ciskały. W orszaku cesarzowej, którą witano mnogiemi: żywie i sława!! hrabiowie Cilly bledli, twarze się okrywały wyrazem trwogi, a sama pani z poza zasłon ręką dawała znaki dziękczynne...

Wszyscy odetchnęli dopiero, gdy za wroty miejskimi krzyki ustały i tłum się przeczłupiał a potem zniknął. Orszak jechał dalej w milczeniu, cesarz tylko przywołał swojego Szlika i coś mu szepnął, na co on głową skinął posłuszną.

Świadek tej sceny, która na kartach dziejów zapisaną być miała, Grzegorz z Sanoka, jechał wśród dworzan cesarzowej niepostrzeżony, razem z Biedrzykiem, rozmyślając i dziwując się. Los go niósł dalej, mimo woli, a wszystko zwiastowało, że chwila rozwiązania zagadek, które się cisnęły jego oczom i umysłowi postrzegawczemu, zbliżyć się musiała...

Niepodobna już było orszaku cesarzowej opuścić, lecz że na gościńcu dalszym szeregi ściśnięte musiały się rozluźnić, mistrz Grzegorz wyzwolił się nieco z niemilego sąsiedztwa komorników nieznanomych i dziwnie się mu przyglądających, pozostając na boku z Biedrzykiem.

Czech był podrażniony tak, że ciągle milczący dosyć i niewywnętrzający się, począł się z natrętnymi myślami i niepokojem zdradzać.

— Zaprawdę — odezwał się do towarzysza po cichu — teraz i ja niemal trzymam z hrabią Fryderykiem, że i im i cesarzowej grozi niebezpieczeństwo... Nie darmo cesarz chciał opuścić Pragę! nie darmo!! Czuł, że w niej nie było mu bezpiecznie... Słyszeliście te krzyki! Głupi lud... Chcąc okazać miłość swą dla pani naszej wyrządził jej krzywdę, kto wie jakie mogącą mieć skutki!

Cesarz nie daruje swej obrazy...

Wołali jej: żywie i sława, a jemu: pohybel i przekleństwo...

Patrzałem zboku na oblicze jego... było jak maska nieporuszone, kamienne, ale oczy piorunowały. Biada nam! biada nam!

Grzegorz z Sanoka bojaźliwym nie był, lecz słowa te zatrwożyły go o skutek poselstwa. Wiedział, że bezwątpeńcia pomysłny skutek jego zależał od powodzenia cesarzowej i jej obozu.

— Cóż cesarzowej zagrażać może? — zapytał Biedrzyka.

Czech podniósł oczy w górę.

— Nie wiem, odgadnąć trudno, lecz lękam się wielce... W Pradze ona miała obrońców, tu ich już mieć nie będzie. Spójrzcie na orszak Zygmunta i kupkę naszą...

Podróż w jakimś złowrogiem milczeniu ciągnęła się dalej do Znaima.

Tu nadbiegł Biedrzyk do chaty, w której z Grzegorzem stanęli, oznajmując mu napróżd, że cesarz dalej już żywym niesiony być nie może, lekarze oświadczyli, że godzina śmierci się zbliżała...

Zaledwie miał czas szepnąć o tem Grzegorzowi gdy wpadł zbladły, z załamanymi rękami komornik cesarzowej. Z twarzy jego Biedrzyk wniósł, że Zygmunt chyba skonał musiał, lecz chłopak krzyknął.

— Cesarzową naszą pod strażą zaprowadzono do zamkowej wieży, do więzienia...

Popłoch się stał niezmierny, Biedrzyk jak szalony wybiegł.

Grzegorzowi, gdyby się ta dziwna wiadomość sprawdziła, nie pozostawało nic, jak myśleć o własnym bezpieczeństwie i uchodzić.

Jawnem było, że projekta uwięzionej pani, musiały wprost być woli umierającego przeciwni. Mistrz Grzegorz miał do niej listy, była w stosunkach z królową Sonką, pismo przywiezione znaleźć się mogło i jemu więc zagrażało więzienie...

W pierwszej chwili nie wiedział jeszcze, czy oczekiwać na Biedrzyka, czy radzić o własnej sile, lecz chciał doczekać potwierdzenia wiadomości, która mu się jeszcze nieprawdopodobną zdawała...

Los cesarzowej mogli podzielać jej dworzcy i wszyscy co byli w jej orszaku, zdawało się więc Grzegorzowi najbezpieczniejsem trochę się od niego usunąć i w tłumie, który napelniał miasteczko, szukać mniej podejrzanego schronienia.

Nikt nie zważał na niego. Biedrzyk nie powracał, mógł więc konia swego wyprzedzwszy i ciągnąc go za sobą, ujść ku rynkowi i stanąć na boku, jako nienależący do żadnego dworu podróźny...

Uczynił też to natychmiast tak szczęśliwie, że niczyich na siebie oczu nie ściągnął.

W rynku nie podpadało już wątpliwości, że coś niespodzianego i niepokojącego zajść musiało. Część poczty cesarskiego siadała na koń i w pogoń się puszczała...

Ludzie stojący pod domami opowiadali sobie, że wprzód nim cesarzową uwięziono, obaj hrabiowie Cilly, przeczuwający niebezpieczeństwo, jakie im groziło, w czasie podróży zamienili zbroje i ubiory ze swemi dworzanami, a sami wdziawszy ładajakie szaty umknęli...

Za niemi właśnie pogoń wysłaną była.

Śluchał jeszcze tego opowiadania, gdy mężczyzna w sukience księżej, niemłody już, o kijku idący, zobaczywszy jego sutannę i poznawszy w nim duchownego, zbliżył się doń i pozdrowił po łacinie...

Na pierwszy rzut oka poznał w nim katolika Grzegorz, który już w drodze nauczył się rozróżniać hussyckich od prawych księży. Rad był wielce spotkaniu.

— A wyście zkąd? — zapytał stary zawiedły księżyna.

Grzegorz musiał skłamać ratując się a przynajmniej nie całą mu prawdę wyjawić.

— Podróżnym jestem — rzekł — i dziwny traf mnie tu rzucił w taką godzinę zamieszania jakiegoś, którego nie rozumiem, bom obcy...

— Zaprawdę! zaprawdę! — westchnął ksiądz — nawet my cośmy tu w Czechach od lat wielu do krwawych przygód i osobliwych wypadków nawykli, zdumiewamy się temu, co się tu u nas dziś stało... Cesarz żonę własną więzić każe... Brat i synowiec jej zbiegają...

Poruszył ramionami...

— Lecz jakąż przyczyna tej srogości cesarza względem własnej małżonki? — zapytał Grzegorz...

— Dziwy prawia! — począł ksiądz — właśnie od zamku idę. Tam głośno dowodzą, że Barbara zdradę knuła, rachując na śmierć męża, przeciwko własnej córce...

Miała jakoby zmwowę z królową polską, za której syna wydać się postanowiła i z nim nad Czechami i Węgry panować!!

Grzegorz usłyszawszy to nie mógł powstrzymać okrzyku oburzenia.

— Ojcie mój! — zawołał — potwarz to być musi. Cesarzowa babką-by młodego króla polskiego być mogła...

Liczy on lat zaledwie czternaście, gdy ona bodaj przeszło pół wieku! Potworne małżeństwo takie...

Ksiądz nie dał mu dokończyć.

— I takie potworne dla żądy panowania się składają małżeństwa — odparł. — Ale Bóg sam nie dopuścił, aby się to dokonało!

Grzegorz stał struchlały, zmieszany, upokorzony, pytając się w duszy, czy mogło to być, aby on za narzędzie do takiego knowania miał być użytym. Nie chciał wierzyć słowom księdza i wzdrygał się.

— Ojcie mój — rzekł po namyśle. — Nieprzyjaciele cesarzowej mogli na nią rzucić potwarz, wierzyć temu trudno. Matka spiskująca przeciwko własnej córce, kobieta w jej wieku chcąca się wydać za wyrostka, który dzieckiem jest jeszcze prawie!!

Ksiądz popatrzył na mówiącego ze smutnym na twarzy wyrazem.

— Cóż — rzekł cicho — co się na świecie nie dzieje dla zaspokojenia namiętności ludzi zepsutych!! Są niewiasty święte i anielskie, ale gdy złe są przechodzą w złość męczyzną, w zuchwalstwie i bezwstydzie szatana...

Grzegorz zamilkł. Nawykły do szanowania królowej swej, której służył, nie chciał jeszcze przypuścić, aby ona do tak poczwarnych planów miała rękę podawać i własnego syna im poświęcić. Lecz poselstwo jego potajemne i to co się cesarzowej Barbarze przygodziło, zmuszało w smutną tę rzeczywistość uwierzyć.

Ksiądz miejscowy, który miał tu znajomych wielu, dopytywał na wszystkie strony i zewsząd mu toż samo powtarzano, że istotnie cesarżowę Barbarę z rozkazu męża w wieżę zamknięto, kilka sług zaledwie zostawując przy niej. Ze znaczniejszych osób, mianowicie Czechów, którzy jej towarzyszyli, kilku też czy kilkunastu uwięzionych być miało. Grzegorz domyślał się, że ten los mógł i czynnego spotkać Biedrzyka. Nie było więc na co oczekiwać i ratować się musiał sam, myśląc o sobie.

Ksiądz, z którym rozmawiał, widząc na nim suknię duchowną, a z zawiązanej rozmowy przekonawszy się, iż katolikiem był, jako podróżnego zaprosił go do siebie, ofiarując mu gospodę.

Grzegorz nie przyznając się, iż do Polski chce powracać, musiał powiedzieć, że na Szlązko jedzie.

Poszli tedy razem do bardzo ubożuchnego schronienia, które ostatni tu duchowny katolicki zajmował. Skarżył się on na srogość i prześladowania hussytów i na oplakany stan kraju, ale znosił swe męczeństwo cierpliwie, spodziewając się, że Bóg nareszcie nad nieszczęśliwymi ulituje się Czechami.

Przyjęcie było tak skromne, jak gospodarz i jego chata. Grzegorz odetchnął, sądząc, że tu będzie mógł bezpiecznie pozostać. Uchodzić nocą, ani nawet nazajutrz rano nie zdawało się dobrem, bo miano baczość na tych, co cesarzowej towarzyszyli, a ktoś z orszaku Zygmunta poznać go mógł i wskazać.

Pomimo spóźnionej pory, rozmowa przy kaganku i piwie ciągnęła się jeszcze, gdy zastukano do drzwi i dworzanin cesarski, którego łatwo było można poznać po stroju wszedł do izby.

— Pan nasz Zygmunt dogorywa — zawołał — nocy tej pewnie nie przeżyje. Co jest duchownych zbiera się około konającego dla czytania modlitw i oddania mu ostatniej posługi... Idźcie i wy... Wdziecie szaty obrzędowe. Cesarz chce aby jak najwięcej osób przytomnych było ostatnim jego godzinom.

Tu przybyły zwrócił się do siedzącego Grzegorza z Sanoka.

— Z sukni widzę, że i wy jesteście duchownym.

— Tak, alem obcy tu, podróżny...

— Katolik wśród katolików nigdzie obcym nie jest, macie obowiązek i wy oddać ostatnią posługę chrześcijańskiemu cesarzowi i królowi rzymskiemu.

— Sukni nie mam — odparł Grzegorz.

— Te się u miejscowego księdza znajdą — nalegał dworzanin. — Mam polecenie wszystkich księży na zamek prowadzić... Pójdziecie z nami.

Zaskoczony w ten sposób Grzegorz, chociaż miał wielką obawę, aby go nie poznano, opierać się nie śmiał, nie chcąc podać w podejrzenie.

Ksiądz też dawał mu znaki i upewniał, że albę, komżę lub kapę znajdzie dla niego. Dworzanin naglił. Musieli się co najprędzej przyodziać i iść za nim do zamku.

Noc tymczasem nadeszła była.

Na szarem tle jesiennego nieba, czarny zamek z oknami gorejącymi światłem, zdala już jakby katafalk olbrzymi wyglądał. Bramy, podwórza, sienie, wszystko pełne było ludu, rycerstwa, dworzan, czeladzi, zbrojnych straży, wozów i koni...

Dworzanin cesarski, który prowadził księdza i Grzegorza z Sanoka, zrobił im przejście i wwiódł naprzód do wielkiej sieni, której drzwi na oścież otwarte prowadziły do przestronnej izby sklepionej.

Widok majestatyczny a dziwny uderzył ich oczy.

Cesarz Zygmunt zaledwie przybywszy tu, a czując się słabszym coraz, zawołał lekarzy, surowo im nakazując powiedzieć mu jak mógł żyć długo. Spowiednik i oni nie ukrywali tego przed nim, iż nocy przeżyć nie miał.

Naówczas rozkazał cesarz odziać się tak, jak miał być do grobu ubranym. Włożono mu cesarsko-kapłańskie szaty, koronę na głowę, dano berło w ręce i jabłko, okryto płaszczem i posadzono na tronie w sali.

Chciał konać w obec ludzi, dla okazania mężstwa... Na koronie zielony wieniec kazał pomieścić...

Ale jabłko i berło już dla rąk jego osłabłych były za ciężkie, ustawiono je tak, aby ich trzymać nie potrzebował. Pod ciężarem korony ugięła się głowa, lecz tej odjąć sobie nie pozwolił.

Przy świetle pochodni, które trzymali stojący komornicy, widać było już trupią błądząco okrywającą się twarz, wśród której oczy jeszcze niekiedy z pod ciężko podnoszących się powiek błyskały...

Żył jeszcze... Lekkie drganie głowy, nieznaczne poruszenie szat i okryć, które nogi osłaniały, zdradzało razem cierpienie i życie...

Jak gdyby w ostatniej godzinie tej, obrazy życia całego przechodziły przed nim i porzącały go wspomnieniami, widać było poruszającą się brodę, zaciskające usta, marszczące czoło...

Kanclerz Szlik, zięć Albrecht stali tuż przy nim, córka Elża u nóg płacząc klęczała, w rękach załamanych trzymając różaniec. Duchowieństwo ustawione blisko, cicho odmawiało modlitwy, spoglądając na konającego Zygmunta, niewzruszonego, dumnego, spokojnie walczącego ze śmiercią...

Cisza panowała ugniatająca w sali, której powietrzem ciężko było oddychać... Woń woskowych pochodni, lekarstw, które Zygmunta pojono, kadzideł i tyłu zebranych ludzi wzywają, czyniło je nieznośnym...

Z rozkazu cesarza wpuszczano na salę z kolei ciszących się ciekawych ludzi; chciał być widzianym.

— Niech wiedzą jak cesarz umiera! — szepnął Szlikowi.

Obumierający wzrok jego niekiedy padał na klęczącą córkę, na blisko stojącego zięcia, któremu państwo po sobie przekazywał, na wiernego Szlika, a potem zamykały się powieki, aby oczy wewnątrz duszy patrzyły...

Lekarz stojący obok dostrzegł naostatku, że walka ostatnia się rozpoczynała... Oddech stawał się coraz pospieszniejszym i trudniejszym, pierś podnosiła się gwałtowniej, ręce konwulsyjnie drgały, otworzyły się usta. Zdawało się, że śmierć zwycięży i wyrwie okrzyk bóleści. Wtem Zygmunt zacisnął usta, głowa wyprostowana dotąd poczęła się chylić na piersi i z czoła spadła korona potoczyła się na nogi.

Cesarz nie żył.

Duchowni uklękli, pierwszą za duszę uleciała odmawiając modlitwę...

Elża u stóp klęcząca krzyknęła i odniesiono ją na pół zemdloną.

Szlik i Orszag bojąc się, aby ciało martwe nie zsunęło się z tronu, przytrzymali je z obu stron, póki by nie ostygło, a Albrecht podniesioną koronę włożył na skronie.

Ale na niej laurowego wieńca nie było i potomność przywrócić go nie miała...

Śmierć cesarza dozwoliła Grzegorzowi z Sanoka trochę wolniej odetchnąć. Wszyscy nadto nią byli zajęci, aby się zaprzętać sprawą cesarską. Zatrzymano ją wprawdzie w więzieniu, bo taka była wola umierającego, ale nikogo nie prześladowano i nie ścigano hr. Cillych.

Albrecht nadto miał w tej chwili do czynienia w Węgrzech i Czechach, aby się znieść nad kimkolwiek i nowych sobie nieprzyjaciół przyczynić.

Nazajutrz postanowił mistrz nasz puścić się w drogę do Krakowa. Biedrzyka ani mógł szukać, ani on mu się nastroczył. Sam więc jeden, rozpytawszy o gościńce, ufając sukni duchownej, która go mogła obronić od napaści, jeżeli by hussytów i włóczągów nie spotkał, wyjechał Grzegorz z Sanoka przejęty tem co widział i co wiozł królowej Sonce.

Poselstwo jego poszło najniezwyklej i w Krakowie nie spodziewał się dobrego przyjęcia, ale winy w tem jego nie było...

Małymi dniami, ostrożnie się przebiegając od miasteczka do miasteczka, odpoczywając po katolickich probostwach, znużony i wycieńczony tą podróżą, zbliżył się wreszcie Grzegorz do Krakowa.

Im więcej rozmyślał nad tem, co go spotkało, co słyszał i czego się mógł dorozumie-
wać, tem smutniejszy powracał do królowej. Odkrył w niej to, czego nie przewidywał,
niezmierną żądzę zdobywania dla dzieci ziem i państw, żądzę, której oni paść mogli ofia-
rą. Żał mu było Władysława, który już sam rycerskie miał popędy i wyobraźnię gorącą.
Dusza jego przeczuwała zawody i koniec smutny...

Lecz mógłże on co przeciw wszystkim i przeciwko samemu charakterowi młodzieńca,
którego od dziecka marzeniami bohaterstwa karmiono?!

Pod Krakowem już spotkawszy znajomych dworzan panów z Tęczyna, przekonał się
z rozmowy z niemi, że wiadomość o śmierci cesarza i uwięzieniu Barbary, jeszcze tu nie
doszła. On więc pierwszy miał być zwiastunem tych wypadków.

Na zamku przywitano go zdziwieniem, tak on i koń jawnie świadczyli, że tajemni-
cza podróż poszła niepomyślnie... Już powrót bez sług i towarzysza, złym była znakiem,
a twarz Grzegorza z Sanoka nosiła na sobie ślady przetrwanych niewczasów i troski.

Zaledwie przebrawszy się mistrz kazał o sobie oznajmić królowej, która go natych-
miast powoła do siebie.

Niecierpliwa wyszła naprzeciw niego, aż do progu, mierząc ciekawymi oczyma.

Zmęczona twarz i smętne wejrzenie posła, mówiły za niego.

— Co mi przynosisz? — zawołała natarczywie — w dwu słowach mów. Gdzie Bie-
drzyk? Co się stało?

— Miłościwa pani — rzekł ponuro Grzegorz — nie mam szczęścia i złym jestem
posłem, ale nie własną winą, zrządzeniem Opatrzności.

Zastalem cesarza już prawie konającym... Z Pragi kazał się nieść do Znaima... Cesa-
rzowa była przy nim. Przed samym zgonem z jego woli uwięziono cesarzową Barbarę.

Sonka wydała krzyk rozpaczliwy i ręce załamała.

— Cesarz umarł! — zawołała.

— Przekazawszy państwo Albrechtowi i córce — dodał Grzegorz.

Chwilę stała królowa osłupiona, nie mogąc się jeszcze pogodzić z tem co słyszała, nie
wierząc uszom własnym.

— Cesarzowa! Cesarzowa uwięziona — przerwała — i nikt nie stanął w jej obronie!
Gdzież byli Czechy? Gdzie się podzieli brat jej i synowiec? Czy i oni uwięzieni?

— Uszli oba — rzekł Grzegorz spokojnie i poważnie. — Zdaje się, że cesarz dla tego
z Pragi wyjechał już niemal konający, aby uniknąć Czechów, sprzyjających cesarzowej
Barbarze...

— Wszystko! wszystko przepadło! — zawołała patrząc w ziemię, z wyrazem bólu
i rozpacz królowa. — Wszystko przepadło, co memu pierworodnemu wielką zapewniało
przyszłość.

Grzegorz wejrzeniem pełnym wyrzutów odpowiedział tylko, a po chwili milczenia
odezwał się odważnie.

— Miłościwa pani, Bogu dziękować należy, iż pana naszego obronił od sromotnego
małżeństwa i losu, który go czekał z tą niewiastą!

Stało się wedle miłosierdzia Opatrzności...

Złożył ręce nie kończąc. Królowa spojrzała gniewnie.

— Tak, stało się — odparła odwracając od niego — lecz... bądź co bądź, jedną z tych
koron posiędzie! Przepowiednie się spełnią...

I zimna na pozór, ale wzburzona i gniewna, kazała sobie ze szczegółami opowiadać
wszystko, co Grzegorza spotkało w podróży.

Twarz jej mieniła się, usta ściągały, ręce szarpały suknię, gniew zdawał się co chwila
wybuchać i stłumiony krył się we wnętrzu.

Z ironicznym uśmiechem, gdy skończył opowiadanie mistrz Grzegorz, odprawiła go
skinieniem głowy dumnym...

— Na nowo więc rozpocząć potrzeba! — zamruczała. — Władysław młody, czas
mamy...

Strzemińczyk

CZASY WŁADYSŁAWA WARNEŃCZYKA

TOM II

I

Wróciwszy z nieszczęśliwej swej wyprawy, z goryczą i niesmakiem w duszy Grzegorz z Sanoka, potrzebując spoczynku, na czas jakiś zamknął się w swej komorze na zamku, jak najmniej pokazując na dworze...

Unikał królowej, wiedząc, że dla niej był przykrem przypomnieniem nadaremnych zabiegów, do których teraz się nawet przyznać nie chciała.

Wiedziała dobrze, iż Grzegorz jej nie zdradzi, a pomimo ufności w nim, spoglądała na niego z jakąś niechęcią, jak gdyby on zawinił w sprawie. Świadek ten długo jej zawadzał tak, że spostrzegłszy go, odwracała oczy i niechętnie go widziała.

Wstydzila się teraz ochłonawszy, tego potwornego związku, któremu syna gotową była poświęcić.

Grzegorz czując, iż Sonka nie odbołała jeszcze doznanego zawodu, nie narzucał się wcale, przychodził rzadko, stawał zdaleka. Ale król, który go lubił i nawykł do niego, chociaż z nim w wielu się rzeczach nie zgadzali, dopominał się o mistrza swego i powoływał do siebie.

Z rozmów z nim, przekonał się Grzegorz, iż o znowie z cesarzową, matka młodego Władysława nie zawiadomiła za wcześnie, oczekując, aby ona przyjść mogła do skutku. To tylko jedno wpajała królowa w syna, iż królewskie sojusze i małżeństwa, nic innego nie mogą i nie powinny mieć na względzie, nad wzmoczenie sił państwa i pozyskanie potęgi.

Przekonanie to młodego pana, nie śmiejąc mu się wprost sprzeciwić, mistrz starał się zachwiać dowodami, że zbytnia pożądlivość władzy i podbojów, często państwa i panujących o straty i ofiary przyprawia.

Lecz trudno było walczyć z tem, co niemal z mlekiem wyszał Władysław, marzący jak matka o królestwach jakichś, nad którymi miał panować...

Nielaska w jaką chwilowo popadł Grzegorz z Sanoka, nie trwała długo; skromne zachowanie się jego, zupełny brak ambicyi, życie ustronne, stałość przekonań, dająca miarę człowiekowi, przywróciły mu wprędce życzliwość Sonki.

Nie mówiła z nim tylko nigdy o poselstwie ostatniem, najmniejszym słowem nie wspomniała o niem nigdy.

Biedrzyk, który był tak zniknął w Znaimie, że się należało domyślać, iż go kara jakaś spotkała, w kilka miesięcy potem zjawił się znowu w Krakowie i przyszedł pozdrowić dawnego towarzysza podróży.

Niepowodzenie, jakiego doznał, wcale się nie zdawało wpływać na jego humor i usposobienia. Nie mówił wprawdzie, co teraz poczynał, z czem przybywał, lecz łącznie było domyślać, że przyjaźne Polsce i królowej stronnictwo w Czechach, on podtrzymywał i nie dawał mu się rozproszyć. W rozmowie, zresztą nie zbyt otwartej, pół gębkiem, dawał do zrozumienia Grzegorzowi, że w Czechach zawsze myślano o jednym z synów Jagielly...

Mistrz nie dawał się temi nadziejami upoić, nie był on za tem szukaniem cudzych Bogów, nie sprzeciwiał się, milczał.

Po niejakiem czasie królowa Sonka, zbliżać się zaczęła do Grzegorza i używać go do mniejszych posług, dając skazówki, co miał synowi wpajać i jak nim kierować...

Lecz wszystko, co go tu otaczało, nie smakowało mistrzowi, który, gdyby nie wdzięczność i nie nadzieja, że może młodemu królowi być użytecznym, radby był dwór całkiem porzucił. Starczyłoby mu probostwo w Wieliczce i ulubione książki.

Nielatwo jednak raz wszedłszy w to życie, które nakłada kajdany, uwolnić się od niego.

Król nie byłby odpuścił Grzegorza, a królowa ani mówić o tem nie dawała.

To co inni zyskiwali pochlebstwem, on zdobywał prawdomównością, szanowano go i wiedziano, że na nim polegać można.

Jedyną pociechą w tych czasach było odwiedzanie starych przyjaciół Balcerów i Frąckowej.

Tu mu także nie zupełnie szło po myśli. W mieście stłumiona jeszcze jakimiś względami, gotowała się walka, w którą Balcerowie mogli być wciągnięci. Kupcy niektórzy, Żupnik krakowski Mikołaj Serafin, radzca Graszar, Wink i stary Balcer, obwiniani byli

o bicie i puszczenie w obieg monety, która wartości jej nadawanej nie miała. Narzucano ją miastu, a biedniejsi potem narażeni byli na straty, bo jej poza granicą nie brano całkiem lub daleko gorszą ceną.

Obwiniano Serafina, Graszara i Balcera, że tą monetą złą frymarczyli, miasto nią zawlewali i ubogich ludzi krzywdzili.

W samym mieście dwa się już zarysowywały obozy przeciwne, z których jeden bronił monety swej, drugi się przeciw niej burzył.

Po kilkakroć przychodziło do starć ostrych na Ratuszu, w Sukiennicach, do wymówek i pogroźek. Żupnik Serafin i panowie rajcy miejscy ufali w to, że mieli za sobą opiekę możnych, wpływ swoich urzędów, a i gawieź też, którą sobie ująć potrafili.

Dowódcą tych, co przeciw nim występowali, był niejaki Przedbor Hocz mieszczanin, człowiek zuchwały a ulubieniec gminu, w którego obronie zawsze stawał. Umiał on sobie tę miłość biednych pozyskać środkiem nigdy nie zawodzącym. Miał gębę wyparzoną i prawił głośno, zawsze jedno, że biedni obrońców nie mieli, że nie było sprawiedliwości na świecie. Nic łatwiejszego jak cierpiącym biedakom wmówić, iż oni pokutują nie za swe winy i są przemocą ofiarą.

Hocza za to pod niebiosa wynoszono, iż stawał w obronie uciśnionych. Dawniej hałasował on z powodu poborów, opłat, czynszów, na burmistrzów, na ławników, na sądy, na wójtów, i tem sobie przygotował przyjaciół. W sprawie monety, w której mógł mieć słuszość, łatwo mu było potem wystąpić i poruszyć nawet tych, co do żadnych wicherzeń ochoty nie mieli.

Sprawa była wszystkich obchodząca... Dobry pieniądz wykupywano, fałszywym zawlewano targi, groziła powszechna nędza.

Rajcy miejscy byliby się chętnie pod jakim pozorem pozbyli Hocza, ale miał on też plecy, krewnych, był osiadły, na żadnem przestępstwie nie dawał się pochwyć, gawieź szła na jego skinienie; niebezpiecznie było go zaczepić.

On tymczasem uzuchwalony, coraz ostrzej występował przeciw rajcom, Ratuszowi, żupnikowi i kupcom, co z nimi trzymali.

Balcer był w liczbie tych, co pieniądze różnych dużo w obieg puszczał...

Hocz miał do niego zęb z dawna, bo mu córki odmówił, rad był się pomścić.

Pomimo odgrózek, które ze wszech stron nadchodziły na Ratusz, do pana Serafina i do Balcerów, lekceważyli oni sobie uliczną gadaninę. Robili swoje. Pieniądz niedobry rozchodził się w znacznej ilości. Płacili nim, mówiąc, że innego nie mają. Dowodzone im, że sami go bili pokątnie.

Ci, którzy na frymarku tym zyskiwali, bronili ich, ale gmin, rad zawsze, gdy do starszyzny może się za coś jąć, krzyczał i groził.

Hocz podbudzał. Gromadzono się około niego po browarach, na cmentarzach po nabożeństwie, słuchano go i przyklaskiwano...

Żupnik Serafin śmiejąc się dowodził, że mu to było wszystko jedno, choć sobie ulica krzyczała.

— Kiedy ich gardła nie bolą, niech sobie pozwolą... Ja przez to nie schudnę! Bóg z nimi...

Niektórzy szeptali, że Hocza by ująć należało, ale obrażeni, którym zalał za skórę, nie chcieli z nim mieć do czynienia.

O całym tym sporze słyszał już wiele Grzegorz z Sanoka, i usiłował Balcera skłonić, aby go zagodzono, ale na próżno.

Hocz, którego znał, chodził do szkoły św. Anny z nim razem, nie przyjaźnili się z sobą, ale ława szkolna ma to do siebie, że lub przyjaciół lub wrogów na całe życie tworzy. Hocz, ów obrońca biednego ludu, a w istocie ambitna sztuka, któremu się w radzie siedzieć chciało z innemi, spotykając się z Grzegorzem, wynurzał się przed nim ze skargami, w nadziei może, iż one dojdą do biskupa lub na zamek przez niego. Ale Grzegorz z Sanoka do spraw tego rodzaju mięszać się nie lubił. Cenił swój i cudzy spokój nadewszystko, i powiedział, że wojnę tem tylko można było tłumaczyć, gdy ją prowadzono dla zabezpieczenia pokoju.

— Te żółto brzuchy miejskie doprowadzą nas do tego — mówił Hocz Grzegorzowi — że my nad nimi sami sobie sprawiedliwość uczynimy, gdy nam jej nie dadzą ci, co ją dać powinni.

— Patrzajże — odparł mistrz — że z ludem ulicznym to taka sprawa, iż on dziś z tobą pójdzie na Serafina, a jutro z Serafinem na ciebie.

— Niedoczekanie! — prawil Hocz.

Parę razy już zbiorowiska ludowe, groźne w rynku i na przedmieściach przybierały rozmiary takie, że miejska straż i wiertelnicy z trudnością je mogli rozproszyć.

Tumulty podobne w owych czasach i z innych powodów nieraz się wszczynały, ale te łatwo uśmierzyć było. Trafiło się, że studenci, którzy zwyczajem dawnym mieli zapewniony kozubalec od żydów, gdy z wyznaczonych do wypłacania go kampsorów nie byli radzi, wyprawiali napaść na pogrzeby żydowskie i zmuszali do okupu.

Zwyczaj ten tolerowany poniekąd, z naprawy zbyt gorliwych, poczynił teraz się zastosowywać i do poszlakowanych o hussytyzm ludzi.

Oprócz tego między samą młodzieżą, podzieloną na różne grupy, parafie i miejskie kwartały, w których przy odśpiewywaniu pieśni, miała prawo pobierać jałmużnę, przychodziło do starć, gdy jedna gromadka w granice drugiej rozmyślnie lub przypadkiem wkroczyła.

Rzadki dzień przeszedł spokojnie w Krakowie, gdzie i cudzoziemcy i kupcy wędrowni dawali powód do zwad ulicznych.

Urzędy więc miejskie, oswojone z takimi rozruchami, ustępującymi przed powagą wiertelników, nie przywiązywały do nich zbytnej wagi.

Lepszy znawca usposobień ludzi, i uważniej przypatrujący się rosącemu rozdrażnieniu Grzegorz z Sanoka, niepokoił się i przestrzegał, zwłaszcza Balcerów i Frączka, o których był niespokojny.

Nie chciano wierzyć w groźące niebezpieczeństwo. Tymczasem burza się widocznie zbierała.

Hocz od kilku dni, było to w sierpniu, zbierał tłumy, krzycząc i dowodząc, że sprawiedliwości nie ma, i że lud powinien ją sam sobie domierzyć.

Inni podżegacze, poili motłoch i usiłowali go do rzucenia się na domostwa Żupnika i rajców namówić. Szło to jednak opornie... Sądy za gwałty były surowe, obawiano się wyroków, jakich miano przykłady...

Gdy parę razy ściągnięta gawiedź, rozeszła się nic nie poczynając, tylko odgrządzając się i krzycząc, Żupnik Serafin i rajcy sądzili, że się to tak uśmierzy i skończy na niczem...

Dnia trzynastego sierpnia wszedł wieczorem Grzegorz z Sanoka do Balcerów posepny i milczący. Wszyscy byli w domu. Siadł na ławie nie mówiąc nic, i dopiero gdy go Frączkowa, stanąwszy przed nim zagadnęła, co mu to jest, iż tak smutną twarz im przyniósł, rzekł ostro.

— Żal mi was, żeście głusi i ślepi.

— W czym? jak?

— Powinnibyście się domyśleć — począł mistrz. — Lekko sobie ważycie Hocz a gmin, a grozi wam wielkie od niego niebezpieczeństwo.

Balcer stary niewielomówny zwykle, ręką zamachnął w powietrzu i ramionami ruszył. Grzegorz wstał z ławy.

— Na miłego Boga nie puszczajcie mimo uszu słów moich — odezwał się. — Na jutro umówiona jest napaść na Serafina, na Graciana, Winka i na was, nie licząc tych, o których nie wiem... Lud się zmówił, przewodcy powyznaczani, przypadkiem doszła mnie wieść o tem. Albo zaradźcie temu, wywołując złą monetę, albo, jeżeli do tumultu przyjdzie, chrońcie się natychmiast na zamek, boście życia nie pewni.

— Jako! jako! — krzyknął Frączek — ta hałastra śmiałaaby się porwać na pana Żupnika! na rajców! To są głupie przechwałki...

— Na które nie zważając, możecie je życiem przypłacić — mówił mistrz. — Mam dla was obowiązki, ratować was chcę...

Jeśli mi nie wierzycie, wola wasza, czyńcie jak się wam podoba, ale niewiasty wasze niech za wasze zaślepienie nie pokutują. Uprosiłem na zamku u ochmistrzyni królowej schronienie dla matki Balcerowej i Frączkowej, i obstaję przy tem, aby kosztowności zabrawszy, szły ze mną.

Mężczyźni uszom nie wierzyli, zamilkli, ale stanowcze oświadczenie takie, silne na nich uczyniło wrażenie. Spojrzeli po sobie.

— Nie może to być! nie przyjdzie do tego! — zaburczał Frączek...

Balcer się zadumał.

— Więc by trzeba dać znać Żupnikowi i rajcom?

— Winka po drodze spotkałem i przestrzegłem go — odparł Grzegorz... — Jutro rano daj Boże, byście zbiegł czas mieli. Hocz o rannej godzinie kazał się swoim schodzić pod pannę Maryę, mają uderzyć we dzwony na gwałt i rzucić się na wasze domy...

Pewność z jaką o tem mówił Grzegorz z Sanoka, dała do myślenia.

Frączek się ruszył wychodzić na miasto, gdy wpadł Wink, jeden z najupartszych rajców i tych, którym właśnie rozsypywanie złej monety przypisywano... Zawadżaka był zuchwały, ale w duszy tchórz.

Zobaczywszy Grzegorza na ławie siedzącego, od progu zawołał.

— A, to już wiecie!! Odgrają się zbóje, ale straż mamy, która będzie czuwać uzbrojona.

— Pamiętajcież tylko — przerwał mistrz — że i tej straży, gdy się zawieruszy, nie możecie być pewni. Gdy Hocz górę weźmie, pierwsi wiertelnicy pójda pod jego rozkazy.

— Jakaż rada? — zapytał Frączek.

— Trzeba na ratuszu postanowienie ze złą monetą uczynić i wprowadzania jej się wyrzec — odezwał się Grzegorz...

— Ho! ho! — przerwali mieszczanie.

Mistrz z niemi rozprawić już nie chciał, zwrócił się do Balcerowej i Frączkowej z powagą i nakazującym tonem.

— Wybierajcie się i idźcie za mną, nie stanie się nic, nie zaszkodzi wam nocleg na zamku, a ja was w tem niebezpieczeństwie zostawić nie chcę.

Frączkowa, która słuchała i milczała, dopiero się odezwała.

— Mamyż ojca i męża porzucić?

— Kiedy oni nie wierzą i iść nie chcą, ja przynajmniej was zabiorę. Proszę więc, za mną w drogę.

Balcer i Frączek głowami kręcili, Wink milczał... Grzegorz przynaglał.

Przez długi czasu przestanek panowała niepewność. Balcer i Frączek nie dawali się skłonić do ucieczki, kobiety się wahały, ale mistrz na swem postawił i na pół musem uprowadził na zamek.

Tu już ochmistrzyni królowej uproszona izbę dla nich trzymała w pogotowiu...

Grzegorz, oprócz tego zawiadomił biskupa Zbyszka, który niedowierzająco przyjął przestrożę.

— Należałoby rozruchowi zapobiedz — rzekł.

— Zdaje się, że już zapóźno — odpowiedział Grzegorz — a tem trudniej sprawę rozsądzić, że Hocz, choć warchoł, ma słusność.

Biskup z powagą i zimną krwią sobie właściwą, zamilkł, odkładając radę na jutro...

W mieście Żupnik Serafin, najwybitniej zamieszani w sprawę rajcy, późno dopiero w noc, rozesławszy po mieście swoich ludzi na zwiady, po język, przekonali się, że obawy przesadzone nie były.

Gawiedź przeznaczona do napaści przeciw nim wymierzonej, całą noc piła po browarach. Wiertelników wysłanych, aby ją rozproszyć, potłuczono i rozegnano. Klucze od dzwonnicy u p. Maryi i w kilku innych kościołach były w ręku zbuntowanych.

Całą sierpniową noc te kupki się snuły po uliczkach, zwoływały i czuwały... Hocz, którego nigdzie nie było niby, w istocie był wszędzie. Pokazywał się i niknął.

Popłoch między rajcami był niemały, ale jeszcze mieli nadzieję, że się to na niczem, na wrzasku skończy.

Wszakże Miklucz Serafin w nocy pieniądze, jakie miał, do dworca biskupiego wywiózł potajemnie...

Do dnia w mieście nic niebyło można dojrzyć nadzwyczajnego, tak, że pospolici ludzie, o niczem nic nie wiedzący, sądzić mogli, iż baśń na postrach sklecono...

Życie się rozpoczęło jak zwykle, otwierały się kościoły, pobożni szli do nich, dziady stawały przed niemi, okiennice kramików zwolna spuszczano; przekupnie wystawili chleb i mięso na sprzedaż, w sukiennicach poczynął się ruch powszedni, nic nie zwiastowało żadnego usposobienia do rozruchu. Ulice nawet wydawały się puściejsze, niż zwykle...

Okolo tego czasu, gdy primarją po kościołach czytają, z zaułków, uliczek, kątów, zaczynała się powoli ściągać gawiedź, której na rynku nie widywano zwykle; ludzie w odzieży poszarpanej, z twarzami dzikiemi, jakby obcy tu i nieumiejący się obracać. Szli niepewnie oglądając się, aby niemi pokierowano, skupiali się, rozpraszali, szeptali z sobą, ustawiali się pod murami... Nieznacznie liczba ich rosła coraz, pomnażała się, i milczenie w gwar się głuchy zmieniło...

Nim primarja u P. Maryi się skończyła, rynek już był przepelniony. Niektórzy z tych ludzi mieli pałki na ramionach. W pootwieranych piwnicach tłok był niezmierny...

Miasto zarówno po bocznych ulicach, jak w rynku, przybrało niezwykłą jakąś fizjognomię. O rozpędzaniu tłumu mowy być już nie mogło, składał się on z tysięcy i pomnażał żywiołami nowemi.

Wielka liczba czeladzi ciekawej... przyłączyła się do niego...

W tem, jakby z pod ziemi wyrósł, zjawił się Hocz, któremu poddano niewiadomo z kąd ogromną beczkę, na której stanął, aby nad tłumem tym górował...

Ze szmeru i gwaru, jaki w rynku panował, nagle cisza stała się wielka, i Hocz głos zabrał.

Miał on już dobrą wprawę w ton i sposób, jakim do ludu mówić potrzeba. Wymowa tu niekonieczna i logika nie jest niezbędną, ale krzyczeć głośno, a bić musi orator w krzywdy, uciski i uciemienie. Hoczowi to przychodziło łatwo, bo miał za sobą istotnie sprawiedliwość.

— Chodziliśmy na ratusz, kłaniali się i przedstawiali na próżno, odpędzono nas precz. Słuchać nie chcą, swoje robią, a biedny lud o nędzę przyprawiają. Dla kilku złych mamy ginąć wszyscy? Lepiej, żeby oni zginęli. Potem naszym się z bogacili, krew z nas wysysają...

Mówił tak coraz goręcej, a lud stojący coraz żywiej mu okrzykami potakiwał. Ruch się zrobił w tych ściśniętych gromadach. Zaczęto krzyczeć.

— Na Serafina! na Graciarza! na Winka! na Balcerów! na gałąź z niemi!!!... Burzyć domy...

I jakby na dany znak tłum ten i zbiegowisko, podzieliwszy się na gromady, runęło ku ratuszowi, rozplynęło się po ulicach...

Hocz sam prowadził jedną kupę, w pałki zbrojną. Na ratuszu nie było już nikogo, ani rajców, ni ławników. Izby stały żelaznemi drzwiami pozamykane.

Natychmiast jeden oddział z Hoczem rzucił się na dom Serafina Żupnika, którego już tu nie znaleziono...

Wywalono wrota, połamano sprzęty, inni tak samo pędzili ku domom obwinionych rajców.

Szczęściem wszyscy oni, choć późno, potrafili ratunku szukając, zbiedz na zamek... Goniono ich tak, że o mało nie doścignięto, gdy się za niemi wrota zamknęły...

Hocz nie poprzestał na tem i uzuchwalony z całym tysięcznym tłumem, rozwścieczonym, gniewnym, rozhukanym jak morska fala, zjawił się pod murami zamkowemi, domagając się wydania winnych...

Stało się to tak niespodzianie, że królowa, król, dwór, przerażeni zostali napaścią, i młody Władysław rzucił się już zbierać ku obronie szczupłą garstkę rycerstwa, która na Wawelu się znajdowała.

Szczęściem tylko co ukończywszy ranne nabożeństwo w kościele, biskup Zbyszek znajdował się jeszcze na zamku... W pomoc jemu nadbiegł Grzegorz z Sanoka...

Oblężenie zamku przez te gromady ludzi, było wypadkiem tak niesłychanym, a tak wielkie przybierającym rozmiary, iż niedając się pożarowi szerzyć, musiano go natychmiast zażegnać. Hocz z głównymi przywódcami szturmował do wrót, domagając się już nie kary na winowajców, nie sprawiedliwości, ale wprost wydania tych ludzi, których gmin osądził i skazał na gardło... Dopuścić raz taką karę i pomstę bezprawną, było to otworzyć wrota nieustającym niepokojom...

W chwili, gdy Hocz, u wrót stał i gwałtował, po nad niemi zjawił się w ubraniu swem biskupiem, komży i stule, poważny, zimny, surowy, niewylękły bynajmniej, biskup Zbyszek.

Znano go jako męża, który nikomu ustępstw nie czynił... Hocz pod wrażeniem jego dostojęstwa, mimowolnym ruchem zdjął z głowy czapkę... Nim się odezwał, Zbyszek

tym głosem, którym królów nawykł był gromić, począł go strofować i domagać się spokoju i odejścia precz gawiedzi.

Hocz dopiero po chwili trochę swojego zuchwalstwa odzyskał, ale ta krótka chwila, w przeciagu której stał milczący z odkrytą głową starczyła, aby otaczającemu tłumowi odjąć jego butę i ostudzić go...

Biskup natychmiast zabrał głos, naprzód sposób ten domagania się sprawiedliwości potępiając, potem łagodniej nieco począł obiecywać, iż sprawa się rozpatrzy i rozwiąże tak, aby krzywda i ubytki nagrodzone zostały, wina ukarana...

Domagał się jednak, aby zbiegowisko natychmiast się rozproszyło.

Hocz miał czas powrócić do pierwszego swojego zuchwalstwa, i zamiast ukorzyć się, domagał wydania Żupnika i Rajców, którzy się w zamku schronili.

— Tak jest, schronili się tu i nietylko ja ich pod płaszcz mój, ale kościół weźmie w opiekę i da im przytułek, bo to jest przywilejem jego... Winni czy niewinni, wy nie macie prawa ich sądzić.

Tłum się począł ujmować za swoim przewodzcą, zaryczał, a ci co dalej stali, niewiedząc dlaczego wrzask ten powtórzyli...

Biskup mówił, nie słuchano go.

Naówczas na skinienie jego wystąpił Grzegorz z Sanoka. Ten poufałym tonem zwrócił się do Hocz.

— Słyszeliście słowo ojca naszego duchownego, powinno by go starczyć dla opamiętania was; ja przychodzą do was od króla, od królowej, zalecając, abyście się natychmiast rozeszli. Sprawiedliwość uczyniona będzie, ale wam w gniewie samym dać ją domierzać, byłoby grzechem, król tego nie dopuści.

Chcecież, aby swoje panowanie rozpoczął od tego, by się bronił przeciw tym, co mu wierność przysięgali! Do domów! Rozchodźcie się...

Pasterz nasz, rada królestwa tego wezmą w ręce sprawę i rozstrzygną... Idźcie spokojnie...

Panowało milczenie czas jakiś, ale zdala powtórzyły się krzyki. Natenczas Grzegorz z Sanoka zwrócił się do Hocz.

— Pomnijcie wy, Przedborzu, że za wszystko odpowiadać będziecie, za ten ból i srom, jaki uczyniliście królowi, za to, cokolwiek się stanie, wyście lud ten podburzyli...

— Nie ja, ale niesprawiedliwość, ale krzywda! — przerwał Hocz.

— Wy — powtórzył Grzegorz — wy, bo zamiast w dziesięciu przyjść z pokłonem do tronu prosić o wysłuchanie, zebraliście tłum i chcecie ją wymóżyć siłą.

— A cóż będzie gdy na siłę pójdzie siła!

Hocz stąpał z nogi na nogę, biskup Zbyszek korzystając z chwili milczenia, odezwał się z powagą.

— Idźcie w pokoju do domów! kapłańskim słowem mem, w imieniu króla zaręczam wam, iż sprawę waszą rozsądziemy wedle prawa Bożego i ludzkiego.

— Do domów! — powtórzył Grzegorz z Sanoka.

Hocz stał jeszcze, gdy chwilę upojony tłum, zwolna się rozstępować zaczął, szeptać między sobą i cofać.

Na wałach zamkowych właśnie zaczęli się okazywać ludzie zbrojni, łucznicy i kusze, tak, że sądzić było można, że przyjdzie do starcia, gdyby się upierano zamek naciskać.

Hocz począł mówić, ale głos niższy, tłumaczył się, jękał...

Biskup jedno powtarzał.

— Rozchodźcie się...

I gawieź w końcu zachwiana, a otrzeźwiona nieznacznie się rozplywać zaczęła.

Gdy raz ruch ten wsteczny dał się uczuć, nikt nie chciał być ostatnim, obawiano się pozostać, aby nie wpaść w ręce straży zamkowej i nie popaść do Dorotki.

Rozchodzące się kupki kroczyły zrazu zwolna, potem coraz żywiej, gdzie kto mógł kryły się, wsuwały, nikły, tak że Hocz obejrzawszy się nie rychło, ujrzał że był z małą kupką sam jeden prawie...

Odgrajając się i mrużąc, i on więc w końcu cofnął się ku miastu...

Niebezpieczeństwo było zażegnane, lecz nie odwrócone stanowczo...

Zaledwie się ludu pod zamkiem przeredziło, i biskup Zbyszek poszedł królowej prze-
lękłej donieść i wytłumaczyć co się stało, gdy Grzegorz z Sanoka, kazał sobie furty otwo-
rzyć, i śmiało sam jeden wyszedł na miasto...

Potrzeba było bić żelazo gorące... zawołał na uchodzącego Hocza, który się zatrzymał.

— Chcesz li być cały, — rzekł — miej rozum i coś popsul staraj się naprawić...

W Przedborze wszystko zakipiało. Był warchołem, lecz bądź co bądź wystąpił w spr-
awie dobrej.

— I wy coście z ubogiego paupra wyszli na ludzi, — zawołał — nad ubogimi litości
nie macie... Bóg mi świadek sprawiedliwości tylko żądałem...

— Aleś się jej źle domagał — odparł Grzegorz. — Pięścią nie godzi się nic wymuszać.
Gdzie ona występuje tam rozum i prawda milkną...

Uderzył go po ramieniu.

— Zakaż swoim, aby nowych zaburzeń nie wywoływali — dodał — reszta się dokona,
gdy biskup wziął w ręce swe sprawy.

Nie dość na tem, Grzegorz razem z Hoczem poszedł do miasta, aby dopilnować uspo-
kojenia gawiedzi...

Nie powrócił rychło na zamek, ale gdy wieczorem zjawił się zmęczony, mógł upewnić
biskupa i królowę, że się zaburzenie nie powtórzy...

Hocz spokorniał.

Zawołano mistrza do króla, który poruszony wielce, na pół uzbrojony biegał po swojej
izbie, zagadując młodzież która go otaczała. Zobaczywszy swojego mistrza poskoczył ku
niemu. Oczy mu pałały.

Chociaż wierny swój lud krakowski miał przed sobą, młody pan samem prawdopodo-
bieństwem jakiejś walki, był rozdrażniony... Gotów był się rwać, i iść bić się, nie patrząc
z kim... Gorąco począł badać Grzegorza, co to było, jaka niesprawiedliwość mogła lud
przyprować do takiej rozpacz...

Dla uspokojenia Władysława, mistrz nie znalazł lepszego środka, jak całą rzecz obrócić
w żart.

— Miłościwy panie — odezwał się — gawiedzi chodzi o grosze... Sprawa pójdzie
przed sędziów i zostanie rozstrzygnięta. Przeciwno takiemu tłumowi, czyżby rycerską było
rzeczą występować... Połowa tych ludzi nie wiedziała, po co się tu cisnęła...

— A! krzyki te — zawołał Władysław — poruszyły mnie tak... Było w nich coś
wzywającego do boju...

Kiedyż się ja doczekam tego, abym na koń mógł sięść i pójść w pole!!

— Aż nadto prędko! — odparł Grzegorz z Sanoka smutnie...

Tak spelzło na niczem to poruszenie, które tylko dowiodło królowej, biskupowi
i Grzegorzowi, że młodego pana długo na Wawelu bezczynnym utrzymać nie potrafią.
Karmiono go tak rycerskimi kronikami i opowiadaniem, iż teraz przedwcześnie rozgorzały
zapał, potrzeba było gasić i łagodzić.

Królowa Sonka, gdy raz obawa przeszła, cieszyła się, widząc w synu tę niecierpliwość
i gotowość do czynu.

Grzegorz, który na wszystko miał oko, dostrzegł różnicę wrażeń i usposobień w dwu
braciach. Młodszy o lat kilka Kaźmirz, całą tą sprawę pojął inaczej zupełnie.

Gniew go opanował przeciw zbuntowanym. Nie myślał wcale o tem, aby przeciwko
nim wystąpić, ale się oburzał na warcholów i wołał, aby ich siłą precz rozegnano...

Dla Władysława wszystko co rokowało wojnę, było pożądaniem, Kaźmirz nie poj-
mował w podwładnych nieposłuszeństwa i samowoli. Brwi mu się ścierały, ale energia
wyrastka była milcząca... Starszy rzucał się i mówił wiele, zajmowało go to żywo, młod-
szy wzgardliwym milczeniem zbywał ten poryw, a spytany przez Władysława jakby sobie
radził — odparł — tłum bym kazał precz rozegnać!!

Ledwie się to uspokoiło, i przestraszeni Żupnik i rajcy poczęli łagodzić rozdrażnie-
nie, ujmując sobie ludzi, gdy nowy a daleko groźniejszy niepokój zmusił biskupa i radę
do szukania środków poskromienia Spytka z Mielsztyna, Dersława z Rytwian i innych
naśladować chcących w Polsce wybryki hussytów czeskich...

Zbierały się kupy zbrojne, mnożyły napady na dobra duchowieństwa, sam biskup był
dotknięty nie tylko najazdem, ale wśród tego zamętu dokonany gwałtem.

Naręczona jego stryjecznego brata, Jadwiga księżniczka, przez Jana Krzyżanowskiego porwaną i uprowadzoną została...

Potrzeba było niedopuszczając szerzenia się nieładu, ukrócić te wybryki, aby nie zakłóciły potrzebnego spokoju. Naznaczono na ten cel zjazd w Korczynie.

Biskup Zbyszek, z powodu tych wypadków nie miał czasu wglądać bliżej w to, co się w Krakowie i około królowej działo...

Grzegorz z Sanoka, chociaż niewtajemniczony jeszcze, z często potajemnie przybywających tu Czechów, z posyłek do Pragi, z wielkiego ruchu jaki królowę Sonkę otaczał, mógł łatwo wnieść, że o los swoich synów zbytecznie zabiegliwa, znowu coś musiała przedsiębrać.

Jednego dnia wreszcie, gdy wedle zwyczaju przyrzekł donieść matce czem się syn jej zajmował, odezwała się do niego z twarzą rozpromienioną.

— Każko ma już rok trzynasty! Nieprawdaż! Wychodzi z dzieciństwa, o nimby też pomyśleć trzeba, aby się przepowiednia sprawdziła. Koronę mu zdobyć musimy.

A gdy mistrz słuchał w milczeniu, nie odpowiadając, dodała.

— Jest to jeszcze tajemnicą, wy jej nie zdradzicie, a będziecie się cieszyć ze mną. Wszystko to dziełem jest mojem. Korona dla Każka się gotuje...

Z niedowierzaniem spojrział Grzegorz.

— Tak, tak, — potwierdziła królowa wesoło — Kaźmierz będzie królem czeskim, wszystko jest przygotowane... Prażanie i moi przyjaciele w Czechach wybiorą go... Albrecht nie może panować razem w dwu królestwach, Czesi go nie lubią. Wielkorządcami ich zbywa, oni chcą mieć własnego pana...

Tak — dodała raz jeszcze — wybór Kaźmirza przygotowany, pewna go jestem...

— Miłościwa pani — odezwał się Grzegorz — wierzę w to, że Czesi wybrać mogą naszego księcia, ale czy go utrzymać potrafią? Albrecht nie da sobie wyrwać korony czeskiej nie stając w jej obronie... Zatem wojna...

— Tak, przewidywać ją można — dodała królowa — ale znajdziemy siłę do prowadzenia jej. Potrzeba tylko jednego oddziału polskiego, a Czesi się do niego przyłączą. Niechętnych Albrechtowi jest więcej, niż mu przyjaznych... Obmyślałam wszystko, znajdziemy pieniądze i ludzi.

Po chwili namysłu Grzegorz ośmielił się zapytać.

— Czy nasz pasterz jest o tem zawiadomiony, i...

Królowa mu nie dała dokończyć.

— Biskup Zbyszek? — zmarszczyła się. — Nie, może się domyśla, lecz nie wie o niczem jeszcze, gdy rzecz zostanie dokonana, dowie się, i zgodzić na to musi...

Na chwilę zachmurzona twarz królowej rozjaśniła się wprędce. Była cała jeszcze przejęta świeżo odebranymi wiadomościami.

— Spodziewam się — dodała zwracając do Grzegorza — iż gdybym pomocy waszej w sprawie tej potrzebowała...

Sklonił się pozwany, oświadczając gotowość. Powróciwszy do mieszkania swego, znalazł już tam Biedrzyka, który oczekiwał na niego.

Nie spowiadał mu się z niczego Czech, lecz z mowy widać było, że miał go za wtajemniczonego przez królowę.

Był to zresztą człowiek skryty, ostrożny, i więcej stworzony do podsłuchów, niż do rozmowy...

Grzegorza powaga, rozum i nauka już w podróży na nim wielkie uczyniły wrażenie i obudziły poszanowanie.

Po kilku obojętnie rzuconych pytaniach i odpowiedziach, Biedrzyk z ręcznie naprowadził mowę na młodych synów królowej. Widocznem było, iż rad był ich charaktery wyrozumieć.

— Król nasz — rzekł mu Grzegorz — jest to rycerskie chłopię, które wzdycha tylko do tego, aby wyjść w pole i bohaterem się okazać. O tem myśli i śni, mówi i marzy... Serce ma dobre, charakter szczodry i otwarty... Jakim będzie królem czasu pokoju... jakim panem dla swojego ludu, to dopiero przyszłe lata okazać mogą. To wiem, że szlachetny jest, miłosierny, a tak hojny i nieopatrzny w rozdawaniu co ma, jak ojciec.

Biedrzyk słuchał z uwagą.

— A młodszy? — zapytał.

— Tego ja mniej znam — mówił Grzegorz — i jako o młodszym nic nie można zawczasu przesądzać. Są w braci charakterach podobieństwa i różnice. Kaźmirz więcej jest w sobie zamknięty, milczący, silniejszej woli, charakteru może będzie energiczniejszego, niż brat, ale serca dobroć i hojność pańską ma też samą.

Z nich dwu — dodał Grzegorz — nie potrzebując tać się ze swem zdaniem, bohaterstwa pewnie okaże więcej starszy, lecz młodszy królować będzie dzielniej, i jeśli z młodzieńczych początków wnosić się godzi, przez cudze oczy patrzeć nie zechce, ani nad sobą ścierpi przewagi panów i rady!!

Biedrzyk głową pokręcał, słuchając.

— U nas — mówił mistrz dalej, — gdzie panowie nawykli mieć wielki udział w rządzie, bo Jagiełło przez czas długi zupełnie na nich się zdawał, gdy i teraz nie król, ale panowie ci wszystko czynią co chcą, i władzę całą mają w rękach, u nas młodszemu by było trudniej, gdy z rycerskim panem, Władysławem zgodzą się radzcy, bo byle mu wojować dozwolili, o resztę u nich pytać nie będzie.

Czech słuchał z wielkiem zajęciem.

— Zresztą, — dokończył Grzegorz — wyrokować dziś o ich przyszłości się nie godzi... Czas ludzi zmienia.

— My wam zazdrościm — przerwał Biedrzyk — bo w Polsce panujący bez rady nie stanowi nic, a to my też u siebie mieć chcemy, Albrecht nam nie na rękę, bo ani mieszkać w Pradze nie może, ani sam rządzić, a biada krajowi, który zaocznie, wielkorządzczy sprawiają!!

Jeżeli do tego przyjdziemy, abyśmy sobie pana po myśli naszej wybrali, zastrzeżemy się, aby królował sam, i swobody nasze poręczył...

Do tego dążymy... Gdybyśmy z Polską się połączyć mogli, oparlibyśmy się Niemcom i Węgrom, i bylibyśmy panami w domu, a dla Polski też urosłaby z nas siła niemała.

— Ale wprzód potrzeba — odezwał się Grzegorz — abyście wy sami z różnych obozów, na które podzieleni jesteście, do jednego się zeszli, aby ten, kogo na tron weźmiecie, nie potrzebował bić się z Albrechtem naprzód, a potem z własnymi poddanymi.

Westchnął Biedrzyk...

— Byleśmy obcych się pozbyli, w domu między bracią ład się zrobi. Jednej matki dziatki, nie będą z sobą walczyli, ręce sobie podadzą...

Zygmunt nam narzucił zięcia i córkę, choć do tego prawa nie miał...

— Przecieżeście przyjęli go i ukoronowali — zakończył Grzegorz.

Życzemy wam najlepiej, ale wiercie mi, nie narody sobą i losami swemi, ale Bóg włada niemi...

Przyszłość on wie jeden.

II

Gdy się to działo w kółku otaczającym królowę, po za niem nikt jeszcze nie przeczuwał tego, co się w Czechach przygotowywało.

Zbigniew biskup, zajęty uśmierzeniem niepokojów, jakie mu hussyci polscy wznawiali ciągle, głównie na niego czyhając, zasadzając się i usiłując go pozbyć, jako wroga swojego, nie miał czasu wnikać zblizka w czynności królowej Sonki.

Obóz hussycki niewielki, ale ruchawy, dążył do tego, aby się wyzwolić w Polsce, jak w Czechach przykład dano, z pod zwierzchnictwa Rzymu i duchowieństwa przewagi. Oleśnicki widział dobrze następstwa, które to za sobą ciągnęło. Najpierwszem była anarchja, która w kraju otoczonym nieprzyjaciółmi, zgubę niosła.

Wszyscy nieprzyjaciele Polski, a naprzód Krzyżacy, cieszyliby się byli mocno, gdyby silny rząd, który nawet czasu małoletności czuć się dawał, walką wewnętrzną się rozchwiał.

Całą więc usilność swą skierować musiał na utrzymanie wewnętrznego pokoju, i zniszczenie w samych zawiązkach hussytyzmu, który mógł Polskę podkopać, ów biskup Zbyszek, będący dotąd jedynym Polski władzcą, choć na pozór dzielił tę władzę z innemi.

Z jednej z wycieczek swych powracając do Krakowa, zaledwie we dworcu swym wysiadłszy wprzód nim się z kimkolwiek mógł widzieć i rozmówić, znalazł oczekującego nań Grzegorza z Sanoka.

Królowa wiedząc już o przybyciu biskupa, wysłała go, aby mu się od niej pokłonił i na zamek go wezwała. Być może też, że poleciła przygotować go do wcale niespodzianej nowiny.

Wiadomość urzędowa nadeszła z Pragi, że Czechy, wedle przyrzeczenia, wybrały Kaźmirza królem swoim.

Zobaczywszy mistrza, Oleśnicki, który zawsze go raczej jako uczonego, niż do innych spraw powołanego człowieka, uważał, powitał po łacinie.

— O! szczęśliwy człowiecze! Ty sobie tu *Bukoliki*, *Eneidę* i Plauta czytasz, a w nich się lubujesz, gdy my pod ciężarem i w jarzmie chodzić musimy. Cóż królowa?

— Pozdrowić was kazała, i powitać, z tem przychodzę — odezwał Grzegorz — patrząc biskupowi w oczy... Radaby miłość waszą oglądać, bo ma też i nowinę pono, którąby się rada podzielić!

— Nowinę! — przerwał niespokojnie biskup... — Zaprawdę, lękam się nowin, bośmy ich syci...

— Ta złą się być nie zdaje, chociaż ja o tem sądzić nie umiem — odparł Grzegorz.

— Mówcież mi ją, jeśliście jej świadom — zawołał biskup zaniepokojony.

— Z Pragi wieść przyniesiono pewną, że Czesi tam zebrani, którzy Albrechta nad sobą nie chcą, królewicza naszego Kaźmirza obrali królem sobie, i poselstwo o tem oznajmujące, wyprawić wprędce mają.

Pierwsze wrażenie nowiny tej, którą Grzegorz nazwał dobrą, na biskupie uczyniło wrażenie wielkiego niepokoju, niemal trwogi...

Zwolna załamał ręce i usta mu się dziwnie wypaczyły.

— O! — zawołał — ta niewieścia a macierzyńska niecierpliwość, co dobrze życząc dzieciom, może im gotować męczeństwo! To sprawa królowej! Nie wątpię!!

I jakby nie zważał na to, że z poufnym królowej sługą mówił — dodał z goryczą.

— Nie może spocząć, nie chce czekać nasza pani... a gotuje nam i dzieciom troski i brzemia nad siły... tak samo szalone owo małżeństwo z Barbarą dla niedorosłego chłopięcia układała, któremu Bóg łaskaw przeszkodził, teraz nam wojnę sprowadzi dla korony, której Kaźmirz nie posiadzie...

Co tu począć z tą jej macierzyńską troskliwością!!

Grzegorz milczał.

— Czechy! Czechy! — mówił dalej biskup — zaraza! hussytyzm! herezya! Już mamy zadatki tej choroby w kraju, nad którąbym morowe wołał powietrze!! Czechy!!

Zmarszczył się biskup...

— Mówią — odezwał się Grzegorz — iż znaczna większość narodu jest za królewiczem naszym...

— Ale my w domu mamy do zdobycia przedewszystkiem pokój i siłę, cóż dopiero za granice iść po zdobycze?... Za plecami się nam namnoży Spytków, Dersławów i Zbąskich...

Spojrzał bystro na Grzegorza.

— I wy, co pokój cenić umiecie, wy co wiecie, ile on wart dla podźwignienia narodu, oświecenia go, zubożenia, wy mówicie, że to nie jest zła wiadomość??

— Mówiłem, że o tem sądu wydawać nie chcę — przerwał Grzegorz — królowa się cieszy...

— Niewiastą jest — westchnął biskup... — Widzi tylko blask koron, a ich ciężaru nie czuje... Dziecku na skronie ten rozpalony obręcz!... Załamał ręce...

Weszli razem do dworu biskupiego, i po chwili Zbyszek się uspokoił.

— Idę z wami na zamek — rzekł do Grzegorza — pozwólcie mi tylko na krótką uklęknąć modlitwę i wezwać Ducha świętego...

Znikł biskup, a Grzegorz pozostał z kapłanem jego i młodym pisarzem amanuensem Długoszem, w którego oczach bystra pojętność połyskiwała, choć przy biskupie pokorny i milczący stawał zdala...

Mówiono o podróży, o zasadzce na życie pasterza, o śmierci Spytka, która cudownie od niebezpiecznego uwalniała nieprzyjaciela, gdy biskup powrócił i natychmiast oświadczył gotowość udania się do królowej.

Sonka oczekiwała na biskupa, którego szanowała, ale obawiała się więcej jeszcze, zwłaszcza układając twarz wesołą, choć niespokojną była i przeczuwała, że jej zabiegi źle być mogą przyjęte i osądzone...

Dlatego może wszystko się w takiej tajemnicy gotowało, i biskup dowiadywał się o wyborze Kaźmirza, gdy już posłowie z Pragi do Krakowa się wybierali.

Z twarzy wchodzącego poważnie zachmurzonej, wyczytała królowa myśl Zbigniewa...

Przy niej obok stał trzynastoletni Kaźmirz, zamyślony nad wiek swój i nie wesoły, któremu Sonka rozkazała rękę biskupa ucałować...

— Oto przyszedł król czeski! — odezwała się wprost, unikając długich tłumaczeń i wiedząc, że Oleśnicki był uprzedzonym...

— Bogdajby nim był! — westchnął biskup — lecz niczem wybór jeszcze... niczem nawet koronacya, potrzeba się orężem dobijać panowania, a my...

— Mamy — przerwała królowa — cały gotowy zastęp kilkunastotysięczny, który pójdzie z nim — wskazała na syna — do Pragi, na pole boju... i wywalczy mu koronę...

Mamy — powtórzyła — dowódców, ludzi... i pieniądze... wszystko!!

Biskup stał, wcale nie zdając się tem przekonany...

— Wojna z Albrechtem nie będzie łatwą — rzekł — ani krótką. Nie da on nam spokoju...

— W Węgrzech będzie zajęty — szybko dodała królowa — Turcy mu tam grożą, bronić się musi...

— A my z jego wojny z nieprzyjacielem chrześcijaństwa korzystać będziemy? — spytał biskup. — Cóż na to powie cesarz i Paleolog, i państwa chrześcijańskie?

— Wszakże nam tę koronę przynoszą, nie szliśmy po nią — poczęła królowa coraz żywiej.

Biskup spojrział i wejrzenie to rumieniec wstydu wywołało na twarz królowej, bo wiedziała, że Zbigniew starał jej i zabiegów się domyślał, był ich pewny...

Zwolna Sonka ręce złożyła przed nim.

— Opiekunie moich dzieci, dobroczyńco — szepnęła — nie odpychaj dla tego chłopca, co mu Bóg daje... Samo się to narzuca... Czechy go pragną... żądają... proszą...

Biskup nie sprzeciwiając się już, przybrał postawę człowieka, który małym się czyni, aby wielkie z siebie zrzucił brzemię.

— Nie do mnie należy rozstrzygać o tem — rzekł — jam jednym z rady, ale nie całą radą króla, niech drudzy panowie wyrokują, czy wojny chcą, bo wybór ten nic innego nie znaczy nad długą i upartą wojnę...

Dla królowej było to uspokajającym, bo choć władzę i wielką przewagę biskupa w radzie znała dobrze, lecz zawczasu już innych panów zjednać się sobie starała.

Z niewieścią umiejętnością dokazywała cudów królowa Sonka, gdy jej szło o interesa dzieci. Umiała ona jednych pozyskać obietnicami i datkami, drugich łaskawością i uśmiechem, innych zaufaniem im okazywanem...

Znaczniejsza część wojewodów i kasztelanów w Radzie zasiadających, mających u biskupa uważanie i względy, ujętą była zawczasu...

Ten sam urok pomnożenia potęgi Polski i rozszerzenia jej granic, sojuszem ścisłym z Czechami, który skłonił do zbliżenia się ku Litwie, ciągnął ku Czechom...

Zapominano w jakim stanie zawichrzenia kraj ten był oddawna...

Królowa poręczała, że sami Czesi dopomogą do uspokojenia i zjednania wszystkich Kaźmirzowi...

Miała już pozyskanych sobie i za nią gotowych przemawiać w radzie królowa, Sędziwoja Ostroroga wojewodę poznańskiego i Jana z Tęczyna sandomirskiego. Ci obiecywali jej innych nawracać...

Oporu można się było spodziewać, bo Zbigniew go swoim zdaniem wywołać musiał. Oglądano się na nie, a wielu przy nim z własnym zdaniem oświadczyć się nie śmiało.

Następne dni królowa spędziła w niepokoju, posyłając swoich na zwiady, usiłując odgadnąć usposobienia.

Jak przewidzieć było łatwo, zdania zostały podzielone... Podawano nawet w wątpliwość, czy posłowie czescy przyjadą.

Goniec po goncu już ich oznajmywał, a jeszcze niespełna wierzone w tak śmiałe wystąpienie Czechów.

Naostatek jednego dnia w pięknym poczcie zjawili się zapowiedziani. Na czele ich Hertwig z Rusinowa, Jan z Persztynu, Bieniasz Mokrowąs...

Królowa z radości się nie posiadała... Wielu z panów dopiero przybycie Czechów i wyrażone przez nich mocne postanowienie utrzymania na tronie Kaźmirza, nawróciło. Biskup trwał w umiarkowanym oporze.

Znano jego niechęć dla zarażonych hussytyzmem Czechów, obawę, aby się herezye nie zagnieżdżyły w Polsce...

Panowie Rady rozdzieleni w zdaniach, nie chcieli nic stanowić. Biskup nalegał, aby zwołać zjazd w nowym mieście Korczynie, i to co cały kraj w wojnę wciągnąć miało, poddać wyrokowi większości...

Zjazd został na św. Floryan naznaczony.

Dobrze wprzód, nim dzień ten nadszedł, królowa Grzegorza z Sanoka zamówiła, aby się na nim znajdował.

Znała go już zbyt dobrze, aby się po nim śmiałego wystąpienia spodziewać mogła... Spełniał jej rozkazy, nie tając tego przed nią, iż duszą nie był za temi łowami na królestwa... Ale w nim, mimo to, miała wiernego i rozumnego sługę. Patrzył, słuchał, radził i choć zimnym się wydawał, pewnym był za to.

— Wy mojej sprawy nie bierzecie do serca, ani mojej ani dzieci — mówiła przed odprawieniem go do Korczyna.

— Miłościwa pani! Na to potrzebaby, abym jasno widział, iż to, czego dziś się pragnie, jest istotnie z dobrem waszem i syna — spokojnie rzekł Grzegorz. — Jam ślepy, czy też nieudolny, ale nie widzę...

— Korona nie zdaje się wam pożądaną? — przerwała królowa.

Nie rozprawiając już z nim, bo go przekonać nie mogła, królowa zwróciła rozmowę i dała mu tylko instrukcje, co miał czynić.

— Jestem prawie pewną wygranej — rzekła — choć biskup przeciwko mnie będzie. Jeżelibym się jednak zawiodła, baccie!! i natychmiast przybądźcie dać mi znać. Znajdę środki...

Przed Grzegorzem, choć tak ostygłym, nie tała się z niczem Sonka. Lice jej pałało.

— Jeśli koronę odrzucą! tak jest, znajdę środki, aby jej Kaźmirz nie postradał?? Wojsko, ludzi, ochotników... Nie mogą mi zabronić popierania sprawy syna!!

Sprzeciwiać się królowej nie śmiał Grzegorz... Nazajutrz, z pewnym niesmakiem, wyruszył do Korczyna...

Zabiegi królowej, pomimo oporu Oleśnickiego i książąt mazowieckich, wezwanych na zjazd, a oprócz tego wielu umiarkowańszych i niedających się złudzić blaskiem korony, zwyciężyły ostatecznie...

Większość była za przyjęciem ofiary Czechów, a Oleśnicki oświadczywszy się ze zdaniem przeciwnem, w końcu uległ i przystał na to, co większość postanowiła...

Z tą radosną nowiną wyprzedzając wszystkich, wrócił do Krakowa Grzegorz z Sanoka i przyniósł ją rozpromienionej pani...

Zwyciężyła!! Kaźmirz więc miał włożyć koronę na skronie!!

Posłowie do Czech byli jakby wyznaczeni. Musieli nimi być ci, co z królową razem trzymali i pożąдали czeskiej korony...

Sędziwój Ostroróg i Jan z Tęczyna wyruszyli do Pragi...

Niespoczywająca na chwilę królowa, teraz już dniem i nocą zajmowała się zebraniem ludzi, wojska dla syna. Bez niego nie mógł ani się utrzymać, ani nawet wnijść do swojego nowego królestwa.

Co może miłość macierzyńska i pragnienie zdobycia potęgi, okazała królowa, zmuszona sama starać się o wszystko, ludzi wybierać i jednać, a naostatek wszystko co miała oddawać, sypać, płacąc zaciągi, uzbrojenia i pułki...

Nigdy w Polsce nadzieja wojny i walki nie była odpychaną, owszem jak zawsze tak i teraz, miała dla wielu ponętę, urok, ciągnęła ich...

Wybrani przez królowę dowódcy, mieli trudność tylko w wyborze. Gromadami przybywała szlachta z różnych ziem prosząc się pod chorągwie, ale pomiędzy nią trzeba było surowy wybór czynić... A choć połowa tych stręczących się rycerzy bez hełmów i broni, lub bez koni nawet i oręża, musiała powracać do domów nieprzyjęta, pomimo to znalazły się tysiące na wyprawę do Czech...

Rodziła się wątpliwość, czy trzynastoletni królewicz miał wprost sam osobą swą iść i zyskiwać sobie serca młodością i miłością, jaką ona obudza...

Tu, królowa nawet zachwiała się... Kaźmirz był gotów, Władysław rwał się, ale go nie puszczono stanowczo, panowie Rady nie chcieli nawet dozwolić jechać królewiczowi. Tylko dowódcy tego oddziału, który był do Czech przeznaczony, pragnęli mieć z sobą obranego króla jako chorągiew...

Nie było najmniejszej wątpliwości, że do walki przyjść musiało. Możnaż było na jej niepewne losy narażać wyrostka?

Były dnie, że królowa stawała się matką, cisnęła do piersi Kaźmirza i dać go nie chciała. Przychodziły potem inne, gdy blask korony ją onieczulał i zaślepił, gotową była puścić syna.

Zwyciężyła w końcu matka nad królową i Kaźmirz do Czech nie poszedł...

W jego miejscu, wrzący chęcią boju Władysław, który już dościsnął pełnoletności, chciał sam iść wojować... Jednomyślnie się temu sprzeciwiono...

Niepokój był i wyczekiwanie na zamku krakowskim, gdy po upływie kilku miesięcy Grzegorz z Sanoka ujrzał jednego dnia wchodzącego do swej komory, w której pracował nad ulubionym poetą, człowieka zupełnie mu nieznanego.

Był to mężczyzna lat już czterdziestu kilku, z postawy wnosząc dworak i człowiek dostojny. Ubiór skromny, był ze smakiem i pewną wytwornością dobrany do twarzy i postaci. Twarz całkiem nieznaną, głos, gdy się odezwał, również nic mu nieprzypominający, przywitanie pierwsze uczyniły chłodnym. Nieznajomy nie mówił nazwiska swego i uśmiechał się dziwnie.

— Mistrzu Grzegorzu — odezwał się do niego — czy pamiętacie jeszcze młodsze lata wasze i wędrówki po Niemczech?

Wszakże się nie myślę, podróżowaliście wiele?

— Tak — odparł Grzegorz, któremu to przypomnienie lat młodszych było przyjemnym — podróżowałem jako jeden z vagantów, *per pedes apostolorum*.

— Przypomnicie więc sobie może wasz pobyt w Heidelbergu? — dodał nieznajomy.

Mistrz popatrzył z uwagą wielką na mówiącego.

— Lauen? — zawołał podając rękę. — Nieprawdaż?

Nieznajomy obie ręce ku niemu wyciągnął.

— Tak! Lauen — rzekł z pewnem wzruszeniem. — Nie poznaliście ranie zrazu, a i ja, gdybym nie wiedział kogo mam przed sobą, nie domyśliłbym się w poważnym duchownym, wesołego młodzieńca, który tak cudnym głosem pieśni Beanów śpiewał.

— Przeszły te czasy! — westchnął mistrz — pieśni się zapomniały, smutek duszę ogarnął.

Siedli przy sobie.

— Lecz zkądże wy tutaj! — począł gospodarz. — Widzę żeście w świeckim stanie zostali, co was tu do Polski przynęcało?

Zapytanie to zdawało się nieco kłopotać przybyłego, chociaż powinien był do niego być przygotowanym.

— Jestem... w podróży na Szląsko, dokąd mnie moje familijne powołują sprawy. Rodzina mojej matki ma tam posiadłości. Dowiedziałem się o was w Krakowie i umyślnie się zatrzymałem, aby z wami dawne dobre czasy przypomnieć...

— Jakież stan obrałeś sobie? — wtrącił Grzegorz.

— Służyłem dworsko przy cesarzu Zygmuncie — mówił Lauen — a teraz liczę się już tylko do orszaku króla Albrechta, chociaż żadnych nie pełnię obowiązków.

Mówiąc to nieco oczy spuszczał i rumienił się, wąsy pokręcał, bąkał jakoś nieśmiało.

— Mówiono mi — dodał — że wy stanowisko zaszczytne zajmujecie przy młodym królu. Do tej pory jużbyście zaprawdę powinni byli dobić się bardzo wysokiego dostojństwa.

— Nie pragnę go!! — żywo przerwał Grzegorz — wierz mi, że pokój i pracę nad księgami nad wszystko przenoszę.

Zmuszono mnie przy młodym królu być na usługach, lecz jest to służba nieoznaczona, nieciężka i ledwie na to nazwanie zasługująca. Tem lepiej.

— Król wasz młodziuchny, wytrawniejszych mężów rada mu potrzebna — odezwał się Lauen.

Postrzeżenie to Grzegorz milczeniem zbył, zająwszy się gościnnem przyjęciem dawnego znajomego.

Lauen, ubogi szlacheckiego pochodzenia współluczeń, naówczas się do stanu duchownego sposobił. Pewna sympatya i podobieństwo charakterów ich łączyło. Oba lubili poezyą i śpiewy...

Grzegorz treściwie zaczął opowiadać o swoim powrocie do kraju i tem, co go tu spotkało. Starzy przyjaciele patrzyli na się, mówili i pewno znajdowali w sobie wielką zmianę. Czasem który z nich uderzył o dawną nutę wesołą, uśmiechnęli się i wnet poważnieli oba.

— Prawdaż to, — po długim przestanku zagaił Lauen, — że młodszy wasz królewicz do Czech się wybiera przeciw Albrechtowi?

— Wybrano go — rzekł Grzegorz — a korony się nie odrzuca.

— Tak, ale tę wam krwawo zdobywać przyjdzie.

— Zdaje się, że się do tego przygotowują — odpowiedział mistrz — lecz mnie się o te sprawy nie pytajcie, bo mam wstręt do nich i nie rad się mieszać.

— Jednakże codzień się one o wasze uszy obijać muszą? — pytał Lauen.

— Tak, jednym uchem wlatując, a drugim daję im wyjść, aby mi głowy nie zaprzętały — mówił Grzegorz.

Lauen się zdawał namyślać, i rzekł po chwili.

— Mnie one żywiej obchodzą, bom z nauką i książkami zerwałem, i stałem się próżniakiem, a bądź co bądź, zięć Zygmunta jest moim panem. Albrecht jest mężem szlachetnym, mielibyście w nim dobrego sprzymierzeńca, a robicie go sobie wrogiem. Jest to człowiek silnej woli, wytrwały i czynny, niełatwo go spożyjecie, a Czech się on nie wyrzeczce...

— Wszystko to może być — rzekł Grzegorz — ale u nas ochota do wojny przemogła, wojsko się zbiera i albo już wyciągnęło, jak sądzę, lub wkrótce wyjdzie do Czech.

— Spotka się tam z Albrechtowem — dodał Lauen.

O ile Grzegorz nie okazywał skłonności do rozmowy na ten ton nastrojonej, o tyle przybysz zdawał się ją chcieć w nim utrzymać. Uderzyło to w końcu mistrza.

Godzina i więcej przeszła na takich obojętnych pytaniach i odpowiedziach... Wstał w końcu Lauen i choć nie z wielką chęcią, zabrał się do odwrotu. Pomyślał trochę i siadł znowu.

— Wojna — rzekł — jest zawsze klęską, wy jesteście przy królowej i królu, ja mam przystęp do Albrechta, co byście rzekli, gdybyśmy spróbowali jej zapobiedz?

Poruszył ramionami Grzegorz zdziwiony.

— Nie czuję się do tego powołanym — odpowiedział.

— Mówmy otwarciej — szepnął Lauen. — Zaufać wam mogę. Gdybym ja, przypuszczmy był wysłany dla wyrozumienia, czy się jaki środek pojednania i zbliżenia nie znajdzie?

— Musiałbym się z tem odnieść albo do królowej lub do biskupa — rzekł Grzegorz — bo ja tu nie mam ani znaczenia, ni głosu...

— Temu mi się wierzyć nie chce...

— Nie żądam ich — dodał Grzegorz — lecz mielibyście w istocie poselstwo tego rodzaju...

— Poselstwo! nie — rzekł Lauen — lecz gdybym coś uczynił w tej sprawie, ufam, żeby mi król był wdzięczen...

— Nie widzę środka porozumienia się, — odparł mistrz — bez jakiegoś wynagrodzenia, za tę koronę, którą nam naród ofiaruje... Będę z wami również otwartym... Królowa matka jest spragnioną dla synów zdobywcy i podbojów... Nie będę jej sądził, ale o ile ją znam, wiem, że się bez okupu nie wyrzeczce nadziei...

— Lecz i ten okup możeby się znalazł — rzekł powoli i mierząc słowa Lauen...

— Jeżeli o pieniądzach mówicie, i wynagrodzeniu niemi — przerwał Grzegorz — wiem, że one nie skuszają.

Lauen milczał w stół patrząc długo... Oba jeszcze wahali się z wywnętrzeniem zupełnie, Niemiec dodał.

— Gdyby wola była do układów, środkiby się znalazły. Popróbowaćby należało.

— Lecz z naszej strony pierwszy krok jest niemożliwy — wtrącił mistrz.

Zachwiały się dalsze w tym przedmiocie rozprawy. Spytany Lauen nie chciał się przyznać, że był wysłanym od Albrechta.

— Ale to bije w oczy — rzekł mu Grzegorz. — Jakkolwiek ja w rzeczy rządowe nie wdaję się i nie rozumiem na nich... odgaduję żeście tu, do mnie, nie dla odświeżenia wspomnień Heidelbergskich przybyli.

Lauen śmiać się zaczął sucho.

— Sądź sobie jak chcesz! — zawołał — przyznać musisz, że niema w tem nic zdrożnego iść z gałęzią oliwną i być zwiastunem możliwego pokoju...

— Lecz jestże on możliwy?...

Naciśnięty raz jeszcze Lauen się rozpiął nareszcie.

— Cóżbyście powiedzieli na to, gdyby zamiast jednej korony dzisiaj, dwie się wam zapewniło w przyszłości. Jest to myśl moja. Król Albrecht syna nie ma, tylko dwie córki, spodziewa się wprawdzie jeszcze... ale najpodobniej córka to będzie znowu. Dla dwu starszych Władysław i Kazimir byłiby mężami pożądanymi... a po nich Czechy i Węgry wzięliby bez krwi przelewu.

Grzegorz słuchał z uwagą. Myśl ta uderzyła go silnie, znajdował ją szczęśliwą, wielką.

— Albrecht by się zgodził na to? — zapytał.

— Tak sądzę — mówił Lauen — pod pewnymi warunkami. Żądałby zapewne od przyszłych zięciów sojuszu i pomocy...

Mistrzowi im więcej rozważał to, więcej się podobał pomysł Lauena, a raczej plan, z którym był wysłany, gdyż nie można było wątpić, iż tego z siebie wysnuć nie mógł.

Podał rękę Niemcowi z wyrazem radości i przejęcia, których nie taił.

— Myśl jest wielka, piękna, szlachetna — rzekł — nie wiem i wątpię, czy ją zdołamy przyprowadzić do skutku, ale dla niej ważyć coś warto... Zatrzymaj się tu, spróbuj.

Nie będą jednak taił przed tobą — dołożył — że przywiezienie jej tutaj, w chwili gdy wojska nasze do Czech wychodzą, zdradza, że się nas obawiacie... Jeżeli to uderzy innych jak mnie!

Lauen się zmięszał...

— Cóż pocniemy? — zapytał.

— Myśl ta od was by wychodzić nie powinna — dodał Grzegorz...

— Poddajcie ją sami...

— Nie mam ani powodu, ni podstawy... Z tem wszystkim — odezwał się mistrz po namyśle — pozostawcie tu, dajcie mi czas, uśmiecha mi się... będę ważył i próbował...

Podali sobie ręce...

— Tak — rzekł Lauen wzdychając — nie mylisz się, potrzebujemy nietylko pokoju ale posiłków. Turcy nam zagrażają, Czechy się burzą. Nóż mamy na gardle.

— Idź do gospody — odparł Grzegorz — i milcz...

Rozstali się tak, a mistrz cały przejęty przywiezioną sojuszu nadzieją, natychmiast się udał do królowej.

Zanadto jednak pochlebiał sobie, sądząc się zdolnym do przebiegłego poprowadzenia tego, co mu serce poruszało.

Przy wieczerzy, do której królowa matka, król, Kazimir młody, kanclerz i kilku starszych urzędników dworu zasiadło, nielicząc młodzieży rówiesnej, bez której Władysław obejść się nie mógł, zaczęto mówić o wyprawie do Czech.

Grzegorz przybrał wesołą twarz i począł mówić, jakby dworując, żartobliwie.

— Miłościwa pani! po co by to nam ta wojna i zapasy. Ot, król Albrecht ma dwie córki, a u nas jest dwu młodzieńców, posłaćby w swaty, razem z oblubienicami dwie korony by przyszły!!

Królowa Sonka zadumała się trochę.

— Tak, niebyłoby to złem, ale córki młode, i oni młodzi, nimby do małżeństwa przyszło, długo czekać potrzeba... a wszelkie kontrakty i poręki niewiele ważą.

Zresztą niewiadomo czy Albrecht by zgodził się na to...

Grzegorzowi wyrwało się nieopatrznie.

— Tak pewnym tego jestem, że gardłobym stawił.

Zdradził się temi słowy, postrzegł to sam, chciał poprawić, zawikłał.

Wszyscy nań patrzeli zdziwieni, królowa matka, która o królestwach dla synów roiała tylko, natychmiast po wieczerzy pozwała danym znakiem Grzegorza do siebie. Nastąpiła na

niego, iż mówić nie mógł napróżno przy wieczerzy z taką pewnością o córkach Albrechta, gdyby myśli mu tej ktoś nie poddał.

Mimo całego swego rozumu, nieumiejący kłamać mistrz, brzydzący się drogami pokątnymi, przyznał się w końcu królowej, że pomysł ten w istocie nie wyszedł z niego, ale dawny towarzysz i znajomy z Niemiec, w rozmowie mu go na wiatr rzucił.

Królowa nacisnęła gwałtownie, dowiadując się o owego Niemca, i dobyła z Grzegorza, iż się jeszcze w Krakowie znajdował.

Z żywością, która się w niej objawiała, gdy o synów chodziło i o zabiegi dla nich, mogące zdumieć biskupa, a dowieść mu jak Sonka umiała chodzić około ich przyszłości, nakazała Grzegorzowi, aby Laueną nazajutrz do niej przyprowadził.

Poleciała mu tajemnicę jak największą. Odgadywała łatwo, iż to był wysłaniec Albrechta, a obawiała się, aby on z kim innym o tem jak z nią nie mówił, była zazdrośną. Nie chciała się dać wyprzedzić.

Im większą stawiała się potęgą Zbigniewa biskupa, tem ją goręcej chciała przeciwważyć wielką zabiegliwością swoją i niezmordowanymi staraniami.

Lauen zapewniwszy się, że sam będzie u królowej, poprowadzony bocznymi przejściami, znalazł się wobec natarczywej, badającej niemiłosiernie, wyzywającej na słowa królowej. Nie zdradził się jednak więcej niż chciał. Nie miał zdolności Grzegorza z Sanka, ale przebiegłości daleko więcej od niego.

Mistrzowi potem poleciała królowa rozmówienie się bliższe z Lauenem... Myśl nie została odrzuconą. Dwie korony w miejscu jednej zachwiały macierzyńskim sercem. Spełniłyby się w ten sposób jej marzenia i przepowiednie.

Stanęło na tem, aby posłowie do układów wyprawieni byli z Lauenem do króla Albrechta. Nikt o tem wiedzieć nie miał.

Wyprawić wszakże poselstwa nie można było bez wiedzy biskupa... Poza plecami jego, królowa wszystko mogła przygotowywać, ale bez niego dokonać nic nie godziło się jej, aby nie narazić męża tak wielkiego znaczenia i przewagi.

Biskup daleko radośniej przyjął wiadomość o projekcie, niż wybór Kaźmirza, któremu dotąd był przeciwny. Chętnie się godził na układy, na sojusz, na danie posiłków, byle Polska sama od wojny była wolną.

— Błogosławiona myśl — rzekł — jeżeli nie jest na to rzuconą, aby dać czas Albrechtowi, gdy my układać się będziemy, dopełnić koronacyi w Pradze i zniszczyć znaczenie wyboru...

Odgadł biskup przenikliwy, gdyż układy się przeciągnęły, spelzły na niczem, i Kaźmirz pozostał w domu, a wysłane wojska daremną odbyły nie bez strat wyprawę...

Wśród tych starań, których niepowodzenie królowej nie zrażało, gdyż za ledwie jedno spelzło na niczem, natychmiast rozpoczynała nowe jakieś zabiegi, czas upływał rączo...

Nadszedł rok 1439...

Wiedziano w Krakowie, iż król Albrecht z Turkami staczał boje, które mu się nie szczęściły, gdy do królowej nadbiegł z Węgier poseł, oznajmujący jej, że w odwrocie z pod Smiderowa w Rascyi (Serbii), Albrecht nagle zachorawszy umarł...

Pozostawała po nim młoda jeszcze żona Elża, dwie córki, nadzieja trzeciego potomka, i na głowie słabej niewiasty, osieroconej, przerażonej, losy dwóch królestw, z których jedno zagrożone było potęgą pogan.

Prawie jednocześnie Turcy, którzy zamierzali rzucić się na Węgry, ślali posłów do Polski, ofiarując jej przymierze.

Wszystko to spadło nagle, niespodzianie jak grom; ale dla królowej było błyskiem, w którym ona wielką przyszłość dla synów ujrziała.

Utrzymywała zawsze Sonka stosunki na Węgrzech, jak gdyby przeczuwała, że one jej posłużą do wyniesienia na tron jednego z synów...

Zaledwie poseł z nad Dunaju nadbiegł do Krakowa, gdy ztąd już wierni królowej słudzy lecieli na Węgry...

Spelzły wybór Kaźmirza w Czechach, potrzeba było powetować w Budzie. Węgrzy musieli mieć króla i wodza, mogliż znaleźć dzielniejszego nad tego młodego rycerza, chciwego walk, który im z sobą mógł przyprowadzić zastępy polskie, potomków owego Zawiszy, którego imię brzmiało jako bohatera...

Królowa nie tała przed biskupem, iż pragnęła i starała się o to gorąco, ażeby Władysław w Budzie królem Węgrov był obrany.

Zdania się dzieliły, lękano ściągnąć wojnę, wziąć nowe brzemie, ale tu nęciło tak wszystko, a Władysław król młody sam z taką niepohamowaną żądzą boju wyrwał się na obronę chrześcijaństwa, iż panowie nie śmieli go powstrzymać.

A matka przyciskała go do piersi i powtarzała: Idź i walcz!!

Młodzież otaczająca, starzy rycerze, tysiące ludzi, którym wyprawy dalekie się śmiały, upojeni byli tą nadzieją, że pójdą wojować z pogany...

Wielka większość przejęta była tym duchem, a starsi panowie Rady z chłodnym rozumem, rachubą i rozważą, prawie się odzywać nie śmieli.

Nikt też królowej nie mógł przeszkodzić do starania się o wybór Władysława, a gdyby nawet jawnie się sprzeciwiano, miała tysiące środków skrytego działania.

Ludzie, pieniądze, listy, obietnice, wszystko teraz płynęło na Węgry...

Królowa matka, po niewieściemu widząc jedyną przeszkodę we wdowie po Albrechcie, gotową była zamiast z jej córką, ożenić z nią samą Władysława...

Elza miała lat trzydzieści, król zaledwie połowę jej wieku, lecz jeśli małżeństwo z Barbarą uznała możliwym, dlaczegóż po wnuczce jej córka nie mogła z kolei być zaswataną??

Wszystko to roztrząsało się gorączkowo, pospiesznie, a dla Sonki nie było ofiary, na którąby się dla korony tej nie ważyła...

Nikt nie śmiał się jej sprzeciwiać, milczano. Znaczna też część panów pochwycona tym prądem, zaślepiała się na następstwa...

Młody król byleby mógł iść wojować, gotów był wszystko poświęcić...

On, dwór jego, mnodzy pochlebcy, całymi dniami zbroili się w myśli, próbowali oręża, rozprawiali o Turkach i ich sposobie wojowania...

Właśnie też poselstwo ich do Krakowa zdążyło...

Dla biskupa była to chwila trudna, bo jako duchowny wszelkiemu sojuszowi z niewiernymi przeciwnym być musiał, a jako kierownik spraw narodu, w duszy znajdował go może pożyteczniejszym, niż wplątanie się w wielką i groźną wojnę...

Ale tu obowiązki względem zagrożonego chrześcijaństwa musiały brać górę nad interesem Polski. Papież, Paleolog, Włochy, słowiańskie ludy najebrane i ujarzmione wołały o ratunek...

Biskup Zbigniew zamilknąć musiał. Gotowała się wojna święta, krucjata nowa.

Czekano z Budy wieści z niecierpliwością wielką, nie odprawiając posłów tureckich i trzymając ich z odpowiedzią w zawieszaniu...

Świadek mimowolny tego zaprzętienia, wśród którego nikomu niewolno było obojętnym się okazać, Grzegorz z Sanoka pozostał widzem raczej niż czynnym współpracownikiem w robotach, do których nie czuł powołania.

Zapał z jakim Władysław wybierał się już na Węgry w nadziei wojny, troskliwą o niego matkę, zaczynał trwożyć w końcu. Chłód Grzegorza, jego rozważa we wszystkim, zdawały się jej właśnie najstosowniej u boku młodego zapaleńca. Z góry więc już postanowionem było, że mistrz jako kapelan i spowiednik z Władysławem na Węgry pojedzie.

Jeszcze wiadomość o elekcyi nie doszła do Krakowa, gdy ze smutnem w duszy przecuciem poszedł Grzegorz odwiedzić Balcerów.

Sprawa monety szczęśliwie została zatartą ustępstwami, Hocz wyrobiwszy sobie wziętość u mieszczan, spodziewał się zająć miejsce na Ratuszu... Balcerowie byli spokojni... Tu życie płynęło jednostajnie, niekiedy tylko odwiedzinami Grzegorza uprzyjemniane dla pani Frączkowej. Gniewała się ona na przyjaciela młodości, iż niedosyć często do nich zachodził, ale królewski towarzysz nie był panem swojego czasu.

Nie podobało się jej i to, że dawniej wesoły śpiewak smutniejszym był coraz i w sobie pogrążonym. Nie mógł się on na los swój uskarżać, obsypywano go łaskami, nie zbywało mu na niczem, a jednak smutek coraz czarniejszy na zwiędłej malował się twarzy.

Na zapytanie Frączkowej, która zwykle od tego poczyniała, iż go badała o ten smutek, mistrz odpowiedział teraz jak zawsze...

— Widzicie jejmość moja, gdy kto z drogi zboczy, do której był urodzony i przeznaczony, koniec jest zawsze taki. On z ludzi a ludzie niekontenci z niego.

— O jakiejże to drodze mówicie? — zagadnęła Frączkowa.

— Do dworu i jego płatanin nie byłem stworzony, ale do ksiąg, papieru i spokojnej celi — mówił Grzegorz. — Tymczasem wszystko zwiastuje, iż się z tego ukropu nie zdołam wyrwać, a jeżeli Władysław zostanie królem na Węgrzech obrany, i ja będę musiał z nim do obcego kraju, do obozu, na wojnę...

Frączkowa westchnęła.

— Może go też nie obiorą!

— Zaprawdę wybranym będzie — przerwał Grzegorz — już dlatego, że królowa tam ma i wielkimi obietnicami jedna przyjaciół, już że to dla nich pożyteczna, a w końcu, że mnie niemiła...

Rzucić więc przyjdzie kochany Kraków, do którego czy powrócimy, Bóg jeden wie; a co nas tam czeka!!

Frączkowa lzy też miała w oczach...

— Uwolnijcie się od tego dworu — szepnęła.

— Sumienie nie pozwala — rzekł Grzegorz — królowej winienem wiele, a ona mnie tam widzieć chce... Czuję sam, iż niedoświadczonemu panu będę pomocą... iść więc muszę!!

— Króla jeszcze nie obrano?

— Toczą się w Budzie narady, lecz lada chwila przybiegnie goniec niosący koronę...

Nie mylił się mistrz. Powracając do zamku, spotkał w ulicach dworzanina królowej, który Węgrów wyprzedzając na zziąjanym koniu, wszedł we wrota z wieścią pożądaną...

— Władysława w Budzie okrzyknięto królem Węgier! Miał zaślubić wdowę po Albrechcie.

III

Wesoło, huczno obchodzono święta Bożego Narodzenia w Krakowie... Królowa Sonka odmłodziła, wszystko zdawało się skończonym szczęśliwie.

Oczekiwano tylko uroczystego z Budy poselstwa. Wdowa po Albrechcie zgadzała się, przynajmniej pozornie, na poślubienie Władysława...

Wiedziano o niej, że była trzydziestoletnią niewiastą, lecz królowa utrzymywała, co potwierdzali ci, którzy ją dawniej widzieli, że córka cesarzowej Barbary była jeszcze wdzięczną i urodziwą, a nadewszystko urokiem mowy i oczu, obejściem się z ludźmi umiejącą ich jednać sobie.

Wzięła po matce nie zalotność, którą tamta służyła, ale przebiegłość, zręczność i dumę po ojcu. Królowa Sonka cieszyła się tą przyszłą synową, wdzięczną jej będąc za to, że się na małżeństwo zgodziła...

Nie mogło one jednak wprzód przyjąć do skutku, aż po spodziewanej słabości, od której zależało wiele... Pogrobowy potomek Albrechta mógł być synem. Ale o tem królowa matka mówić nawet i przypuszczać nie dozwalała, boby oderwał Czechy i zachwiał może wyborem...

Ci co z Węgier przybywali, nim poselstwo pospieszyło, co innego opowiadali przed królową, inaczej szepotali po cichu.

Głośno zaręczano, że Elżka szła z ochotą za młodego króla, potajemnie powtarzano co Węgrzy mówili, iż łzami oblewała zapowiedź małżeństwa, od którego chciała się jakim bądź sposobem uchronić.

Dla dzieci tylko zmuszoną była poświęcić siebie.

Władysławowi matka starała się wmówić, iż małżeństwo to będzie szczęśliwym, a młody król wcale o niem nie myślał. Zajęty był wojną, rycerstwem, większą swobodą, na którą się miał wyrwać, dotąd krępowany nawykniem posłuszeństwa matce i biskupowi...

Uśmiechało mu się w towarzystwie młodych swych przyjaciół wyrwać w świat i pełną piersią oddychać... Zawczasu biskup Zbigniew zapowiadał, że króla na Węgry odprowadzi, ale tam miał już on sam pozostać...

Okolo zapust na ostatek ściągnęło wspaniałe poselstwo węgierskie, na którego czele jechał Jan biskup Segedynu, Taloš ban sławoński, Emeryk Marcełi marszałek dworu, i wielu innych magnatów.

Na spotkanie świętego orszaku, wyjechał w imieniu brata Kaźmirz, z duchowieństwem i panami, a choć pora była resztkami zimy nachmurzona, z obu stron wesołość i ochocze bratanie się, kazały o tem zapomnieć. Stroje i uzbrojenia Węgrów, kilkunasu młodzieży, której przewodził Michał Orszag, pięknej i bogato przybranej, ściągały oczy ciekawych tłumów.

Grzegorz z Sanoka, który wśród dworu królewskiego wybitnego nie zajmował stanowiska, bo go nie pożądał, unikał ściągnięcia na siebie uwagi, mógł się tem lepiej i swobodniej przypatrywać wszystkiemu, szczególnie zaś wrażeniom młodego króla, który poczynał być dla niego zagadką.

W życiu Władysława przychodziła chwila przełomu, ochota wyzwolenia. Nie czuł się na siłach może do zupełnie samoistnego występowania, ale pragnął nareszcie mieć wolę swoją.

Zaledwie piętnastoletni, dojrzałszym był daleko niż zwykle młodzieńcy bywają w tym wieku. Samo wychowanie pieczołowite rozwinęło go szybciej, a w tym roku osiągnięta pełnoletniość, złożona przysięga, czyniły go z prawa niezależnym.

Nic dziwnego, że korzystacby był chciał z tego. Lecz wszelkie pokuszenia się, to matka, to biskup starym zwyczajem odtrącali i unieważniali.

W młodym panu rodziło to chętkę oporu, i pewną niecierpliwość. Przybycie posłów pochlebiali dumie z początku, po kilku dniach pobytu ich, gdy się rozsluchał i rozpatrzył król, choć nie dawał tego znać po sobie, zdawało się Grzegorzowi z Sanoka, że dojrzał w jego twarzy jakiegoś zafrasowania i zniechęcenia.

Młodzi Tarnowscy, młody Tęczyński, którzy z Węgrami mogli otwarciej się rozmówić, biesiadować i dowiedzieć czegoś więcej nad urzędowe ich sprawozdanie, donosili królowi co słyszeli. Mniej świetne strony tego panowania na Węgrzech powoli występowały...

W kilka dni po posłuchaniu, Grzegorz z Sanoka znajdował się przy królu na pokojach, a po rozejściu się znaczniejszej części gości zamkowych, pozostał z nim i Ryterskim marszałkiem dworu, a nieodstępniemi prawie towarzyszami królewskimi Mikołajem Strzegomią Chrzęstowskim i Nekandą z Sieciechowa.

Rozmowa toczyła się teraz prawie ciągle o przyszłej podróży na Węgry, do której czyniono przygotowania... Król więcej słuchał niż mówił. Czasami, gdy mowa była o Turkach i wojowaniu przeciw poganom, rozgrzewał się nieco i okazywał ochotę ciągnięcia, lecz po namyśle posepniał i milczał.

Z tych co z królem byli, pozostał naostatek tylko marszałek dworu Ryterski, ten sam którego niegdyś młodemu synowi Jagielly kraj wyznaczył jako dozorcę i nauczyciela.

Król z nim był poufale i serdecznie, lecz Ryterski, oprócz dobroci serca i miłości dla pana nie odznaczał się niczem, a najmniej umysłem przenikliwym. Z kolei słuchał królowej matki i biskupa, i spełniał ich wolę. Własnego nie miał zdania.

Pod pozorem jakimś Władysław odesłał marszałka, chciał i Grzegorz z Sanoka odchodzić, bo godzina była spóźniona, król dał mu znak aby pozostał.

Byli sami, Władysław, jakby się zbierał coś powiedzieć mistrzowi, przeszedł się pary razy po izbie.

Widać było, że walczył z własną nieśmiałością, którą chciał pokonać.

— Wy mi sprzyjacie? wy mi dobrze życzycie? — zawołał stając naprzeciw Grzegorza i rękę ku niemu wyciągając — nieprawdaż?

— Miłościwy panie!! — odezwał się jakby z wyrzutem mistrz.

— Ja wierzę w to — rzekł pospiesznie Władysław — i ufam wielkiemu rozumowi waszemu. Jestem w niepewności wielkiej i rozterce sam z sobą. Na wojnę radbym z duszy, ale na to królestwo węgierskie?!

Popatrzył na Grzegorza.

— Każą mi się żenić z Elżką, któraby matką moją być mogła — dodał król — z kobietą, która, wiem to, wcale mnie nie chce... Dwoje dzieci! trzeciego się spodziewa!!

Ale ja nie chcę i nie myślę się żenić, ja chcę wprzód zdobyć sobie imię i sławę, ja mam moje królestwo, i innego nie pożądam!!

Część Węgrów jest za mną, to prawda, ale wpływowi i przewagę tam mający Dyonizy kardynał biskup Ostryhomski, ban kroacki Gara, Jan Secz i Ulryk Cilly, są przeciwko mnie... Tej korony ja się będę musiał dobijać, przeciwko kobiecie i sierotom!!

Zamilkł patrząc na Grzegorza, który znalazł się w przykrem położeniu. To co mówił król, on też myślał, ale królowa i biskup Zbyszek nawet, sądzili inaczej.

Królowa pragnęła gorąco korony tej dla syna, biskup widział we Władysławie obrońcę chrześcijaństwa, a może i nie gniewał się za to, że podczas niebytności króla, on sam królestwem rządzić będzie. Nawyknienie do rozporządzania wszystkim, do dzierżenia i używania władzy, czyniło go jej żądnym.

Grzegorzowi nie wypadło, na tę niespodzianą objawioną niechęć króla, odpowiedzieć potakiwaniem. Lękał się... Z tem wszystkim była to rzecz sumienia, a on nie należał do ludzi, coby z niem wchodzili w układy.

Rzekł więc po krótkim namyśle.

— Miłościwy panie... ja wcale temu co mówicie nie przeciwię się — ale, jeżeli takie wątpliwości wam przychodzą, czemu ich nie objawicie otwarcie królowej i biskupowi?

— Znajdujesz więc, że mogę mieć słuszność! — zagadnął król zwracając się ku niemu, pilno a natarczywie patrząc mu w oczy.

— Tak, są to słuszne przyczyny — odparł Grzegorz. — Ja, który na sprawach państw nie znam się i sądzę je po ludzku, powiedziałbym toż samo; ale ci co patrzą z góry, co interes krajów więcej ważą niż uczucia ludzkie, sądzą inaczej.

Z niecierpiwością jakąś król dodał poufalej.

— Powiadam ci, chce mi się dusznie na wojnę, ale serdecznie mi się nie chce być tym królem z łaski kobiety i ze szkodą jej dzieci... A jeżeli królowa następcę męzkiego na świat wyda??

Grzegorz milcząco skłonił głowę.

— Pamiętać jednak potrzeba o tem — rzekł — że ani wdowa, ani niemowlę, ani Cilly z kardynałem nie obronią Węgier od napaści tureckiej, że tam potrzeba dzielnego rycerza a z nim rycerstwa, bo inaczej nie Węgry same, ale świat chrześcijański będzie zagrożony... Obok tej wielkiej sprawy ocalenia wiary... cóż znaczą inne? — co znaczy małżeństwo! osobiste względy i... ofiara?...

Władysław westchnął.

— Oni mi też to mówią ciągle — dodał król. — Lecz cóż przeszkadza, abym ja z rycerstwem polskim poszedł w obronie krzyża, nie wiążąc się z tą kobietą??...

— Miłościwy panie — przerwał Grzegorz, któremu ta rozmowa ciążyła. — Mówicie po rycersku, czujecie szlachetnie, miejcie odwagę otwarcie to powiedzieć...

Zmieształ się nieco młody pan.

— Mój Grzegorzu — rzekł — ja jestem młody. Ty wiesz najlepiej, oni — matka, biskup i wszyscy mają mnie za młodszego jeszcze niż jestem... za dziecko. Królowa mi mówić nie da, a biskup zważać nie będzie na to co powiem.

— Tak — odezwał się Grzegorz — raz pierwszy gdy to posłyszają, mogą lekceważyć, lecz obstając przy swoim, zmusicie, aby zdanie wasze poszanowano...

Tymczasem korona już tak jak przyjętą jest, posłowie się tem cieszą, trudno będzie się cofnąć.

— Nie! nie! — rzekł namarszczony Władysław — ja się żenić z nią nie chcę... Pójdę, będę z Turkami wojować, będę im służyć rycersko, ale, tobie to powiadam tylko, jeżeli ożeniecie będzie do korony warunkiem, żenić się nie chcę! nie mogę!! nie ożenię!!

Coraz gwałtowniej mówił pod koniec król, i jakby się sam uląkł swojej śmiałości i otwartości, zbliżył się do Grzegorza, na ramionach mu ręce położył, i dodał.

— Chciałem mówić z tobą, nie zdradzajcie mnie!! Widzę i czuję, że ty to tak czujesz i rozumiesz jak ja?

Wydartej dziecku i kobiecie korony nie chcę...

Na Węgry pojedziemy! ale tam znajdę sposób uniknięcia małżeństwa i przywłaszczenia!

Szlachetne te uczucia młodego pana, taką radością napelniły mistrza, iż ukryć jej nie umiał. Spojrzeniem jednym Władysław mógł się przekonać, że Grzegorz podzielał jego myśli, że je pochwalał. To mu dodało odwagi i czoło się wyjaśniło.

— Tak — powtórzył król. — Nieuniknioną już zdaje się podróż na Węgry... Posłowie pojechali do królowej... czekamy tylko ich powrotu. Biskup się oparł zawieraniu traktatu z Turkami... Ojciec św., cesarz Paleolog... Włosi nalegają, pójdziemy bronić chrześcijaństwa...

I wy ze mną? — dołożył pospiesznie w końcu.

— Na cóż się ja tam przydam? — wtrącił mistrz.

— Abyście mnie dodali odwagi, a gdybym uwieść się dozwolił żądzą panowania i dumą, przypomnieli mi te słowa moje...

Zaledwie dokończywszy tego poważnego wynurzenia się, Władysław jak gdyby mu ciężar wielki spadł z piersi, zwrócił się do swoich ulubionych marzeń...

— Ze wspaniałym i dzielnym wyruszymy orszakiem — począł. — Tak pięknego, tak uzbrojonego wojska jak nasze, jeszcze Węgry nie widziały... Staramy się o to, abyśmy tam wstydu sobie nie uczynili...

Widzieliście moich przybocznych... moich druhów i towarzyszków! Co to za zastęp żelazny!! Co za konie! rynsztunki, zbroje, rzędy i oręż... A! gorączka mnie porywa, gdy myślą o tem... W pole! w pole!

Uśmiechnął się Grzegorz.

— Widzicie miłościwy panie, że wyprawa na Węgry uśmiecha się wam i pociąga!

— A! tak — zawołał król nagle smutniejąc — ale gdy pomyślę o ożenieniu, o sierrotach, o przekleństwach i złorzeczeniu, które spadną na mnie, wiesz! wyrzekłbym się nawet wyprawy, aby być wolnym od jarzma tego!

Wzdrygnął się młodzieniec...

To pierwsze wylanie się przed Grzegorzem, niespodziane dla niego, otworzyły mu oczy... Inaczej poglądał teraz na swojego wychowanka...

Nie znał go dotąd dobrze, i miał też za dziecko, objawił mu się w nim człowiek...

Pilno potem przypatrywał się mistrz postępowaniu jego z matką i biskupem, lecz dostrzedz w nim nie mógł żadnej zmiany. Zdawało się, że Władysław, śmiały z nim, przed matką i opiekunem tracił odwagę i otwarcie się im nie przyznawał co myślał.

Na dworze tymczasem zabawiano się wesoło i przyjmowano węgierskich panów. Biskupa Segedyneu ugaszczal Zbigniew, a prałat węgierski miał czas zjednać sobie Oleśnickiego, wystawując mu całego chrześcijańskiego świata potrzeby i pokładane na Polsce nadzieje.

Z każdym dniem Zbigniew więcej się skłaniał do tego, aby koronę przyjąć i dać dzielną pomoc Węgrom.

Gdy się to działo, a Grzegorz nasz zawsze stojąc na uboczu, nie mięszał się czynniej do dwóch obozów, które się na dworze zarysowywały, królowa matka zagadnęła go wieczora jednego, zobaczywszy milczącego w ciemnym kątku...

— Wybadajcie Władysława, chmurzy mi się, co mu jest? Radabym go widzieć szczęśliwym. Idzie wszystko po myśli? Nie wiecie przyczyny dlaczego mi dziecko posmutniało?

— Miłościwa pani — odparł ośmielony mistrz — może dlatego, że się już nie czuje dzieckiem...

— Co to znaczy? — przerwała rumieniąc się Sonka...

— Wy jako matka możecie go wy badać, jam obcy — dodał mistrz.

— Nie wiecie o niczem? — spytała królowa.

— Domyślam się tylko, że młodemu panu, szlachetnego serca, nie chce się może, starszej od siebie wdowie, mającej dzieci, narzucać za pana i męża? Między Węgrami krążą wieści, że wdowa zmuszona tylko przystała na podzielenie się koroną, mogło coś dojść do króla... Pytajcie go! — rzekł Grzegorz z Sanoka.

Królowa łatwo się niecierpliwiąca, pokraśniała słuchając i uderzyła nogą w posadzkę...

— Plotą niechętni baje! nie może to być, aby Elża go nie chciała! Jest-że na świecie kobieta, któraby Władysława mogła odepchnąć!

Piękniejszego, szlachetniejszego króla nie ma na ziemi. To perła!

— Tak, miłościwa pani, lecz dzieci matce od pereł są droższe, a wy to wiecie najlepiej. Zadumała się królowa Sonka.

— Wy go wybadajcie — rzekła.

— Nie mam prawa ani umiejętności po temu — odezwał się Grzegorz. — Za złyby mi wziął mięszanie się do spraw...

Z niechęcią ruszywszy ramionami królowa odstąpiła krok i wróciła nazad.

— Więc i wy zapewne słyszeliście — rzekła — co ta gawiedź węgierska plecie... Ale to gawiedź i ciury! Ani biskup Jan, ani Orszag, ani poważni posłowie nigdy o tem nie wspomnieli.

— Nie mogli mówić przeciw sobie — dodał Grzegorz.
— Wy w to wierzycie? — przerwała królowa.
— Mnie się zdaje prawdopodobnym, że matka broni interesu dzieci! A jeżeli syna wyda na świat?

Nie doczekawszy końca, Sonka zawołała gwałtownie.

— Nie może to być! Nie może! Miała dwie córki! Syna mieć nie będzie...

Mimowolnie uśmiechnął się Grzegorz...

Królowa Sonka jak zrażona, odstąpiła dumnie, rozmowy już nie przedłużając. Grzegorz się usunął do swojego kąta.

Z żywą niecierpliwością oczekiwano gońca z Węgier, który miał dać znać o spodziewanym wkrótce rozwiązaniu. Z każdą chwilą wyglądano stanowczej wiadomości, na którą i posłowie węgierscy i królowa z trwogą oglądać się musieli.

Biskup Jan Segedyński jeden utrzymywał zawczasu, że gdyby nawet syn na świat przyszedł, nie mogło to zachwiać wyborem króla Władysława... Przewidzianem to było i przeznaczonem dla niego dział austriacki i Czechy... Polski król miał pozostać razem węgierskim...

Jednej nocy wreszcie zastukano do wrót zamkowych. Straż wołając o hasło dowiedziała się, że goniec ów od tak dawna już upragniony przybywał. Na Wawelu spali wszyscy, zbudzono tylko marszałka dwora Ryterskiego, a ten z listy i słownem doniesieniem, wszedł do Grzegorza z Sanoka, u którego jeszcze lampka się paliła, bo uczony śleczył nad księgą.

Ryterski przychodził w niepewności co czynić miał, spytał mistrza, czy wypadało budzić królową dla posłańca z Węgier.

— Miły panie — rzekł wstając z za pulpitu mistrz — jeżeli jej macie co dobrego zwiastować, budźcie, jeżeli złe, nie spieszcie. Dowie się zawsze za wcześnie.

Cóż goniec przynosi?

Ryterski zżymnął ramionami.

— Narodził się pogrobowy syn Albrechtowi!

— Syn! — wykrzyknął Grzegorz. — Nie macież po co budzić królowę.

— Tak — odparł marszałek — wiadomość nie będzie pożądaną, ale trudno radzić na to...

Jednym z pierwszych więc Grzegorz dowiedział się, że los, który zawsze ludziom na przekorę sprowadza to, czego sobie nie życzą, dał Elżbiecie syna po śmierci ojca...

Dla biednej wdowy było to pociechą, dla królowej Sonki troską wielką.

Jak dzień komornik króla, który o brzasku, wstawał i szedł swoje sokoły oglądać a konie, przybiegł do Grzegorza. Władysław go wzywał do siebie.

Zastał go w rannem ubraniu, z twarzą wesołą.

— Wiesz — zawołał — Elża ma syna! a ja doskonały sposób wycofania się. Dziecku jej nie mogę odbierać korony...

— Tak, miłościwy panie — rzekł mistrz — ale w układach, które przywiózł biskup z Segedynu, stoi ten wypadek przewidziany, a wyście przyjęli warunki!

— Nie chcę ich! — przerwał król — nie chcę!! Nie mogę!

Zaledwie zamienili słów tych kilka, gdy królowa Sonka w sukni zaledwie narzuconej i chuście na głowie, ukazała się we drzwiach.

Oczyma zmierzyla ich obu. Grzegorz cofnąć się chciał, król skinął aby został.

— Elża ma syna! — poczęła królowa głosem drżącym. — Któż wie? Może go jej podłożono umyślnie... Ale to nic nie znaczy... nic...

— Owszem, dla mnie to znaczy bardzo wiele — śmiało odezwał się król, patrząc na mistrza jakby go na pomoc wzywał. — Ja nie chcę dziecku odbierać korony, nie chcę.

Oczy królowej zapaliły się gniewem.

— Monarchowie i prości ludzie, a nadewszystko ci, co rycerzami się chcą nazywać — rzekła ostro — powinni dotrzymywać słowa!!

My i ty, przyjęliśmy warunki przywiezione przez posłów... Ten dzieciak weźmie sobie księstwo Austrii, no i Czechy! — dodała z niechęcią — a ty koronę węgierską!!

Młody król zamilkł, lecz twarz jego się zmieniła. Miał wielkie poszanowanie dla matki, nawykł był do posłuszeństwa, lecz widziała, iż opór stawić będzie. Nie spotkała go dotąd u dzieci i rumieniec na twarz jej wystąpił.

Przeszła się milcząca po izbie i z kolei ona też zwróciła, jakby w pomoc powołując Grzegorza z Sanoka.

— Powiedzcież wy królowi — odezwała się — że co raz się przyrzekło, tego cofać nie można.

— Miłościwa pani — odparł mistrz — właśnie to mówiłem królowi przed chwilą, ale też powiedzieć muszę, że szlachetnego jego miłości uczucia dla sieroty i wdowy, żaden człowiek nie potępi...

— Co za wdowa, jaka sierota? — wybuchnęła Sonka. — Powinna się czuć szczęśliwą, iż takiego męża dostanie, a jej dzieciak takiego ojczyma! Nie ma się co użalać nad jej losem, ale go chyba zazdrościć!!

Na to namiętne wystąpienie królowej, trudno odpowiadać było, nie czekała też odpowiedzi i wyszła zagniewana...

Od rana dnia tego na zamku rozpoczęły się bieganie, powoływanie rady, wyprawianie posłów... Panowie zjeżdżali się na zamek. Królowa wezwała swoich, Sędziwoja Ostroroga i Jana z Koniecpola.

Biskup Zbyszek z gościem swym biskupem Janem, znaleźli się po mszy na pokojach. Nadbiegli i inni posłowie.

Król zagadnięty przez Oleśnickiego, odważnie mu oświadczył, iż korony nie chce, że ona mu wstręt czyni wydartą sierocie...

Zmarszczył się Zbyszek, lecz nic nad to odpowiedzieć nie umiał, że na pierwszym względzie była obrona przeciwko niewiernym, a spadek pogrobowca na szalę z nią iść nie mógł.

Zwołano radę dnia tegoż, ale nim się zjechali panowie, królowa starała się wprzód widzieć i mówić z nimi, aby ich sobie pozyskać.

Pomimo to, w pierwszej chwili podzieliły się zdania.

Niektórzy już wiedzieli, a raczej domyślali się królewskiego wstrętu, i szli za nim, inni z królową i biskupem...

Na prawie równe dwa obozy rozłamała się rada...

Na Węgrach widać było niewymowny strach i niepokój. Groziły im nietylko utrata posiłków, jakich się w rycerstwie polskim spodziewali, ale zemsta stronnictwa królowej Elży i tych wszystkich co z nią i Cillym Ulrykiem trzymali.

Powstały lamenta i najgwałtowniejsze odwoływania się do zawartych umów...

Przez cały dzień ten nie ustawała niepewność. Król się opierał, ani matka ani biskup niechęci jego do tego małżeństwa przełamać nie mogli. Unikał nawet mówienia o tem.

Oleśnicki powołał do siebie Grzegorza z Sanoka, o którym wiedział, iż blizkim był młodego króla.

— Wpłynięcie na niego — rzekł. — Nie godzi się dla jakichś względów podrzędnych spuszczać z oczów sprawy najwyższej wagi. Turcy opanowali już Adryanopol, cisną się zalać i ujarzmić Europę, grożą cesarzowi w Konstantynopolu, grożą nam i całemu chrześcijaństwu, murem powinniśmy stanąć przeciw nim...

— Król gorąco tego pragnie — rzekł Grzegorz — ale małżeństwem się brzydzi, a ja do niego namawiać go nie mogę.

Oleśnicki się zmarszczył.

— To są płochy względy — rzekł — krzywdą się nikomu nie stanie... Warunki przyjęte zostały.

— Ja na króla wpłynąć nie potrafię — przerwał Grzegorz — to rzecz królowej matki i wasza, miłościwy pasterzu. Słowo moje nie zaważy...

Z tem odszedł mistrz. Wieczorem król trwał jeszcze nieporuszony w swem postanowieniu...

Królowa widząc, że inaczej go nie pokona, rzuciła się w inną stronę.

Zwołano rówieśników i towarzyszków króla, Tarnowskich, Tęczyńskich, Zawiszów. Wszystkim im żal było tej rycerskiej wyprawy, na którą się gotowali wielkiem sercem... Im poleciła Sonka, aby króla nawracali...

Przez cały też dzień następny, otoczony zasmuconemi twarzami i utyskiwaniami swych rówieśników, król począł żałować tego, że na wojnę przeciwko niewiernym nie wyjdzie...

Widać było wahanie. Szukał jakiegoś środka, któryby dozwolił i na Węgry iść, i małżeństwa nie zawierać...

Ta wojna z niewiernymi, która krucyatą być miała, sławną na świat cały, przez Rzym pobłogosławioną, zwyczajką, miała tyle dla młodych uroku...

Grzegorza z Sanoka nie powołał już król do siebie.

Węgrowie tymczasem nie tracąc chwili jednej, zabiegali na wsze strony. Doniesiono im o panach, którzy odradzali przyjęcie korony, udali się do nich, jednych błaganem, drugich ujmując obietnicami.

Sam biskup czynnym był wielce i gorliwym. Niektórzy w Radzie dali się jego powadze ująć, inni zamilkli...

Zbierano się razy kilka, rozchodzono z niczem. Król milczał. Stronnictwo jego zmniejszało się, królowej rosło... Nie starając się syna przekonać, Sonka znajdowała stosowniejszem zyskać Radę i jej zdaniem zmusić króla do przyjęcia korony.

Wszystkie więc zabiegi skierowane były ku tym, co jak Jan z Tęczyna i kilku poważniejszych, króla dla siebie mieć chcieli, a Węgier się wyrzekali. Ci wkrótce pozostali w zmniejszającej się coraz garstce... i odzywali coraz słabiej, mniej głośno. Stronnictwo królowej przemagało...

Unikając nalegania, którego się obawiał, król Władysław wyjechał na łowy, gdyż roku tego zima się przedłużała i trzymała ziemię pod śnieżną skorupą, chociaż zbliżała się już druga postu niedziela...

Pod niebytność króla, w końcu na Radzie przewagę wziął biskup Zbyszek i posłów węgierskich uspokojono, że król przyrzeczenia dotrzyma.

Powracający Władysław, pomimo spóźnionej pory, zastał matkę oczekującą na siebie.

Oznajmiła mu bez przygotowania, stanowczo, iż wolą było wszystkich, zdaniem Rady, aby umowa utrzymana została.

Zmarszczony, milczący, Władysław wysłuchał tego wyroku. Nie mógł się razem matce i wszystkim sprzeciwić, lecz okazał, jak był nierad postanowieniu temu.

— Moje więc szczęście i przyszłość nic tu nie ważą! — odezwał się.

Z pieszczotliwym wyrazem, głaszcząc go pod brodą, zbliżyła się matka...

— Będziesz szczęśliwym, będziesz wielkim i sławnym!! — zawołała. — Szczęście królów jest w ich potędze... i w błogosławieństwie ludów, a ciebie niejedyn naród, ale cały świat chrześcijański wielbić i wynosić będzie, bo mu poświęcisz siebie... Co dla ciebie znaczy ta kobieta!! — Ruszyła ramionami...

Nazajutrz powtórzyło się zrana to samo z biskupem i przedniejszymi panami Rady, którzy przyszli przekonywać, prosić, błagać, aby koronę przyjął...

Władysław był piętnastoletnim dzieckiem rycerskim.

Daleko silniejszej woli i charakteru człowiek uległby był może takiemu naciskowi, natarczywości, domaganiu się, prośbom i pochlebstwom... Smutny, zawstydzony własną słabością król milczał, nie sprzeciwiał się już.

Głoszono, że przystał na wszystko. Wieść ta rozpuszczona po mieście, zламаła tych, którzy popierać chcieli Władysława.

Jeden Jan z Tęczyna sam przyszedł do króla ze współczuciem i żalem... a wychodząc od niego, spotkawszy biskupa Oleśnickiego, rzekł mu:

— Stanie się jakoście chcieli pasterzu, lecz pomnijcie słowa moje, bogdajbyście kiedyś nie żalowali tego, żeście gałązkę jagiellońskiego szczepu najdroższą, z ziemi, na której rosnąć i krzewić się była powinna, wyrwali!!

Nazajutrz była to druga postu niedziela, jakby chciano postanowienie uczynić nieodwołalnym, biskup w katedrze na Wawelu zarządził uroczyste dziękczynne nabożeństwo. Biskup Jan z Segedyń, wszyscy posłowie węgierscy, mnogi tłum ciekawością ściągniętych ludzi, nappełnił świątynię. Król młody, królewicz Kaźmirz, królowa matka, dwór świetny i liczny, znajdowali się, przytomnością swą uświęcając ogłoszone korony przyjęcie...

Z kościoła wprost wszyscy szli do sali białej na zamek, gdzie król na tronie miał przyjmować węgierskich posłów... Wcisnęli się do niej i ciekawi Turcy, oczekujący jeszcze na odpowiedź dla pana swego. Wymowniejszej nad to, co ujrzyć mieli, dać im nie można było...

Skończywszy przemówienie do Władysława, sędziwy biskup Jan dał znak swym towarzyszom i wszyscy padli na kolana przed młodym królem, błagając, aby ich nie opuszczał.

To niespodziane ukorzenie się, wzruszyło króla. Powstał z tronu, bledniejąc i rumieniąc się naprzemiany...

— Bóg mi świadkiem — zawołał podnosząc oczy — iż nie dla żądy panowania, nie dla ziemskich widoków, przyjmuję ofiarowaną mi przez was dostojność, ale dla dobra chrześcijaństwa, dla obrony wiary...

Głos mu drżał i piękna twarz młodzieńca wyrażała taki jakiś zapal rzewny a smutny, brzmiało to taką ofiarą wielką a szlachetną, że nawet królowej Sonce, stojącej zdala na podwyższeniu, łzy się w oczach zakręciły...

Była to chwila uroczysta, w której niepojętym sposobem serca się wszystkim poruszyły jakimś przecuciem bolesnym... W głosie króla brzmiało jakby jasnowidzenie męczeństwa i poświęcenia...

W takim uroczystym ducha podniesieniu, po cichu opuścili wszyscy salę i po chwili dopiero Węgrów zapal, radość i wdzięczność wybuchnęły.

Biskup Szegedyń nazajutrz powtórnie po wszystkich kościołach nabożeństwa dziękczynne odprawiać polecił.

Stało się, lecz Polacy, wyjąwszy młodzieży, rwącej się do boju i chciwej przygód, teraz dopiero gdy młodego króla postradać mieli nie wiedzieć na jak długo, poczęli przewidywać, że ciężkiem będzie dla nich osierocenie.

Własne sprawy domowe wymagały oka gospodarza, a młody król w chwili, gdy się miał z niemi oswoić i uczyć panowania, opuszczał kraj, oddając się innemu narodowi.

Zostawała królowa, biskup i po staremu panowie małopolscy do rządu, żadnej nadziei, aby się co zmienić mogło. Nie zbywało na tych, którym wielkorządy wojewodów nie były do smaku, a odwołanie się do pana pożądanem...

Trwać więc miało bezkrólewie owo długie... bez końca.

Młodzież tylko widziała w tem wszystkim zręczność popisu z rycerską dzielnością, zobaczenia świata, zdobycia imienia. Pomędzy nią panował zapal nadzwyczajny, radość, gorączka, którą Węgrowie opowiadaniem o kraju swym, jego bogactwie i piękności, podsycali.

Król nawet z początku smutny, dał się ożywić i temu usposobieniu, które go otaczało, pociągnąć.

Przy pierwszej jednak zręczności, spotkawszy Grzegorza z Sanoka, uczuł potrzebę wytłumaczenia się przed nim ze zmiany.

— Kochany mistrzu — rzekł łagodnie — nie potępiaj ty mnie. Uległem, prawda, idziemy do Węgier, ale wszystko się może obrócić inaczej. Ja żenić się nie będę potrzebował i do korony jeszcze daleko!!

Grzegorz nie powiedział nic, porozumieli się wejrzeniem tylko.

Wybór w podróż, której towarzyszyć mieli najprzedniejsi z panów i szlachty polskiej, pomimo przynaglania i pośpiechu, nie mógł się tak obyć skoro, jak żądano. Każdy z panów, z Tęczyna, z Koniecpola, ze Szczekocin, brał z sobą poczet znaczny, wozy i czeladzie, obfity rynsztunek wojenny, a wreszcie i bez grosza ruszyć nie mógł. Rozbiegli się wszyscy po dworach zbierać, ściągać, układać, co z sobą mieć musieli.

Królowa nastawała, ażeby orszak syna jej był jak najświetniejszy i wielkie dał pojęcie Węgom o bogactwach i potędze Polski. Sama ona z biskupem i królem dobierała osoby, które jechać miały do Węgier. W pierwszej chwili dla powagi, dla układów, dla zabezpieczenia się na przyszłość, biskup Zbigniew był koniecznym.

Sam on zgadzał się na to, aby króla odprowadzić do Budy, tembardziej że i on i królowa, choć taili się z tem, wiedzieli dobrze, iż Elża królowa nie chciała znać narzucanego jej męża, i siłą tylko wymożono od niej zezwolenie na małżeństwo, z warunkiem gdyby nie miała syna.

Nie było wątpliwości, że wydawszy go na świat, tembardziej oprze się wyjściu za mąż.

Biskupowi miał towarzyszyć dziekan krakowski Lasocki i podkanclerzy Piotr ze Szczekocin. Jan z Tęczyna wojewoda krakowski, Przedbor z Koniecpola kasztelan, Wincenty z Szamotuł, Hincza z Rogowa, Mikołaj z Brzezia marszałek, Łukasz z Górki, wyznaczeni byli do orszaku poważnego, nie licząc młodzieży najpierwszych domów, najstarszych rodów... Węgrowie naglili o pośpiech, o wyjazd, słusznie się lękając, aby zabiegliwa królowa nie zyskała sobie przyjaciół, nie utrudniła królowi objęcia rządów.

Tymczasem spiknęła się przeciwko pośpiechowi uparta zima, a raczej zbyt powolnie przychodząca wiosna, która to się obiecywała, to dawała zimie zwyciężać. Wody rozlewały szeroko, a lody stały i trzymały się jeszcze. Po odwilżach i deszczach chwytaly mrozy silne... Podróż zwłaszcza ku Węgrom, w okolicach górzystych i strumieniami a rzekami poprzerzynanych, stawała się, niepodobieństwem.

Potrzeba było czekać, a w owym czasie zabobonów, gdy wszystko uważano za znak z nieba i przestrozę, spóźniona wiosna była jakby oznajmieniem, iż król jechać nie był powinien.

Takich złych wróżb naliczono później bardzo wiele.

W istocie przeszkody do podróży się mnożyły. Z Litwy nadeszła wieść o zamordowaniu w. księcia Zygmunta, którego na Wilnie potrzeba było zastąpić nowym wielkoraźcą, a dwa wrogie sobie obozy kraj dzieliły na nieprzejednane zastępy, występujące do walki.

Królowa Sonka pamiętna zawsze, aby los synów zabezpieczyć, natychmiast powzięła myśl usunięcia obu stronnictw, a wysłania tam Kaźmirza, któryby w imieniu brata Litwą rządził. Nie mówiła o tem w pierwszej chwili, ale mając w Litwie przyjaciół i stosunki, znając ją dobrze, potajemnie wyprawiła swoich ludzi, aby namawiali Litwę do wezwania i dopraszania się o Kaźmirza.

Ponieważ współcześnie prawie mazowiecki książę zajął dawniej posiadany Drohiczyn, i obie te sprawy wymagały pilnego czuwania, król w początku spróbował nimi się od Węgrów uwolnić.

Lecz nie dała mu królowa mówić o tem nawet. Wszystko było w gotowości, panowie mający towarzyszyć ponieśli wydatki znaczne, podróż była zapowiedziana, cofać się nie godziło.

Nie brakło ludzi, co zastąpić króla mogli.

Wszystko zdawało się w pomoc przychodzić Władysławowi, aby go uwolnić od korny, lecz zapóźno...

Gонец nadbiegł z Węgier, zawiadamiając o tem, że królowa w Komornie, otoczona doradcami austriackimi, mająca z sobą Cillego i Garę, posłów Węgrów, których do niej wysłano z Krakowa oznajmując o Władysławie, kazała uwięzić.

Było to wypowiedzenie wojny...

Za węgierskimi posłami w ślad jadący do Elży Polacy Sędziwój Ostroróg i Jan z Koniczyna, dowiedziawszy się, co tamtych spotkało, przezornie zawrócili się z drogi, nic nie sprawiwszy...

Powrót ich wywołał ogromną wrzawę. Królowa, mimo że to byli jej pomocnicy i przyjaciele, przebaczyć im tego nie mogła, że się ulękli, dowodziła, że jechać do Komorna, bądź cobądź byli powinni, i starać się przekonać królowę Elżę...

Znowu na parę dni zapanowała niepewność. Król wahał się, dowodząc, iż wszystko się składało przeciwko podróży... Węgrowie przy swoim stali, a co dziwniejsza, biskup Zbigniew trzymał z nimi i dowodził, iż byłoby słabością i sromem ulęknąć się i nie strzymać słowa. Wprawdzie królowa Elża siłą postanowiła się bronić, ale stronnictwo jej było słabszem, król prowadził z sobą wojsko, Węgrzy, którzy go na tron wynieśli, stanowili także potęgę, z którą garść zwolenników królowej mierzyć się nie mogła.

Wyprawa jedna cała, która niedawno zdawała się pochodem zwyciężkim, teraz już jawnie zapowiadała walkę o koronę...

Biskup Jan Szegedyński zapewniał jednak, że dosyć będzie Władysławowi pokazać się tylko, aby sobie wszystkich pozyskać... Toż samo powtarzała królowa matka, a rycerstwo otaczające króla, domagało się walki właśnie i niemal nią cieszyło...

Wiosna zawsze się jeszcze opóźniała... Od granic przychodziły wiadomości o ogromnych wód wylewach, o niemożności przedarcia się tam. Wspaniały orszak, ciężkie ładowne wozy, czekać musiały.

Na zamku, w podwórcach wyglądało wszystko tak, jakby jutro miano w imię boże wyruszyć, ale nawet królowa, niecierpliwiąca się i pożądaną, aby syn co prędzej uzyskał koronę, nie śmiała namawiać do podróży...

Wiosna nie przychodziła.

Natomiast usłużne gońcy od granic, codzień przynosili nowe wiadomości o królowej Elży, która z Cyllym Ulrykiem, Garą i Austriakami, sposobila się stawić opór i odwoływała

do pomocy cesarza Fryderyka... Utrzymywano, że Cilly w pięćset koni już był się wyprawili zająć Budę dla królowej, gdy go Szymon Rozgon biskup uprzedził.

Rozpowiadano, że na wszystkie strony rozsyłała królowa z listami, obietnicami, i korzystała z czasu, aby polskiemu wybrańcowi zatamować drogę.

Nie mówiono o tem głośno w Krakowie, wcale przeciwnie puszczając pogłoski. Niemniej wiedział biskup Zbyszek i królowa, że układy, na które pozornie tylko Elża przystała, zerwane przez nią zostały.

Można było przewidzieć, że powrót do Polski nie nastąpi tak rychło. Ostatnie dni zajęło wyznaczanie wielkorządców. Przy królowej w Krakowie, po usunięciu Pileckiego, panem krakowskim i starostą został Jan z Czyżowa, do Wielkopolski jechał dawny marszałek dworu królowej, oddany jej i synom Wojciech Malski.

IV

Wojna o węgierską koronę była, powiedzieć można, walką dwóch matek, dwóch królowych o losy ich dzieci. Sonka i Elża stały naprzeciw siebie, a królowa polska oddalona od miejsca, w którym dramat się miał odegrywać, potrzebowała większego wysiłku, przebiegłości, czuwania, niż Elża wdowa po Albrechcie, mająca za sobą i prawo spadku i znaczną zmarłego męża gromadkę przyjaciół, którzy przy niej spodziewali się panować, opiekując dziećmi...

Posłowie do Polski wyprawieni, biskup Szegedynu, Talloczy, Peren i Marczalli zapewniali w Krakowie wybranego przez siebie pana, że wdowa zgodziła się wyjść za niego, zamierzali wszakże, iż do ostatka kładła za warunek, jeśliby syna nie miała, a głos jakiś proroczy mówił jej, że Bóg da syna!!

Około niej skupiali się wierni, hr. Ulryk Cilly bratanek, Gara i wielu innych austriackich szczególnie panów. W Czechach też jednała sobie zwolenników i poparcie miast niemieckich.

W końcu roku 1439, królowa przebywała w Wyszehradzie. Towarzyszyli jej tu biskup Raabski Benedykt, wojewoda Losoncz, sędzia nadworny Stefan, hrabia Franciszek Csak, Stefan Rozgon, Peren i wielu innych panów, którzy wierni jej pozostali. Korona poświęcona królewska znajdowała się w skarbcu. Szło Elży, aby ją miała w ręku... W przytomności panów otworzono skarbiec, złamano pieczęcie pudła w którym spoczywała i wyjęto koronę. Złożyli ją potem przytomni w osobnej skrzynce, razem z mniejszą koroną królowych, a Elża wydała świadectwo hrabiemu Bösing, iż insignia odebrała.

Ale zaraz następnej nocy kosztowny ten klejnot znalazł się w niebezpieczeństwie. W tej samej izbie, w której korona złożoną była, spała królowa z dwojgiem dziewcząt służebnych, Węgierką i Niemką. Przy łóżku królowej, wedle zwyczaju paliła się świeca, która spadła na skrzynię, zawierającą obie korony, i poduszki aksamitne na nich już płonęły.

Szczęściem przebudziła się stara, wierna sługa, Kottanerin, i pożar ugasiła...

Ale nazajutrz z obawy o poświęconą koronę, nazad ją do pudła w skarbcu złożono. W kilka dni potem niespokojna o zamek, królowa klucze odebrała hr. Bösing i oddała je stryjowi Władysławowi... Ten nazaczył od siebie burggraфа, i razem z królową odjechał do Budy.

Koronę mniejszą zachowała przy sobie królowa, a drzwi od skarbcu na Wyszehradzie dla bezpieczeństwa Gara chustą zawiązawszy opieczętował. Z Budy odjechała królowa do Wyszehradu, a Cilly Ulryk doradził jej, aby w jakikolwiek sposób koronę poświęconą dostała.

W pierwszych dniach stycznia, królowa znajdowała się już na Wyszehradzie. Mieszkała w dolnym zamku... Nie chciała się ztąd oddalić, chociaż mniej się tu czuła bezpieczną, choć Cilly i Gara doradzali przeniesienie się do Komorna, dlatego tylko, że tu miała na zamku, w skarbcu tę koronę królewską, której strzegła...

Bez niej, choćby chciano w Budzie koronować polskiego króla, obrzęd nie mógł przyjść do skutku.

Tymczasem stan zdrowia Elżbiety, wymagał bezpiecznego miejsca, w któreby słabość przebyła. Nalegano na to, aby się przeniosła do Komorna.

Królowa nie chciała myśli swej zwierzyć nikomu, bała się oddalić od korony.

Swoją, którą sama koronowaną była, miała już w ręku. Leżała ona ukryta pod łóże-
ciem córki jej Elży...

Korona królów zamknięta leżała w skarbcu.

Tę koronę, tę koronę, którą jej spodziewanemu synowi wydrzeć chciano, musiała dostać królowa!!

Zmuszono ją niemal do przeniesienia się do Komorna, królowa jednak pozostawiła w Wyszehradzie swoją żeńską służbę. Miała plan już osnuty... Koronę wykraść było potrzeba!!

Do starych wiernych sług Elży należała Niemka Helena Kottanerin, kobieta prosta, pobożna, niezbyt przebiegła, ale oddana jej cała, taż sama, która już raz od ognia ocaliła insygnia...

Nikt w niej nie mógł się ani domyślać nawet narzędzia, które posłużyć miało do wydobycia klejnotu tego z Wyszehradu, zapewniającego oczekiwanemu synowi panowanie!!

Królowa chora, blada, spłakana, chodziła ręce łamiąc.

— Heleno moja — szepnęła dnia jednego z gorączkowym wysiłkiem do starej sługi — ty musisz mi usłużyć, ty jedna możesz...

— A! jabym za ciebie życie dała, królowo moja — odparła Niemka podnosząc zaprawowane ręce — ale cóż ja mogę.

— Pan Bóg pomoże! Opieką swą osłoni cię patronka moja Elżbieta, której relikwie złożone są w kaplicy na Wyszehradzie — mówiła królowa z gorączkowym pospiechem. — Pojedziesz po dziewczęta moje, pozostałe w Wyszehradzie... Mieszkają na zamku... tuż przy izbach, które zajmują, jest wnijście do skarbcza... Zamki potrzeba wyłamać! koronę królewską trzeba dostać i przywieść tu, aby tego króla cudzego ukoronować nie mogli. Ja ją mieć muszę!

Kottanerin przelęknęła się srodze i drżeć zaczęła.

— A jakże ja tego dokazać potrafię!

— Wezmiesz wiernego sługę do pomocy... wybierz sobie kogo chcesz — kończyła królowa obejmując ją białymi rękami. — Drzwi są opieczętowane, dam ci małą pieczęć moją, abyś ją przyłożyła na nowo. Nocą wyłamać zamki łatwo... A! tę koronę, tę koronę mój syn... bo ja muszę mieć syna, winien ci będzie!!

Szaloną myśl, którą tylko miłość matki natchnąć mogła, raz powziąwszy, Elża nie chciała się jej wyrzec. Z chorobliwą natarczywością zmusiła niemal przerażoną Kottanerin, aby zgodziła się na wykradzenie, i wyprawiła ją natychmiast...

Miesiąc zaledwie upłynął od przeniesienia się do Komorna, gdy Niemka dobrawszy sobie pomocnika w prostym ale odważnym słudze, który miał jej towarzyszyć, dnia jednego rano bardzo puściła się do Wyszehradu, modląc przez całą drogę...

Było to w styczniu, sanna trzymała jeszcze, Dunaj okryty był lodem... Magyar, człek silny i pewny, wiedział co miał do spełnienia w Wyszehradzie, ale się wazył, spodziewając nagrody od królowej. Zabral z sobą na zapas zamki, aby mieć czem połamane zastąpić, pod suknią je krył, a w buty pochował pilki i pilniki.

Przed wieczorem stanęli na zamku. Kobiety królowej i mała Elża, księżniczka szlązka, pozostawione tu same, znudzone, stęsknione, powitały przybywającą po nie Kottanerin z niewymowną radością.

Stara oświadczyła im, że królowa ich potrzebuje i natychmiast kazała się gotować do podróży nazajutrz. Mnóstwo rzeczy miały zabierać z sobą, pospiesznie więc zaczęto szukać desek i zbijać skrzynie.

Przygotowania te trwały do ósmej wieczorem, na zamku chodzono, krzątano się, stukano, pakowano; pełno było ludzi i nic poczynać nie mogli. Obejrzał tylko Magyar miejscowość, obmacał drzwi opieczętowane. Wsunął się do izby dziewcząt, żartował z niemi, śmiał się, swawolił, a tymczasem rozmyślał co ma robić.

Sam on z pomocą słabej i przestraszonej kobiety, nie mógł temu podoleć, poszedł więc szukać pomocnika dobrej woli i znalazł go w prostym parobku, którego związał najuroczystszą przysięgą.

W jednej z izb miały spać dziewczęta królowej, tuż obok w drugiej Kottanerin. Z tych drzwi prowadziły do skarbcza opieczętowanego. Z drugiej strony przez sień była zamkowa kaplica.

Zima była ostra, izby potrzebowano opalać dobrze, przynoszono drewna, i Magyar, dosyć nieostrożnie przywiezione pilniki wetknął tymczasem pomiędzy drewna przy kominie. Służba, która drwa zносиła, dobytej je na wierzch!!

Sługa zobaczywszy to, zbladł jak trup, ledwie mógł chowając je gdzieindziej, przemówić do Kottanerin.

— Na miłość Bożą, starajcie się, aby nam światła nie zabrakło! Świec potrzeba!

On i stara Helena, chociaż nie wyrzekali się myśli wykradzenia korony, najniezgrabniej się brali do tego, ale może właśnie dlatego nikt ich nawet o nic nie posądzał...

Była to sobota, wigilia przed niedzielą zapustną. Do posług miała Kottanerin z zamku starą babę, która po niemiecku nic nie rozumiała, ospała była i ograniczona... Od tej zażądała, aby jej dużo świeczek dostarczyła, bo wieczorem ma bardzo długie do odmawiania modlitwy.

Ale dostawszy świece Kottanerin, niespokojna i tchórzliwa, postąpiła z niemi tak, jak jej towarzysz z pilnikami, schowała je gdzieś, zapomniała gdzie i znaleźć potem nie mogła... Wszystko się zdawało składać jak niefortunniej.

Dziewczęta pakowały zbyt długo swoje gałganki i Kottanerin musiała w końcu kazać się im spać kłaść co rychlej. Zmęczone, szczęściem, pokładły się w drugiej izbie, wkrótce się pospały...

Baba posługująca położyła się w izbie Kottanerin, ale tej się nie obawiała, bo wiedziała, że sypia twardo.

Nadchodziła noc. Naostatek Magyar, który miał korony dobywać, przyszedł po cichu pode drzwi od kaplicy i zastukał.

Oczekująca na niego Helena, wstała, otworzyła mu i drzwi za nim zasunęła... Mogła się przestraszyć, bo prowadził z sobą namówionego parobczaka, o którym wcale nie wiedziała...

Zaręczył jej, że poprzysiągł milczenie.

Zaczęto naprzód świec szukać!

Niestety! były tak dobrze schowane, że Kottanerin zrozpaczona, wcale ich znaleźć nie mogła...

Tymczasem kury piałły...

Przestrach ją ogarnął niewymowny. Bez światła kroku zrobić nie było podobna. Musiała więc pomocników na nowo odprawić, starą, twardo śpiącą babę obudzić, posłać ją znowu po świece i czekać aż potem usnie.

Godziny upływały. Do wydobycia korony, łamania kilku zamków, poprzybijania nowych, czasu wiele było potrzeba...

Baba wyszukała świece, przyniosła je, położyła się, usnęła.

Magyara wpuszczono znowu, zapalono je, zabrał przywiezione zamki i pilniki, a w dodatku małą pieczęć królowej, aby drzwi główne skarbcza, zawiązane chustą otworzywszy, na nowo opatrzyć pieczęcią.

Zaczęło się dobywanie, odjęto chustę, przepiłowano zamek pierwszy i oba pomocnicy weszli do izb prowadzących do skarbcza.

Ale pilowanie i odrywanie nie obeszło się bez stukotu, a na zamku jeszcze ludzie, zajęci przyborami do podróży, nie spali.

Chodziły straże...

Zdawało się, że chyba cudem pogłuchną i posłyszawszy hałas nie nadbiegną. Światło też zdradzało w oknach...

Kottanerin w trwodze niewysłowionej, co chwila, co sekunda spodziewała się być odkrytą i pochwyconą. Ani ona ani jej pomocnicy nie mogli zdradzić królowej, czekała ich więc kara za rabunek skarbu publicznego... Śmierć!

A śmierć naówczas, gdy występki był zuchwały, zadawano taką, aby winowajca cierpieł; sprawiedliwość była okrutną.

Niemka ze strachu uklękła na modlitwę, prosząc Boga, aby dla miłości królowej, pomógł jej biednej i ocalił ją. Gdyby zaś zginąć miała, aby się nad jej duszą zlitował...

Wśród tej rzewnej modlitwy, w nocnej ciszy, przerywanej tylko dochodzącym ze skarbcza stukiem, nagle usłyszała Niemka pod samymi drzwiami jakby ciężki chód uzbrojonych ludzi i chrzęst oręża... Czekala już tylko rychło drzwi wyłamać.

Nie wiedząc co począć, porwała się biedz, przestrzedz pracujących, aby poprzestali; ale na myśl jej przyszło naprzód zbliżyć się do drzwi, od których dochodził ją szelest...

Wtem ustał on, zrobiło się cicho znowu.

Kottanerin najmocniej była przekonana, że upiory i strachy narobiły tej wrzawy, padła więc znowu na modlitwę, ofiarując się odbyć boso pielgrzymkę do Maria-Zell, miejsca cudownego, a dopókiby ślubu tego nie dopełniła, wszystkie soboty, na pamiątkę tej, sypiać bez pierzyny, dziękując Bogu i N. Pannie za ocalenie i opiekę...

Wtem w czasie modlitwy, pod drugimi drzwiami, od izby, w której spały służące królowej, dał się słyszeć taki sam chrzęst i hałas...

Tym razem Kottanerin ze strachu straciła zupełnie przytomność, zaczęła drżeć, potnieć, była pewną, że nie strachy, nie upiory, ale ludzie idą, usłyszawszy hałas, chwytając ich na uczynku...

Nie wiedząc, co z sobą robić, czekała tylko, czy przebudzone dziewczęta nie poczną krzyczeć. Podbiegła pode drzwi, ale hałas natychmiast ustał.

Klękała tedy Bogu dziękować, utwierdzona w tem przekonaniu, że wszystko to było nieczystą sprawą szatana.

Tymczasem niepokój nowy.

W skarbcu zrobiło się cicho, ludzie nie powracali, a przez drzwi niedomknięte zaczynało być czuć spaleniznę i dym...

Chciała już iść zobaczyć, co się dzieje z pomocnikami, gdy naprzeciw niej wyszedł Magyar, oznajmując, że mogła być spokojną, bo od drzwi zamki już poodrywali.

Ale w skrzyńce, w której spoczywała korona, zamek był tak mocno przytwierdzony, iż ani go odpiłować ani wyłamać nie było można. Musieli więc go opalać, a od spalenizny tej powstał taki swąd i dym, że go wszędzie czuć było...

Nowa więc trwoga, modlitwy jeszcze gorętsze.

Robota około ostatniego zamka trwała bardzo długo, naostatek dobyto z pudła koronę... Trzeba było napowrót zamki przytwierdzać dla niepoznaki, a w głównych drzwiach chustę jak była przypieczetować.

Wszystko to wiele jeszcze czasu zabrało... Naostatek piły i połamane zamki wrzuciwszy w miejsce bezpieczne, w których ich nikt szukać nie mógł, Kottanerin z pomocnikiem zniosła koronę do kaplicy, w której ołtarzu znajdowały się relikwie św. Elżbiety, patronki królowej.

Tu ze strachu, ofiarowała się biedna Niemka, za mające się popełnić świętokradztwo, w imieniu królowej, sprawić nowy ornat i pokrycie do ołtarza...

Wzięto bowiem z niego czerwoną aksamitną poduszkę, rozdarto ją, wyrzucono z niej część pierza, włożono do środka koronę i Kottanerin zaszyła ją jak była...

Nim się to wszystko wykonało, dzień dobry robić się zaczął, wszyscy na zamku i służące powstawały, ruch powstawał. Czas jechać było, aby stanąć w Komornie.

W ostatniej chwili już, o mało stara baba ich nie zdradziła mimo woli.

Wynosząc koronę ze skarbcza, zabrano z nią część złamanego futerału, który pozostał na ziemi, i baba go podniosła, pokazując a pytając co to było?

Starą tę, która dziewczętom usługiwała, wziętą z Budy, królowa, jako niepotrzebną już, kazała opłacić i odprawić ztąd do domu. Z wieczora była już zaspokojona, ale kręciła się jeszcze, i ów futerał ciekawość jej obudził...

Kształt jego zdradzał koronę, którą okrywał.

Kottanerin, prawie nieprzytomna ze strachu znowu, pochwyciła z jej rąk połamane szczątki i co prędzej rzuciła do pieca. Szczęściem nikt nie zwrócił na to uwagi, ale obawiała się już babę zostawić tu, aby nie plotła, i niby przez miłosierdzie nad nią, zaofiarowała się zabrać z sobą i wyrobić łaskawy chleb w Sankt-Merten...

Wreszcie już wyjeżdżać miano... Ładowano, wynoszono, pakowano sanie i wóz. Koronę w poduszce potrzeba było nieznacznie przenieść. Magyar kazał słudze, który mu pomagał, wziąć ją na ramiona i umieścić w saniach, na których on i Kottanerin jechać mieli.

Wziął tedy drogocenny pakunek chłop, a w dodatku okrył go ogromną skórą krowią wyprawną, z długim wiszącym ogonem, który z tyłu spadał i we wszystkich przypadkach się odjazdowi fraucymeru wzbudził śmiechy szalone.

Ruszyły sanie z pod dolnego zamku w Wyszehradzie, ale za nimi w ślad biegła trwoga, aby nie odkryto, co się w nocy stało, nie wysłano pogoni i nie pochwyciono rabusiów.

Kottanerin usadowiła się wprost na poduszce z koroną, choć nie bardzo jej wygodnie być musiało. Co chwila ona i jej towarzysz oglądali się i przysłuchiwali, a nuż! gonią.

Na zamku wszakże, ani drzwi popsutych, ani w kaplicy nieładu nie dostrzeżono...

Pomimo pospiechu, w pół drogi popaść było potrzeba. Magyar z sań zdjął poduszkę i dla bezpieczeństwa położył na stole przed Niemką, aby ją ciągle na oczach miała...

Na tem niekoniec.

Noc już była czarna, gdy nadciągnęli nad brzeg Dunaju, naprzeciw Komorna. Tu rzekę po lodzie przebyć było potrzeba...

Puszczono się wprost, nie przypuszczając, aby lód mógł osłabnąć.

Wtem na samym środku rzeki, wóz, na którym jechały dziewczęta królowej, załamał się.

Krzyk, trwoga, popłoch niesłychany. Kottanerin nie o sługi, nie o księżniczkę szlązką, ani o siebie nawet nie chodziło, ale o tę, z trudem takim zdobytą, oczekiwaną tak niecierpliwie przez królowę koronę, od której w przekonaniu jej, losy potomka zawisły!

Prawdziwym cudem, nie utonął jednak nikt, dziewczęta się na sanie przesiadły, korona ocalała².

Oto i zamek w Komornie, a w oknach światło u królowej, która się modli, rozpacza i płacze...

Elża przez cały ten dzień z największym niepokojem wyglądała powrotu sługi, a gdy ją oznajmiono, przywitała okrzykiem radości. Kottanerin chwając się osłabła, niosła swej pani poduszkę!

Wzruszenie biednej wdowy było tak wielkie, iż zaledwie uściskawszy swą wierną Helenę, zachwiała się i osłabła musiała pójść do łóżka...

Przestrach i radość przyspieszyły spodziewane narodziny. Też nocy nadedniem wydała na świat pogrobowca.

Milczenie panowało w komnacie, i nie śmiała spytać drżąca matka, czy Bóg spełnił jej życzenie.

— Syn! — zawołały kobiety.

Królowej krzyk radośny rozległ się po zamku...

Syn! król! powtarzano po podwórcach. Syn! Było to oswobodzenie się od małżeństwa, od niewoli!

Arcybiskup Denis Szechy, tegoż dnia ochrzcił g, dając mu imię Władysława, jakby umyślnie na przekorę temu jednoimiennemu wybrańcowi, którego im narzucano.

Przyjście na świat pogrobowca nową siłą dało królowej, która w imieniu swego dziecięcia, postanowiła bronić się do ostatka... przynosił z sobą wojnę...

Rozumieli to posłowie węgierscy w Krakowie, usiłujący pospieszyć z królem do Budy, i nimby Elża do oporu przygotować się mogła, ukoronować go... Nie wiadano o tem, że z Wyszehradu korona była wykradziona, i że wkrótce niemowlęciu miano ją włożyć na skronie, aby polski król nie mógł ani jej dostać, ani się ważyć stanąć przeciw pomazańcowi!!

Wiadomo jaką wagę w tych wiekach przywiązywano do poświęconych insygniów, do starych koron, które przynosiły z sobą błogosławieństwo, i nadawały prawo władania narodem...

V

Przyszła nareszcie oczekiwana wiosna, lody puszczały, wody zbiegały, odsłaniał się błękit niebios i ptactwo przylatywało z południa...

Wyprawa na Węgry, pod jakąś niedobrą wróżbą, którą czuli wszyscy, choć nikt się do tego nie przyznawał, wyruszyć miała z Nowego Sącza... Tu wszyscy na króla oczekiwać mieli, który w części dla przyjęcia posła papieżkiego, w części dla niewytłumaczonego jakiegoś ociągania się, którego sam sobie nie tłumaczył, bawił jeszcze z bratem w Krakowie.

²...nie utonął jednak nikt, dziewczęta się na sanie przesiadły, korona ocalała — Opowiadanie własne Kottanerin służy za podstawę. (przyp. aut.) [przypis autorski]

W chwili gdy już miał kraj opuścić, chociaż rycerska ochota ciągnęła go, żal jakiś, tęsknota i niepokój wstrzymywały.

Dwaj bracia, choć parę lat wieku ich rozdzielało, zrosli tak byli z sobą razem, nigdy prawie się nie rozstając, nawykli do jednych zabaw, wspólnego życia, że teraz na myśl rozdziału obu im lzy prawie mimowolnie wilżyły oczy...

Tysiąc rzeczy mieli do powiedzenia i do polecenia sobie.

Władysławowi ani Tarnowscy ukochani, ani inni towarzysze nie mogli zastąpić brata. Kaźmirz czuł się także sierotą bez niego...

Jego miano wyprawić na Litwę, w której się wszystko burzyło, gdzie go czekali za-zdrośni i niechętni.

Lecz matka rozkazywała, kraj tego po nich żądał, wiedzieli zawczasu, iż ich dostojność wielka była największą niewolą.

W Sączu oczekiwała już na nich matka, która wyprzedziła Władysława, aby go tam pożegnać raz jeszcze, biskup Zbyszek, całe grono panów, którzy mieli pozostać, i tych, co mu towarzyszyć mieli...

Z widocznem ociąganiem się Władysław ruszył z Krakowa... W progu obejrzał się na stare zamczysko... to gniazdo w którym zrosł; potem szedł na Wawel pomodlić, potem pięknego dnia wiosny, z małą garstką, wyjechali tak smutni, jakby się dla nich młodość na progu skończyła...

Grzegorz z Sanoka towarzyszył też królowi. Miał on prawdopodobnie powrócić jeszcze do Krakowa, ale i ten jechał pograżony w jakichś przeczuciach czarnych. U wrót zamkowych stali ludzie, pragnący raz jeszcze zobaczyć młodego króla. Tu stała i pani Frączkowa z matką...

Mistrz jadący w orszaku, opuścił go na chwilę i zbliżył się do nich... On, im był smutniejszy, tem zawsze mniej z ludźmi dzielił się tem, co mu dolegało. Uśmiechał się.

— Spodziewam się — rzekł z udaną wesołością do kobiet, które chustki przy oczach trzymały — że z Węgier gościńca przywiozę pięknego. Ludzie głoszą, że tam się drogie kamienie po gościńcach walają!!

— Wracajcie tylko sami, cali i zdrowi! — zawołała Balcerowa, córkę wyręczając — a już gościńca od was nie zażądamy.

— Bóg łaskaw!! — rękę wyciągając dodał mistrz, i skinąwszy orszak już oddalający się napędzać musiał.

Nie był on przesądnym wcale, naówczas jednak nawet umysły tak jasno widzące jak jego, ulegały temu powszechnemu przekonaniu, iż Opatrzność ostrzega człowieka, gdy mu grozi niebezpieczeństwo...

Rzadko tyle się razem zbiega złych wróżb, jak przed tą królewską podróżą. Nie było prawie dnia, nie było przy wyborze wypadku, któryby się nie odznaczył jaką przeszkodą, zawadą, groźbą.

Konie króla chorowały, ludzie mieli przeczucie jakieś i wymawiali się od służby, nikt nie szedł ochotnie... Smutek ciążył na wszystkich... Zaledwie wyjechawszy z zamku król z bratem, postrzegł zdaleka ciągnącą na wozie trumnę, która mu drogę przejechała. Nie uszło to bacznosci towarzyszków jego. Wprawdzie, wedle ludowych przekonań, trumna i pogrzeb nie rokowały nic złego, lecz wrażenie czyniły przykre. Ani król, ani Kaźmirz nie rzekli słowa, udali jakby nie widzieli... Nie spieszo też wcale...

Pierwszego dnia zaledwie dojechawszy do Wieliczki, Władysław stanął tam i zatrzymał się.

Zapomniano relikwii, które miał król wziąć z sobą i posłano po nie do Krakowa...

Drugiego dnia nocowali w Niepołomicach, tu napędził ich komornik z relikwiarzem... Ulubiony sokół Władysława zachorzał i zostawić go musiano. Ze zwieszoną głową, z najeżonemi piórami, nie chcąc jeść, siedział jakby czekając śmierci.

Królowi tak go żal było, że ztąd wyjazd do Bochni przyspieszył.

Czwartego dnia znaleźli się w Sączu, który podobniejszy był do wielkiego obozowiska, niż do małego miasta...

Spodziewano się jednak daleko większego zjazdu. Na zamku dowiedział się Władysław, że bardzo wielu z tych, którzy mu towarzyszyć mieli, dotąd nie przybyli. Brakło tych prawie, na których najwięcej rachował. Królowa i biskup obstawali przy tem, aby poczet

był jak najświetniejszy, a ci co mu dodać mieli blasku, właśnie dlatego, iż się kosztownie sztyftowali, gotowymi na czas nie byli.

Władysław niemal był rad zwłoce... tak mu się kraju opuszczać nie chciało; ale królowa matka, widząc to, wesoło, natarczywie budziła w nim męztwo i ambycję.

Nie dano zresztą królowi myśleć o sobie... narzucano mu wyznaczenie rządców, kasztelanów po grodach, towarzyszków i opiekunów dla brata.

Władysław losem Kazimierza gorliwie się zajmował i to jedno go żywiej obchodziło. O Węgrzech nie mówił, a gdy zagadywano, odwracał rozmowę.

Wyposażenie brata, koszta ogromne podróży, obowiązek pomagania rycerstwu, które z nim szło do Węgier, zmusiło króla — przy wyczerpanym skarbie — zaciągnąć wielki dług u biskupa krakowskiego, który zastawem wziął ziemię Spiską.

Szemrano na to...

Układy, przygotowania, oczekiwanie na spóźnionych panów, przeciągnęły pobyt w Sądzu aż do czwartku przed Ś. Wojciechem.

Chociaż brakło jeszcze bardzo wielu z rycerstwa, dłużej już na nich oczekiwać nie było podobna...

Ci, którzy się opóźnili, mieli króla dognać na Węgrzech.

Pomimo to dwór i wojsko, które miało przekroczyć granicę, było tak świetnem, pięknem i takim duchem ożywione, że wobec rycerstwa chrześcijańskiego wszech krajów Europy, na równi z nimi stanąć mogło.

Co było zacofanego, uboższego, mniej wytwornie uzbrojonego, pozostawało w kraju. Kwiat i wybór wychodził z młodym panem.

Smutne było pożegnanie: król ukląkł przed matką aby go pobłogosławiła, uściskał brata i milczący poszedł dosiąść konia, który, zwykle łagodny i spokojny, zbliżyć się do siebie nie dawał.

Wszystko to miało w uroczystej chwili znaczenie...

Niewesoła była podróż do węgierskiej granicy i Kieszmarku, gdzie na opóźnionych oczekiwać miano... Tu Szymon Rozgon biskup jagierski, który świeżo opanował dla młodego króla i osadził Preszów, przybiegł witać w poczcie znacznym węgierskich panów.

Ten pierwszy dowód, iż wybrany miał przyjaciół, którzy go wszelkimi siłami na tronie utrzymać postanowili, jeżeli nie dla Władysława, to dla biskupa Zbyszka i innych był wielce pocieszającym.

Grzegorz z Sanoka, który starał się odgadywać uczucia, jakie króla ożywiały, nie dostrzegł w nim ani radości, ani nawet młodzieńczego ożywienia. Jak gdyby przeczuwał, co go czekało był ciągle pogrążony w sobie i milczący.

Dla Węgrów potrzeba się było zatrzymać w Kieszmarku i dla naganających pocztów. Przez cały ten czas młody pan, posłuszny skinieniom biskupa Zbyszka, obracał się, wychodził, mówił co mu doradzono, ale nie dał znaku własnej woli...

Drugiego dnia wieczorem, gdy się opóźnionych spodziewano, a szczególnie marszałka Ryterskiego, którego król z sobą mieć żądał, i Mikołaja z Szarleja, niespodzianie zjawił się poczet Litwinów. Ci dniem i nocą gnali za Władysławem, aby u niego się dopraszać wysłania co najrychlejszego brata Kazimierza na Litwę.

Wyjazd ten już był postanowiony, ale Litwini: Andruszko, Dowojna i Raczko, chcieli jak najprędzej mieć księcia, aby Michał nie zasiadł się w Wilnie. Malowali oni nierozważnie, gadatliwie stan Litwy tak groźnym, rozdwojenie, wojnę domową, tak niebezpieczeństwem brzemienne, że nawet biskup Zbyszek na chwilę się uczuł tem zaniepokojonym.

Grzegorz z Sanoka miał sobie izbę wyznaczoną nieopodal królewskiej, i zdziwił się, późno w noc widząc Władysława, który już był suknie z siebie zrzucił, w jednym kaftanie, wchodzącego do ciasnej komory, jaką zajmował.

Chmura jeszcze widoczniejsza niż zwykle okrywała czoło młodego pana.

— Cóż ty na to wszystko? — odezwał się od progu. — Nieprawdaż, mistrzu Grzegorz, że uczynilibyśmy oba lepiej zawracając nazad do Krakowa!! Zważ, proszę, na Litwie się burzy wszystko, tam potrzeba kogoś... a mnie ślą na zdobycie królestwa nowego, w którym się nie utrzymam?... Wierzę w rozum i radę zawsze zdrową biskupa Zbyszka, ale w tem go nie poznaję. Kazimierz sam na Litwie, nawet z pomocą dodanych mu,

trudnoby sobie poradził... Młody jest i dobry. Nasby tam dwu nie było za wiele... Mam ochotę rzucić tę całą wyprawę, a! i powrócić do Polski.

Oczy mu błysnęły.

— Do Polski! do Krakowa! Po co mam wydierać królestwo cudze, gdy we własnym tyleby było do czynienia! — dodał król, ręce ściśnięte zwieszając.

— Miłościwy panie — rzekł odwracając się ku niemu Grzegorz. — Wszystko to prawda, ale przychodzi za późno. Litwie, dla Boga, żadne nie zagraża niebezpieczeństwo...

Zmarszczył się król słuchając.

— Nie o Litwę idzie — dodał mistrz — ale wam srodze żal Krakowa!

— A! tak! i z tem się nie taję przed tobą — rzekł Władysław porywczo — a sądzę, że i drudzy to rozumieją. Tak jest! tęskno mi za Krakowem... Jam tu obcy... a nawet ten tak przyjazny biskup Szymon, co zajął Preszow dla mnie, nie tai, że mnie tu bój i walka czeka. Królowa ma Niemców, ma cesarza za sobą, Czechów i znaczną część węgierskich magnatów.

— A znaczniejszą jeszcze — odezwał się Grzegorz — wy, miłościwy królu mieć będziecie, bo ich pozyskanie łatwo. Cofać się za późno! Ja tak, jak wy, więcej czuję wstrętu niż powołania do tego zdobywania Węgier, lecz wrócić zawsze czas będzie. Teraz wyprawa postanowiona, pierwsze kroki uczynione... jesteśmy już na tej ziemi. Ludzieby tłumaczyli obawą powrót do Polski.

Władysław poruszył się cały.

— Obawą! Ja się nie lękam niczego — zawołał dumnie — oprócz bym przeciwko sumieniowi własnemu nie wykroczył!!

Grzegorz stał milczący, król przeszedł się po małej izdebce.

— Masz słusność — rzekł — rycerzowi nie godzi się dać posądzić nawet, że się uląkł czegokolwiek... Zwyciężywszy nieprzyjaciół, rzucę im to królestwo pod nogi... z ich królową razem.

Z gorącą jakąś wyrzekł to młody pan i jeszcze raz powtórzył:

— Mogliby to tłumaczyć obawą!! Musimy więc iść — dodał wzdychając.

— Miłościwy panie — szepnął Grzegorz — idźmy tylko z temi uczuciami, jakie dziś masz, a nie uczynimy nic przeciwko sumieniowi...

Węgry oddały ci się, bo się czują zagrożone, bo Niemców nad sobą mieć nie chcą; zaufaniu ich i miłości trzeba odpowiedzieć... ofiarą.

— Wielką i gorzką ofiarą — dodał król. — Jutro rada... spodziewam się mieć za sobą ludzi, których o strach posądzić nie będzie można... Będę milczał... lecz jeśli oni postanowią, że Polsce naprzód służyć nam należy, posłucham ich z radością i... powrócę.

Na samą tę myśl powrotu, twarz piękna króla rozjaśniła się.

— Mistrzu mój! — westchnął — a! gdyby wrócić było można...

Nie mówili więcej.

Nazajutrz Zbyszek biskup przyszedł króla wziąć na radę. Oprócz niego znaleźli już zgromadzonych w dolnej sali: Jana z Tęczyna krakowskiego wojewodę, Przedbora z Konicpola, Wincentego z Szamotuł, Piotra ze Szczekocin, Rafała z Obidzowa, Hinczę z Rogowa i innych.

Dowojna ze swym towarzyszem znajdowali się tu także, wywodząc już żale nad stanem Litwy i konieczność szybkiego ratunku.

Król wszedł poważny nad wiek, milczący i zajął miejsce swoje...

Zamilkli wszyscy, spodziewając się, że Zbyszek zagai to posiedzenie, gdy król po małej chwili odezwał się sam.

— Czynień was sędziami tego, co najpilniejszym mi się widzi. Sądziłszy, że wybór był zgodny; tymczasem widzimy już coraz dobitniej, że królestwa i korony orężem się dobijają potrzeba. Nie lepiejżeby było zaczekać, aż się Węgrowie zgodzą i wybór ten uznają, a teraz powrócić do Polski?

Spojrzał po przytomnych, którzy czas jakiś milczeli. Marszczył się biskup krakowski.

— Zaprawdę nie będę taił — wtrącił Jan z Tęczyna — że ja zupełnie podzielam to zdanie... Czekaj nas tu wojna... a król, co przelewając krew przyszłych poddanych, dobijając się musi panowania...

Nie dał mu dokończyć biskup krakowski.

— Garść warcholów jest przy królowej, wszystko co zacniejsze z nami!! — zawołał. — Mam ufność w Bogu, że tak jak Preszow się poddał, inne miasta przyniosą nam klucze... Szymon biskup jagierski ręczy nam za to...

Za biskupem zaczęli odzywać się inni, potakując mu i twierdząc, że cofać się byłoby sromem i zawodem uczynionym narodowi, który Polsce i królowi jej zaufał.

Jeden tylko wojewoda krakowski i Przedbor z Koniecpola, z królem trzymali. Władysław, raz wypowiedziawszy myśl swoją, nie odzywał się więcej. Słuchał dając tylko oznaki, iż mimo zdania większości, on zostawał przy swoim... Rada przeciągnęła się długo, na ostatku stanowczy opór biskupa Zbyszka zamknął ją postanowieniem, że na Węgry cześć i dane słowo iść zmuszało... Sędziwój z Ostroroga, wojewoda poznański, poparł to zdanie, Jan z Tęczyna i Przedbor z Koniecpola umilkli. Król powstał nie odzywając się już i salę obrad opuścił.

Zatrzymano się jednak przez dni kilka następnych w Kieszmarku. Szło o powierzenie zamku i miasta Polakowi lub Węgrowi. Panowie polscy raili Dzierżka z Włostowic, biskup Szymon Węgra Mikołaja Peren, za którego ręczył. Król rozstrzygnął za ostatnim, znajdując, że nieznanemu kraju, choćby najdzielniejszemu rycerzowi, tak ważnego grodu dawać nie było można.

W dzień Ś. Floryana, patrona Krakowa, ruszył wreszcie król z obozem i dworem z Kieszmarku, tak ponury i milczący jak tu przybył, smutniejszy może jeszcze...

W Sobinowie powolny pochód musiał się znowu zatrzymać, bo tu króla napędził poseł nowo obranego papieża Feliksa V., chociaż Eugeniusz IV. żył i panował na Apostolskiej stolicy. Zdawało się, że co krok nowego coś opóźnia naumyślnie dalsze posuwanie się w głąb kraju...

W Preszowie obchodzono uroczystość Ś. Stanisława. Tegoż dnia niesłychanej wielkości grad spadł na obóz królewski, co w umysłach, już potrwożonych, nową było przepowiednią złowrogą. Mnożyły się te oznaki...

Dwór króla pragnąc go rozerwać, nazajutrz po drodze do Rozgonu, namówił Władysława, który myśliwstwo z sokoły lubił, aby z niemi na kaczki zapołowiał...

Ten, który pierwszy myśl tę poddał, ulubiony królowi pisarz jego Jan syn Sęka z Sennowa, puścił się zapalczywie za sokołami ku rzece... i utonął.

Nie śmiano dać o tem znać królowi, który był do niego przywiązany, lecz i zataić nie było podobna... Musiano się zatrzymać po drodze w Wisdowie dla uroczystego pogrzebu, na którym smutniejszy niż kiedy król sam się znajdował...

Z każdym dniem pochód się stawał mniej wesołym, a wszyscy mimowolnie czuli się ogarnięci jakąś trwogą i niepokojem. Jednym, co nigdy żartować i drugich rozśmieszać nie przestawał, był znany z niewyczerpanego humoru swojego Wincenty z Szamotuł kasztelan międzyrzecki.

Poważny mąż, wieku już dojrzałego, sam nie śmiejący się nigdy, odwagi i zimnej krwi niczem niezamąconej nigdy, kasztelan miał taki sposób wyrażania się, że najsmutniejszych pobudzał, choć chwilowo, do uśmiechu. Dodawano go też królowi do boku, aby czasem rzuconem słówkiem, młodego pana rozchmurzył; lecz i to niewiele pomagało.

Droga wiodła do Budy, której wprędce spodziewano się dosięgnąć, gdy nadchodzące wieści o wyprawie hr. Cilly z poczem zbrojnym dla opanowania jej, między Węgrów towarzyszących królowi popłoch rzuciły.

Szymon biskup jagierski, Wincenty z Szamotuł, Jan z Sienna Wojnicki, Andrzej z Tęczyna i znaczny poczet Węgrów, musiał poskoczyć przodem, aby się o posiadaniu Budy zapewnić.

Nie było tak dnia prawie bez jakiejś wieści zatrważającej, przeszkody, zwłoki i powodu do zniechęcenia. Król znosił to cierpliwie, lecz wszyscy widzieli, że coraz bardziej pogrążony w sobie jechał jakby zmuszony tylko...

Jeden Grzegorz z Sanoka, któremu się zwierzał, wiedział co cierpiał i jak mężnie to znosił.

Pozostali przy nim panowie węgierscy mówili ciągle i gorączkowo o natychmiast mającej w Budzie nastąpić koronacji, przekonani, iż uroczysty ten obrząd młodego króla węzłem nierozzerwanym z krajem połączy...

W wigilią Zielonych Świąt, przybył Władysław do Eger i stanął na zamku... Tu, jak wszędzie po drodze, znaczny poczet magnatów wystąpił na powitanie; lecz pomimo wysiłku ich, aby okazać radość, Grzegorza z Sanoka, równie jak innych, uderzyła ta okoliczność, iż wszyscy byli pomieszani wielce i jakby gniewni.

Pomiędzy przybyłymi a temi, których na zamku zastali, wszczęły się szeptaki jakieś, i najmniej wprawne oko dostrzedz mogło, że jakaś zła wieść wszystkich strwożyła.

Grzegorz z Sanoka domyślał się najgorszego, to jest zajęcia Budy przez hr. Cilly, gdy, nieco już z językiem Madziarów oswojony, bo miał wielką łatwość wyuczenia się każdej mowy, usłyszał coś o koronacyi... Jeden z panów węgierskich, z którym się poprzyjaźnił w podróży, zaledwie się na zamku rozłożyli, wpadł do niego blady, z zaciśniętymi pięściami.

— Widzę, że się coś stało znowu dla nas niepomysłnego — odezwał się Grzegorz do niego — mówcie otwarcie, abym w potrzebie króla do tego przygotował.

Węgier ręce podniósł do góry i począł z żywością krwi swej właściwą, krzyczeć na głos cały.

— Stało się, stało się to, czego nikt na świecie spodziewać się ani przewidywać nie mógł... Słuchajcie!! Ten, co opowiada, wie to od naocznego świadka! Królowa Elża wykradła koronę węgierską i dwanaście niedziel zaledwie mające dziecko w Białogrodzie ukoronowała. Łotr ten kardynał Dyonizy Szeii, dopełnił obrzędu! Za dziecko przysięgał hr. Cilly!! Ale co warta koronacya ta i przysięga... zdepczemy ją nogami!!

Węgier był wściekły. Grzegorz z Sanoka przyjął nowinę, myśląc o królu. Wykradzenie korony, ukoronowanie pogrobowca, dozwalało Władysławowi cofnąć się...

Zawahał się, czy ma z tem iść do króla, czy zdać na innych oznajmienie mu o wypadku, gdy już komornik wołał go do niego.

Z rozpromienioną twarzą stał młody król w otwartym oknie.

Był sam, gdyż wiadomość o koronacyi wszystkich od niego odciągnęła. Szli rozpytywać, radzić. Polacy byli oburzeni, Węgrowie miotali się z gniewem wielkim, odgrażając na sprawców, a szczególnie na Garę, któremu straż korony była powierzona.

— Mistrzu Grzegorzu! — zawołał zobaczywszy go król, prawie wesoło. — Widzi mi się, że na ten raz już nas Węgrowie puszcza, bośmy im niepotrzebni... Mają trzymiesięcznego króla ukoronowanego, a korony, gdyby mnie chcieli wieńczyć, nie dostaną, bo ją królowa wykradła!

Z dziecinną prawie radością mówił to król. Grzegorz stał, jak zwykle, dosyć chłodny.

— Dlaczego się ty nie cieszysz ze mną? — począł Władysław. — Jawna rzecz, że zręczna pani... do tronu mi drogę zaparła, za co jej wdzięczny jestem. Możemy teraz powracać...

Na te słowa wszedł Jan z Tęczyna, który w Kieszmarku głosował za powrotem do Polski, mocno zarumieniony i wzruszony a gniewny.

— Nie! powracać już nie czas. Można było odepchnąć ofiarowaną koronę, ale dziś zagrabioną musimy dla czci waszej odzyskać. Jestem przekonany z tego com słyszał i widział — dodał Tęczynski — że to co w przekonaniu królowej tobie panie przeszkodzić miało, pomoże właśnie i przyjaciół ci zjedna.

— Wojewodo — odparł Władysław — wiecie dobrze, iż ja korony tej nie pragnę...

— I możecie się jej zrzec — dodał Jan z Tęczyna — ale dziś ją odzyskać należy...

Drzwi stały otworem, towarzyszący królowi Marzellim wszedł z twarzą zaognioną, bijąc się ręką po piersi.

— Na naszą cześć nastąpi królowa — zawołał — tak jak wprzódy na wolność naszą nastawała! Ale Magyrowie nie dadzą się ani z niepodległości i prawa rozporządzania swym losem, ani ze czci ogołocić. Tego, któregośmy obrali, ukoronujemy! Koronę odzyskamy, choćby Wyszehrad przyszło w przynę i kupę gruzów obrócić!

Tuż za Marzellim szli już inni panowie węgierscy, tłumnie, gwarno, zapominając niemal o czci królowi należnej, tak byli rozpaleni gniewem i zagrzani zemstą.

Wszyscy powtarzali za nim:

— Igraszkom kobiecym nie ulegniemy! kardynał arcybiskup odpowie nam za to! Gara głowę dać musi! Cillym sobie przewodzić nie damy...

Król w milczeniu, poważnie przyjął te wszystkie oświadczenia, ani dziękując za nie, ani objawiwszy co myślał.

Nierychło w noc cokolwiek się na zamku uspokoiło. Władysław, który się spodziewał, że koronacya pogrobowca zmieni zdanie biskupa Zbyszka i Rady, przekonał się, iż wszyscy zgodnie głosowali za tem, aby nie ustępować.

Grzegorz z Sanoka, który się już był do swojej izby wycofał, dumal jak się to wszystko skończyć może, życząc dla młodego pana, aby mógł pożądaną odzyskać swobodę. Królestwo to wkładało na niego kajdany... i dotąd poilo tylko goryczą. Ten sam Węgier, który mu przyniósł pierwszą wiadomość o koronacyi, wszedł już uspokojony nieco, ale bardziej zasepijony niż kiedy, zwierając się, iż przybyły ktoś z Budy powiadał, jakoby palatyn Wawrzyniec wzdrażył się z poddaniem zamku w Budzie, stawiając warunki, których w żaden sposób przyjąć nie można było.

Cierpliwy zawsze mistrz Grzegorz, usłyszawszy to, wybuchnął nareszcie.

— Zaprawdę — rzekł — czci to wam nie czyni, żeście nas tu ściągnęli obietnicami, których dotrzymać nie umiecie... Prędszej królu i w nas co go miłujemy, obudzicie niechęć niż życzliwość takim postępowaniem. Daliście nam koronę, której, jak się okazuje, nie mieliście; złudziliście obietnicami, nie mając mocy ich dotrzymać. Sami sędziami bądźcie...

Węgier pochwyił za rękę mówiącego.

— Czekaj — rzekł — przekonacie się, iż to cośmy postanowili, spełni się. Chytrność niewieścia i przewrotność ludzka stanęły nam na przeszkodzie, lecz... pogrobowiec panować nie będzie!!

To mówiąc wybiegł Węgier.

Co się działo pomiędzy magnatami, którzy się zamknęli osobno i długo wrzawliwie naradzali, a potem nocą kilku z pomiędzy siebie do Budy wysłali, w obozie polskim nie wiadano.

Niewzruszenie tylko głożono, iż we czwartek po Zielonych Świątach król musiał uroczysty wjazd odprawić do Budy...

Z Grzegorzem młody pan unikał rozmowy w ciągu tych dni, twarzą i postępowaniem okazując, iż ulega konieczności, nie zmieniając zdania swego. W oczach malowało się znużenie, obrażona duma i niecierpliwość...

Zapowiedziany wjazd uroczysty nie nastąpił wprzód aż w sobotę, w wigilią Ś. Trójcy, gdyż z palatynem Hedrewarą potrzeba się było jeszcze o wydanie zamku układać. Oczekiwał król na to do soboty i dnia tego dopiero statkami wraz ze dworem swoim popłynął Dunajem do Budy.

Na Sykańskiej górze czekały na niego konie i ludzie przodem wysłani.

Miasto całe wysypało się na przyjęcie wybranego, i chwila ta mogła choć w części nagrodzić wszystko, co Władysław doznał w tej nużącej podróży. Zakony, duchowieństwo, mieszczenie, chorągwie kościołów i cechów wystąpiły na powitanie... Tłum niezliczony okrywał przyległe wzgórza i ulice do Zygmuntońskiego zamku wiodące...

Władysław zsiadł z konia dla ucałowania relikwii i krzyża, skinął okrzykującym go ludowi i dosiadłszy konia znowu, jechał w ogromnym orszaku na zamek...

W bramach miasta na trzy oddziały podzieleni stali ci, których król przodem wysłał przed sobą dla zajęcia Budy. Pierwszy z tych, w pełnych zbrojach, składał się z wyboru najprzedniejszej szlachty i panów, drugi z towarzyszków ich, także uzbrojonych, z kuszami, trzeci z samej młodzieży w szyszakach, z tarczami ozdobnemi i dzirydami.

Wszyscy oni pokłękawszy przed królem, cześć mu oddali.

Przez otwarte na oścież wrota do zamku w Budzie, wspaniale przez cesarza Zygmunta przebudowanego i ozdobionego, wjechał Władysław w orszaku panów swych i rycerstwa, na przyszlą stolicę...

Z okrzyków tłumu, z nacisku magnatów węgierskich, z oznak poszanowania wnosząc, można było rokować, że młodego króla witano tu jako pożądanego opiekuna i obrońcę, przynoszącego państwu pomoc i sojusz rycerskiej Polski. Lecz baczniejsze oko, przenikliwszy umysł, który mógł przebić powierzchowne osłony, dojrzał za nimi łatwo zmącone dno niezgłębionych, tajemniczych ciemnic.

Na wszystkich tych dumnych twarzach magnatów i wojowniczych nawet biskupich obliczach, bo tu pasterze często jeszcze pod rozkazami mieli pułki i dowodzili oddziałami, można było czytać więcej rozdrażnienia, namiętności, niepokoju, niż radości.

Grzegorz z Sanoka, który za dziekanem Lasockim jechał w orszaku króla, nie mógł się oprzeć temu wrażeniu i szepnął po polsku do niego:

— Zaprawdę, wspaniałe to i piękne, lecz za wierność tych, co nas otaczają, nie chciałbym ręczyć. W oczach wielu błyska niechęć i grozi zdrada!!

— Wszyscy to widzimy z wami zarówno — odparł Lasocki po cichu — lecz ufamy w Boga, że większość będziemy mieli za sobą, a ta garści warcholów i przekupionych przez wdowę Albrechtową, nie da nam nic uczynić złego! Wszelako na wojnę się gotować potrzeba.

Z tem uczuciem i król i wszyscy wjechali na zamek do Budy... Cel zdawał się osiągnięty, bo tu już natychmiast wołać poczęto o koronację, aby dopełnieniem jej okazać, że pierwsza na pogrobowcu spełniona, żadnej wagi nie miała.

Władysław w ciągu podróży, odbytej z Krakowa do Budy, jak się Grzegorz mógł przekonać z niewielu słów, które miał czas usłyszeć od niego, cudownym niemal sposobem dojrzał i spoważniał.

Wszystkie te przeciwności i wróżby, jakie spotkał na drodze, walka, na którą był wystawiony, nietajone mu przez biskupa trudności i zawady jakie miał do przełamania, podziały na niego potężnie.

Z chłopięcia i młodzieńca stał się mężem. Dzieją się takie cuda, i wypadki są czasem czarodziejską różżką, która otwiera źródło myśli...

Na smagłej a teraz trudem wewnętrznym duszy sposepniałej twarzy króla, widać było, iż pracował nad sobą, stał na straży każdego słowa swego i postępków...

Tysiące też oczów wpatrywało się w te jego rysy tajemniczo przysłonione, aby w nich wyczytać, co na przyszłość obiecywały...

Nawzajem król, mało się wywnętrzając, pragnął odgadnąć na kogo tu mógł rachować.

W tem Grzegorz z Sanoka był mu pomocą wielką, bo miał większe ludzi doświadczenie i daleko lepszą zręczność przysłuchania się między swojemi i obcemi, co o kim trzymano.

Mistrzowi zaś bystry, przenikliwi a zawsze wesół i tą wesolością napozór lekkomyślną umiejący się wszędzie wcisnąć, Wincenty z Szamotuł dostarczał wielu postrzeżeń. Ponieważ wprzód był wysłany do Budy i miał tu czas zabawiając się, o ludzi ocierać, o każdym z magnatów miał już pewne dane i poczynione postrzeżenia...

— Nie rozpaczam — mówił tegoż wieczora Wincenty — że my ich powoli sobie zjednamy, ale z wyjątkiem kilku, na których dziś już rachować można, bo wiedzą, że się od wdowy przebaczenia spodziewać nie mogą, za resztębym złamanego nie dał szeląga. Ale jak jest, to jest, pewna, że liczba zwolenników naszych urasta z dniem każdym... Siła ma też swój urok, a nie ulega wątpliwości, żeśmy silniejsi.

Cesarz dla swojego krewniaka pogrobowca, nie poruszy ani wojska, ani da pieniędzy. Królowa ostatkami goni.

— Nie mówcież tego królowi — przerwał Grzegorz z Sanoka — bo i tak się on nad losem jej użala. Cześć nie dozwala mu się cofać, lecz wiem to od niego, iż gdyby mógł, rychlejby wdowie i jej dziecku pomógł, niż z niemi wojował...

— Wojowanie to pono nie potrwa długo — odezwał się Wincenty z Szamotuł. — Powiadałem, że Elża ostatkami goni i wiem to od Węgrów, którzy są o każdym jej kroku uwiadomieni, że koronę mniejszą królowych zastawiła cesarzowi w kilku tysiącach czerwonych złotych, za które w Czechach i po Niemczech robi zaciągi, ale to wysiłek ostatni...

Po przybyciu do Budy, nie było prawie chwili spoczynku, tak wiele rzeczy do spełnienia zostawało. Biskup Zbyszek wziął na siebie wprawdzie największą część spraw drażliwych, lecz i młody król obcym temu, co go tak blisko obchodziło, pozostać nie mógł.

Przychodzili magnaci, biskupi, wojewodowie, banowie, wielkorządcy ziem do Węgier należących, oddawać mu hołdy i pokłony, a raczej wypatrzyć zawczasu, czy miał dosyć silną dłoń, aby ich utrzymać w posłuszeństwie.

Nie zbywało na dworze i owych dwulicowych postaci, które królowa Elża wysłała, aby w obozie nieprzyjacielskim mieć ucho swoje i oko.

W przededniu wjazdu, jednego takiego człeka, któremu się obelżywe słowo wyrwało, pod zamkiem rozsiekano...

Wincenty z Szamotuł utrzymywał, że z dobrych ust miał, jakoby zabójcę wysadzonego, co króla przed koronacją z polecenia Cillych chciał zamordować. Lecz wojewoda się śmiał z tego, bo młody król był ciągle otoczonym rycerstwem, które nad nim dzień i noc czuwało, a Zbyszek biskup sam uprosił go, aby do czasu pod kaftanem koszulkę drucianą nosił.

— Strachy to być mogą próżne — mówił biskup — lecz ostrożność nigdy nie jest zbyt dużą.

Na zamku wrzało i kipiało... Zjeżdżali się wszyscy dostojnicy państwa, urzędnicy wielcy, biskupi, a Władysław król z własnej woli zapewnił i obstał przy tem, aby wszystkim nieprzyjaznym sobie, gleyty były wydane, poręczające bezpieczeństwa osób...

Był to najlepszy sposób zbliżenia się i przejednania, chociaż zwolennicy króla magnaci, w myśli mieli użyć go podstępnie na pozbycie się swych przeciwników...

Wśród tego natłoku panów, którzy już od blisko pięciuset lat do świata chrześcijańskiego należeli, widać i czuć było plemię ze wschodu przybyłe i osiadłe, ze krwią gorącą i obyczajem, którego kilka wieków złamać nie mogło ni poskromić.

W tym wieku nawet, który w ogóle bujniejszym był i sprzeczności a wybuchów pełnym, Madziarowie Polakom wydawali się namiętniejszymi i gorętszymi, niż oni sami byli. Co chwila jakiś zuchwały wśród narad występował wniosek, który hamować musiał Zbyszek i polscy panowie. Panowie węgierscy zjednoczenia i uspokojenia chcieli dokonać siłą, polscy i król szczególnie, łaskawością i dobrocią.

Zgadzano się pozornie, ale Węgrowie w duszy pozostawali przy swych przekonaniach...

Wśród tych wielu przybyłych tu Taloczków, Peren'ych, Orszagów, Palouczów, Czakich, uderzał wybitną swą osobistością jeden mąż szczególnie, już wslawiony zwycięstwami, którego postać rycerska, pełna szlachetnej powagi, odznaczała się bohaterskim jakimś majestatem.

Chociaż nie ubiegał się o okazanie swojego znaczenia i wpływu, widać było, że go uznawali wszyscy. Oglądano się na niego.

Mężem tym był Jan Huniady, który młodemu królowi i panom polskim, przy pierwszym spotkaniu, wydał się jakby głową i wodzem wszystkich. Wiedzano w polskim obozie, iż zdanie jego przeważało przy wyborze Władysława. Przy rozprawach i układach terazniejszych, Huniady nie występował czynnie i widocznie, był przedewszystkiem żołnierzem i dowódcą, zdala tylko patrzył na zabiegi duchowieństwa i świeckich ludzi, mając ich na oku.

Jednego dnia, gdy się właśnie najgorętsze o przyszłą koronację Władysława toczyły rozprawy, Huniady z rana wszedł do króla, który oddawna zbliżyć się do niego pragnął.

Z zaufaniem i współczuciem jakimś młody pan się zbliżył do niego, domyślał się w nim jednego z tych ludzi, z którymi sercem otwartem mógł się rozmówić.

Długie milczenie serce mu ugniatało, młoda pierś z trudnością znosi zamknięcie...

Byli sami. Grzegorz z Sanoka znajdował się opodal nieco, umyślnie usunąwszy się, aby poufnemu zbliżeniu się ich nie przeszkadzał.

Huniady przystąpił z twarzą wesołą i jasną, spodziewając się może, iż w młodym panu znajdzie niedojrzałe pacholę, które lada czem zabawić potrzeba.

— Miłościwy panie — rzekł — spodziewam się ja i wszyscy, co cię tu witamy sercem wielkiem, że i kraj nasz i ludzie podobać ci się będą? Jest-że na świecie piękniejszy? A jeszczeście wszystkich jego cudów nie oglądali!

— Kraj piękny — odpowiedział Władysław smutnie i poważnie — lecz wierząc mi panie, że najpiękniejszy zawsze człowiekowi ten, w którym się on urodził... Gdybyście wy nasze lasy, drzewa i rzeki widzieli!

— Węgry przecie musicie sobie jako ojczyznę przyswoić i ukochać — rzekł Huniady.

— Tak... ale na to czasu potrzeba — odezwał się król powolnie — a przyznacie mi, iż dotąd więcej wygląda kraj ten jako zdobycz, o którą wojować potrzeba, niż jako podarek.

Jechełem tu w innej nadziei, z myślami innymi, przyznam się wam szczerze. Sądziłem, że zgodnie pożądalście mi oddać koronę, a ja o nią z wdową i sierotą walczyć jeszcze muszę.

— Wy nie, miłościwy panie — rzeki Huniady — my dla was... Niestety! zgoda u ludzi, w rodzinie, w domu rzadka, cóż dopiero w kraju takim... w takie czasy!!

Westchnął podnosząc wzrok na Władysława, który słuchał go uważnie i bacznie, tak, że do mówienia wyzywać się zdawał.

— Królów korony i dostojęstwa są ciężarem, miłościwy panie — mówił Huniady — i myśmy wiedzieli, że nielekką korona św. Szczepana dla was będzie, ale ją okryjecie sławą i chrześcijaństwu się zasłużycie. Wdowa i sieroty nie mogą wchodzić w rachunek, gdzie o losy narodu chodzi. Cóż znaczą prawa rodu w obec praw narodu?

Nie chcieliśmy i nie chcemy panowania wdowy po Albrecie, bo nam tam groziły frymarki niemieckie ziemią naszą; krajanie jej dla potomstwa, rozdawanie na posagi...

Kto wie jakie kalectwo dla miłości cesarzów...

My nasz kraj, da-li Bóg rozszerzać pragniemy, ale ani piędzi jego nie damy oderwać.

Huniademu oczy czarne zaświeciły, podniósł głowę.

— Wybraliśmy was miłościwy panie, jako młodego rycerza krwi dzielnej, bo nam i dłoni młodej i serca potrzeba, a w królu wodza i żołnierza...

Poganie leją się z Azji na kraje nasze i sąsiednie, my murem tu stać musimy, aby krzyża nie obalili i Europy nie obrócili w perzynę.

Nie skarżcie się miły panie — dodał — bośmy was do wielkiego i sławnego dzieła powołali...

Co znaczy płacz niewieści i pisk dziecięcy, gdy Chrystus woła na nas, brońcie znamienia mojego! Musimy być głusi...

— Miły panie — odparł Władysław — tem prawda, serceście mi rozgrzali, ale nie mniej jam tu przywłaszczycielem, dopóki wy nie jesteście zgodni, i nie królem ale najezdzcą, dopóki pół Węgier przy królowej stać będzie...

— Nie potrwa opór — przerwał Huniady — za koronację pogrobowca i kardynał Dyonizy i kroacki ban, który korony strzedz był powinien, odpowiedzą. Ukoronujemy was, i wszystko się skończy, gdy my złożymy przysięgę wam, a wy nam...

Władysław pozostał milczącym chwilę.

— Wspomnieliście — rzekł ciszej — o odpowiedzialności, do której pociągnąć chcecie arcybiskupa i bana, proszę was, jako o pierwszą mojej woli oznakę, abym mógł wszystkim przebaczyć...

Huniady jakby te słowa odkryły mu nową stronę charakteru młodego pana, zmierzył go oczyma.

— Piękną jest łaskawość — rzekł zimno — lecz wierzajcie mi i pomnijcie to, rodzi ona niewdzięczników, uzuchwala nieprzyjaciół, odwleka koniec. Surowym być musisz i my także, mniej ofiar padnie. Poblązanie rozplemia złych!!

Mówiąc to spoglądał spokojnie, lecz Władysław mógł poznać, iż mąż ten nieustraszonej odwagi, był zarazem człowiekiem dobrowolnie i z przekonania nielitościwym.

— Zostawcie nam — dodał Huniady — rozprawienie się z temi, którzy się sprzeniewierzyli krajowi...

Rumieniec oblał twarz śniadą Jagiełłowego syna.

— Poleje się li krew — rzekł z siłą wielką — ja korony nią skalanej na skroń moją nie włożę.

Słowa te, któremi rozmowa z Janem Huniadem zakończoną została, bo w tej chwili wszedł kanclerz Maciej biskup wesprymski z banem sławońskim Taloczem, uczyniły na nim wrażenie zapewne dobre, gdyż znamionowały siłę i energię, której Huniady po panującym wymagał.

To pierwsze zbliżenie się do najdzielniejszego z wodzów węgierskich, było początkiem stosunków, które wprędce poufalszy przybrały charakter. Król znalazł w nim doradcę i pomocnika, który choć mu się mężnie sprzeciwiał, budził i wiarę w siebie i poszanowanie.

Jeszcze narady o koronację przysłą nie były skończone, gdy wieść nadbiegła o wzięciu Jawryna i pojmaniu Fryderyka hr. Cilly, wuja królowej, którego w krzakach na wyspie wśród Dunaju zbiegłego pochwycono.

Prawie razem z gońcem, który oznajmił o tem, i sam jeniec skrepowany przyprawiony został do Budy.

Węgrzy z radością wieścią o tem przybiegli do Władysława i sądzili, iż się on też ucieszy pojmaniem jednego z najczynniejszych pomocników królowej.

Król oznajmienie to przyjął milcząco, chmurno i wejrzeniem rzuconem na przytomnego Grzegorza z Sanoka, okazał tylko, iż mu to przyczyniło frasunku...

Odgrążano się przeciw hr. Cilly, jako zdrajcy...

Nim pierwsza wrzawa tym wypadkiem obudzona ustała, Władysław wydał rozkaz, aby więźnia do niego przyprowadzono do wielkiej dolnej sali zamkowej...

Hr. Cilly był tak przelękły i niepewien losu, jaki go czeka, że we drzwiach idąc zachwiał się o mało nie upadłszy... Dumna jego twarz, ogorzała, okryta pyłem, zmęczone oczy, poszarpane suknie, skrępowane w tył ręce, cała postać pańska a Nielitośnie przez żołdactwo sponiewierana, obudzała litość... Ludzie, którzy prowadzili go, gdy się zachwiał, zmusili paść na kolana przed królem, lecz dumny hrabia podniósł się prędko, sił ostatkiem.

Król poruszony pospieszył mu na pomoc i podźwignął...

Cilly, któremu ten dowód niespodziewany sympaty trochę wlał nadziei, niezrozumiałymi kilku słowami powitał króla mierząc go oczyma, w których nienawiść, trwoga i zdumienie się razem malowało.

Król stał przy nim i naprzód dał rozkaz, ażeby go rozwiązano.

Wszyscy oczekiwali odezwania się Władysława, a w twarzach Węgrów pewien niepokój widać było.

Władysław począł łagodnie.

— Bracie i przyjacielu — rzekł — nie zasłużyłem na to, abyście nieprzyjacielem mi się okazali. To co cierpicie dziś, nie jest moją winą, ale waszą. Na wybór mój wyście sami zezwolili, położyliście na nim pieczęć waszą i złamali słowo... Waszej radzie królowa i ja zawdzięczamy wojnę...

Wiecie najlepiej sami, zem ja pierwszy nie pożądał ani się o to królestwo ubiegał. Na wasze naleganie przybyłem tu, a jeżeli nie zgodzicie się na wybór mój, w każdej chwili gotów jestem do mojego królestwa powrócić.

Cilly powiódł rękę po czole, chciał coś mówić, lecz głosu dobyć nie mógł. Słowa króla odbiły się tylko przykro na przytomnych Węgrach, którzy spojrzeli po sobie. Pierwszy to raz tak głośno i stanowczo mówił o opuszczeniu Węgier i powrocie do Polski. Czuć było, że nie wyrzekł tego lekkomyślnie i napróżno...

Cilly, gdyby był chciał i mógł, nie znalazłby środków tłumaczenia się. Po chwili król odstąpiwszy kilka kroków rozkazał swoim Polakom odprowadzić go do izby, w której oni na straży pozostać mieli.

— Chcę — rzekł do Hińczy z Rogowa — abyście z więźniem obchodzili się, jak jego dostojność wymaga, krzywdy mu nie czynicie, los mu ją już wyrządził.

Węgrzy nalegali o kajdany, aby z pomocą przyjaciół, jacy się w Budzie znaleźć mogli, nie uszedł, król nie dozwolił na nie.

Narady dosyć burzliwe ciągle, z różnym skutkiem przeciągnęły się do śś. Piotra i Pawła... Wygodniejszym znajdowano odbywać je w klasztorze św. Jana u braci św. Franciszka w wielkim ich refektarzu.

Przez cały ten czas, król bywał na nich przytomnym, lecz więcej słuchał, niż się odzywał. Grzegorz z Sanoka, który teraz po śmierci Jana z Sennowa, często przy panu pisarza zastępował, śledził w nim skutków tych narad i wrażeń. Znajdował tylko zniechęcenie coraz większe...

Pytany, król poruszał ramionami i myśli swej nie tłumaczył.

Widać było jednak ze wszystkiego, że to królestwo go nie cieszyło, i że nie myślał się dobijać o nie.

O powrocie do Polski mówił często ze swojemi... Biskup Zbyszek tymczasem pilno się właśnie o to starał, aby koszta, mozoły i nadzieje nie zostały stracone. Z nim król, nawykły do poszanowania i uległości, nie wchodził w spór żaden.

W dzień śś. Piotra i Pawła, gdy się wszyscy znowu gromadnie zebraли, a nikt nie spodziewał, ażeby król miał głos zabrać, zarumieniony młodzian powstał z siedzenia. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu...

Począł mówić. W początku i gwar, który się jeszcze nie uciszył, i głos słaby nie dawał usłyszeć słów króla, lecz wprędce sama ciekawość sprowadziła milczenie.

Prostemi słowy przemawiał do nich od serca, że rzucając kraj swój, spodziewał się, powołany głosy wolnemi, znaleźć zgodę, pokój i porządek na Węgrzech... Dla nich się poświęcając opuścił Polskę i Litwę, która właśnie jego przytomności potrzebowała, będąc po śmierci Zygmunta zakłóconą. Powtórzył, że o własnym koszcie, z wielkim wysiłkiem

przybył ze znacznym pocztem na głos ich i powołanie, nie dla żądy panowania, ale dla obrony wiary chrześcijańskiej...

— Opierałem się długo, zmuszony zostałem prośbami waszemi, nie przewidując, co mnie tu spotkać miało... Zastałem wasze zdania podzielone, kraj w rozterce. Proszę was i błagam, nie pomnijcie na mnie, nie uwodźcie się żadnymi względami, czyńcie co się wam zda lepszem dla kraju waszego... Ja jakom przybył chętnie, tak chętnie i bez żalu ustąpię.

Taka była treść przemówienia króla, który coraz się więcej ożywiając, sam poruszony, wszystkich też poruszył szlachetnym tem odezwaniem się, które zdumienie wywołało.

W słuchaczach widać było szczere i serdeczne współczucie dla tego młodzieńca, który korony gotów się był wyrzec dla sumienia.

Wszyscy podzielili się na gromadki, powychodzili niektórzy, widać było gorące i żywe rozprawianie i narady, i w parę godzin dopiero palatyn Hedrewar wystąpił z odpowiedzią w imieniu zgromadzonych.

Wy tłumaczył jak i dlaczego we Władysławie sobie obrali pana, dla silniejszej od pogan obrony, jak zgoda zdawała się zapewnioną, bo i wdowa po Albrechcie przystała na nią... W końcu wybór ten pierwszy a niezmienny, dzisiejszym okrzykiem zgodnym potwierdził.

Palatyn mówił długo, gorąco, zapewniając króla o wierności wszystkich, o gotowości do poświęcenia, aby koronę niepodzielną osiągnął... Ofiarowano przysięgę wierności i posłuszeństwa...

W czasie mowy palatyna, ani jeden głos się nie odezwał przeciwny, owszem ciągłymi okrzykami słowa jego potwierdzano... a całe zgromadzenie podnosiło ręce, zdawało się ożywione uczuciem wdzięczności i gotowością ofiary...

Król zaledwie kilku cichymi słowy podziękował, prosząc, aby nie doznał zawodu... „W obronie i dla dobra kraju tego nie będę szczędził trudu!” rzekł w końcu...

Dyonizy arcybiskup strygoński, przyniesiony krzyż ucałował pierwszy na znak przysięgi ze wszystkimi towarzyszącymi mu biskupami... Po nim palatyn Gara i wszyscy inni wierność ślubowali...

Starym obyczajem pochwycono potem króla na ręce i podniesiono po trzykroć do góry, z wołaniem wielkim wiodąc do kościoła, gdzie arcybiskup dziękczynną pieśń zanucił...

VI

Wprzód jeszcze, nim król na zamek powrócił, mistrz Grzegorz w towarzystwie Węgra Paloczego, z którym, jakśmy wspomnieli, dobrą czasu podróży zabrał znajomość, wyszedł z kościoła, aby świeżem odetchnąć powietrzem.

— Dzięki Bogu, wszystko teraz skończone, choć długośmy na to czekali — rzekł Paloczy, który i Polaków i młodego pana, obcując z nim dłużej, polubił bardzo. — Mistrzu Grzegorzu, myślcie teraz abyście sobie tu gniazdo usłali takie, by po Krakowie nie tęsknić... Nie puścimy was już do Polski.

Spojrzał nań Grzegorz z Sanoka.

— Wszystko to jeszcze są słowa — odpowiedział na przekór Paloczemu, drażniąc go. — Myślcie o koronacji a korony nie macie; my zaś nie damy naszego pana uwięzić inaczej jak tą pobłogosławioną, której królowa Elża wam nie da!

Paloczy dziwną minę zrobił.

— My na to sposób znajdziemy! — rzekł zagadkowo.

— Jaki? Chyba poślecie Polaków Wyszehrad zdobywać? he? — odparł uśmiechając się Grzegorz. — Razem z koroną potrzebaby zdobyć i królowę, a tej ani nasz pan ani my dla niego nie życzymy...

— I bez wyszehradzkiej znajdzie się poświęcana korona — rzekł Paloczy.

— Nie słyszałem, abyście mieli zapaśną — przerwał Grzegorz.

— Przecież widzieliście dziś na zgromadzeniu własnymi waszemi oczyma Władysława Garę, któremu straż koron obu powierzona była. Mamy go w ręku, musi nam albo koronę dać lub...

Tu Paloczy powiódł rękę po gardle.

— Takich banów i magnatów jak on — rozśmiał się Grzegorz — na gardle nie karzą nigdy; małych ścinają, wielcy uchodzą cali... my mamy na to przysłowie.

— A my — gorączkowo przerwał Paloczy — przysłowia nie mamy podobnego ani zwyczaju; im przestępstwo większe, a popelni je mąż, któremu ufano i zwierzo wiele, tem kara straszniejszą być powinna.

Grzegorz chciał w żart obrócić to, co Węgra w gniew wprawiało.

— Choćbyście Garze głowę ucięli — rzekł — korony przez to nie odzyskacie!

— Musimy ją mieć, albo inną, któraby tej była warta — dodał Paloczy, żywemi ruchami popierając mowę swoją — bo koronacja nieuchronna, tem spieszniej i konieczniej, ażeby pierwszą niemowlęcia Albrechtowego zniweczyć.

— Pamiętajcie tylko — począł Grzegorz z Sanoka poważniejąc — gdyście poznali młodego pana, że korona, którąście krwią zmazali lub gwałtem dla niego zdobyli, na jego czystej skroni nie spocznie. Mielście zręczność zrozumieć go wy sami; my powiedzić możemy, że teraz go dopiero poznajemy bliżej i lepiej, bo w oczach naszych jak kwiat się rozwinął; jest to natura bohaterska, piękna, szlachetna, brzydząca się gwałtem wszelkim i przენiewierstwem. Banowi Garze daliście listy żelazne, zaręczające mu bezpieczeństwo; raczej Władysław zrzecze się korony waszej, niż dozwoli ażeby mu tu włos spadł z głowy.

Namarszczył się Paloczy.

— Bądźcie pewni — rzekł — że na wszystko radę znajdziemy, a koronacja rychło nastąpić musi.

Grzegorz z Sanoka poruszył ramionami i chcąc dłuższego sporu uniknąć, zamilknął.

Nazajutrz, jak Węgier przepowiedział, panowie węgierscy napadli na bana Władysława Garę, stróża korony, o sprzeniewierzenie się i, nie pytając króla, natychmiast go uwięzić dali — za osobę jego czyniąc odpowiedzialnymi Szymona biskupa jagierskiego, palatyna i Mikołaja z Frysztadu.

Król zaledwie wstawszy ubierać się począł, gdy mu Tarnowski Gratus wiadomość tę przyniósł.

Powolny w innych sprawach, gdzie o cześć jego chodziło, Władysław uniósł się wielką niecierpliwością i gniewem. Nie chciał czekać przybycia panów, którzyby mu o tem oznajmili; posłał po Gratusa, aby Huniadego i kilku przedniejszych do niego natychmiast prosił.

Nie widzieli go jeszcze nigdy tak poruszonym przyboczni, do jego łagodności i dobroci nawykli.

Zaledwie Huniady z kanclerzem ukazali się w progu, gdy król żywo podszedł ku nim z brwiami ściągniętymi.

— Nie chcę wierzyć temu, co mi przyniesiono — rzekł dumnie. — Prawdali, żeście bana Władysława uwięzić kazali?

Huniady wystąpił pierwszy.

— Tak jest miłościwy panie — odparł stanowczo i śmiało. — Ban miał powierzoną straż insygnów królewskich, był odpowiedzialnym za nie. Wydał je lub niedbalstwem swem dozwolił je królowej przywłaszczyć. To ułatwiło śmieszłą koronację pogrobowca, a drugą koronę królowa zastawiła cesarzowi i za okup jej wojnę prowadzić będzie. Słuszna rzecz, żeby stróż za skarb odpowiadał.

— Z tego com słyszał i wiem — rzekł król — widzę, że królowa i jej służba więcej winne niż Gara. Ale, winien czy nie, ban ma list żelazny, za którym, słowu mojemu ufając, tu przybył; nie dozwolę go więzić i zatrzymywać.

— Listy dane były, gdy wina jego nie została dowiedziona — przerwał kanclerz. — Nic one nie znaczą.

— Słowo moje — zawołał król — droższe mi jest niż korona. To jedno powiedzić wam chciałem i uroczyście oznajmić, iż, Bóg świadek, jeżeli ban nie zostanie uwolniony, ja koronować się nie chcę, nie będę i natychmiast do Polski powracam.

Młody król wyrzekł to z taką mocą, głosem podniesionym, i skończywszy z dumą taką cofnął się w głąb izby, dając czuć, że dłużej o tem rozprawiać nie myśli, iż Huniady i kanclerz odpowiadać nie śmieli.

Po chwili milczenia, Władysław zwrócił się do Huniada.

— Bądźcie posłem moim, to ostatnie słowo...

Skinął i wszedł do sypialni.

Kanclerz z towarzyszem, nie zwlekając zwrócili się do izby, w której obradowano, odnosząc wyrok królewski.

Długi dość przeciąg czasu upłynął, nim oznajmiono królowi, że nadeszli węgierscy magnaci, wiodąc z sobą bana Garę.

Widać było po nich, jak gorącą i namiętą walkę stoczyli. Twarze i oczy były rozognione, piersi buchały, z ust wyrwały się słowa jak bryzgi ukropu. Szli sporząc jeszcze, a Władysław Gara w pół strwożony, na pół roznamiętniony doznaniem upokorzeniem, ciągnął za niemi, nie ustając wyrzekać i tłumaczyć się.

Dopiero w sali umilkli oczekując na króla, który wyszedł sam jeden, a spojrzenia nań dosyć było, aby dowieść, że zdania swojego zmienić nie myśli.

Kanclerz w imieniu rady począł się rozwodzić usprawiedliwiając uwięzienie, gdy król mówić mu nie dając, przeciął zaraz.

— Słyszeliście wolę moją, tej nie naruszy żadne dowodzenie przeciwnie.

Gara podniósł głos, bijąc się w piersi i krzycząc namiętnie.

— Nie wydawałem korony... wyrwano mi ją, stał się gwałt! rabunek! rozbój! Ślijcie, przekonajcie się, pudło jest złamane, pieczęcie pokruszone.

— Dobrowolnie ją wydał! — przerwał jeden z magnatów. — Trzymałeś z królową.

Zaczęto wołać ze wszystkich stron i wrzawa się stała, która królowi była uwłaczającą i nieprzyjemną.

Powtórzył krótko, i stanowczo, że żąda uwolnienia Gary.

Kanclerz na to wybuchnął, spojrzawszy po swoich.

— Na rozkaz wasz, miłościwy panie, dajemy mu wolność; ale pomnijcie, że wrogiem wam był i będzie. Stanie się li co przez niego, własnemu pobłażaniu przypiszeć to, miłościwy panie... my nie będziemy winni.

Król spojrzął na Garę, który powiódłszy oczyma pełnemi nienawiści po stojących dokoła, ze złożonemi rękami zwrócił się do młodego pana i pokłonił mu.

— Pókim żyw, dobrodziejstwa tego nie zapomnę — rzekł — a przekonam oszczerców, iż mnie osądzili niesprawiedliwie...

Tak przeciwko wszystkim zawyrokowawszy król, odpuścił ich, nie chcąc słuchać ani dziękczynień bana, ani usprawiedliwień sędziów jego.

Wszyscy tłumnie i z wrzawą ponowioną wysypali się z królewskich pokojów.

Do dalszych uchwał, tyjących się koronacyi, król mieszać się nie chciał, bo mu wcale o przyspieszenie jej nie chodziło. Unikał nawet dowiadywania się o nie...

Za to Grzegorz z Sanoka, który nie miał do czynienia wiele, bo go poniekąd z umysłu — niedowierzając mu i lękając się niezależnego charakteru, o który go posądzano — zastępowano przez dziekana Lasockiego... stosunki pozawiazywawszy z Węgry, nauczwszy się już ich języka, przestając ciągle z niemi, najprędzej był o każdej czynności uwiadomionym.

Wszystko, co się tu działo, nie było mu po myśli. Żałował Władysława, przeczuwał, że mógł się stać w rękach ludzi ofiarą swego szlachetnego charakteru...

Dzekan Lasocki i biskup Zbyszek, słysząc czasem swobodnie i ironicznie odzywającego się mistrza Grzegorza, nie dowierzali mu, obawiali go się przy królu. Była już parę razy mowa o wysłaniu do Polski, ale król okazał, że radby go zatrzymać przy sobie.

Do czasu więc nie ruszono go, patrząc nań tylko zdaleka.

Biskup Oleśnicki zaraz po koronacyi, o którą nalegał wraz z Węgry, chciał i musiał powracać do Polski. Na swem miejscu, jako *alter ego*, zostawiał Lasockiego, a dla większego bezpieczeństwa byłby chętnie zabrał Grzegorza z Sanoka.

Wszystkie śmielsze odezwania się króla, słusznie czy nie, jego wpływowi przypisywano.

Nim na dworze wiadomem było, co postanowią w sprawie koronacyi panowie, Paloczy przybiegł już do mistrza...

— Tym razem — rzekł siadając zdyszany — skończone wszystko, zaprawdę... Dla sprawdzenia, że korona wykradzioną została, posyłają do Wyszehradu braci Jaczków; a w miejsce téj, którą królowa sobie przywłaszczyła, mamy świętszą jeszcze i ubłogosławioną, tę, która spoczywa na głowie Szczepana świętego...

— Jako? — zakrzyknął Grzegorz, łamiąc ręce. — Z grobu, ze zwłok chcecie świętokradzko porwać koronę, aby nią koronować... jakby na śmierci przepowiednią!! Na Boga!! Pomyślcieź, godziź się to?? Z grobu?? z trupa?

Paloczy ruszył ramionami.

— Jest to najdroższa relikwia nasza! — zawołał — a któraż korona nie spoczywała na umarłych skroniach?? Nie możemy młodemu panu dać lepszego dowodu miłości naszej, jak uznając go godnym tej korony, która na głowie Apostoła Węgier czekała na niego!!

— Nie potraficie przecież odjąć i jemu i nam tej myśli, że wy go nie koroną żywych, ale umarłych uwieńczyliście, jakby był sam na śmierć przeznaczonym! — odparł Grzegorz z Sanoka, wdychając...

— Władysław Gara jedzie z Jaczkami zdać Wyszehrad królowi — dodał Węgier. — Koronacya naznaczona w Białogrodzie na dzień świętego Aleksego...

Wszystko to mniej obchodziło mistrza, w myśli jego utkwilo jedno to, że koronę z grobu brać musiano. Nie mógł się oprzeć tej smutnej wróżbie, jaką z sobą niosła, a więcej nad wszystko obawiał się, aby na królu wiadomość o tem nie zrobiła przykrego, odrażającego wrażenia. Ale temu podejmował się zapobiedz biskup Zbyszek, który miał koronę Ś. Stefana jako ubłogosławioną i błogosławieństwo przynoszącą relikwię Władysławowi ukazać.

Grzegorz z Sanoka wcale nie spieszył się oznajmywać królowi, czekając raczej aby on mu pierwszy o tem powiedział i swoje zdanie zwierzył. Zwykł był bowiem król, najczęściej gdy dzień się urzędowie skończył i wszyscy porozchodzili, powoływać do siebie mistrza i poufale z nim rozmawiać, radzić się lub użalać. Być może, iż poufne te, ciche rozmowy, o których komornicy Władysława wiedzieli i donosić o nich musieli, niebezpiecznymi się wydawały biskupowi Oleśnickiemu, na miejscu Grzegorza z Sanoka żądajacemu widzieć Lasockiego.

Tego król chętnie też słuchał i nim się posługiwał, lecz skłonności do zwierzania mu się myśli swoich nie okazywał.

Wieczorem, jak zwykle, znalazł się Grzegorz dla odczytania modlitw w sypialni królewskiej.

— Wy wszystko wiecie naprzód i prędzej niż ja — odezwał się do niego Władysław — więc i o koronacyi pewnie już wam mówiono.

— Naznaczono ją na dzień Ś. Aleksego — rzekł Grzegorz — słyszałem o tem.

— Dali mi dowód czci swej niemały — dodał król — najdroższą relikwię, koronę Ś. Szczepana przeznaczając na ten obrząd.

Grzegorz czekał co król o tem powie i przekonał się, że to co go uderzyło, owa przepowiednia grobowa, na umyśle Władysława wcale się nie odbiła. Widział tylko świętość korony. Uradował się temu prawie, iż on sam tylko doznał uczucia przykrego, które młodemu panu pobożność jego nie dozwoliła podzielać.

— Tak więc — mówił król z pewnym smutkiem — dokonać się ma to, co mi było przeznaczonem. Tyś świadkiem, że nie pragnął brzemienia tego... nie mogłem się mu obronić... Potrafię ja li je dźwignąć?!

— Miłościwy królu — rzekł pocieszając Grzegorz z Sanoka — już ten pośpiech i gorącość, z jaką cię na tron wiodą, wróżą, że u boku twego dostoją wiernie... Zatem, w Bogu nadzieja.

Zamyślony Władysław nie odpowiedział nic, rozpoczęto wieczorne modlitwy.

Nazajutrz Gratus Tarnowski, dwaj Zawiszowie i kilku młodzieży, pragnący znużonego króla rozerwać, zrana do łowów się z nim przysposobili.

Były one rozrywką dla niego, ale nie taką namiętnością, z jaką się im ojciec oddawał. Z sokołami szczególnie Władysław jeździć lubił, a tu mu na nich nie zbywało. Codziennie prawie przynoszono je w podarkach, tak że sokołniczych do nich nastarczyć było trudno.

Dzień się obiecywał skwarny. Konie już stały w podwórzu zamkowym, gdy wrzawa jakaś w izbach poprzedzających królewskie słyszeć się dała. Rozeznac w niej mogli łatwo głosy krzykliwe, spór jakiś i wołanie Węgrów, stojących z Polakami u drzwi na straży.

Codziennie prawie się trafiło coś podobnego, więc wagi do tego nie przywiązywano; Gratus z Tarnowa wybiegł się dowiedzieć o przyczynie sporu, i po chwili wrócił błady a zaniemiały.

Król wstrzymał się z wyjściem, choć już rękawicę ptaszniczą miał na ręku.

— Cóż to za wrzawa? — zapytał.

— Zaprawdę — bąknął Gratus pomięszany — nie wiem. Człek jakiś nabija się do króla, chcąc go widzieć koniecznie... straża nie puszczają. Krzyczy umyślnie, aby się dał słyszeć...

— Któż to? pokrzywdzony może? potrzebujący sprawiedliwości? — odparł król, posuwając się naprzód.

Gratus zastąpił mu drogę.

— Miłościwy panie, włóczęga jakiś. Ks. Lasocki go na rozkaz wasz wspomógł jakim datkiem... nie wychodźcie.

— Ale ja chcę go widzieć! — przerwał Władysław, marszcząc się i zlekka usuwając Tarnowskiego.

Stał w progu sali wielkiej król, gdy w drugim jej końcu, wyrrywający się z rąk dwóm drabom, mężczyzna ogorzały, silny, wielkiego wzrostu, w odzieży potarganej, z odsłoniętą piersią obrosłą, krzycząc wcisnął się, a ujrawszy króla, rękę podniósł i wołał:

— Muszę z królem mówić! muszę.

— Puszczajcie go! — zawołał Władysław.

Nim ten rozkaz spełniono, już po za nieznanym człkiem znaleźli się niespokojni o bezpieczeństwo królewskie: Huniady, Orszag i kilku innych...

Puszczony rzucił się wprost, oczyma szukając króla. Domyślił się go z postawy i oblicza... Padł na kolana, lecz nie mógł mówić, bo walka ze strażą i jakieś roznamiętnienie oddech mu zatamowały.

Tymczasem Huniady i inni nadbiegający stanęli tuż...

Kłęczący na ziemi, obłąkanymi oczyma wodził dokoła, potem rękami drżącymi począł dobywać coś z za sukni i worek skórzany, w którym brzęczało złoto, rzucił na podłogę... Podniósł ręce ku królowi i mówić począł żywo, niezrozumiale, bełkotliwie po madziarsku...

— Oto złoto — krzyknął — które mi dali służcy królowej z jej rozkazu, za to, abym cię zabił, panie!! Tak, przysięgam na to... chciano mnie kupić, wysłano z tem... i oto przychodzę ci wyjawić... Nie będę zbójcą!

Król nie uląkł się wcale, lecz pobladł i czoło zmarszczył. Nim miał czas odpowiedzieć, rzucił pytanie, rozmyśleć co czynić z winowajcą, już za nim krzyk się dał słyszeć i na znak Huniada, porwała się na niego straż węgierska, schwyciła, jeden za gardło go ścisnął i na rękach prawie miotającego się wynieśli.

Na rozkaz króla pobiegli zaraz Polacy, lecz Węgrzy byli tak rozjuszeni i wściekli, że niepodobna było do nich przystąpić, ani mówić z nimi.

W mgnieniu oka znikł i ten człowiek i ci co go porwali... Cisza zaległa w podwórcach.

Król wstrzymał się z wyjazdem... Cały dwór polski zbiegł się w jakiejś trwodze o pana swego. Stało się to w chwili, gdy o żadnym niebezpieczeństwie nie marzono nawet i nie przypuszczano...

Napróżno wyglądał Władysław, ażeby wiadomość mieć jakąś o człowieku tym i przygodzie... nikogo na zamku znaleźć nie było można do południa...

Nadchodzący biskup Zbyszek nie wiedział o niczem... Nierychło wreszcie zjawił się Huniady z tą twarzą jaką miewał zawsze, nawet gdy wszyscy się roznamiętniali... poważną i chłodną. Przystąpił do króla z pokłonem i uprzedzając jego pytanie, rzekł spokojnie.

— Wrzawa niepotrzebna. Człowiek szalony, jak się zdaje... Skwar słoneczny przepalił mu czaszkę, plótno od rzeczy... Niema mówić o czem.

— Cóż z nim uczyniono? — przerwał król.

— Zapewne jako szalonego zamkną go — dodał obojętnie Huniady.

Nic więcej dowiedzieć się już nie było można. Panowie węgierscy dali sobie słowo zapewne, iż toż samo będą wszystkim powtarzać.

O losie człowieka nikt nie wiedział, starano się wypadkowi odjąć wszelkie znaczenie i wagę. Król się jednak uspokoić tem nie dał, ale domaganie się jego zbywano odpowiedziami obojętnymi.

Wszyscy usiłowali przez dzień cały uwagę od tego wypadku odwrócić i zatrzeć jego wspomnienie. Na królu wszakże widać było, iż nim znowu niepokój owładnął...

Grzegorz z Sanoka, który nie był wypadkowi przytomnym, dowiedział się o nim dopiero od jednego z Tarnowskich. Natychmiast poszedł na zwiady, ale Paloczego, na którego najwięcej rachował, nie znalazł go. Gdy się już nad wieczorem zjawił, miał oblicze nachmurzone...

Zapytania mistrza zbywał w początku, tak samo jak inni, tłumacząc przygodę szaleństwem i usiłując ją lekceważyć... Lecz Grzegorza z Sanoka niełatwo oszukać było.

— Kłamcie sobie przed królem co chcecie — rzekł — ja wam nawet w tem dopomagać jestem gotów, ale dla siebie chcę prawdę wiedzieć.

— Kiedy pono nikt jej tu się już nie dowie — szepnął po naleganiu Paloczy. — Człowiek albo istotnie przez sługi Elży przekupionym był, bo ta co koronę dla dziecka wykradła, mogła dla niego i na zabójstwo się ważyć... albo kłamał dla zyskania nagrody...

— Przecie w końcu pod grozą kary przyzna się — rzekł Grzegorz.

Paloczy ręką zamachnął i szepnął cicho:

— Ja tam nie byłem... Brali go na męki! brali! kleszczami go rwali, piekli...

Dokończył ruchem tylko znaczącym.

— Żyw? — zapytał Grzegorz.

— Rozszarpać go kazano — dodał Paloczy jeszcze ostrożniej, i oczy podnosząc dodał:

— Któż ich wie? może ci, co się obawiali aby ich nie wydał, śmierć mu przyspieszyli!!

— Zewsząd więc jeszcze otacza nas niebezpieczeństwo! — łamiąc ręce rozpaczliwie wykrzyknął Grzegorz... — O! ten biedny młodzian nasz, po co jemu i nam było leżać w to gniazdo osie!!

Wstrząsnął się Paloczy.

— Nie mówcie tego, nie mówcie... Żłem się wygadał... Srogości tu potrzeba było, dlatego ukarano podłego zoczyńcę! I nikomu nie przebaczymy... Wasz pan za dobry jest, ale my za niego okrutni być musimy. Niech i człowiek ten i pamięć o nim przepadnie!!

Paloczy nic już więcej powiedzieć nie chciał. Wypadek też zatarty żadnych dalszych następstw nie miał. Utajono przed królem los, jaki spotkał winowajcę czy szaleńca, o którego nazwisku sami nawet Węgrowie nie wiedzieli. Pastwiono się bowiem nad nim z wściekłością taką, z takim zapamiętaniem, że nie badając prawie, życie mu wzięto...

Tajemnicą więc na wieki okryte było to wrzekome targnięcie się na życie króla, a domysł tych, którzy przypuszczali, że naslanego zbójcę zadławiono, aby ohydę czynu od królowej odwrócić... może nie był bez podstawy. W pośród tych, co Władysławowi przysięgali wierność i służyli mu, znaczniejsza część potajemnie sprzyjała wdowie...

Nadszedł w ostatku dzień ten uroczysty, w którym na skroń młodzieńczą polskiego króla miano włożyć koronę Ś. Szczepana.

Wszystko, co otaczało Władysława w Peszcie, pociągnęło do Białogrodu.

Tu naprzód wobec Jaczków i panów polskich okazano rozbitą skrzynię, z pieczęciami złamanemi, z której korona wykradzioną została przez starą Kottanerin...

Znalazły się w niej berło, jabłko i ów podwójny krzyż, który w r. 1000 papież dozwolił nosić przed królem Węgier, gdy mu koronę dla Bolesława polskiego przeznaczoną oddawał.

W niewielkim kościele białogrodzkim zaledwie celniejsi panowie, dostojnicy i duchowieństwo pomieścić się mogło. Tłumy oblegały go dokoła... Arcybiskup Dyonizy dopełniał obrzędu.

Szaty, w które przybrano króla stojącego przed ołtarzem, były też same, które się od tysięcznego roku przechowywały, ze starości wytarte i zszarpane, ale starością swą samą uświęcone...

Z kościoła po nabożeństwie i obrzędzie, w którym Zbigniew Oleśnicki uczestniczył, poprowadzono w pełnym ubiorze królewskim Władysława do grobu Giejzy i Adelajdy.

Wszystkie obyczaje dawne zachowane zostały, sąd pierwszy i na wieży kościoła św. Marcina dobytym mieczem na cztery strony świata cięcia w powietrzu, oznaczające, iż gotów był bronić państwa od wszelkiej napaści.

Wspaniała uczta, turnieje i zabawy, wśród radości powszechnej, zamknęły ten dzień pamiętny.

Teraz mógł Paloczy powiedzieć w istocie przyjacielowi, że wszystko skończone zostało...

Władysław przed ołtarzem wziął ślub nierozzerwany z państwem, o które wojować musiał... Był panem dwóch królestw, a biskup Zbyszek po skończonym obrzędzie z rozrzewnieniem go witając, rzekł mu słowa, które w duszy młodej wypiętnowały się jak wyrok i przepowiednia...

— Spełniły się wróżby... Bóg ci dał potęgę! Dwakroć namaszczone skroń twoją! Apostolski krzyż niesiono przed tobą, stałeś się rycerzem Chrystusowym, obrońcą światła chrześcijańskiego na granicy, którą szcerbi miecz pogański...

Walcz za wiarę w imię Ojca i Syna i Ducha świętego...

— Amen! — szepnął król po cichu.

Od dnia, w którym przebył granicę, aż do tej chwili wielkiej, rozstrzygającej o posłannictwie jego, Władysław rosł w oczach wszystkich i dojrzał cudownie.

Dawało się to najmocniej czuć w porównaniu z rówieśnikami, z którymi wyjechał z Polski, stojąc na jednym stopniu, czując się im bratem... Dziś i on i oni sami codziennie przekonywali, że przerosną ich głową i sercem. Zdawał się duchem pracować nieustannie, aby odpowiedzieć temu wielkiemu przeznaczeniu wodza chrześcijańskiego, które na niego włożyły losy...

Dokoła nieustannie słyszał to powoływanie, to wzywanie na wodza, na obrońcę... Do ostatka w pokorze i obawie wzdragał się wziąć brzemień nad siły, lecz gdy raz uczuł, że wyrok był nieodwołalny, starał się dorosnąć do swych przeznaczeń.

Po dniu tym nabożeństwa i znużenia, gdy Grzegorz wszedł, po wszystkich innych powitał go i winszował mu, znalazł złamanego trudem niezmiernym, ale z obliczem rozjaśnionem...

— Nie winszuj mi — rzekł — ale mi życz, abym godnym był tego, co otrzymałem... krzyża i miecza poświęconego!!

Teraz dopiero poczyna się życie moje, które promienieć powinno cnotą i sławą.

Podniósł ręce do góry i twarz sobie zakrył niemi...

— Grzegorz mój — szepnął poufalej — gdybyś ty był w sercu mojem, a wiedział, co się w niem działo dnia tego i co przesunęło się przed oczyma mojemu! Czulem jak moc jakaś wchodziła we mnie z tych szat apostoła, z tej korony świętego, z tych modlitw i pieśni...

Łzy mi na oczach stawały... a za niemi widziałem Polskę naszą, której się stałem niewiernym.

— Abyś służył sprawie Chrystusa — dodał również wzruszony Grzegorz — Chrystusa, którego i ta nasza Polska jest córką...

— Kiedy ją ją zobaczę! — westchnął król — kiedy się dowiem, co się z nią, z matką i Kazimirzem dzieje?

— Biskup powraca do Krakowa — odezwał się Grzegorz uspokajając — posiłki też z Polski są potrzebne, bo Turek około Białogrodu stoi... Nie opuszczaj nas tutaj...

W kilka dni potem Władysław powracał do Budy, dokąd napozór pomyślna przyszła wiadomość, że królowa Elża, dowiedziawszy się o koronacyi, zrozpaczona, we łzach cała, przeklinając wiarołomnych Węgrów, z Presburga ujechała do Austrii, udając się pod opiekę cesarza Fryderyka wraz z synem.

Mogło się zdawać krótkowidzącym, że wojna była skończoną, a przynajmniej zachwianą, bo Fryderyk, ten „pan małego serca” własnych korzyści szukając w opiece sieroty, pomagać mu nie myślał; ale Elża ostatni łańcuch i pierścień gotową była poświęcić dla sprawy syna, a ochotnicy, których łup wojenny łudził, cisnęli się pod chorągwie Giskry, aby Węgrom nie dać spokoju...

VII

Najprzewielebniejszemu panu, opiekunowi najlaskawszemu, ojcu Wincentemu z Bożej łaski arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, Grzegorz z Sanoka, sługa najmniejszy, zdrowia i powodzenia życzy:

Buda, 19 grudnia 1442.

Najmiłościwszy Panie i Ojcze!

Przez powracającego z Krakowa ojca Klemensa, który miał to szczęście miłość waszą oglądać i z nią obcować, otrzymawszy zlecenie, abym o tem, co się tu z nami, a najbardziej

z królem naszym, panem najmilszym dzieje, listownie doniósł; spieszę rozkaz miłości waszej spełnić tem ochotniej, że tą spowiedzią jakoby ciężar i brzemień zrzucił z serca, które często je ugniata.

Aczkolwiek jest nas tu niemało swoich a i obcych przyswojonych nie braknie, nie wszystko można i godzi się im zwierzyć, bo słowo jest jako lekarstwo, które zarazem trucizną być może, gdy się je nie w porze i nie w pełni zdrowia ludziom zadaje.

Myśmy zaś tutaj przewielebny ojcze, wszyscy bez mała chorzy a w nieustannej gorączce trwający, i jednemu dziwić się przychodzi, że lat oto już trzy bez mała słabując, jeszcze się przy życiu trzymamy.

Wiadome są miłości waszej, pierwsze przygody na Węgrzech nasze, jakośmy na gotowy tron i królestwo otwarte wesoło spieszyli, a znaleźli kraj srodze zawichrzony, przyjaciół niepewnych, wrogów skrytych i jawnych, pułapki i zasieki na każdym kroku.

Jeżeliśmy dotąd szczęśliwie i z chwałą wielką dla pana naszego wyszli z onych zasadzek, zasługując na imię dobre u bliskich i dalszych, szczególnej to opiece Bożej i modlitwom pobożnych zawdzięczamy.

Zważyć albowiem potrzeba, żeśmy i my dosyć nieświadomi kraju tego przybywali i król nasz jeszcze sztuki rządzenia nie miał czasu się nauczyć tem, co najskuteczniejsze, doświadczeniem.

O pierwszych, jakieśmy tu mieli do przewyciężenia, trudnościach, nie potrzebuję donosić przewielebności waszej, albowiem one powszechnie są znane...

JMks. biskup krakowski powracając z Budy po koronacyi, najlepszą z tego zdał sprawę, co oglądał, przebył i w czem (*pars magna fuit*) brał udział wielki.

Zdawało się ludziom płytkiego umysłu, że z tem uwieńczeniem pana naszego tak uroczystem, koroną apostolską Szczepana świętego, wszystko szczęśliwie dokonaniem zostało. Powieźli tę wiadomość królowej pani do Sanoka ks. biskup krakowski i wojewoda... Aliści rozpoczęły się tu dopiero ze zwolennikami matki i syna, nieskończone utarczki, branie i odbieranie zamków, ściąganie coraz nowych oddziałów z Czech i Niemiec, wszelkiego najemnika, który zbroję dlatego przywdziewa, aby żądzy łupieztwa i mordu zadość uczynił...

Co król nasz pod te czasy od nieustannych zdrad ucierpiał, od tych właśnie, którym żywot i cześć łaską swą darował, od Cillych, od Gary, od innych panów węgierskich, tego ani chcę opisywać, ani mogę. I jakom ja też za posiłkami do Polski jeździć musiał i ich się dopraszać na zjeździe, o tem miłość wasza wiecie dobrze.

Z jednej strony mając oddziały najemników królowej Elży, z drugiej pogan od Adrianopola na granice i w same wnętrzości niemal państwa tego wkraczających, a okrucieństw swemi i zuchwalstwem zagrażających, król musiał do Polski się odwoływać o ludzi, aby dwojakiemu nieprzyjacielowi podołać.

A jako ten pan nasz, przez wszystek czas upłyniony, monarszym swym obowiązkom, mimo młodego wieku, krewkości i złości ludzkiej, cudownie podołał, tego tu wszyscy świadkami są, jednogłośnie wychwalić się go nie mogąc. Jedno mu tylko Węgrowie, szczególnie wojewoda Huniady zarzuca, iż zbytnią łaskawością złych uzuchwala. Ale do srogości go nawet własne niebezpieczeństwo skłonić nie mogło, gdyż wziął to sobie za godło, iż monarchy przywilejem najdroższym jest łaskawość.

Widzieliśmy go też i widzimy, ilekroć tylko może, przebacającego, a nie zdarzyło się go nam widzieć domagającego kary.

Ta dobroć króla, choć mu wiele serc pozyskała, nie potrafiła jednak wojny ukrócić i królowej wdowy skłonić do układów, wielekroć przedsiębranych.

Zbliżka będąc przy królu ciągle, a często powiernikiem myśli jego, najlepiej poświadczyc mogę, jak bolał i boli, iż go Węgrowie postawili w takiej ostateczności, że świat cały, nawet Ojciec św. Eugeniusz IV i zachodni monarchowie Europy, widzą w nim przywłaszczyciela i wydziercę korony, komu innemu należnej.

Niemal krwawemi łzami nieraz oplakiwać mu to przyszło, iż się skłonić dał do przyjęcia korony, którą mu gwałtem narzucano, a z nią razem potwarzą okryto... Stokroćby się jej był rad wyrzec, a do Polski powrócić, ale go tu związane przysięgą, i musi bronić nietylko Węgier, ale chrześcijaństwa całego, do których one są jakby wrotami dla pogan.

Na straży więc bramy tej, na której wierzchołku krzyż Chrystusów jest utkwiony, stać musi ten wielki duchem choć młody wiekiem pan nasz...

Walk tych z Turkami z jednej strony zwyczajko wiedzionych przez walecznego wodza Huniada, z drugiej przez ochotników naszych polskich, opisywać nie będę.

Wiadomem miłości waszej, jak ciężko dotknięty jest kościół i cały świat chrześcijański tą rozterką, która Ojca św. Eugeniusza IV papieża z Soborem bazylejskim poróżniła i skłoniła do wyboru Feliksa V, przez co rozdwojoną została zwierzchnia nad kościołem władza w chwili, gdy ona całą siłę swą przeciw poganom obrócić była powinna.

My tutaj nie rozstrzygając sporu tego, aczkolwiek akademia krakowska za nowo obranym Feliksem V się oświadczyła, w Węgrzech pozostaliśmy wierni dawnemu panu. Z obu stron też do króla naszego i cesarza wyprawione zostały poselstwa, w celu pojednania i zawarcia pokoju, aby tem skuteczniej przeciwko poganom uderzyć było można całą siłą.

Od Feliksa V wysłanym biskup trydentski, patriarchy akwilejski, książę Aleksander mazowiecki, rodzony wuj króla naszego, nie bez myśli, iż węzłem krwi z nim połączony, skuteczniej na umysł jego wpłynąć może.

Ze strony Eugeniusza IV wybór posła niemniej był trafny i szczęśliwy, padł bowiem na dawno w Polsce znanego i oswojonego ze sprawy i ludźmi naszymi najprzewielebniejszego biskupa Sabińskiego, kardynała Juliana Cesarini. Komukolwiek posłowie oba bliżej znani byli i kto ich na dworze cesarskim oglądał, łatwo mógł zawczasu przewidzieć przy kim z nich będzie zwycięstwo.

Nie odmawiając ani powagi ani innych przymiotów kardynałowi Aleksandrowi, żadną jednak miarą porównać go do biskupa Sabińskiego nie było można. Wszystko na czem zbywało akwilejskiemu patriarsze, Cesarini posiada w najwyższym stopniu. Wielką znajomość ludzi i spraw, bystrość i żywość umysłu niezrównaną, pracowitość niezmqordowaną, dar wymowy nadzwyczajny, naostatek w podobnych okolicznościach najniezbędniejszą śmiałość i wiarę w siły własne.

Już na cesarskim dworze zauważanem było, że patriarchy akwilejski w tropy Cesariniego chodził, sam drogi swej niepewny, co przewidywać dozwalało, że mężowi takiej rzutkości i śmiałości a przenikliwości wielkiej, podolać nie może.

Węgry też, jako stały wprzód przy Eugeniuszu IV, tak wierni mu być postanowiły.

Można rzec, że przybycie biskupa Sabińskiego do Budy i króla naszego, nowe jakoby życie w nas wlało.

Zwątpiliśmy już byli o możliwości pokoju i układów z królową Elżą, a wojna z nią walkę z poganami hamowała.

Cesarini przybywszy tu odrazu nas natchnął nadzieją, niemal pewnością tą, że królowa wdowa pojednać się musi z panem naszym, będąc do tego zniewoloną zupełnym skarbem wyczerpaniem i straconą nadzieją, aby cesarz Fryderyk miał jej i synowi być pomocnym. Zabrał on wprawdzie sierotę i koronę jego, ale zagarnął razem austriacki dział nań przypadający i dochody z niego, a królowej wszelkiego posiłku odmawiał...

Przybywszy tu w czerwcu kardynał Cesarini, ani chwili nie stracił, namawiając do pokoju i zgody... W panu naszym znalazł do nich takie usposobienie, iż lepszego pożądać nie mógł. Do niczego bowiem od wstąpienia na tron Władysław król nie wzdychał, tylko do przejednania się z wdową Elżbietą. O ile mu niewłaściwe dla wieku małżeństwo z nią zawsze wstrętnem było, o tyle układ jakiś, bodaj z ustępstwem części praw swych, upragnionym.

Bliżsi go będąc niż inni, jako domownicy, najdowodniej o tem poświadczyć możemy. Tu więc ziarno padło na rolę dobrze przygotowaną i uprawną.

Byłem przytomnym, gdy biskup Sabiński poraz pierwszy życzenie to wynurzył, na co król mu odpowiedział: „Nikt nademnie gorącej tego nie pragnie, ale też i mniej się tego nie spodziewa. Posyłałem do królowej niejednokrotnie do Presburga i do Jawrynu, ofiarując gotowość do wszelkich ustępstw, królowa zawsze je odrzucała. Z panami węgierskimi zagać sprawę tę było trudniej, gdyż niewielu z nich pojednania żądało, z różnych powodów się go lękając, a najmożliwszy pod czas Huniady, oświadczał się stanowczo i wyraźnie przeciw wszelkiej zgodzie, któraby jakikolwiek uszczerbek królestwu przynieść mogła.”

Nie zrazil się tem jednak Cesarini, i poczęły się odtąd podróże jego do Jawrynu, kędy królowa przebywała, dłuższe na dworze jej zamieszkiwanie i przygotowywanie...

Nie bez podstawy ufał kardynał potędze słowa swojego, albowiem mało jest ludzi na świecie, którzyby równą jemu obdarzeni byli. Nie spotykałem w życiu mężów, coby

zręcznie, wchodząc zawsze napozór w myśl tego, z kim mieli do czynienia, zwolna go na to pole wyprowadzać umieli, na którym mieć chcieli. Sądzę też, choć świadkiem rokowań nie byłem, wnosząc z tego, jak się one z drugimi odbywały, że kardynał i królowę do zamierzonego celu doprowadzić się starał.

Jeżeli mu się to nie tak prędko i nie tak łatwo dało spełnić, przypisać trzeba macierzyńskiemu uczuciu, obrażonej dumie, niewieściemu uporowi i kilkoletniej walce, która nadzieję dalszego jej przedłużania, usprawiedliwiała.

Częstokroć tygodni kilka zostawał kardynał w Jawrynie, powracając do Budy z niczym, ale z umysłem niezachwianym, nigdy nadziei nie tracąc.

Z królem zaś o zgodzie mówić nie potrzebował, tu on miał cel inny, i równie jak pierwszy do osiągnięcia łatwy. Usiłował skłonić Władysława, aby stanął na czele wojska chrześcijańskiego dla złamania tureckiej potęgi. Więc obietnice pieniężnego zasiłku od papieża, ogłoszenia krucjaty, wysłania w pomoc floty, nadciągnięcia posiłków z Niemiec, Włoch i dalszych krajów, wszystko to powtarzaniem było. Lecz, żeby wodzem stanąć na czele tej potęgi, potrzeba było wprzód Węgry zabezpieczyć, z królową i cesarzem pokój lub rozejm zawrzeć długoletni. Tego żądał król i Węgrowie, a potrzebę widział kardynał...

Wszelkie więc staranie ku temu skierowanem być musiało.

Rachował Cesarini na to głównie, iż w Jawrynie przebywając, miał zręczność przekonać się najdowodniej, jak wszelkie zapasy i środki pozyskania pomocy pieniężnej wyczerpane zostały...

Na tem zubożeniu królowej Elży wszystko się budowało.

Jednakże przywiedziona do ostatka wdowa, widząc jak pokój był potrzebny, nie tylko Władysławowi, ale światu całemu, twarde stawiała warunki, a z godnością, dostojeństwem, nawet wciąż pana naszego nie dające się pojednać.

Stojąc przy tem, że syn jej był dziedzicem królestwa, wymagała aby Władysław zrzekł się tytułu królewskiego i praw z nim połączonych, rządy zaś królestwa sprawował w imieniu jej syna aż do dojścia jego pełnoletności, to jest lat piętnastu.

Za poniesione koszta ofiarowała wprawdzie królowa ziemię spiską i sumę na Szląsku, a gdyby syn jej zmarł przedwcześnie, następstwo po nim przyznawała Władysławowi i obie swe córki dwu braciom (Kaźmirzowi młodszą) oświadczała się dać w małżeństwo; ale warunki te przyjęte być nie mogły i z oburzeniem przez panów węgierskich odrzucone zostały...

W ten sposób wszelkie ich czynności, uroczysta koronacja w Białogrodzie, a jako oni mówili wszelkie ich prawa, w niweczby były obrócone i na pośmiewisko wydane.

Alści na tem właśnie rozbijało się wszystko, że królowa prawa wyboru króla przyznać im nie chciała, tron uważając za dziedziczny, gdy oni przy swobodzie wybierania monarchy obstawali.

Zdawało się więc po kilkakrotnej bytności kardynała w Budzie i Jawrynie zachwianem wszystko...

I zaprawdę dla każdego innego pośrednika jużby było nietylko niepewnem, ale straconem. Tylko bystrości umysłu i niezmiernej wytrwałości kardynała, zawdzięczać należało, iż się wszystko na próżnych słowach nie zerwało odrazu... Choć los później inaczej dokonał, co przeznaczonem było...

Przeciagnęły się te rokowania nadaremne do miesiąca Grudnia...

Tu na słuszną pochwałę pana mojego powiedzieć muszę, iż wcale latom swym i dostojństwu niezwykłą okazał cierpliwość i krew zimną.

Nie zwykliśmy monarchów, młodzieńczego wieku, widywać tak powolnemi rządzeniom losu, tak łagodnemi w przeciwnościach, tak łaskawemi dla ludzi, którzy na nich nastają i nalegają...

Nie można bowiem, uwielbiając wielką umiejętność obchodzenia się z każdym, zaprzeczyć temu, iż kardynał natarczywością swoją, namowy, argumentami, króla niejako w oblężeniu trzymał przez kilka miesięcy. Tyleśmy, mogę powiedzieć śmiało, pokoju mieli, póki siedział w Jawrynie, a częstokroć dopiero wolnośmy oddychali, gdy nas opuścił, nalegać i boleć przestał.

Ale naówczas zastępował go dziekan Lasocki, mąż, którego nauki, powagi i wielkiego umysłu będąc czcicielem, niemniej przyznać muszę, iż królowi i nam stawał się często przez natarczywość swą nieznośnym. Albowiem nie było dnia i godziny, u stołu i przy

rozmowach, abyśmy nie słyszeli zawsze tej samej pieśni, jako pokój był pożądanym dla kościoła, chrześcijaństwa i kraju, a sławy pana naszego...

Jeżeli nam kardynał nie śpiewał tego hymnu, nucił sekwencję o tem dziekan Lasocki. Na co my pobożnym responsem, chórem odpowiadaliśmy: Bóg daj!!

A przyszło-li potem z panami węgierskiemi mówić, burzyli się i wołali, że jakkolwiek pokój pożądanym był, oni go ze sromotą dla siebie i z uszczupleniem granic kraju zawierac nie mogą.

Przybył wreszcie zmiękczywszy już królowę kardynał, wielce uradowany tem, co przywoził, w grudniu, oznajmując, iż królowa gotową była osobiście z Władysławem widzieć się w Jawrynie i sama z nim to pojednanie układać.

Małą się to rzeczą zdala wydawać może, przecież było wielkiem nad umysłem królowej odniesionem zwycięstwem... Albowiem wiedzieć potrzeba, jakośmy tego mieli dowody, iż królowa dawniej nienawiścią i chęcią zemsty najgorętszą przeciwko panu naszemu pałała, a nietylko na oczy go przypuścić, ale imienia jego przy sobie nie dawała wspomnieć bez obelżywych dodatków. Nie obeszło się więc bez łez, bez wielkich wysiłków, bez upokorzenia, zanim umysł jej dumny i serce goryczą przepelnione skłonić się dało do tego ustępstwa.

Niektórzy z panów węgierskich, ułękli się tak samo zasadzki jakiejś i zdrady, jak królowa Elża, która, (co się później okazało), spodziewając się przybycia Władysława, znaczną liczbą Czechów i Austryaków zamek zawczasu obsadziła.

Węgierscy panowie zrazu króla do Jawryny puścić nie chcieli, pomimo poręczeń kardynała i zakłęk jego... Powiadali, że po królowej, która już niejedną raz na życie Władysława czyhała i zabójców nań nasadzała, wszystkiego się spodziewać można.

Lecz w tem król sam, mąż wielkiego zawsze serca i szlachetności takiej, że nikogo o nieszlachetność posądzać nie umiał, rozstrzygnął. Z góry zapowiedział, że ani się lęka, ani może okazać strachu, że królowej ufa i z małym poczem pojedzie tak bezpieczny, jakby do własnego domu.

Napróżno go usiłowano przekonać, żelazną wolą obstawał przy swoim, a ile razy ją objawiał, wiedzieli Węgrowie, że się złamać nie da. Dobroci niewyczerpanej, do przebaczenia zawsze gotowy, jak ojciec hojny i rozrzutny, miał to do siebie król, że gdy myśl własną z serca zacerpnął, nie dozwolił jej odjąć sobie nikomu.

I tym więc razem, wyjazd do Jawryna postanowiony został, na co Węgrowie koso patrzali. Do orszaku też króla wyznaczono przeważnie polski dwór. Dwóch młodych Tarnowskich, dwu Zawiszów, ze starszyny też kilku, dziekan Lasocki, bo ten nigdy nie odstępował, gdy o ważniejsze chodziło sprawy, naostatek i ten, który słowa te pisze, jako kapelan i spowiednik do orszaku został włączony...

Kardynał Cesarini towarzyszył nam jako zakładnik, poręczyciel i pośrednik, a jako był szczęśliwy jadąc, że do tego terminu doprowadził nas, wyrazić mi trudno.

Nie bez wzruszenia też pewnie jechał król, pan nasz i twarz jego młoda o niem świadczyła. Kilka lat wojując z królową, znając ją jako nieprzyjaciółkę nieprzejednaną, na końcu jechać do niej, było ofiarą, którą tylko mąż tak wielkiej przebiegłości, jak kardynał, mógł wyjednać.

Ofiara to była dla kościoła i sprawy całego chrześcijaństwa...

Poczet królewski, dosyć liczny dla dostojeństwa jego, był jednak za małym, aby obawę jaką mógł obudzić. Na zamku też, gdy bronę podniesiono, ujrzełszy dwór rycerski Elży i panów, którzy jej służyli, dosyć okazałe przystrojonych i zbrojnych. Szło jawnie o to, aby niedostatek i ubożenie się nie okazało przed obcemi.

Szliśmy wszyscy z królem przez kardynała prowadzeni po wschodach do górnej sali zamkowej.

Czekała tu na nas królowa Elża, której Władysław nigdy w życiu nie widział i spotykał po raz pierwszy. Ja com ją w podróży niegdys z Pragi do Znaim jadącą przy ojcu Zygmuncie oglądał zdala, naówczas młodą, świeżą i krasną, zaledwie poznać mogłem w niewieście przed czasem zwiędłej, postarzałej, cery woskowej, wychudłej, a takie cierpienie całą postawą wyrażającej, iż w sercu nieprzyjaciela nawet litośćby obudziła dla siebie... Pomimo to, wielką powagę miała cesarskiej córki i resztki piękności.

Gdy król Władysław wszedł na salę i ukłon oddawszy, nieśmiało się przybliżył, wpatrzywszy się wprzód w twarz jego, która dobroć wyrażała, jakby wewnętrznym wzruszeniem skłoniona do tego, królowa podała mu ręce obie...

Tak się pierwsze powitanie dosyć milcząco ale pomyślnie odbyło, a kardynał zabrawszy głos za oboje, zbliżył ich mową zręczną, do której był przygotowany...

Wpłynęło to na zachowanie się wzajemne osób do obu dworów należących, które niedowierzająco i ostro na siebie spoglądały, a później zaraz przyjaźniej obchodzić się z sobą zaczęły...

Tego dnia, jak sądzę, do żadnych układów nie przyszło... zaledwie do wzajemnego przybliżenia i porozumienia. Przyjmowano nas bez przepychu, ale tak jak przystało królowej, i na niczem nie zbywało, a o pomieszczenie na zamku nie było trudno. Całe jedno skrzydło oddane nam zostało, a choć bezpieczeństwo poręczał kardynał, przecież polska straż królewska przez całą noc na przemiany czuwała. Uważaliśmy też, że i Czesi tak samo z czat nie schodzili i nie zasypiali.

Następnych dni, rokowania bowiem nie poszły prędko ani łatwo, cokolwiek z tych zbyt ostrożności z obu stron pofolgowano, zawsze jednak nad królem czuwać było potrzeba...

Władysław po przewyciężeniu pierwszej obawy przy spotkaniu z królową, aby zbyt niemi wyrzuty go nie trapiła, odzyskał swobodę umysłu, a jako się pragnął okazać czem w istocie był, tak sądzę że dopiął tego... Królowej też oblicze, pierwszego dnia chmurne i posępne, stopniowo się rozpogadzało... Można było widzieć na niem i czytać, że skutek rokowań obiecywał się pomyślnym. Jakoż ostatniego dnia, gdy na następny wyjazd był zapowiedziany, w kościele jawryńskim zawarty układ odczytano dla świadomości wszystkich, w języku węgierskim, polskim i niemieckim.

Król w podarku złożył Elżbiecie kilka szub sobolowych z Polski przywiezionych i otrzymał wzajemnie kilka dzielnych koni.

Zauważyliśmy wszyscy wprzód jeszcze, niżej o warunkach byli uwiadomieni, że królowa z poufałością prawie macierzyńską, z panem naszym obchodzić się zaczęła, a i uśmiech, acz smutny, na ustach się jej zjawił.

Na Zapusty król zaprosił Elżbietę do Budy, która mu bytność swą przyrzekła... O warunkach ugody mówić nie chcę, gdyż, jako się niżej okaże, i ona i wszystko cośmy z pomocą kardynała z wielkim wysiłkiem dokonali tu, dziwnem zrzędzeniem Bożem w niwecz obrócone zostało...

Mnie ostatniego wieczora oświadczył król poufnie, iż królowa Elżbieta wielce mu się życzliwą okazała i z zupełną ufnością potajemnie zaręczyła, że tronu węgierskiego ustąpi, połączywszy go ze starszą córką swoją, że go jak syna miłować będzie i we wszystkim posiłkować i pomagać mu nie przestanie, byle się starał z rąk Fryderyka króla rzymskiego jakimkolwiek środkami syna jej i koronę jego odzyskać, a razem i dziedziczne księstwo austriackie, które zagarnął.

Gdy przyszła chwila odjazdu, król, królowa, kardynał, wszyscy my, najlepszej myśli byliśmy, ciesząc się zawartym pokojem i obiecując sobie z niego przyszłość szczęśliwą.

Ja, który tak dawno przy osobie królewskiej zostawać mam cześć i szczęście, wyznać muszę, że go dawno tak wesołym, tak uradowanym, tak ożywionym nie oglądałem. Miałem sobie do wyrzucenia, iż dziwnem usposobieniem wewnętrznym, czułem się smutnym i niespokojnym, jak gdybym w tej chwili właśnie zawód jakiś i nową klęskę przeczuwał...

Na prośbę królowej z naszego dworu dziekan Lasocki, który przy spisaniu ugody był prawą ręką kardynała, w Jawrynie pozostał. Myśmy z dobrą myślą do Budy powracali, krom mnie, który jechałem smutniejszy nazad niż gdyśmy do Jawryny ruszali. Działo się to dnia czternastego Grudnia...

Nieprzewidziane są wyroki Boże... Gdy Cezarini zwycięstwem swem, a my wojny ukończeniem cieszyliśmy się, naprzód to nas spotkało, że pozostali w Budzie panowie, o warunkach jakkolwiek korzystnych pokoju usłyszawszy, od razu przeciwko niemu głosy podnieśli. O wyposażeniu córek Elżbiety kosztem państwa i oderwaniu choćby piędzi ziemi od niego ani słyszeć nie chcieli. Kardynał dał im wołać i gardłować, jak zwykle czekając by burza z gromami przeszła i umysły się uspokoiły. Pochlebiał sobie, iż ich skłonić potrafi.

Nie miał obyczaju w zgromadzeniach z wielu głów złożonych, silić się sam jeden przeciw wszystkim, ale pojedynczo biorąc przeciwników zniewalać do zmiany zdania; a dopiąwszy tego, by większość nawrócił, dopiero występował... I tu zapewne takby się obszedł z nimi, gdyby Bóg inaczej nie zrządził.

Gdyśmy Jawryn opuszczali i żegnali królowę, widzieliśmy ją wszyscy, acz znużoną, bladą i niezbyt krzepką, lecz zupełnie zresztą zdrową i na żadną dolegliwość się nieuskarżającą.

Nagle w cztery dni potem naprzód goniec z Jawryna, potem sam dziekan Lasocki, nadbiegł z tą wiadomością nie do wiary, że królowa Elża nagle, trzeciego dnia po wyjeździe naszym, zmarła.

Opisać miłości waszej tego przerażenia i podziwu, jaki nas opanował, a boleści i żalości króla, rozpaczy niemal biskupa Sabińskiego, którego dzieło, trud kilkomiesięczny marnie przepadł, słowy słabemi nie potrafię.

Przyczyna tego zgonu tak nagle, jednemu Bogu najwyższemu wiadoma, pozostanie pono na wieki zakrytą. Było to może wyroków Opatrzności zrządzeniem, lecz po ludzku sądząc, mogło też być sprawą złych, którzy się spodziewają dla siebie korzyści z zamieszki. Sędzią nie chcę być, bom świadkiem nie był, lecz cesarzowi Fryderykowi pokój był nie na rękę, równie jak zaciężnym Czechom. Mogli się znaleźć tacy, co z Elżbietą chcieli i traktat zawarty przez nią pogrzebać.

Lasocki opowiadał o niesłychanym zamęcie na zamku w Jawrynie, o płaczu wiernych niewiast przy zwłokach królowej.

Kardynał zaś, chociaż zmarłej żałował, chwili nie stracił. Widział jasno, że na zawarty układ wcale rachować nie było można i że natychmiast musiał na nowo rozpocząć traktowanie z cesarzem Fryderykiem, opiekunem pogrobowca, z którym daleko ciężiej było dopiąć celu. Cesarz bowiem od początku przy prawach następstwa obstawał i skłonić go do zupełnego pokoju nawet kardynał się nie spodziewał, ograniczając się już tem, by rozejm na lat kilka zabezpieczyć.

Biskupowi Sabińskiemu zaprawdę, sprawę chrześcijaństwa mającemu na widoku, nie szło nigdy o interesa pana naszego, byleby wyprawę przeciwko Turkom uczynić możliwą. Coby później po odniesionych zwycięstwach nastąpić miało, o tem nie myślał zawczasu. Ani mu też za złe brać się godzi, iż nasby poświęcić gotów dla obrony krzyża.

Z jego natchnienia już raz tu przybyło poselstwo tureckie, które nam pokój wprawdzie pod ciężkimi ofiarowało warunkami, ale, gdy się o nie z Grekiem układać było można, odesłaliśmy precz z niczem.

Postarał się Cesarini, byśmy je z wielką wspaniałością i wojenną okazałością przyjmowali... Zdumiewali się nam Turcy i towarzyszący im Grecy, którzy Boga zaparliszy poganom służą, ale nic nie wskórali.

Wszystko tu u nas brzmi i rozlega się przyszlą wojną. Nagli o nią Paleolog, żąda jej papież, zachęca pomoc obiecując cały świat chrześcijański, a i młody pan nasz duszą i sercem jej pragnie... Wreszcie sługa wasz, który te wyrazy przesyła, radby też wojnę mieć i widzieć skończoną, abyśmy wraz z królem w pomoc pospieszyli naszemu królestwu, które z jednej strony lotrzyki szlążkie napadają i plądrują, z drugiej Tatarzyn najeżdza, ażali prawda aż pod Lwów nasz się zapędzając!!

Bogu wiadomo, czy kiedy w przyszłości porachuje nam to historia, żeśmy własnego kraju zabywszy, własnej zaprzawszy się sprawy, stali na rubieżach za krzyż Chrystusów walcząc... A ten młody pan nasz, który wszelkich rozkoszy wieku swojego się zrzekłszy, zbroją odziany, czeka tu rychłoli mu znak dadzą, aby szedł w bój... i trwa posłuszny na tych czatach żołnierza Chrystusowego, ażali nie godzien najwyższej chwały?!

Co z nami wyгнаńcami, w służbie przeciw nieprzyjaciółom krzyża, stanie się i jako obróci dola nasza, jeżeli żyw będę, miłości waszej, panu mojemu najgodniejszemu nieudolnem piórem nakreślić nie zaniedbam. Całuję nogi miłości waszej, modlitwom jej niegodnego polecając sługę...

VIII

Grzegorz z Sanoka, jak z listu tego widzimy, nie opuszczał króla Władysława, chociaż jak w kraju, tak i tu, nie odgrywał przy nim żadnej ważniejszej roli, bo więcej zawsze unikał jej, niż się o nią starał.

Nie był on stworzonym do tych zabiegów ruchliwych, w których trzeba było często twarzą i słowa przypochlebiać się, prawdę zakrywać, kroki mierzyć, i jak łowiec do zwierzyny, iść ostrożnie do celu.

Kunszt ten wysoko ceniąc w kardynale biskupie Sabińskim i prawej ręce jego dziekanie Lasockim, chętnie im z miejsca ustępował, a nawet nad umysłem Władysława dozwolił osiągnąć władzę wielką.

Grzegorz z Sanoka, kochając młodzieńca, na którego rozkwitnienie patrzył, więcej go chciał mieć dla kraju, dla Polski, niż dla świata. Ale mógł-że walczyć z ludźmi, którzy mu ciągle sławę wielkich bohaterów prorokowali, Aleksandrem go i Cezarem przyszłym głosili, wystawiali mu chwałę, jakiej się miał dobić, i gorące serce rycerskie rozpalali, nie dając zwrócić się ku własnej ziemi i rodzinie.

Cenił i kochał król zawsze mistrza swojego, rad się mu zwierzał, rad przed nim westchnął, ale się nie taił, że wielkiego owego głosu, którego papież Eugeniusz IV był tłumaczem, powołaniu na wodza i obrońcę usłuchać musi.

Rosło w nim serce bohatera, a Grzegorz, choć ze łzami w oczach, oziębiał go nie śmiał i przeciwieć się szlachetnemu popędowi.

Ogarniał wszystkich zapal, który dokoła siebie kardynał szerzył, mając jakby od Boga zesłane natchnienie, wieszczym głosem zapowiadając, że Władysław urośnie na pierwszego bohatera swych czasów...

Król tak codziennie podlegany, trwał w zapale, młodzież polska i węgierska otaczająca go, uczucia te podzielała... Nieodstępny towarzysz, skarbnik, pisarz, mentor, pośrednik dziekan Lasocki wtórował wiernie kardynałowi...

Zjednany tym samym widokom, wslawiony już zwycięstwami, chciwy nowych bojów i dostojności, rycerz mężny i wódz najlepszy Jan Huniady, ile razy przybył do Budy, prawil o walkach z niewiernymi i o możliwości odzyskania na nich zdobyczy, wygnania z Europy...

Zdawało się, że rozpocząć tylko było potrzeba wojnę, iść i zwyciężyć. Kardynał Cesarini ofiarował się też z krzyżem w rękę razem ciągnąć i stawać na placu boju... Obiecywano posiłki zewsząd, przyrzekano pieniądze, ale owi pielgrzymi zbrojni z Niemiec, z Włoch i innych krajów, o których mówiono wiele, przybywali bardzo skąpo, a byli to po większej części odarci i lichy zbrojni lotrzykowie, którzy gdzieindziej miejsca i chleba znaleźć dla siebie nie mogli.

Lata, które tu przebył nasz Grzegorz z Sanoka, wysyłany czasem do Polski, powoływany przez króla nazad, nieopuszczający go prawie, choć tak jak bezczynny, z bogactw jego doświadczenie, nauczyły go ludzi poznawać, lecz nie podniosły ani na stopień wyższy, ani położenie zmieniły...

Nauczył się języka węgierskiego tak, jak wprzód niemiecki sobie zupełnie przyswoił; przyjaciół zjednał wielu, nikogo z tych, których miał, nie stracił, i pozostał widzem ciekawym tego, co się dokoła zawiązywało, plątało i gotowało na przyszłość.

Kardynał Cesarini wysoko cenił uczoność jego, łacinę, podziwiał do języków zdolności, bo Grzegorz z podróży włoskiej i italskiej mowy przywiózł znajomość, lecz nie znajdując w nim tak posłusznego narzędzia, jakiego potrzebował, wcale go do niczego nie używał.

W zdaniach też różnili się często. Kardynał Cesarini jeden tylko cel miał na oku, dróg do dojścia do niego nie wybierał, dla niego wiele gotów był poświęcić, a co mu Grzegorz miał właśnie za złe, siebie zarówno, ale i młodego króla.

Z Grzegorzem więc miłą się zabawiał pogadanką, ale w sprawach ważnych zamykał się z Lasockim i naradzał, jego posyłał, nim się wystugiwał.

Niepospolitym też on był człowiekiem i niedarmo ulubieńcem biskupa Zbyszka, który go tu na swem miejscu zostawił. Uczony, bystrego pojęcia, w pracy niezmordowany, życia wstrzemięźliwego, żelaznego zdrowia, zawsze gotów zarówno sięść na koń i do pióra a z obu skorzystać, jak należało, dziekan był ulubieńcem kardynała, który nie wahał mu się najświetniejszej obiecywać przyszłości.

Poeta i śpiewak, Grzegorz z Sanoka nie nadawał się do spraw, wymagających przebiegłości, utrzymując głośno, że prostą drogę zawsze uważał za najkrótszą i najlepszą.

Trochę więc go lekceważono, a on obojętnie i nieco ironicznie na krzątających się poglądał...

Po długich zabiegach około cesarza Fryderyka, owego pana „małego serca”, który własne interesa zawsze stawiał przed innymi, udało się nieznużonemu kardynałowi zawrzeć nie już pokój, ale rozejm dwuletni i to na niekorzystnych warunkach...

Było to raczej pozorne niż rzeczywiste zabezpieczenie się od domowej wojny, bo namienne Czechy z Giskrą pozostawały na tyłach...

Lecz niecierpliwość była tak wielka, tak rozdrażniona oczekiwaniem, że król ani Huniady, nie wahali się natychmiast, pomimo spóźnionej pory i nadchodzącej jesieni w listopadzie wyruszyć w pole.

Wszystko stało w pogotowiu, tak, że gdy kardynał przybył z powrotem, zawrzało w Budzie... i wnet pułki wyciągać zaczęły...

Władysław był niewypowiedzianie szczęśliwy. Wieczora tego, gdy wiadomość przyszła, powitał Grzegorza, jak zwykle powołanego do modlitw wieczornych, okrzykiem...

— Idziemy nareszcie! idziemy!

Oczy mu pałały, drżał cały...

— Ty stoisz zimny — dodał z wyrzutem — jak gdyby ci sława moja drogą nie była.

Mistrz podniósł ręce obie.

— Królu mój — zawołał — także to o mnie sądzisz?

— Przebac mój drogi — odezwał się Władysław — ty ducha tego wojowniczego nie masz... ja czuję, że powołany do boju!! Wszystko się tak składa, abym w rękę Opatrzności i jej zrządzenie wierzył. Ona mnie woła i popycha!!

Stanie nas w polu, Bogu dzięki, czterdzieści tysięcy żołnierza, które łatwo podwójną siłę turecką zmódz potrafią!

Huniady sam zebrał dwadzieścia pięć, mamy Czechów na żołdzie papieżkim, mamy ochotników, mamy Krzyżowców z Niemiec i Francji, Serbów i Wołochów...

— I co najlepsza — dodał Grzegorz — Polaków, którzy za ciebie królu nasz, ostatnią krwi kroplę wylać są gotowi...

— Zwyciężymy!! — krzyknął król z zapalem niezmiernym — a ty, mój mistrzu, nieprawdaż, wierszem łacińskim podasz potomności sprawy nasze??

— Pozwolisz więc miłość wasza — dodał Grzegorz — abym, opiewać je mając, oglądał...

— Jakto! chcesz być z nami — dodał król radośnie.

— Jeżeli kardynał Cesarini towarzyszyć się wam nie waha, jakżebym ja, jałmużnik i spowiednik wasz, miał pana swego opuścić??

W ten sposób Grzegorz z Sanoka, zaciągnął się także na tę krzyżową wyprawę i razem z innymi wdział krzyż na pierś...

Oprócz niego, prócz młodego dworu i nieodstępnych towarzyszy, szli z królem polscy panowie: podkanclerzy Piotr ze Szczekocin, Piotr Nałęcz z Szamotuł, Paweł z Sienna Wojnicki, Jan z Tarnowa, Mikołaj z Chrzastowa, Mikołaj Różyc z Zakrzowa, Hinka Toporczyk z Balic, Michał Lasocki, Stanisław z Pleszowa i wielu a wielu innych. Wszystko rycerstwo najdzielniejsze, którego widok sam mógł trwożę wrazić w nieprzyjaciela...

Z Węgrows co przedniejszego brało ochotny udział w wyprawie...

Mniej okazań się pułki zaciężne i obce, ale te tak rozkładano, aby na oczach nie były...

Przy królu jechał z krzyżem w ręku, przez krucyfera poprzedzany, kardynał Cesarini, który na siebie rachował najwięcej, aby wojsko zagrzewać i nie dopuścić mu ostygnąć, dopókiby śmiertelnego nieprzyjacielowi nie zadało ciosu.

Pochód, po uroczystym wyjściu z Budy, przy okrzykach, pieśniach, biciu we dzwony i modlitwach po kościołach... posuwał się w takim ducha podniesieniu, z tak ognistym zapalem, że gdyby w tej pierwszej chwili nieprzyjaciel stawił czoło, jak burza zniósłby go ze szczętem...

Z nadzwyczajnym pospiechem przebywszy Dunaj, wojsko oskoczyło mury Zofii. Gród nie mógł mu się opierać, poszedł w perzynę, a zaciężni żołnierze mężnie się na rabunek

rzucili. Wszystkich ożywiał ten duch, który płynął z młodego króla... Pierwszy on do dnia dosiadał konia, kładł się na spoczynek ostatni, był jakby gorączką jakąś trawiony...

Nie dawał też mu ostygnać kardynał, równie bojowniczego ducha... Nic się oprzeć nie mogło zwyciężkim zastępom, a każda walka dodawała męztwa...

Turcy zasadzki czynili, napadali z boku, czatowali po wąwozach, rzadko znaczniejszy ich oddział wychodził do walki.

D. 3 listopada po wielu bitwach zwyciężkich, nastąpiła krwawa i szczęśliwa pod Nisą...

Zdobyto wrota Trojana, wąwozy Ssulu-Derbend... Turcy nie śmieli już wyjść w pole, ale osaczali przejścia, kryli się za skałami, z wierzchołków gór zasypywali strzałami...

Wśród tych szczytów okrytych śniegiem, po drogach zeszlonych od lodu, położyło się wojsko na krótki spoczynek w przededniu wigilii Bożego Narodzenia... Zwycięzki pochód, nieustanne utarczki pomniejsze, niedające chwili do rozmysłu ani na spoczynek, utrzymywały wojsko całe w tym stanie roznamiętnienia rycerskiego, który zaślepiał na następstwa i nie dawał widzieć niebezpieczeństwa.

Dnia tego, gdy na noc obóz rozbito w dolinie wśród białych gór, z których wiatr dął śniegiem i mrozem, król do nędznego wszedł namiotu, aby jeśli nie zdjąć, to choć zwolnić na ramionach zbroję.

Starsi z jego towarzyszków, których konie po drodze popadały, widząc brak żywności, nadchodzącą zimą, pozamykane wąwozy, w których głębinach Turcy siedzieli, pierwsi poczęli się domagać odwrotu. Dalej posuwać się nie było podobna...

Ale kardynał Cesarini, który sam chlebem suchym i roztopionym śniegiem żyć był gotów, pędził naprzód i o odwrocie mówić nie dawał.

Grzegorz z Sanoka u małego, rozpalonego z biedą ogieńka, pod nędznym namiotem, którym wicher targał a śnieg doń zalatywał, grzał ręce zbiedzony, gdy nadszedł podkanclerzy Piotr ze Szczekocin...

Nie zdjął on był zbroi z siebie ani hełmu, w rękę trzymał kilka strzał, które w jego kozuski żelaznej uwięzły, a jedna z nich u ramienia lekko raniła...

Był to jeden z najwaleczniejszych rycerzy, i jeden z najtroskliwszych o króla...

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus mistrzu Grzegorzu — odezwał się do siedzącego, który nie dojrzał nawet gościa. — Jutro wigilia do Godów, pono ryby nie skosztujemy...

— Bylebyśmy chleb mieli — westchnął Grzegorz.

— Niewszyscy go na pewno dostaną — odparł podkanclerzy — kardynał sam żyje słowem Bożem i ogniem świątyni, ale my, niegodni grzesznicy wkrótce jeżeli nie od strzał nieprzyjacielskich, to od mrozu i głodu poginiemy, Bogu na chwałę, ale komu na pożytek, nie wiem.

Grzegorz się uśmiechnął, poprawił ogieńka, który wiatr gasił.

— Mistrzu, czasby nam jeśli nie o sobie, to o królu pomyśleć — dodał Piotr ze Szczekocin. — Wy ucho pańskie macie. Włoch, święty człek, ani słowa, ale ani kraju nie zna, ani wojny nie rozumie...

Zwycięztw, dzięki Opatrzności, odnieśliśmy dosyć, dokazali cudów... Turcy dokoła nas otaczają, nam głód doskwiera, zima nad nami... nie wyjdzie ztąd noga nasza!

— Ucho pańskie wprawdzie dostępne jest dla mnie — odezwał się Grzegorz — ale jakże zwyciężcę zatrzymać? Nie widzi on i nie chce dojrzeć niebezpieczeństwa, a gdyby je przeczuwał nawet, jedno słowo kardynała popchnie go dalej...

— Na Boga, mistrzu — przerwał podkanclerzy — króla i sławę jego ratować potrzeba. Zwyciężyliśmy, lecz pragnąc nad siłę, stracimy plon zdobyty... Mówcie mu...

— Ja? — odparł Grzegorz. — Nie posłucha mnie. Idźcie wy wszyscy, coście dali męztwa i wytrwałości dowody, macie większe prawo przemówienia nademnie...

— Chodź-że i ty z nami — zawołał podkanclerzy — król jest w swoim namiocie i już do jutrzejszej się przygotowuje potyczki, która nas nieochybnie czeka, bośmy w okół otoczeni. Chodźcie.

Cokolwiek zawahawszy się wstał Grzegorz, poprawił kozuszek na sobie i wzdychając szedł za podkanclerzym.

W gołem na polu, na śnieżnej zamieci, pootuleni opończami, nieopodał stali, cicho radząc rycerze polscy, starszyzna: Jan z Bobrku, Piotr Nałęcz, Paweł z Sienna i inni. Gwarzyli po cichu, ale z żywocią wielką, gdy Piotr ze Szczekocin nadszedł z Grzegorzem.

— Do króla chodźmy — rzekł przystępując podkanclerzy.

O kilkanaście kroków był namiot Władysława, z prostych wołoków, mały i ciasny. Świeciło się w nim trochę, a przez co chwila uchylane oplotki widać było ciżbę we wnętrzu. Młodzież napelniała namiot.

Czeladź tymczasem u ognia chudego zamazłe rozgrzewała wino i resztki skostniałego od mrozu mięsa.

Władysław stał w pośrodku, hełm zdjawszy ze skroni, z włosami rozpuszczonemi, z oczyma błyszczącemi, z czołem promieniejącem. On, Tarnowscy, Zawiszowie, żywą prowadzili rozmowę. Kardynał obok w drugim namiocie znajdował się na modlitwie...

Gdy starszyzna ukazała się u wnijscia, rozstąpili się młodszy, król zobaczywszy ich gromadą wciągających, zmarszczył się trochę.

Podkanclerzy zdjął szyszak i głos zabrał.

— Przychodzimy do miłości waszej — rzekł — z obowiązku sług wiernych. Szliśmy naprzód nie zważając na nic, lecz dalej chyba kości położyć przyjdzie. Wojsku żywoci brak, konie padają, mróz ściska, Turcy nas osaczają, a zima i śnieg dobiegają.

Miłościwy panie, myśmy ginąc gotowi, ale tobie młodemu i do wielkich przeznaczonemu zwycięstw i dzieł, nie możemy dać tu zastrzegnąć marnie...

Zwycięzcami byliśmy, ale czas powracać! czas...

Wszyscy za podkanclerzym potakująco zawtórowali.

Król drgnął z niecierpliwości.

— Na Boga — zawołał — wracać, wracać, gdyśmy u progu zwycięstwa?

— Progu tego nie przestąpimy — rzekł podkanclerzy. — Ludzie padają jak muchy... Nie przed Turkiem ustąpię, ale przed mrozem i śniegiem, przed głodem!

Mruczenie i kilka głosów potwierdziło słowo Piotra. Król stał widomie zafrasowany...

Wtem z boku podniosła się ścianka i kardynał w sobolowej szubce wcisnął się do namiotu. Twarz jego zbladła wyrażała przestach, oczy niespokojnie biegały...

Król jakby na pomoc wzywając, wejrzał ku niemu.

Cesarini podnosił już ręce.

— Mówicie o odwrocie — zawołał — teraz, w tej chwili, gdy... krok dalej a hordy te pierchną strwożone przed nami... Chcecie laur zwycięzki zedrzeć ze skroni waszego króla...

— Wasza przewielebność — począł powoli Paweł z Sienna — nie widzieliście, jak my, co się z wojskiem dzieje... Z głodu i zimna zginiemy tu wszyscy... Koni połowa padła, w każdym obozowisku zostawiamy trupy, nie od strzał nieprzyjaciela, ale od chorób i wysiłku... Litość mieć potrzeba nad ludem tym...

Cesarini zamilkł spuściwszy głowę.

— Próżne obawy — szepnął cicho — opieka Boża nad nami... Opatrzność nie da ginąć żołnierzom Chrystusowym...

Szmer dał się słyszeć między rycerstwem.

— Wasza przewielebność modlić się za nas racz, ale o wojsku dozwól nam myśleć, bo to nasza sprawa — rzekł trochę szorstko podkanclerzy. — Daliśmy dowody, że nam na męztwie nie zbywa, że nie z obawy ustąpić chcemy, ale z musu...

Wtem król, który słuchał zmieszany i smutny, wyciągnął ręce ku nim...

— Pietrze — odezwał się do podkanclerzego — zaklinam cię i was na wierność waszą dla mnie, jutro wigilia do Godów... jutro... tylko dozwólcie. Wiem i czuję, że wielką walką zwyciężką stoczymy...

Potem — dodał ze smutnem westchnieniem — jeżeli rada wojenna postanowi, pociągamy do Budy!

Wszyscy zamilkli, skłonił się podkanclerzy.

— Niech się stanie wola wasza — rzekł spokojnie — lecz pojutrze, niedalej musimy wracać, jeśli choć część wojska, miłość wasza, do Budy chcesz doprowadzić...

Natychmiast cofnęli się wszyscy z ciasnego namiotu, w którym król, kardynał, na boku młodzież, a u wnijscia Grzegorz z Sanoka pozostał. Zmierzył go nieufnym okiem kardynał, jakby w nim przeczuwał przeciwnika.

— Znużeni są rycerze nasi — przerwał milczenie Cesarini — przebaczyć im to należy, lecz zaprawdę źle obrali chwilę do żądania odwrotu...

Stracimy owoc całej wyprawy!

— Lękam się — odezwał śmiało Grzegorz z Sanoka — aby dla owocu drzewo nie runęło. Siły ludzkie mają granice... a myśmy do niej doszli. Stan wojska okropny, śmierć grozi... Jeszcze chwila a zguba nasza nieochybna. Turek nas wojować nie potrzebuje, zima jest mu najlepszym sprzymierzeńcem. Bitwy nie wydaje, bo wie, że legniem i bez niej...

Król słuchał jakby zawstydzony. Cesarini się odwrócił milcząco...

— Rycerstwo to — dodał Grzegorz — tyle okazało mężstwa, że mu uwierzyć można, gdy mówi, *non plus ultra*. Ono zginąć gotowe, lecz króla ocalić mamy obowiązek...

Syknał kardynał.

— Wszyscyśmy na równe wystawieni niebezpieczeństwo — rzekł — czemuż go nie czujemy?

— Waszej przewielebności święty zapal — odparł mistrz — nie daje ziemskich rzeczy dojrzyć.

— Jutrzejszy dzień rozstrzygnie — wtrącił król gorąco. — Zwycięstwo pewne... Ono podźwignie wojsko i sił mu doda...

Cesarini ręce podniósł ku niebu.

— Ten, którego narodziny w żłobku betleemskim pojutrze radośnie obchodzić mamy, Pan nasz i Wódz nasz zaopiekuje się nami...

Natychmiast król, jakby nie miał już rozmowę chciał przerwać, zapytał Grzegorza z Sanoka o Zbigniewa Rosperskiego, który tego dnia strzałą pod pachwinę ugodzony, na wozie do obozu jechać musiał, bo dużo krwi utracił.

Grzegorz odpowiedział, że ranę zawiązano i krew zatamowano, ale Rosperski spoczynku potrzebował.

Wtem wniosła czeladź rozmarzłe wino, chleb czerstwy, ser i skromny posiłek, którego pomimo znużenia, ponieważ dzień był piątkowy, zaledwie dotknięto...

Późną już nocą, pokładli się, kto mógł na spoczynek krótki, ledwie rozdzielając ze zbroi.

Zaledwie szarzyć zaczęło, w obozie wszystko się poruszyło. Czaty na otaczających dookoła górach, dostrzegły ćmy pogan, które stanowisko obrawszy sobie ponad wojskiem, zabierali się zasypać je strzałami. Gdzieniegdzie okrzyki, pisk i nawoływania dzikie słychać było...

Król już zbroję wdziawszy konia niecierpliwym dosiadał i rwał się prowadzić swoich... Oddziały ściągano, namioty składano, dowódcy ludzi gromadzili, podnoszono chorągwie. Jeden z pierwszych, Cesarini, siedział na koniu, zdążając za królem, lecz Władysław, który naprzód z młodzieżą wyruszył, prosił go, aby przy obozie pozostał...

Równy ze dniem, nie z jednej strony, ale naokół, zawrzał bój straszliwy. Zdawało się, że Turcy czuli, iż nieprzyjaciela sam pochód i zwycięstwa wysiliły, spadali więc z gór zuchwale i walczyli wściekle... Lecz brzmiała już Bogarodzica, polskie pułki z królem rzuciły się na pogan, a przed ich żelaznym zastępem kupy dzikie pierzchały...

Grzegorz z Sanoka stał za kardynałem, który z konia nie zsiadając modlił się i błogosławił. Patrzył na króla swego, który uniesiony przez konia... zniknął mu z oczów wśród tłumy wijącego się i wrzeszczącego. Strzały tureckie sypały się jak grad i słychać było zdala dźwięczenie ich na zbrojach...

Dwa działka małe, które król miał z sobą, ustawione z boku, nabite drobnymi kulami, wspięwanymi w nie, dały się słyszeć zdala i huk ich rozległ się po górach... Tam gdzie padł ich strzał, motloch pierzchał... W ślad za nim biegli konni...

Lecz zaledwie jedną kupę rozegnano, druga z gór spuszczała się, jakby w ich wnętrzach niezliczone się tłumy legły...

Dzień stał się wielki, biały, ale z nim razem zerwała się zamieć śnieżna, która z wąwozów buchała obłokami i zakrywała walczących.

Całe wojsko z niezmierną zjadłością walczyło z poganami... Przy wozach i obozie zaledwie kto pozostał, bo i ciury zagrzane do boju biegly... Ponad tem śnieżnem pobojowiskiem, jakby jeden krzyk ogromny, ryczało głosów tysiące...

Nadeszło południe... Na chwilę z za przelatujących obłoków ukazało się blade słońce i znikło.

Walka nie ustawała... Cesarini modlił się upatrując króla, ale go już dojrzeć nie było można. Z wiernym orszakiem swoim znajdował się w pierwszych szeregach...

Z południa już, pieszo, straciwszy konia, ranny w twarz, bo hełmu nieostrożnie uchylił, ukazał się nakuliwający Lasocki...

Grzegorz z Sanoka pospieszył ku niemu.

— Co się z królem dzieje? — zawołał.

Zwrócił się i kardynał ku niemu.

— Z królem! — odezwał się Dołęga. — Nie wiem już ile strzał w nim uwięzło i czy go nie raniła która, alem widział, gdy pędził naprzód i rozbijał a siekł pogańców!

Podkanclerzy hamował go napróżno... Ustąpić nie chciał, choć na góry te wdrapać się za nimi nie można, na karki nam spada ta szarańcza...

Cesarini pobladł. On sam nareszcie dojrzał niebezpieczeństwa i strwożył się o króla.

— Wezmijcie konia mego — odezwał się — a jeśli siły macie, jedźcie ku królowi, zaklnijcie go, aby powracał. Na lepsze czasy zachować mu się potrzeba...

Mrok zaczynał padać, gdy w końcu wojsko, które na pierwsze wyniosłości cudem męztwa się spięło, zadawszy Turkom niemało ciosów, bo stoki były niemi usłane, zwolna dla nocy samej cofać się zaczęło...

Grzegorz z Sanoka upatrywał króla tylko, Cesarini niecierpliwszy jeszcze wyjechał naprzeciw niemu. Na górach widać było uchodzące Turków gromady, kryjące się w wąwozach i na płaszczyznach śnieżnych leżące pomostem trupy. Powracające pułki nuciły pieśń zwyciężką, którą wiatr zrywając, roznosił... Górą niebios a za białych obłon wieczornym lazurem przyćmionych, nocne wypogodzenie i mróz zapowiadały...

Gwiazdy, co dnia tego w Polsce uroczystą oznajmują wieczerzą z starochrześcijańskim obyczajem łamania się poświęconym chlebem, tu świeciły powracającym z boju wygłodzonym, rannym, znużonym, ale rozpromienionym zwycięstwem.

Podkanclerzy i ci wszyscy, co wczoraj domagali się powrotu, dnia tego dokazywali cudów, wojsko, oprócz zaciężnych papieżkich żołnierzy i cudzoziemców do zimna nienawykłych, skostniałych, biło się bohatersko... Król wracał ranny w rękę, mnóstwem strzał wśród dnia rażony, z których żadna zbroi jego i koszuli nie przebiła, oprócz jednej.

Rana ta, nieznacząca, tocząca się z niej krew radowała młodzieńca. Spoglądał na nią z dumą, pokazywał ją szczęśliwy. Była to krew za wiarę wylana.

Z podniesionym hełmem jechał teraz... śmiejąc się i żywo z Tarnowskimi rozmawiając, tak jak niegdyś na krążgankach zamku krakowskiego swawoląc z sobą, drażnili się wzajemnie...

Ponad głowami ich powiewały górą podziurawione od strzał chorągwie św. Wacława, Jerzego i królewska... Starsi rycerze jechali poważni i zadumani... Mieli słowo króla, że to była bitwa ostatnia. Dalej posuwać się nie było podobna. Przewidywali jednak, iż upojenie bojem dnia tego odwrót utrudni.

Podkanclerzy naradzał się ze swemi. Postanowiono, jakby wczorajszy rozkaz króla spełniając, gotować się do zwinięcia obozu...

Z wesołą twarzą Władysław powitał mistrza Grzegorza, ukazując mu ranę swą, pogiętą zbroję i cały pęk strzał, które wiozł germek, wyjąwszy je uwięzłe w królewskim rynsztunku...

— Bogu najwyższemu dzięki, dzień mieliśmy dobry i szczęśliwy! — zawołał król wstępując do namiotu z Grzegorzem.

— Miłościwy panie — odezwał się mistrz śmiało — Bóg pobłogosławił pobożnemu orężowi waszemu, ale też to dzień boju ostatni...

Mamy zięcia Amuratowego w niewoli, poległ Begler-bey Rumelii, Turków padło dosyć, grodów i zamków obrócono w perzyną wiele, chorągwi nabrano tyle, że niemi sklepienie kościoła w Budzie zawiesić będzie można... Czas powracać!!

Władysław odwrócił się smutny... Cesarini, który już był może dnia dzisiejszego doświadczeniem nawrócony, milczał...

Wkrótce potem nadeszli wodzowie węgierscy i polska starszyzna.

Wszyscy zgodnie nalegali, aby się dalej poza ten wąwóz Isladi nie posuwać...

Ludzi chorych, koni rannych było bez liku, część wozów dalej już iść nie mogła. Żywność była wyczerpana... Król, choćby z Cesarinim może chciał zwyciężyć przeszkody i choć w zmniejszonej garści naprzód się posuwać, nie mógł iść przeciwko zdaniu wszystkich.

Nazajutrz więc, w sam dzień Godów, po odprawionych pasterkach pod namiotami, do których się cisnęło rycerstwo, zaczęto robić przygotowania do podróży...

Wielką ilość wozów, uprzęży, broni, sprzętu wojennego, musiano dać na pastwę ognia, aby się nie dostała nieprzyjacielowi. Konie ranne dobijać kazano. Poukładano stopy olbrzymie, podłożono płomię i rycerstwo otoczyło je, ogrzewając się przy nich wesoło...

Wstąpiła otucha we wszystkie serca na tę wiadomość, że rozkazy dano do zwijania obozów i odwrotu...

Wczorajsi wojownicy, Turcy zasaczeni po górach, spoglądali z nich na te przygotowania, nie rozumiejąc co znaczyły.

Król spoczął przeciw dnia tego. Lekką ranę przewiązano i zalano balsamem, który miał z sobą Cesarini. Resztki zapasów jada zastawiono pod namiotami dla rycerstwa, lecz ta uczta na pobojuwisku była prawdziwie rycerską i mniszą, i zaledwie głód doskwierający zaspokoić mogła.

Drugiego dnia Godów, ruszyły pułki z wąwozów wyciągając nie bez ostrożności, gdyż przewidzieć było można, że Turcy z zasadzek wypadać będą i próbować, czy znużony nieprzyjaciel, który się cofał, nie postradał męstwa i siły.

Zaraz też drugiego dnia, pogaństwo ściągawszy się do kupy, na tyły i tabory rzuciło się z wrzaskiem zwykłym, sądząc, że łatwo uchodzących i zmęczonych pokona.

Spalenie wozów, pozabijane konie, krwawa bitwa ostatnia, kazały się domyślać, że wojsko słabem się czuło...

Zaledwie wisk dziczy usłyszał król i znany świst a szelest strzał, nic go już utrzymać nie mogło. On, jego młodzież, starszyzna polska, inne też pułki zwróciły się ku nieprzyjacielowi z taką gotowością do boju i zapalem, że Turcy zmieszani, zaledwie ujrawszy ich, tył podawać zaczęli.

Władysław z młodzieńcem zuchwalstwem puścił się w pogoń za nimi, i ze swojemi pięciuset Polakami, składającymi jego straż przyboczną, wbił się klinem w pośrodek tego pogaństwa...

Można się było obawiać, ażeby go nie osaczono, lecz taka była obawa chorągwi tej i tego hufca zwycięzkiego, iż Turcy w wąwozy i parowy cisnąc się i uciekając wkrótce zniknęli...

Króla, podkanclerzy, konia mu za cugle pochwyciwszy, ledwie mógł powstrzymać, aby dalej się nie zapuszczał, gdzie zasadzka zdradliwa grozić mogła.

Tak się dokonała ta pierwsza wyprawa zwycięzka, która imię Władysława szeroko po świecie roznieść miała.

Turcy, jeżeli nie całkowicie pokonani, to przerażeni zostali... Stracili oni ludzi i chorągwi mnóstwo, a straty ich były nieskończenie większe, niż wojska chrześcijańskiego, bo lud był gorzej zbrojny i wojował bezładnie, siebie nie oszczędzając, przez dowódców też nie szczędzony.

To co wyliczał królowi przy powitaniu Grzegorz, zabicie Begler-beya Rumelii, wzięcie w niewolę zięcia Amuratowego Mohameda Czelebi, grody i chorągwie, łupy zabrane, starczyły na okrycie sławą wodza chrześcijańskiego, młodzieńca, na którym teraz świat cały największe pokładał nadzieje. Po ostatnim odparciu Turków, pochód dalszy był już zwyciężkiem ciągnięciem, radosnem a wesołem...

Przodem kardynał wysłał gońców, wyprawiono listy, głoszące, że wojsko laurami okryte powraca. Nim ono do Budy dociągnąć mogło, już i tu i wszędzie, gdzie wieść doszła radosna, sposobiono się króla i kardynała przyjmować jak tryumfatorów.

Polacy też, którzy niemałe dali dowody dzielności, przyznawali sobie słusznie wielką część w tem zwycięztwie, a większą jeszcze męstwu i rycerskiemu duchowi młodego króla.

Od króla szedł ten zapal, jego słowo i przykład zagrzewało... Węgrów zazdrość to budziło. Oni doświadczeniu, rozumowi i kierunkowi swojego wodza Huniada gotowi byli

więcej jeszcze przypisywać, i w powrocie już spory się o to wszczynają niemałe, chociaż sam król młody oddawał swojemu pomocnikowi sprawiedliwość, a zasługi mu nie odejmował.

Huniady w istocie znając i kraje te i Turków lepiej daleko, był niezbędnym, lecz naczelnictwo w boju wszędzie przy królu zostawało.

Z pewnością też i kardynał Cesarini rościł prawa do tryumfu, do którego zagrzewał, chociaż posiłki przez niego przywiedzione, najmniej się na tej wojnie odznaczyły...

Przez dni kilka musiało wojsko spoczywać w Białogrodzie, dopóki się oddziały rozprószone i opóźnione nie pościągały...

W Budzie przygotowano się na uroczyste, świetne przyjęcie zwycięzców... Dzień to był wielki, jeden z tych, które się w pamięci żywych wrażają na zawsze i przechodzą do potomności na kartach dziejów... Rycerstwo przybrało się w szaty i zbroje najświetniejsze; wozy z łupami, chorągwie zdobyte szły za niem... Król z pokorą chrześcijanina, obyczajem starodawnym, szedł pieszo wprost do kościoła Panny Maryi, aby tam na ołtarzu złożyć trofea swoje...

Duchowieństwo, mieszczanie, cechy, chorągwie, przy biciu dzwonów wystąpiły na spotkanie... Obok króla szedł z krzyżem Cesarini, współwojownik i zwycięzca...

Lud witał okrzykami radośnymi, które wprędce aż na krańcach Europy odbić się miały...

Jak chorągwie krzyżackie Jagiełło na Wawelu, tak syn jego tureckie zawiesił u Panny Maryi w Budzie, oprócz tego na pamiątkę dzielnych swych towarzyszy broni polskich i węgierskich, rozkazawszy odmalować dwanaście herbów polskich i węgierskich...

Umieszczono pomiędzy niemi herb, kardynalskim kapeluszem okryty, Cesariniego i celniejszych Krzyżowców...

Grzegorz z Sanoka, niemy świadek tej wyprawy, powracał z niej szczęśliwy dla pana swojego, lecz przewidując wcześniej, że zwycięstwo to upoi, oślepi i przywiąże króla do tego teatru wojny, na którym pierwsze swe zdobył laury.

Listy, które odbierał z Polski, przybywający z niej Polacy, wiadomości, które tu przynoszono, dla mistrza Grzegorza powrót Władysława do kraju, czyniły pilnym i koniecznym.

Lecz Polska i jej sprawy małały i nikły zaćmione interesem chrześcijaństwa. Co znaczyło owo wołanie szlachty, zgromadzonej na obrady w Sieradzu lub Korczynie, gdy głos Eugeniusza IV i Paleologa je głuszył?

Na naleganie mistrza, odpowiadano niecierpliwie, że biskup Zbyszek i wielkorządcy starczą w Polsce i Litwie, że Kaźmirz zastąpi brata w Wilnie...

Tymczasem kardynał Cesarini, którego pragnienie wojowania pogan, wyprawa ta więcej wzmogła, niż zaspokoila, umiał z właściwą sobie zręcznością wypotrzebować tryumf ten, jako bodziec do nowej walki.

W umysłach zagrzanych jedna myśl się powtarzała, przechodziła z ust do ust, stawała się hasłem...

— Teraz chwila nadeszła, która złamie potęgę turecką!!

Na pogan! na pogan!!

Pewność zwycięstwa każdy nosił w piersi.

Jeżeli w tak nieszczęśliwych warunkach, zimą, z garścią niewielką otrzymano zwycięstw tyle, cóż dopiero gdy z całej Europy przybędą posiłki, gdy się najdzielniejsze rycerstwo skupi pod chorągwie młodego bohatera!!

Cesarini listy pisał i rozsyłał nawołując...

Z ciasnej komórki swej patrzył na to i przysłuchiwał się wszystkiemu mistrz Grzegorz, a że widział jasno i rozważał chłodno, wiele pięknych widm, które w oczach innych takim jaśniały urokiem, dla niego szaro i smutno wyglądały...

Częste o to walki staczał z dziekanem Lasockim, którego kardynał sobie całkiem zniewolił i pozyskał...

Zapominano, że Władysław był zarazem królem Polski...

Grzegorz, ile razy był z nim sam na sam, miał sobie za obowiązek mu to przypominać... Po takiej cichej z nim rozmowie, król tęsknił znowu, niepokoił się, nieśmiało wnosił przed kardynałem, że radby choć na krótki czas zjechać do kraju, który przytomności jego wymaga...

Mozolnie przygotowany dnia jednego grunt, nazajutrz jak burza Cesarini i ks. Lasocki pustoszyli.

Domyślano się w końcu, że wpływ jakiś działa potajemnie i sprowadza te zwroty w usposobieniach.

Przez cały dzień, król był pod wrażeniem rozmów o wojnie i marzeń o przyszłej olbrzymiej wyprawie, której pożądał.

Z góry układano plany... Wprost uderzyć na Adrianopol i pogan do morza wrzucić, zniszczyć, wytępić. Sile krzyża, potędze męztwa bohaterskiego nic się oprzeć nie mogło... Wyobrażenia przedstawiała już chorągwie z krzyżem powiewające na szczytach wież, nad którymi księżyc się unosił. Władysław widział się pogromcą tej nawały, która zagrażała Europie.

Wszystko znikало z oczów w blasku tych świetnych marzeń, które karmił Cesarini...

Wieczorem rozgrzany powracał jeszcze król do swej sypialni, gdzie mistrza Grzegorza z jego książeczką modlitw znajdował, z twarzą wypogodzoną, spokojną i smutną.

Naówczas wszczynala się zawsze rozmowa o Polsce, o Litwie, o tem wołaniu i wzywaniu, wyciąganiu rąk do króla...

Z Polski tej dochodziły głosy: Myśmy ci pierwsi dali koronę, tyś nam winien opiekę... Opuścisz nas...

Grzegorz z Sanoka stawał się tłumaczem miłości, tęsknic ludu, jego prośb i przynaglania... Władysław słuchał i w duszy budziło się niezgasłe, ale przyćmione przywiązanie do własnej ziemi. Czuł, że tam powoływał święty obowiązek.

Tu otaczała go wrzawa, sława, pochlebstwa, ale tam ręce wyciągała Polska, matka, brat, Litwa i utrapione prowincje... Książęta mazowieccy, Litwa, Szlązacy, najazdy, zatargi... czekały na króla...

Bystrzej może widział i głębiej Grzegorz z Sanoka, niż wszyscy współczesni... Litwa dążyła do oderwania się z Kaźmirzem, a w Polsce tajemne, skryte knowania przygotowywały powrót Piastów do tronu...

Sam biskup Zbyszek, który napozór Jagiellończykom sprzyjał, nie był wolen od pewnej dla krwi Piastów sympatii. Później się to objawiło dowodnie, a najdowodniej bije z kart dziejopisa (Długosza), który duchem Oleśnickiego był przejęty, i wszystkie jego przekonania podzielał, czynnościom służył.

Oddalenie Władysława, uczynienie go obcym Polsce w chwili, gdy Piastowie zyskiwali tam zwolenników, potajemnym tym dążnościami sprzyjało... Lecz były one tak skryte jeszcze, osłonięte i niewidoczne, że raczej je przeczuwać, niż dojrzeć można było...

Ponawiane przypomnienia obowiązków dla Polski, uczyniły wreszcie na Władysławie wrażenie silne. Otwarcie począł mówić kardynałowi, iż radby pojechać do kraju... Cesarini uląkł się. Groziło to ostygnięciem, któż wie? może zupełną zmianą usposobień.

Huniady na wodza nie starczył.

Europa nie znała go tak dobrze jak króla, opromienionego urokiem bohaterskiej młodości.

Puścić go z rąk, z oczów, znaczyło tyle, co stracić.

Sama zwłoka groźną się zdawała... Turek przerażony mógł ściągnąć z Azyi siły nowe...

W izbach królewskich kardynał dnia jednego spotkał się z unikającym go Grzegorzem z Sanoka i przywitał z tą słodyczą, która zawsze przepowiadała u niego jakąś walkę i potrzebę pozyskania człowieka.

— Wśród tej wrzawy wojennej — odezwał się do niego kardynał z uśmiechem — wy, kochany poeto, musicie się tu nader czuć obarczonym... Cześć Muz potrzebuje spokoju...

— Pożegnałem też te boginie — odparł Grzegorz — i służę Marsowi, razem z przewielebnością waszą.

— Tak, o wszystkim musimy zapomnieć, pomnąc tylko na tę świętą wojnę — dodał Cesarini.

I chwilkę pomilczawszy rzekł znacząco.

— Król, który dotąd zapalem nam wszystkim dawał przykład, od niejakiego czasu zdaje się tęsknić do Polski. Uważaliście to?

— Tak, i znajduję słusznem a naturalnem — odezwał się Grzegorz. — Dał już wody, że do ofiar jest gotów, ale jako król polski ma obowiązki, których zaniedbywać nie może. Wiąże go tam przysięga...

— Wyżej wszystkich stoi przysięga na chrzcie krzyżowi pańskiemu — zawołał kardynał gorąco.

— Lecz obie się godzą z sobą — mówił spokojnie mistrz.

Zmarszczony i chmurny Cesarini zdawał się tracić cierpliwość.

— Posądzam was, kochany poeto, że wy to w królu budzicie tę tęsknotę do kraju niewczesną.

— Nie wstydzilibym się tego i przyznał, gdybym to czynił — rzekł Grzegorz — lecz młody król nie potrzebuje, aby mu jego obowiązki przypominano.

Wtem Cesarini za rękę go pochwycił.

— Ojcie kochany — zawołał. — Wszystko na świecie jest względne, obowiązki mają hierarchię i stopnie... Dla najwyższych trzeba podrzędne umieć poświęcić.

Nie wątpię o miłości waszej dla pana, ale służycie mu źle, chcąc go uczynić małym polskim królem, gdy my go pragniemy mieć wielkim bohaterem chrześcijaństwa...

Polska się nim pochlubić będzie mogła przed narodami!!

Grzegorz z Sanoka skłonił głowę.

— Pozwolisz mi przewielebność wasza przypomnieć sobie, że już jedna królowa polska, Jadwiga, poświęciła się raz dla kościoła i ochrzciła całą Litwę białą ręką swoją!

— Kościół pewnie jej tej zasługi nie zapomni — odparł lekceważąco kardynał. — Dziś chrześcijański świat wyrządza wam tę cześć, że waszego króla wybiera za wodza, a wy...

— A my? — przerwał Grzegorz — skłaniamy głowy! ale wolno nam rzec, że czynim ofiarę...

Ułagodzony znowu przysunął się do mistrza Cesarini i poufale rękę mu kładąc na ramieniu szepnął na ucho.

— Nie psujcie mi króla, proszę, nie ostudzajcie!

Grzegorz milcząco skłonił głowę, a kardynał już spostrzegłszy kogoś potrzebnego sobie, oddalił się, pozdrawiając go miłym uśmiechem.

Tak samo ks. Lasocki zabiegał około starszyny polskiego rycerstwa, którą wiadomości z kraju niepokoiły...

Wszystko się składało, aby upoić i nie dać ostygnąć.

Wiadomość o zwycięstwach Władysława, o tej pierwszej wyprawie Krzyżowców, zwiększona może oddaleniem, doszła do wszystkich dworów Europy.

Pierwszy uradował się nią papież Eugeniusz IV i natychmiast wyprawił legata do Budy z powinszowaniem i błogosławieństwem. Wiózł on Władysławowi kosztowny obraz w podarunku i miecz poświęcany przeciwko niewiernym.

Na stalowej głowni jego stało złoconemi głoskami pod krzyżem:

In hoc signo vinces.

Przyjęcie legata było uroczyste, publiczne, połączone z tą wystawą i przepychem, które Władysława tu ciągle otaczały.

Wszystkie posłuchania na wielkiej sali zamkowej w Budzie odbywały się tak, aby oczy cudzoziemców olśniewały... Rycerstwo występowało w złoconych zbrojach, w szatach od purpury i złotogłowu, w piórach, z tarczami sadzonymi, z pasami błyszczącymi od klejnotów, w łańcuchach ciężkich, w szubach sobolowych. Polskie i węgierskie stroje szły o lepszą. Duchowieństwo też nie ustępowało im w okazałości.

Tak wkrótce potem przyjmowano posła króla Francji, Anglii, Hiszpanii, Arragonu, ks. Filipa Burgundzkiego, książąt Medyolanu i innych włoskich dzielnic, rzeczpospolitych weneckiej, florenckiej, genueńskiej.

Stroje i języki wszystkiego świata zbiegały się tu u tronu Władysława, a posłowie przywozili listy, głoszące chwałę jego, zagrzewające do boju. Mógł młody zwycięzca czuć się dumny i zapragnąć pić z tej czary, której kto raz skosztował napoju, wiecznym się pali pragnieniem...

Oprócz pochwał i życzeń, niektórzy posłowie przywozili obietnice pomocy, zaręczenia posiłków... Czcze słowa, które później okazały się zwodniczymi.

Wszystkich panów, przybywających tu, Władysław nietylko z przepychem królewskim przyjmować musiał, ale zwyczajem wieku ich obdarowywać.

Skarb to wycieńczało, lecz zapał, jaki panował na dworze, nie dozwalał ni oszczędzać się, ani rachować. Ojciec święty obiecywał posiłkować złotem, inni monarchowie dawali do zrozumienia, iż się też do obowiązku poczuli...

Wśród tego rozgorączkowania, kardynał Cesarini wymógł na królu, bo miał nad nim przewagę wielką, że Polakom wzywającym do Polski, odpowiedziano zwłoką, a wielki zjazd zwołano na św. Jerzy do Budy.

Miał on na celu wyprawę nową...

Na ten dzień zawezwano i Giskrę, dowódcę zaciągów zmarłej królowej i miasta, które trzymały stronę pogrobowca...

Młody pan był zawsze tym samym wspaniałomyślnym, rycerskim mężem wielkiego serca, co przebaczył i oswobodził niegdyś hr. Cilly i Wł. Garę... Bo, gdy na zjeździe przeciwko Giskrze zmówili się węgierscy panowie, aby jego i współników buntu, a niepokoju sprawców pochwyć, mimo listów żelaznych i poręczeń, król, dowiedziawszy się o tem, potajemnie Giskrze ułatwił ucieczkę, jemu i towarzyszym ocalając życie.

Mężny na placu boju, burzył się na samą myśl przeniewierstwa...

Zjazd pobór ogólny na wojnę uchwalił, bo skarb był wyczerpany do dna...

IX

W mieszkaniu swem na zamku, bo kardynał jak najmniej się od króla oddalał, siedział za stołem zadumany Cesarini. Wieczór się zbliżał i komnata dosyć ciemna we dnie, cała już była mrokiem posępnym okryta... ale oblicze Włocha gęstsze jeszcze powlekały ciemności. Przy ludziach nigdy na tej twarzy, po której przechodziły błyskami wrażenia przelotne, poznać nie było można, jakie uczucie panowało duszy... Kardynał jak zwierciadło odbijał, co go otaczało; zdawał się odczuwać wszystko, lecz siebie nie zdradzał. Ruchoma ta maska była zagadkową przez to właśnie, iż się zmieniała co chwila. Taką ją czynił temperament włoski. Umiejętność życia okrywała nieprzebitą zasłoną.

Lecz w tej chwili, gdy sam z sobą nie potrzebował się ukrywać ani baczyć na siebie, Cesarini zmarszczoną, posępną, nasróżoną niemal twarzą wypowiadał wielkie cierpienie. Poruszał się machinalnie, bez myśli, jakby nim krew rzuciła, powstawał, siadał, podpierał się i ręce to zacierał, to łamał, to tarł niemi twarz i rozrzucał już przeredzone włosy.

Na drzwi spoglądał niekiedy niecierpliwie, jakby oczekując na kogoś, i znowu wpadał w zadumę, która sprowadzała rozdrażnienie większe jeszcze. Walczył z sobą...

W progu ukazał się dziekan Lasocki, idący cicho, mierzonymi krokami, z również zafrasowanym obliczem...

Dwaj ci ludzie, pod wrażeniem jednych myśli, pod ciężarem wspólnym, niepodobni byli do siebie, jak te dwa plemiona, których krew mieli w sobie.

Włoch miał krew zburzoną, Polak z zimną krwią zabierał się do boju... Ale Włocha bój miał ostudzić i uczynić rozważnym, gdy Polak właśnie dopiero na placu mógł się rozgorączkować...

Różnica ta natychmiast na jaw wyjść miała. Na widok dziekana Cesarini obliczu kazał milczeć, a Lasocki mimo woli poddał się przykreemu wrażeniu, które z sobą przynosił.

— Tak jest — odezwał się cicho do kardynała. — Niestety! Nie ulega to wątpliwości... Jerzy despota Rascij i Jan Huniady, bez wiedzy króla, podstępnie, tajemnie weszli w układy z Turkami. Owoc tylu usiłowań stracony... zawarli pokój... to jest zmuszą króla do zawarcia go. Warunki są... korzystne... Ustępstwa, jakich się nigdy po Amuracie spodziewać nie było można!

Kardynał ręce załamał.

— Nieszczęście! — zawołał wyrażając się popularnie po włosku (*accidente!*), co razem jest rodzajem przekleństwa.

Chwilkę milczał.

— Iść przebojem — dodał po cichu — na nic się nie zdało... Walczyć w tej chwili przeciwko pokojowi niepodobna... Gra musi być inną...

Lasocki patrzył i zdawał się czekać na wytłumaczenie, niedobrze rozumiejąc jeszcze.

— Wysadzeni z siodła — dodał Cesarini — musimy iść przy koniu i głaskać go, dopóki się nań wsiąść nie uda...

Spojrzał bystro na Lasockiego, uśmiechnął się i dodał, jak zwykle gdy bardzo coś uczuł mocno, po włosku:

— *Chi va piano, va sano... e lontano, lontano.* Musimy zgodzić się na pokój, pochwalać go nawet...

Przerwał i dołożył szepcząc, obiema rękami robiąc ruch jakby rozdzierał coś w nich...

— Pójdzie ten pokój w kawałki!!

— Lepiejby go niedopuszczyć — rzekł Lasocki równie cicho.

— Niepodobna!! — przerwał niecierpliwie kardynał. — Kopano dołki pod nami, wpadliśmy w nie... wprowadzimy z kolei kopaczy...

Położył palec na ustach.

— Słuchajcie mnie, proszę; nie sprzeciwiamy się pokojowi, pomagamy do niego...

Poruszył ramionami żywo.

— Tak, ale wyprawa przyjdzie do skutku i będzie świetną, będzie zwyciężką... daję na to głowę moją. Pamiętajcie! Jesteśmy za pokojem...

Przeszedł się po izbie raz i drugi kardynał, pociągając mucet i poprawiając czapkę na głowie.

— Wiecie warunki? — zapytał — ja się ich domyślam. Despotcie oddaje zapewne Turek zabrane zamki i miasta... a Huniady?

— Huniademu oddaje Jerzy to, co z nadania Alberta i Władysława na Węgrzech posiadał...

— Panowie pamiętali, że pierwsza miłość od siebie! — rozśmiał się kardynał. — Nie dziwię się despotcie, nie pojmuję wojewody!! Huniady! ten nasz wódz i bohater!!

— To też pokój nie jest jego sprawą, ale despoty. On Huniada namówił, wciągnął, zbałamucił, opętał. Wielki wódz dał się omamić.

— Huniady! — powtórzył kardynał.

— Despota wybrał do zawarcia pokoju z Amuratem chwilę sposobną — mówił Lasocki.

— Tak, wyprawa, którąśmy przeciw niemu sposobili i która przyjdzie do skutku — sierdzisto i z naciskiem rzekł Cesarini — napędziła mu strachu... Despota korzystał.

— Oprócz tego mówią, że Karaman, syn chana Tatarów, z ogromnym tłumem zbierał się iść na Natolię — dołożył Lasocki. — Niewola Czelebiego, klęski poniesione, wszystko to dumnego najeźdźcę zmiękczyło...

— I Huniady! Huniady dał się omamić — wtrącił kardynał, a po chwili dodał: — Rozumie się, że i my jedziemy do Szegedynu...

Spojrzał na dziekana, który lekkim głową skinieniem zgadzał się na wszystko.

Wieczór nadchodził szybko, w komnacie robiło się coraz ciemniej... sługa wniósł światło i razem z nim wtoczył się raczej niż wszedł ogromnego wzrostu opasły mężczyzna, którego twarz wschodniego wybitnego typu, z czarnymi wielkimi oczyma, więcej chytry niż rozum oznaczała. Łatwo było odgadnąć, że on miał się za bardzo przebiegłego i mądrego, lecz czy nim w istocie mógł się zwać, wątpić się godziło.

Obejście się wielce pokorne a zarazem niby dobroduszne, zdradzało ochotę uchodzenia za prostaczka.

Był to Grek, którego pod imieniem Arkadiusza znano, posługujący różnym, a teraz despotowi Rascij.

Kardynał, znawca wielki ludzi, oddawna go już ocenił i stosownie się obchodził z nim. Oblicze Cesariniego w przewidywaniu, że na niem przybyły szpiegować będzie myśli, przybrało wyraz obojętnego spokoju.

Arkadiusz po niskim pokłonie, obejrzawszy się na Lasockiego, westchnął i ręce zacierając począł:

— Przychodzą przewielebność waszą zapytać, bom nieświadom niczego a niespokojny. Wieść się rozchodzi, bałamutna może, o pokoju?? Nie zanosilo się na to??

Kardynałowi nie drgnął żaden mięsień twarzy.

— O pokoju? — powtórzył. — Nic nie wiem. Zkądże ta wiadomość?

— Pogłoska — rzekł Arkadiusz — miał ją jakoby przywieźć goniec od wojewody Siedmiogrodu i despoty...

— A cóż mówią o nim? — pytał zimno ale z zajęciem pewnym Cesarini.

— Powiadają, że korzystając z usposobienia sultana, który siedemdziesiąt tysięcy dukatów za Czelebiego zapłacić musiał i dużo ludzi utracił... Huniady i despota skłonili go do przystania na bardzo dobre warunki.

— Cóż to zowiesz dobrymi warunkami?? — uśmiechając się spytał kardynał.

Arkadiusz pilno mu w oczy patrzył i ramionami poruszając, rzekł:

— Mówią o dobrych warunkach, ale ja, ja ich nie wiem!! Lecz... czy by król, pan nasz miłościwy, w którym taki zapal do boju goreje, przystał na to?!

Cesarini ramionami poruszył, udając obojętność. Obrócił wszystko w żart.

— Któż wie? gdyby sułtan Amurat opuścił Adrianopol i z całą swą tłuszczą powrócił do Azji!!

Arkadiusz przymuszonym śmiechem odpowiedział, ale oczy jego nie schodziły z kardynała.

— A przewielebność wasza — rzekł — cobyście trzymali o pokoju?

— Ja, mój Arkadiuszu — odparł kardynał — z powołania, jako duchowny, jestem człowiekiem pokoju. Wszystko zależy od tego, czem go okupić potrzeba...

— Pogłoska ta jeszcze do was nie doszła? — zapytał Grek.

— Dotąd nic nie wiem — odezwał się Cesarini.

— Zdaje się jednak, że listy jakieś przysły od Huniady do tutejszych panów — zniżając głos dodał poufnie gość, który nieśmiejąc się stał w uniżonej postawie. — Węgrzy sobie dosyć życzą pokoju... Wojna wszystkich znużyła, skarb wyczerpała... Króla do Polski wyzywają, podobno jechać tam będzie musiał, bo się w jego Polsce zawichrzyło... Skarb też wyczerpany, bo młody pan szafuje nim po królewsku, a nim miasta złożą pobór uchwalony...

Zatrzymał się Arkadiusz, chcąc wydobyć jakąś odpowiedź od kardynała; ale Cesarini siedział z oczyma spuszczone, rękę białą po stole przebierając i zdawał się tak obojętnym, jakby sprawa ta go najmniej nie obchodziła.

Grek, który postanowił go wybadać, nie poprzestał na pierwszej próbie.

— Waszej przewielebności przypisują, że życzyliście nowej wyprawy i pogromu Turków; cóż tedy, gdyby do pokoju przyszło?? Zmiejszałyby się wszystkie szyki i poszły w niewiecz przygotowania! Szkoda!

Kardynał tak zagadnięty, nie spojrział nawet na Greka, ale patrząc na ścianę, odparł.

— Ci, co mi przypisują pragnienie wojny, nie myślą się... dziecko moje. Pogan pragnąłbym w istocie widzieć wyżenionemi z Europy... ale pokój zawarty nawet, nie jest nigdy wiecznym. Cóż tu dopiero rozprawiać o niedokonanym? Ja nic nie wiem...

Odparty tak Arkadiusz westchnął i zwrócił się do Lasockiego, który zdala stał milczący.

— Wy, ojczy — rzekł — co wszystko wiecie, powinniście już byli słyszeć coś o tem?

— Byłem zajęty ekspedycją papierów do Polski — odrzekł Lasocki — nie widziałem nikogo.

— Gońcy przybyli, bom ich sam widział — dodał Arkadiusz...

— Więc niezwłocznie się to wyjaśni — zakończył dziekan...

Grekowi zawiedzionemu nie pozostawało już nic nad zmianę rozmowy. Zwrócił ją na przedmiot obojętny i ciągle oczyma śledząc kardynała i dziekana, nic niewydobycy z nich, odejść musiał...

Cesarini wieczora tego, pod pozorem choroby, nie wyszedł na pokoje do króla. Nie chciał okazać zbytnej nawet ciekawości, niepokoju i pośpiechu.

Wiadomość o przybyłych pismach już się po całym dworze rozeszła, a Cesarini nie dał znaku życia. Lasocki słuchał, nie mówiąc nic.

Jeden z pierwszych o pokoju zamierzonym i na wpół już dokonanym przez potężnego Huniada, dowiedział się Grzegorz z Sanoka.

Dla niego była to wiadomość pomyślna bardzo. Lękał się wyprawy przeciwko Turkom, na której tak niezmiernie pokładano nadzieje... radby był króla widzieć w Polsce. Nadzieja zawarcia pokoju uradowała go, lękał się tylko wpływu kardynała i wojennej żądy Władysława, a drżał z niepokoju...

Dnia tego wcześniej niż zwykle poszedł do sypialni królewskiej, tak bardzo pragnął się z nim widzieć. Króla tu jeszcze nie było, pomimo że godzina spoczynku zwykłego nadeszła. Nierychło dał się słyszeć szybki chód jego i żywa z towarzyszącym mu Gratussem Tarnowskim rozmowa.

Król wszedł niespokojny i zaszępioty. W progu pożegnał się z towarzyszem i zobaczywszy Grzegorza, wprost zmierzył ku niemu. Błady był i poruszony.

— Wiesz — zawołał — słyszałeś! Huniady pokój z Turkiem umówił!!

Załamał ręce...

— Wszystkie nasze najświetniejsze nadzieje rzucone w błoto! Nigdy drugi raz nie nastręczy się już taka zręczność zgładzenia potęgi pogan!! Starania kardynała, wysiłki Paleologa, pomoc wszystkich panów chrześcijańskich przyrzeczona... I wojewoda siedmiogrodzki, mój najlepszy wódz, ten prawdziwy bohater prowadzi nas do tego upokarzającego układania się z tym rozbójnikiem okrutnym!! do traktatów z pogany!! Srom i hańba!

Wykrzyku tego mistrz wysłuchał spokojnie i dawszy ostygnąć królowi, począł zwolna.

— Ja w tem nie widzę nic tak dla nas nieszczęśliwego a, uchwaj Boże, sromotnego. Prędejm się radował z takiego końca, jeżeli warunki pokoju korzystne...

— Pokój każdy teraz zgubą i hańbą! — przerwał król. — Cała Europa ma na nas obrócone oczy i na mnie pokłada nadzieje. Miałbym zawieść oczekiwania i okazać się małoduszny?

Grzegorz zmilczał nieco...

— Królu mój — odezwał się umyślnie ociągając z odpowiedzią — za porywczó bierzecie to wszystko... Cała Europa karmi cię obietnicami, listami pochwalnymi i pochlebstwami, i za twą krew daje piękne słowa... Gdzież są te obiecane zastępy i te ślubowane posiłki pieniężne? Przysłano nam garść włóczągów, których w obozie wstydzic się i kryć z nimi było potrzeba. Polacy i Węgrowie walczyli sami... Krzyżowców niemieckich i włoskich niema co wspominać... Na przyszłą wyprawę nie dadzą więcej.

— Mylisz się — przerwał król.

— Bogdajbym się mylił — rzekł Grzegorz. — Pokój kilkoletni dałby czas urządzić sprawy polskie, przygotować się powoli a silnie do ostatecznej rozprawy... Huniady jest mąż odważny, baczny, świadomy potęgi, z którą walczyć mamy... Kardynał pewnie zagrzewać będzie do wojny, ja w sumieniu mem pokój doradzam i modłę się do was, jeżeli słuszny a godny... nie odpychajcie go...

Złożył ręce, w których trzymał książkę modlitw i stał tak przed królem, patrząc mu w oczy.

Władysław zdawał się nieco wzruszonym, lecz wprędce wróciło mu usposobienie, z którym przyszedł; tęsknota za sławą, za wojną, za tą aureolą rycerza chrześcijańskiego, której pożądał.

— A — zawołał — ty dobrze wiesz, czem mnie złamać możesz! Przypominasz mi Polskę i pierwszy względem niej obowiązek. Widziałeś sam, byłeś świadkiem, że go spełnić żądałem, że chciałem jechać, że postanowiłem...

— A kardynał to jednym słowem w niwecz obrócił! — wtrącił Grzegorz.

— Nie kardynał! wszyscy, wszyscy mnie błagali, abym pozostał — odparł Władysław. — Ta wyprawa ma być stanowczą i ostatnią!

— Losy wojny niepewne — odezwał się mistrz smutnie. — Największe nadzieje zawodzą. Jeżeli pokój możliwy, królu...

Tu Grzegorz przykląkł na jedno kolano.

— Zaklinam cię.

Władysław uchwycił go za ramiona.

— Grzegorzu mój, ojciec kochany — rzekł. — Ty wiesz, ja nie zależę od siebie. Papież, ojciec nasz, Paleolog, królowie, książęta... żądają tego po mnie. Zaszczyt to, cześć dla mnie i dla Polski naszej.

Grzegorz uczuł, że w tej chwili nalegać byłoby próżnem; spuścił głowę, rozłożył książkę, zaczął szukać modlitw wieczornych. Król też nie wznowił rozmowy, ale widać było, że rzucone przez Grzegorza słowa na opokę nie padły.

Nazajutrz rano, panowie węgierscy, którzy listy od wojewody i despoty odebrali, po naradzie weszli uroczyście i tłumnie do króla, domagając się posłuchania. Kardynał wiedział zawczasu o tem, że w Budzie nie było prawie jednego człowieka, któryby się nie cieszył nadzieją pokoju... pokoju żądanego przez samych Turków!!

Już to samo, że oni go pragnęli i wyzywali do niego, pochlebiali dumie... a wewnętrzny stan kraju nakazywał z tego korzystać.

Kardynał wobec tak jednomyślnego domagania się, obrachowawszy, że, oprócz w La-sockim, nie znajdzie poparcia w nikim, przybrał zagadkową postawę... stawiał się neutralnie. Wiedzieli wszyscy, że podzegał do wojny, że uwodził obietnicami wysłania floty, która miała pilnować na morzu i niedopuszczyć, aby posiłki z Azji dla Turków przybyły;

nie udawał więc, że zmienił zdanie (temu by nikt nie uwierzył)... przybrał postać złamanego, zwycięzonego i ulegającego przeważnej sile człowieka. Król widząc, że nawet kardynał jawnie oporu stawić nie myśli, zachwiał się...

Węgierscy panowie przybywszy tłumnie, wymownie i gorąco wyrazili zgodne zdanie swe, aby pokoju nie odrzucać. Kraj był wycieńczony, ogłodzony, znękanym wojną, a sławy miał do syta...

Na to poselstwo, przemawiające natarczywie, nie mógł król inaczej odpowiedzieć, jak milczeniem przyzwalającym...

Kanclerz państwa i inni dopraszali się, aby Władysław niezwłocznie udał się do Szegedynu, gdzie posłowie tureccy przybyć mieli.

Naglono tak o pośpiechu, domagano się tak gorączkowo, iż opierać się nie było podobna. Kardynał, który dotąd zawsze głos zabierał i gotów był walczyć z przeciwnikami, zapewne rozrachowawszy ich liczbę, milczał. Oblicze jego pochmurne, niemal szyderskim jakimś uśmiechem skrzywione, stało jak groźba niema ponad roznamiętinionymi.

Dawszy szeroko się wytłumaczyć Węgrom, do których panowie polscy się nie mieszała, stojąc na uboczu, król wtrącił tylko:

— Pomnijcie, że Turek z chytrłości i przენiewierstwa słyńie. Być może, iż nas uwodzi pokojowemi nadziejami dlatego, aby nasze przygotowania wojenne wstrzymał. Gdybyśmy nawet do Szegedynu jechać mieli, to nie inaczej jak wyprawiwszy część wojska, którą gotową mamy, aby stała w polu i groziła mu wtargnięciem...

Kardynał po raz pierwszy mocno poparł króla.

— Najprostszą ostrożność i rozum doradzają to — rzekł. — Nie wprzód jechać, aż wojsko wyciągnie. Jeśli pokój ma w istocie stanąć, ono go poprze najdzielniej.

Panowie węgierscy, widząc, że król stawiał to jako warunek, spojrzeli po sobie i zgodzili się...

Król nawzajem podróży do Szegedynu się nie opierał...

Łatwiej na pozór daleko, niż się spodziewali panowie, zdobywszy to czego życzyli sobie, widząc kardynała milczącym, niepróbującym nawet oporu i sprzeciwiania się... nie mogli zrozumieć, jak się to stało.

Cesarini dotąd, nigdy takiego nie ukazał umiarkowania.

Wychodząc z posłuchania od króla, jeden ze znanych dobrze Grzegorzowi magnatów, spotkawszy go w podwórzu, a wiedząc, że mistrz nie bardzo z Włochem był przyjaźnie, pocałował śmiejąc się chwalić odniesionem zwycięstwem.

— Wiesz, ojczu, cud się stał! — zawołał do królewskiego kapelana. — Kardynał zaniemiał... Tryumf odnieśliśmy niespodziany...

— Sądźcie? — przerwał szydersko mistrz. — Nie cieszcicie się zawczasu a nie dowierzajcie. Człowiek ten, gdy milczy, niebezpieczniejszym jest niż w rozprawie. Dopóki on tu mieszka, wierzajcie mi, jest panem i was wszystkich przemoże, jeśli nie rozumem to przebiegłością.

— Ależ król jedzie do Szegedynu! — zawołał Węgrzyn.

— A pokój niezawarty jeszcze! — szepnął Grzegorz. — Więcej powiem... gdyby zawartym był, ja i temu nie zaufam...

Zmarszczył się magnat, ale ręką uderzywszy po szabli i zakławszy w swoim języku, rzekł:

— Jeden przeciwko wszystkim? nic nie dokaże!

Rozeszli się tak...

Król złamany domaganiami się Węgrów, przymuszony traktować o pokój, spotkania się sam na sam z Cesarinim obawiał i wymówek a użalań, które go ominąć nie mogły.

Gdy po odejściu panów, weszli razem z nim do pobliskiej komnaty, król tak był zmięszany i upokorzony, że na kardynała spojrzeć nie śmiał.

Wielką moc mający nad sobą Cesarini, w pierwszej chwili nie okazał nic nad smutną rezygnację...

— Padam ofiarą — odezwał się — mojej wiary w Węgrów, ale spodziewam się, że oczyścić się potrafię... Niestety! za nierozważnie, za pospiesznie zaręczyłem, że wyjdziemy w pole! Zawiadomiłem o tem papieża, księcia Burgundyi, Wenetów i Genuńczyków, którzy z flotami w pomoc nam spieszą. Okrutny! sromotny zawód dla mnie, lecz Bogu go ofiaruję! — dodał pokornie.

Król ujęty bólem tym, starał się go pocieszać.

— Nic się jeszcze nie stało — rzekł — nic może się nie dokona. Znacie moje uczucia, wiecie żem gotów... lecz...

Kardynał przerwał, dając znak ręką, że mówić nie potrzebuje.

— Cierpliwości... tak, miłościwy panie, burzę tę przetrwać potrzeba, nie przekonamy ich... Milczmy na teraz, patrzmy, czekajmy! Ja zostanę ofiarą, ja ogłoszony będę kłamcą i lekkomyślnym, ale czas to naprawi, wyjaśni i oczyści mnie.

Kardynał złożył obie ręce na piersi, oczy podniósł ku niebu, westchnął i ułożył tak twarz swą, że się prawdziwym wydawał męczennikiem.

Król poruszony mocno uściskał go...

Postanowiona podróż do Szegedynu nie cierpiała zwłoki. Panowie, obawiając się aby jej co nie stanęło na zawadzie, wzięli się zaraz do przygotowań. Wojskom dano rozkazy wyciągania pospiesznego nad granicę, dwór sposobił się do podróży. Król sam prosił Cesariniego, aby go nie opuszczał, kardynał też wybierał się mu towarzyszyć. Dwór polski, młodzież, niektórzy z panów, Grzegorz z Sanoka, dziekan Lasocki, wszyscy jechali za królem...

W Szegedynie czekali Węgrowie bardzo licznie zebrani, wszyscy, którym szło o to, aby pokój zamierzony stanął w istocie.

Czasu tego, który upłynął od pierwszych gońców wojewody siedmiogrodzkiego do zjazdu w Szegedynie, kardynał używał bardzo oględnie lecz zręcznie.

Publicznie wcale nie występował przeciwko traktatom. Pytany bolał tylko, że sprawy węgierskie zmuszały do tego kroku, który w Europie, po świecie surowo mógł być sądzone. Gdziekolwiek rozmowa o pokoju rozpoczęta została wobec liczniejszych świadków, Cesarini wcale w niej nie brał udziału. Okrywał się wiele znaczącem milczeniem.

Na osobności, z młodzieżą polską i węgierską, odzywał się z wielkim żalem, że rycerstwu wydzierano chwałę, którą się okryć miało... Przemawiał gorąco, a że słowo jego działało na umysły, do których z dziwną zręcznością było zawsze zastosowywane, odchodził od niego gorętsi z żalem w duszy, z niechęcią przeciw starszyźnie, która dała się pieniądźmi i mamiąciami korzyściami uwieść do sromotnego kroku...

Tak pokątnie tylko działając, Cesarini publicznie przeciw układom nic nie działał... był świadkiem bezczynnym przygotowań do nich.

Wszystkich, a najbardziej Grzegorza z Sanoka, to zachowanie się kardynała w zdumienie wprawiało...

Mistrz Grzegorz nie krył się z tem wcale, że pokoju dla króla pragnął i popierał go wszelkimi siłami. Lasocki równie był zamknięty i milczący jak ten, który nim władał.

Młody król walczył z sobą. Mistrz, mający jego zaufanie, bo przed nikim się z taką otwartością nie wywnętrzał jak przed nim, najlepiej wiedział co się w tej młodej, zburzonej duszy działo.

Wieczorem czasem znajdował go na modlitwie cichej, ze łzami na oczach...

Jednego dnia poddawał się konieczności, drugiego wracał do żalów swych i pragnień...

— W pół drogi do celu... zaparto mi ją!! Los złamali... przyszłość tak świetna zgubiona na wieki...

— Królu mój! — wołał Grzegorz — nie masz lat dwudziestu... przeciwko Tatarom i Turkom we własnym kraju będziesz mógł walczyć i wślawić się... Ten pokój, to palec Boży! Kardynał jest zaślepiony... nie obwiniam go, bo wiem, że sam gotów jest z życia uczynić ofiarę; ale rachuby jego mylne, zaufanie w pomoce płocze, nieprzyjaciela za lekko ceni...

Król bolał niewymownie...

Kilka dni oczekiwano na posłów tureckich. Wiadomem już było, że na czele poselstwa ma się znajdować Grek, renegat, o którym Arkadiusz mówił, zapierając się z nim znajomości, jakoby ze słuchu tylko, lecz drudzy utrzymywali, że dwaj jednoplemienni byli z sobą w tajemnych stosunkach...

Głoszono go, jako przebiegłego wielce i chytrego człowieka. Wstręt zawczasu budziło to, że przechodząc do służby tureckiej, zaparł się dla niej Boga i przyjął mahometańskie wyznanie.

Greki, przeciw któremu przodem wysiano mały poczet dla bezpieczeństwa, dodając Arkadiusza za tłumacza, nadciągnął w sto koni, bogato i wspaniale strojnych i objuczonych. Kilkunastu janczarów, dla świetności orszaku, dodał mu sultan...

Z Szegedyńcu wysypało się co żyło dla zobaczenia tego wjazdu, który się odbył w milczeniu, ale z uroczystością wielką.

Od granicy już, wedle zwyczaju, podejmowano Turków, dostarczając im żywności, wyznaczając gospody, a w Szegedynie czekały na nich domy opróżnione i tłuste barany, któremi się żywić mieli.

Turcy wieźli dla króla podarki kosztowne, koni kilka najpiękniejszych, materij, tkanin różnych i klejnotów.

Na dzień następny pierwsze posłuchanie naznaczone było.

Dla Greka Rodokosa i tych, co się z nim królowi przedstawić mieli, zawczasu posłano, zwyczajem wschodnim i u nas zachowywanym, szuby sobolowe jedwabiem kryte i suknie kosztowne, które wdziawszy poselstwo sprawić mieli.

Młody król przyjmował Turków na tronie, otoczony co najprzedniejszymi ze dworu swojego panami... z całym majestatem monarszym... Przy tronie stali trzymający chorągiew, miecz wielki obnażony, laski i godła pańskie, urzędnicy węgierscy...

Greki po turecku przyodziany, w szubie na wierzch, którą mu podarowano, przykląkł przed królem i w krótkich słowach powitał Władysława... Zagał tem, że pan jego pokój z sąsiadem zawrzeć jest gotów...

Rodokos miał powierzchowność niepowabną, czarny był, oczy mu biegały niespokojnie, ruchy miał dziwne i dumą nadrabiał, czując, że podłym się wydawać musi. Z twarzy jego niewiele się dawało wyczytać, wejrzenie skośne przypominało dzikie zwierzę, w ustach było coś złego... Na przemiany uniżony do zbytku, jakby potem przypomniał sobie od kogo i z czym przychodził, rwał się zuchwale...

Po tem posłuchaniu wielkiem, rozpoczęły się dopiero z wyznaczonymi panami węgierskimi o pokój umowy. Turek tak skłonny był do zgody, że prawie bez sporu oddawał zamki zagarnięte w Rascii wszystkie, część Albanii dla despoty... Bułgarów tylko zatrzymać chciał dla siebie.

Przytomny Jerzy despota Rascii, który najwięcej miał korzystać z tej powolności Turka, rzucał się na kolana, błagał, zaklinał, aby nie opuszczano tak szczęśliwej zręczności odzyskania twierdzy i grodów obronnych, które niegdyś wiele krwi kosztowały a dziś darmo zwrócone być miały. Panowie też węgierscy obstawali równie gorąco za pokojem...

Kardynał zdala patrzył, słuchał, marszczył się, lecz przeciwko prądowi ogólnemu nie mógł wystąpić. Nie chciał opierać się nadaremnie i być pokonanym, a czuł, że nie zwycięży...

Oprócz króla samego, który smutnie przyjmował warunki te, niemogąc zaprzeczyć, że były korzystne, prócz kardynała i dziekana, wszyscy zdawali się zgodnie cieszyć pokojem, który na lat dziesięć miał być zawarty...

Jęki i błagania despoty, który oprócz zamków miał odzyskać dwóch swoich synów, będących w rękach Amurata, przyczyniały się też wielce do przyspieszenia układów.

Greki zdawał się nad wszelkie przewidywanie powolnym, godził się na warunki już wprzód oznaczone, wymagań nowych nie stawiał...

Trzeciego dnia dał znać Lasocki Cesariniemu, że pokój był już tak jak zawartym. Kardynał pobladł, ale nie rzekł ani słowa... Wyszedł jak zwykle do króla i ani spytał go o nic, ani wymówek mu nie czynił.

Traktat ów dziesięcioletni z obu stron miał być poprzysiężonym, przez Turków na alkoranie, przez króla...

Rodokos, w chwili gdy o tem była mowa, obstając mocno aby przysięga jak najuroczystsza była i jak najsilniej obowiązującą, wniósł, ażeby król ją na poświęconej Hostyi u ołtarza złożył, na tem co dla chrześcianina najświętszem było...

Nie bez przyczyny Greki się tego domagał. Wiedział on dobrze, iż przy królu byli ludzie, którzy przeciwko traktatowi mieli go podżegać i do złamania namawiać.

Arkadiusz myślał tę mu poddał...

Na pierwszą wzmiankę o tem, Grzegorz z Sanoka, który się w izbie znajdował, podniósł głos z gwałtownością wielką.

— Nigdy w świecie być to nie może! — krzyknął. — Przysięga na hostyę niesłychana u nas, zwyczaj żaden jej ani dopuszcza, ani uświęca! Byłaby profanacją! Na to dozwolić nie można.

Greki obstał przy swoim.

Oburzony wybiegł mistrz wprost do króla, przy którym znalazł kardynała z zaciętymi ustami i piorunującymi oczyma.

Pomiędzy Cesarinim a Grzegorzem z Sanoka w ostatnich dniach przychodziło codziennie do sprzeczek i sporów, często w rzeczach małej wagi, jak gdyby Cesarini oprzeć się nie mógł niechęci swej do tego człowieka.

Gdy ze zmienioną a gniewną twarzą wpadł na pokoje mistrza, kardynał zmierzwił go wejrzeniem złośliwym...

— Miłościwy panie — odezwał się Grzegorz z zapalem. — Grek bezbożny domaga się rzeczy niegodziwej, niemożliwej... Chce przysięgi na Hostyę! Byłoby to profanacją! Tego dopuścić się niegodzi!!

Władysław porwał się z siedzenia, ale nieodpowiadając spojrział na kardynała, jakby go wyzywał.

Cesarini się skrzywił ironicznie.

— Jeżeli pokój robicie i króla do przysięgi nań zmuszacie — odezwał się — dlaczegożby i na Hostyę nie miał przysięgać? Zwyczaju tego niema, ale zakazu niema!! Taka czy inna przysięga będzie nieważna!

— Jaki? — wykrzyknął Grzegorz, cofając się zdumiony. — I to wasza przewielebność mówicie? Wy? księżę kościoła? Dopuścilibyście, aby dla sprawy ziemskiej Boga samego używać i czynić świętość narzędziem.

— Przysięgamy na Krzyż i Ewangelię — odparł kardynał — dlaczegożby nie na Hostyę?³

— Nigdy w świecie nie dopuścimy tego! — zawołał Grzegorz.

— Powtarzam wam — wtrącił Cesarini — że nie widzę w tem ani profanacji, ani nic nadzwyczajnego... a ta przysięga!!!

Lekceważąco ręką potrząsnął.

— Heretykom i poganom ani wiary, ani przysięg nie jesteśmy obowiązani dotrzymać — dodał kardynał.

Grzegorz się wzdrygnął.

— I to miałyby być chrześcijańską nauką? — zawołał gwałtownie — nauką tego Zbawiciela, który nieprzyjaciół miłować kazał, a za złe dobrem odplacać?? Który w Ewangeli swej nikogo z pod prawa miłości nie wyjął?

Cesarini spojrział z rodzajem politowania na mistrza Grzegorza, ramionami poruszył i odwrócił oczy w inną stronę.

Grzegorz podszedł do króla.

— Miłościwy królu — rzekł z powagą i namaszczeniem — chociaż przytomny tu legat Ojca świętego zdaje się być za tą niesłyszaną formą przysięgi, której Turek a raczej chytry Grek, jego poseł, wymaga... ja, jako stary twój sługa i stróż sumienia, błagam cię, warunkowo tego nie przyjmuję. Byłem i jestem za pokojem — dodał — ale taką okupioną ceną!! nigdy...

Kardynał pilno patrzył na króla.

Być mogło, że popierając przysięgę na Hostyę, chciał jej zapobiedz i pokój ten zniweczyć w chwili, gdy już był blizkim zawarcia. Domyślał się, iż pobożny Władysław pójdzie za radą mistrza. Jakoż król okazał jawnie, że na te wymagania przystać nie może.

— Nie będę im przysięgał inaczej, tylko wedle obyczaju — rzekł stanowczo. — Nie bój się, mistrzu mój... świętokradztwem się nie skażę.

Uśmiezek przebiegł po ustach Cesariniego, milcząco spojrział na Grzegorza, który stał jeszcze.

— Mam odnieść tę odpowiedź króla? — zapytał.

— Tak, powiedz im, że, jeżeli mi nie ufają, przysięga żadna wiary nie wzbudzi — odparł Władysław.

³Przysięgamy na Krzyż i Ewangelię [...] dlaczegożby nie na Hostyę? — O tym sporze z Cesarinim, Kallimach w życiu Grzegorza z Sanoka. (przyp. aut.) [przypis autorski]

Grzegorz zwyczajko spojrzal na Cesariniego, który w obliczu miał coś szyderskiego... i oddalił się.

Na pokojach króla czekano potem rozwiązania tego sporu o przysięgę dosyć długo. Trochę zniecierpliwiony niepewnością tą Cesarini, wyprawił Lasockiego na zwiady.

Dziekan powrócił przynosząc wiadomość, że Grek upierał się przy swej przysiędze na Hostyę, ale widocznem było, że ulegnie i od warunku tego odstąpi, ograniczając się Krzyżem, Ewangelią a ołtarzem...

Kardynał posłyszawszy to pochmurniał, ostatnia nadzieja zerwania układów znikła...

Nazajutrz król poprzysiągł zawarty traktat dawnym obyczajem, a Turcy zamki w przeciągu ośmiu dni wydać się zobowiązali.

X

Milczenie, cierpliwość, obojętność, z jaką kardynał Cesarini patrzył na zawarcie pokoju w Szegedynie, podżeganie dziwne gdy szło o przysięgę, lekceważenie jej... dla tych, co jak Grzegorz z Sanoka znali Cesariniego, niepojętem się wydawało.

On, co był wyprawy przeciwko Turkom duszą i sprężyną, co czuł tu tylko nad tem, aby wojnę krzyżową przeciw niewiernym uczynić nieubłaganą i ostateczną... w chwili zawarcia dziesięcioletniego pokoju zachował się tak, jakby w istocie już nie miał najmniejszej nadziei skłonienia do walki. Nie pozostawało mu nic więcej jak powracać do Rzymu, gdyż pobyt jego na dworze króla Władysława nie miał celu.

Nie mówił jednak wcale o odjeździe, a w drodze do Budy, jak w Szegedynie, zachował się z tą samą obojętnością. Grzegorz z Sanoka, który śledził każdy ruch tej zagadkowej postaci, przekonał się tylko, że przy każdej zrzeczności sam na sam z królem i z tymi, których znał usposobienia rycerskie, kardynał starał się obudzić w nich żal, iż pokój ten laury, sławę, zasługi im odbierał, niweczył wszystkie ich nadzieje...

Krół też był smutny i zamyślony. W podróży na jednym ze spoczynków, nie oglądając się na to, że Grzegorz był przytomnym, Cesarini poczył te żale rozwodzić...

— Zaprawdę — mówił do króla — nigdy Turek nie dał dowodu większego przewrotności a rozumu, jak teraz. Czui i wiedział dobrze, że siły całego chrześcijaństwa zbierają się przeciwko niemu, że im nie podola... Dlatego zgodził się na wszelkie warunki, jakichby nigdy inaczej duma pohańca przyjąć nie dozwoliła! Przeszła wojna, w której wy, miłoścywianie, okryliście się taką sławą, nauczyła go, czego się ma spodziewać po drugiej wyprawie!! Nieszczęsny ten pokój drogo opłacacie... Nie mówię o sobie, com się zobowiązał za was w obliczu Europy, bom wyszedł na kłamcę... wszakci Chrystusowe dzieci w oplwanych sukniach powinny się nauczyć chodzić! Znoszę to z pokorą... Żal mi większy was, bo wam palmę z rąk wydarto!

Krół wzdychał...

Toż samo utyskiwanie powtórzyło się w Budzie.

Dnia jednego kardynał z taką mówił gorącością, z takim przejęciem, że lży niemal młodemu panu wycisnął.

— Ojcie mój — wyrwało się z ust Władysławowi — nie krwawcie mi serca. Stało się, przysięgę złożyłem, jest świętą przysięgą!

Cesarini ruszył ramionami.

— Przysięga niewiernym, nieprzyjaciółom Chrystusa! podchwyciona, przynaglona przez Huniadego i despotę? Co warta taka przysięga! Nic!! Papież i ja rozgrzeszylibyśmy, gdyby ją złamać przyszło...

Krół pobleł i drżeć zaczął.

— Ojcie mój — odparł wychowany w poszanowaniu nietylko przysięgi ale danego słowa, młody Jagiellończyk — wybyście mnie może rozgrzeszyli, ale moje sumienie nigdy!!

Na ten raz, nie popierając swojego zdania, Cesarini skrzywił się pogardliwie i zamilkł.

Wieczorem król ułamek tej rozmowy powtórzył Grzegorzowi z Sanoka, który słysząc to zadrzał i ręce załamał.

— Królu mój — rzekł — przysięga każda jest świętą... poganom czy wiernym dochować jej potrzeba. Kardynał jest uniesiony wielką myślą zagłady nieprzyjaciół krzyża

Chrystusowego, ale się myli. Zapal mu nie daje widzieć jasno prawdy! Na Boga, nie dajcie się zwieść z prawej drogi!

Tymczasem zaledwie król do Budy powrócił, ów tak na pozór uspokojony kardynał, który w początku utyskiwał tylko, począł już nie własne żale, ale nadchodzące zewsząd pisma i podżegania do wojny przynosić.

Pierwsze listy, które nadeszły były od kardynała Franciszka tytułu św. Klemensa, dowódcy papieżkiej floty, z doniesieniem, iż okręta jego oraz połączone z niemi statki Wenetów i Genuńczyków stały w pogotowiu do wyjścia, że mogły wprędce wyruszyć na morze, aby Turkom zaprzec przepławę do Natolii i posiłków nie dopuścić.

W listach tych, wyprawionych wprzód nim się dowiedziano o zawarciu pokoju, nagłono króla, aby wedle danego słowa, ze swej strony pospieszał do Romanii i wojnę rozpoczynał.

Kardynał przybył do króla z pismami temi szydersko uśmiechnięty, ironiczny, i rzucając je na stół, wybuchnął już wcale innym tonem niż wprzód.

— Ani Ojciec święty, ani rzeczpospolite, ani książę Burgundyi nie wiedzą — zawołał — że my tu pokój zawarliśmy... Floty są gotowe, Europa na was rachuje... Co za srom! jakie upokorzenie, jakie niebezpieczeństwo dla sprawy chrześcijaństwa, którą opuściliście.

Król słuchał przerażony...

— Pokój was wiąże, ale Europy nie obowiązuje... ona go znać nie chce. Ojciec ś. poczynił takie ofiary, kardynał Franciszek czeka, a my tu... z założonemi rękami...

— Widzieliście konieczność, mój ojcie — rzekł król.

— Widziałem nie konieczność, ale upór despoty i Huniada — odparł żywo Cesarini — a teraz widzę wiarołomstwo wasze względem papieża. Przyrzekliście, ale i złamaliście słowo wasze...

Król rzucił się z załamanemi rękami ku Cesariniemu.

— Możecież mi to zarzucić? — wykrzyknął.

— Zaprawdę! zaprawdę! — wołał rozogniając się kardynał. — Papieżowi i panom chrześcijańskim daliście przyrzeczenie, słowo rycerskie... a teraz... wystawujecie ich na sztych...

— Ojcie mój! litości! — odezwał się król błagająco. — Widzieliście postępowanie moje, byłem zmuszony...

— Więc cóż warta wasza przymusowa przysięga? — przerwał tryumfująco kardynał.

Nie umiał Władysław odpowiedzieć na to, lecz z pierśią uciśnioną, przerażony, smutny wyszedł i zamknął się w swej sypialni.

Kardynał był znowu, jak wprzód, rozgorączkowanym. Nie ograniczył się na tem nawracaniu króla, poniósł pismo kardynała do kanclerza, do panów polskich, wszędzie też samo powtarzając i usiłując zawczasu przygotować do tego, że zawarty pokój i złożona przysięga nie miała żadnej wagi.

Przyznać należy ognistemu kardynałowi, że umiał sprawę swą popierać wymownie i przekonywająco. Przed kanclerzem węgierskim starał się okazać, że na naród cały spada hańba za to przestępstwo...

— Króla nie obwinia — mówił — młodzieniaszek, niedoświadczony, mógł się wam dać uwieść i przekonać... Hańba czeka Węgrów za zdradę Chrystusa... na was świat cały zrzuci winę i słusznie! Wy w obliczu historii będziecie dźwigać hańbę tego zawodu... Ojciec ś. wam tego nie przebaczy...

Pismo to pierwsze już poruszyło umysły... wielu z Węgrów i niemal wszyscy Polacy szemrali przeciwko pokojowi. Kardynał coraz głośniejsz dowodził, że traktat ten nie miał żadnej wagi, a przysięga króla znaczenia.

Mówił głośno, wszystkim, a coraz natarczywiej powtarzając, że gotów jest wziąć złamanie przysięgi na swe sumienie i króla uroczyście z niej rozgrzeszyć.

Słowo to, zaledwie wyrzeczone, doszło do Grzegorza z Sanoka, który z oburzenia i gniewu wpadł w zapamiętanie... Począł równie głośno wołać, że nikt ani nawet Ojciec św. od dobrowolnie złożonej przysięgi uwolnić nie może...

— Sam Pan Bóg — krzyknął w zapale — tego, co było spełnionem, nie może znicestwić. Co się stało, źle czy dobrze, stało się, i człowiek dźwiga następstwa... Niech Bóg uchowa, aby króla kto śmiał namawiać do złamania przysięgi!! Skalać tem tego czystego, bohaterkiego pana naszego! Nigdy!!

Jeszcze wrażenie po liście kardynała nie ostygło, gdy z Konstantynopola przyniesiono list błagalny od cesarza Jana Paleologa, który zaklinał króla, aby się Turkom nie dał omamić, a szedł ich wojować teraz, gdy godzina ich zguby naznaczoną była, gdy on mógł im zadać cios śmiertelny...

Kardynał tryumfował, lice jego promieniało. Krzątał się goręcej, niż kiedy, nie pozynając od króla, ale potajemnie nalegając na znaczniejszych panów węgierskich...

Dowodził on im, pojedynczo każdego z nich biorąc do siebie, że zawarty pokój był zdradą, hańbą, a zobowiązania dawniejsze, przysięgę tę czyniły nieważną...

Powaga Cesarzynie, wymowa jego, listy z Rzymu i Konstantynopola, wszystko to z wolna zaczynało działać na słabsze umysły i zachwiało niemi.

Rycerstwo chciwe sławy, zagrzane tem, że papież, rzeczpospolite włoskie, książę Burgundy, krzyżowcy angielscy i francuscy pomoc obiecywali, zaczęło głośno utyskiwać. Grzegorz z Sanoka sam niemal jeden pozostał ze swem niezłomnem przekonaniem, że słowa i pokoju należało dotrzymać.

Kardynał umiał sobie pozyskać młodzież, z królem Władysławem najpoufalej obcującą, dwóch z Tarnowa i Zawiszów...

Młodość ich czyniła łatwemi do przekonania... Cesarini w kilku dniach wmówić im potrafił, że powinni byli króla nawracać i starać się przygotować do wojny... mimo przysięgi.

O tej przysiędze wszędzie i ciągle odzywał się z taką wzdargą, ponawiając to, że brał złamanie jej na swe sumienie, że rozgrzeszyć był gotów publicznie, iż w końcu wielka większość dworu już ją lekceważyć zaczęła.

Stracona owa wyprawa przeciwko Turkom, wydawała się tak niezawodnem zwycięstwem, że żal po niej obłąkiwał umysły rycerstwa.

Pozostawał do zwalczenia kardynałowi mąż, od którego najwięcej zależało, wódz najdzielniejszy, człek prawy, nieskalany niczem, rycerskiego ducha, Huniady... Pokój zawarty z Turkami zapewniał mu Bulgaryę. On sam z despotą przyczynił się do jego zawarcia, a bez Huniady, wojna była niemożliwą. Kardynał wezwał go dla widzenia się z sobą nie do Budy, lecz w małej odosobnionej mieścinie, w której zjechać się mieli.

Wojewoda siedmiogrodzki listem powołany, w którym nie było mowy o celu narad, przybyć obiecał. Kardynał nie wydając się z tem, dokąd jechał i po co, znikł z Budy.

Jakim sposobem potrafił przekonać i nawrócić wojewodę, i skłonić go do zgody na złamanie traktatu zawartego, pozostało tajemnicą. Powrócił z tej wycieczki kardynał wesół, z rozjaśnionem czołem, i nazajutrz stawiając się przed królem, począł powitanie od tych słów.

— Mógłbym miłości waszej powinszować, gdybym nie wiedział, że wiadomość, którą przywożę, sumienia królewskiego, zbyt surowo trzymającego się litery zobowiązań, nie oswobodzi od skrupułów.

Turcy się zobowiązali w osiem dni zdać zamki... Upłynęło już dużo więcej czasu... słowo złamali i my też od dotrzymywania go jesteśmy wolni.

— Trzy zamki oddali Turcy — odparł król — zawiadamiając, że resztę niezwłocznie uwolnią... i załogi wyprowadzą.

— Nie rozumiem dlaczego miłość wasza mieli im okazywać powolność, którejby oni zaprawdę w. miłości nie uczynili.

Nie dotrzymali traktatów... są więc zerwane.

Król spojrział niespokojnie dokoła, badając, jakie to na innych przytomnych uczyni wrażenie, i nie odpowiedział nic. Czuł w duszy swej, przy tych naleganiach, ucisk wielki. Co wieczór bolał i skarżył się przed Grzegorzem z Sanoka, który z uporem niezachwianego przekonania, starał się go krzepić i umacniać, aby trwał przy swej przysiędze...

Na twarzach przytomnych nie mógł król nic wyczytać, oprócz zafrasowania. Nikt nie przeczył temu, że Turcy, ściśle biorąc, traktatu nie dotrzymali.

Kardynał nie nalegał. Chciał on wszystko tak przygotować, aby na ostatku mieć tylko do przełamania skrupuły króla. Rachował na jego młodość, na swą wymowę i natarczywość.

W największej tajemnicy rozkazał Lasockiemu przygotować i spisać akt stwierdzony najuroczystszą przysięgą i pieczęciami, którym zobowiązywali się ci, co do niego przystę-

powali, nie zważając na żadne inne śluby i przyrzeczenia, iść walczyć z pogany i w walce tej trwać do końca...

Król jeszcze o niczym nie wiedział, gdy już na wspomnianym dokumencie stały imiona i pieczęcie kanclerza państwa Szymona Rozgon'a, biskupów kilku, wojewody siedmiogrodzkiego, wszystkich niemal urzędników najwyższych i dostojników węgierskich...

Kardynał po jednym naprzód ich pozyskiwał sobie, potem kilku zebrawszy, ich imionami resztę pociągnął...

Czas upływał, należało naostatek uderzyć na samego króla... Cesarini się przygotował do tego i do walki z Grzegorzem, o którym wiedział, iż go złamać nie potrafi. Wpływ spowiednika skromnego musiał ustąpić przed powagą ojca kościoła. Młodzież będąca przy Władysławie, zwolna go oswajała z myślą tą, iż wojna mogła jeszcze przyjść do skutku.

Ale król dotąd zamykał im usta przysięgą.

Starszyzna polska, rycerze dzielni, jak Jan z Rzeszowa, Paweł z Grabowa, Jan Wątróbka, Jędrzej z Sienna, Piotr z Latoszyna i inni mnodzy, już ze względu na Polskę, do której króla odciągnąć chcieli, już z poszanowania przysięgi, której świętość im Grzegorz z Sanoka codzien wpał, stali na uboczu, i przy każdej zręczności, starali się Władysława zapal wojenny hamować.

Ale jak z jednej strony to trudnym było, bo król bołał okrutnie, że zawód uczynił papieżowi i księżętom, którzy mu zaufali, tak z drugiej niemniej złamać w nim poszanowanie ślubu, uroczyste przed ołtarzem złożonego...

W młodem sercu jego i umyśle wrzała walka straszna, która się na licu, w mowie, w życiu całę odbijała. Nic mu nie smakowało, chodził niespokojny, modlił się prawie ze łzami... szukał pociechy i nigdzie znaleźć jej nie mógł.

Grzegorz z Sanoka z żelaznym, niezłomnym uporem, powtarzał codzien — Królu, słowa i przysięgi każdy powinien dotrzymywać, a kto stoi na świeczniku, ten stokroć winniejszy, gdy da zły przykład...

Z jednej strony słysząc ciągle, że przysięga nie była ważna, z drugiej, że nic jej naruszyć nie mogło, Władysław w sobie nie znajdował rozwiązania tej wątpliwości.

Tak stały sprawy królewskiego sumienia, gdy kardynał mając już za sobą biskupów, Huniada i panów węgierskich, zjawił się u króla z licznym poczem duchowieństwa i panów, aby ostateczny szturm przypuścić.

Dziekana Lasocki, o którym mówić nie potrzebowaliśmy, na kilka dni wprzód, przysposabiał Władysława... Sam on czuł, że się coś gotowało. Panowie i duchowieństwo nie zdradzając się, milczało znacząco, gdy mowa była o pokoju...

Chwila obraną została tak, że mistrz Grzegorz, który się do klasztoru Franciszkanów rano udał, przeszkodzić nie mógł rozmowie. Z kardynałem przybywali Szymon Kozgon kanclerz państwa, Piotr biskup czanadzki i Wawrzyniec palatyn... nie licząc dziekana...

Już zebranie tych osób zapowiadało, że Cesarini niósł z sobą sprawę ważną, która się tu rozstrzygać miała.

Odgadnąć było łączno, po udziale kardynała, o co chodziło... Król wychodząc zadrżał i pobladł. Przeczował, iż Cesarini zechce go skłonić do zapomnienia przysięgi, ale nie domyślał się, że towarzyszący mu już się zobowiązali nie poszanować jej...

Z wielką uroczystością i majestatem wysłańca głowy kościoła, kardynał rozpoczął mowę. Dowodził w niej, że nie król i nie korona węgierska łamała traktat, lecz sami Turcy już go naruszyli i nie dotrzymali. Dodał, że on powagą Ojca św. rozgrzesza i rozwiązuje sumienie, że wojna stała się nieuchronną, świat patrzy cały i czeka na nią.

Naostatek zachował argument najsilniejszy i wskazując kanclerza, palatyna, biskupów, rozwinął akt przygotowany, przy którym wisiała też pieczęć Huniada...

Pozostawał jeden król, jeden Władysław, i losy chrześcijaństwa od niego zawisły... W jego ręku była cała przyszłość, jego słowo miało ją rozstrzygnąć...

Gdy to mówił kardynał, wszystkich oczy zwrócone były na króla, który stał, patrzył na kartę rozwiniętą przed sobą, na biskupów, na kardynała, i wargi mu drżały, a głos nie mógł dobyć się z piersi.

Zamiast słowa, dwie wielkie łzy stoczyły się na pargamin...

Milczenie długie panowało w sali. Władysław stał, rękę położył na piersi uciśnionej, zadumał się i w końcu rzekł głosem drżącym.

— Przysięgi złamać nie dopuszcza mi sumienie, ale koronę złożyć, abym nie stał na zawadzie wielkiemu dziełu, gotówem...

— A któż nam takiego jak wy bohatera zastąpi? — odezwał się kardynał. — Nie, bez ciebie na czele nie ma wyprawy...

— Huniady! — przebaknął król

— Wódz wielki, lecz wojewoda siedmiogrodzki nie zastąpi króla Polski i Węgier! — począł gorąco Cesarini i skłonił się tak, iż niemal kolano ugiął przed królem.

Władysław schylił się szybko ku niemu... Wtem Cesarini o pomoc obejrzał się do Rozgona i innych biskupów i kanclerz począł głosem trochę niepewnym powtarzać to, co wprzód kardynał tak wymownie wykladał...

W milczeniu słuchał król, nie dając znaku ani przeciwieństwa, ni zgody. Kardynał, który badał młodą tę twarz zmienioną, cierpiącą, zbolałą, czekał ażali na niej promyk nie zabłyśnie... Widział tylko coraz potęgujący się niepokój.

Po biskupach, którzy wszyscy wtórowali Cesariniemu, odezwał się Lasocki z żywością i poufałością starego sługi, domownika, doradcy...

Ze wszystkich może, mowa dziekana, który najlepiej wiedział, jak do młodego pana przemawiać należy, najsilniejsze na nim uczyniła wrażenie.

Otworzyły się usta, Władysław bronić się zaczął słowy i argumentami Grzegorza z Sanoka... Lasocki odpierał je zasłaniając się legatem papieża, powagą Ojca św...

Obronić się temu naciskowi król nie mógł. Widocznie czuł się już złamanym, ogłędając czy mu kto na pomoc nie przyjdzie. Ale wszyscy byli przeciwko niemu...

Zachwiany, znużony, Władysław padł na krzesło, oparł się na rękę, i nie odpowiadając już nic, pozostał nieruchomym.

Ktośby był może ulitował się nad stanem jego, lecz nie kardynał Cesarini, który właśnie z tego rozbrojenia i chwilowej bezsilności, musiał korzystać.

Nastał więc na króla, aby w niepewności ich nie zostawiał...

Władysław spojrział błagająco, i nie odpowiedział nic.

Milczenie Cesarini wytłumaczył jako przyzwolenie.

Lasocki miał już pod datą dnia tego przygotowane pismo królewskie (d. 4 sierpnia 1444), i natychmiast na głos czytać je zaczął.

Zwyciężył Cesarini.

Gdy w kilka godzin potem Grzegorz z Sanoka wróciwszy z klasztoru, wszedł na podwórce, uderzyła go zmieniona ich fizygnomia. Młodzież z okrzykami i weselem, dawno tu niewidzianem, biegła jakby już się przysposabiając do jakiejś wyprawy...

Amor z Tarnowa zastąpił mu drogę podnosząc rękę do góry.

— Mistrzu! — zawołał — dobra nowina! Idziemy na Turka! Wojna ogłoszona.

— Śni ci się? — odparł mistrz.

Wtem podpadł Gratus.

— Nie wiecie więc, król i wszyscy panowie przyłożyli pieczęcie do aktu ogłaszającego wojnę... Idziemy na pogan!

Nie wierząc uszom swym mistrz pobiegł wprost do króla.

Była to chwila właśnie, gdy Władysław po kilkogodzinnej walce, powróciwszy do sypialni, jakby chciał Boga o przebaczenie prosić za to, że uległ wywartemu nad sobą gwałtowi, padł przy kłęczniku przed krucyfiksem na modlitwę... złożone ręce trzymał ponad głową...

Zastał go tak Grzegorz z Sanoka... i litość wielka serce mu przejęła. Uczuł, że jeżeli była wina czyja, nie spadała ona na króla. Nie rzekł więc słowa, nie uczynił wymówki, ukląkł za nim na modlitwę, ale z wezbranej piersi wyrwało mu się łkanie i oczy zalały łzami...

XI

Dnia dziewiątego Listopada, w wigilię św. Marcina, wszystkie siły, towarzyszące Władysławowi królowi w wyprawie przeciwko Turkom, stały już na równinie pod Warną...

Pochód aż dotąd nazwać było można szczęśliwym i zwyciężkim, równie jak zuchwałym; jednakże wpatrzywszy się w zgromadzonych około namiotu młodych Zawiszów, polskich rycerzy, którzy tu, oddzieliwszy się od tłumu, osobną gromadką stali, gwarząc

po cichu, na twarzach ich trudno było dojrzeć zapału tego, ochoty i ożywienia, które za sobą przynosi zwycięstwo.

Wieczór nadchodził powoli, chwilami od morza zrywał się wicher gwałtowny, rozdąsany, przelatywał nagle po równinie na wpół wyschłej, wpół błotnistej i biegł gdzieś skryć się w gór wąwozach.

Następowała potem cisza grobowa, przerywana tylko jakimś szumem i mrużeniem jednostajnym, przychodzącym od morza.

W prawo na niebiosach jaśniejszych, czerniały baszty i nieforemne wieże zamku w Warnie. Horyzont dalej jeszcze opasywały sine góry, na których tle gorzały łuny rozproszone od tureckich obozowisk, które się rozkładały tuż blisko... Wszystkich oczu ku tym światłom czerwonym zwracały się niespokojne...

Bliżej, jak zajrzeć, widać było porozkładane ognie polskich, węgierskich i posiłkowych rot, wśród taborów, które je zasłaniały w części... Wieczór był chłodny, na niebiosach rozbite chmury czarne pędziły, to się skupiając, to rozpraszając ku góróm.

Z tyłu poza obozem królewskim i w prawo błyszczwały, odbijając płowe niebios jasności, limany i błota nadmorskie. Gdzieniedzie z poza niskich namiotów, gromadami podnosiły się głowy wielbłądów, które od koni oddzielać musiano... Gwar żołnierstwa słychać było to głośniejszy, to cichszy, rżeniem koni zagłuszany.

W głosie zwierząt w tej chwili, było coś jak rozpaczliwe wołanie o ratunek, niepokój i trwoga. Słuchając, żołnierzy przechodziły mimowolnie dreszcze, żegnali się nieznacznie.

Przy namiocie stojąca gromadka gwarzyła, ale głosy i twarze były smutne, mowa nie rażna. Wzrok biegł ku tureckim ogniskom. Wszyscy mówili zwolna, zadumani, cicho, jakby nie chcieli, by ich podsłuchano. Nieopodal przy namiocie królewskim, wielka nadworna chorągiew to szeleściła wiatrem rozdymana, to opadała na drzewce...

Oprócz dwóch młodych Zawiszów, synów Czarnego, którzy szli na poganach pomścić bohaterską śmierć ojca, stali w skupionej gromadce, Wątróbka, Jędrzej z Sienna, Piotr z Latoszyna, a tuż przy wozie, wyprężonym i zatoczonym pod opiekę namiotu, który go od wiatru osłaniał, obok rannego w jednej z dawniejszych potyczek Jana z Rzeszowa, stał ze smutnie zwieszoną głową Grzegorz z Sanoka.

Starszy z Zawiszów, piękny na podziw z rycerskiej postawy mężczyzna, ze wszystkich zgromadzonych miał najweselsze oblicze, i drugim ducha a buty dodawał.

Wszyscy wydawali się znużeni...

W jednej z tych chwil, gdy wiatr ustał i cisza zaległa nad obozem; na szarych niebiosach ukazało się czarne jakiegoś ptactwa stado, i powoli ciągnąć poczęło nad obozem... Grzegorz z Sanoka podniósł głowę, i po krakaniu, które dochodziło uszu, poznał złowrogie kruków stado...

Dostrzegł je i ranny na wozie leżący Jan z Rzeszowa.

— Ho! ho! — odezwał się — przemyślne ptactwo wcześniej na jutrzejsze pospiesza pobojowisko. Zła wróżba.

— Nie wiadomo dla kogo — przerwał zdala wesoło Zawisza.

Zamiłki.

— Rzymianie — szepnął Grzegorz z Sanoka — z prawej strony lecących kruków nie lubili, ale ktoby w to wierzył!!

— To pewna — przerwał Wątróbka — że jutro, w dzień rycerskiego św. Marcina, przyjdzie się z ichmością Turkami rozprawić stanowczo.

Z języka pochwytanego wiedzieliśmy, że dążą za nami krok w krok, a oto ich mamy na karku...

— Im prędzej, tem lepiej — dodał Jędrzej z Sienna. — Co ma być, niech się dokona. Wojsko niezgorzej położone u twierdzy i moczarów, a równina do boju dogodna... Byleby Bóg pobłogosławił...

Znowu jakiś czas milczano.

— Gdybyśmy zawodu nie doznali od tych wszystkich, w piękne słówka zamożnych panów chrześcijańskich, którzy tyle obiecywali, a nie dotrzykali nic, gdyby nadciągnęły posiłki, gdyby...

— Tak, gdyby — przerwał gwałtownie Grzegorz z Sanoka — na tem, gdyby wszystko się rozpięra. Gdyby owa flota Genuczyków i Wenetów, co to na straży stać miała, aby Turków nie puszcać, sama ich po sztuce złota od głowy nie przewoziła...

— Nie może to być! — zaprzeczył Zawisza.

— Jak, nie może! — odparł Grzegorz — wszakże szpiegi nasze, co na to patrzali, pod przysięgą zeznali...

— Od Orszowej nam dobrze szło — dodał z wozu, podnosząc się i na łokciu opierając Jan z Rzeszowa. — Mieliśmy iść wprost na Adrianopol i tam z flotą i posiłkami się połączyć, a no za mało nas było, aby się tak ważyć. A dlaczego za mało, niech odpowie...

— Kardynał Cesarini! — namiętnie dorzucił Grzegorz.

— Co tu na kardynała zrzucac winę — sprzeciwił się Zawisza. — Nie on winien, ale ci, co go wysłali, a którym zawierzył. Idzie sam z nami, nie jak kapłan, ale jak żołnierz i losy nasze dzieli...

— A nie obrachował na jakie nas naraził — niechętnie mruknął mistrz.

— Wy bo go nie lubicie! — rzekł Zawisza.

— Ani się z tem taję, że mu za złe mam, iż króla pchnął, gdzie być nie powinien. Tego mu przebaczyć nie mogę — rzekł Grzegorz...

— Zamku żadnego bez dział po drodze zdobywać nie mogliśmy — odezwał się Wątróbka — a i to złe, bo w nich załogi tureckie się gnieźdzą i poza nami zostają.

— A czymże je brać było? — odezwał się Wątróbka. — Działek mamy ino dwoje i to małych, kule do nich garścią sypią, murów niemi nie złamać!

— Działami się na prędki pochód trudno było obciążać — dodał Zawisza.

Grzegorz z Sanoka stał zadumany.

— Najrozumniej było — odezwał się — gdyśmy widzieli, że siła za mała, a posiłki niepewne, od Nikopolis zawrócić.

Byłem przy królu, gdy Drakula przyjechał. Popatrzał się tylko na nasz obóz, a potem na młodego pana i do nóg mu przypadał prosząc, aby powracał, a nie ważył się dalej. Zna on Turków siły dobrze.

— Z czym wy ciągniecie? — mówił. — Sułtan jadąc na łowy więcej z sobą ludzi bierze...

Łzy miał prawie na oczach, gdy to mówił, syna królowi dać chciał, ludzi, konie, aby na wszelki wypadek ratować się mógł.

Król i kardynał podziękowali, ale rady nie posłuchali!! Daj Boże, byśmy nie żalowali tego...

Wszystkiego razem mamy z piętnaście tysięcy ludzi z Wołoszą, a dwa tysiące wozów, dla których się wlec potrzeba... bo rycerstwo wygodę i przepych lubi!

— Mistrzu — gwałtownie zakrzyczał Zawisza — już i na nas poczynacie sarkać? A godzi się to? Niesiemy życie ochotnie...

— To też mi żal, aby ofiara marną nie była! — dokończył Grzegorz i zamilkł.

Czas jakiś podumawszy Wątróbka wtrącił.

— Przecież już niedarmośmy szli, gdy Szumen i Petrecz zdobyliśmy po drodze.

— No i Warna się poddała — wtrącił Piotr z Latoszyna, ale to wszystko na nic, jeśli ich jutro nie pokonamy.

— Król jest najlepszym nadziei — począł Zawisza. — Biada tylko, że mu od siodła wrzód na nodze nabral, bo na koń ciężko wsiąść będzie, przy Bożej pomocy jednak, zważać na to nie myśli.

Rozmowa wlokła się tak przerywana, a noc nadchodziła. Wśród ciemności ognie tylko oddalone i bliższe rozsypane na czarnej przestrzeni widać było. Niebo się wypogadzało, wiatr ustawał. Kupka z pod namiotu powoli się rozchodzić zaczęła.

Pozostał tylko jak przykuty tęsknicą Grzegorz z Sanoka przy rannym.

— Niewypowiedziany ból w sercu czuję — rzekł cicho — gdy na naszego młodego pana patrzę, niewinnego baranka, wydanego na ofiarę tej dziczy, za dobroć swą i wielkie serce. Nie mogę się złym przecuciom obronić!

— Ale! Zasię! — żywo odparł ranny — ja tak znowu wielkiego niebezpieczeństwa nie widzę. Jest nas niewiele może na te tłumy niesworne pogańskiej halastry, ale z naszych każdy zbrojny dobrze i stanie za kilku. Byleśmy ich w pierwszym starciu złamali.

— Tak, i nie zapędzili się za uciekającymi umyślnie, bo to ich sztuka — rzekł mistrz — ale u nas serce gorące, ochota wielka i w boju człek pamięć traci.

Ale czas do namiotu — zawarł Grzegorz podając rękę rannemu. — Okryjcie się ciepło i śpijcie jeśli możecie.

W namiocie królewskim świeciło jeszcze. Mistrz wszedł do niego. Król z nogą bolącą wyciągniętą siedział, ale twarz miał wesołą.

Kardynał obok niego odpoczywał, czoło miał zasępione.

— Nie cierpię — mówił — tych puhaczów, co wszędzie ze złą wróżbą przylatują i psują najmężniejszym serca... Cóż z tego, że Turcy się okazali już przed nami?... Śledzą ruchy nasze, ale pierwsi na nas napaść się nie wążą...

— A my jutro mając ich tak blisko, mogliśmy wycierpieć? — począł król. — Czas się bić w polu... żołnierz pochodem więcej się nuży, niż w boju...

— Z ogniów miarkując — wmięszal się przybyły Grzegorz — siłę mieć muszą znaczną.

— Luźnie idą i obozują zawsze szeroko się rozkładając — dodał Cesarini i wstał z siedzenia. — Zobaczmy co jutro pokaże...

Dzień następny wstał piękny i pogodny. O brzasku odprawił kardynał mszę świętą. Powietrze było uspokojone, słońce wschodziło jasne...

W obozie jakby się do potyczki nie przygotowywano, ruch się zwykły rozpoczął... Dowódcy jednak objeżdżali tabor i oddziały. Kazano przywdziewać zbroje i konie gotować, gdy na skraju obozu, od gór, krzyki słyszeć się dały.

Czeladź nadbiegła wołając.

— Turcy idą... już, już następują!

Król natychmiast wyskoczył z namiotu, o nodze nabrzmiałej zapomniawszy, i dosiadł konia.

Huniady już na przedzie w lewo swoich szykował.

Ze wszech stron wołano.

— Na koń! na koń!

Wtem przypadł Wątróbka, pytając króla, czy taborem wozów każe wojsko otoczyć.

— Tabor nas uwięzi i zamknie! — począł król już jadąc naprzód — niech wozy z tyłu zostaną. Ludzie za wozami się niekryjąc, lepiej walczyć będą. Naprzód! naprzód!

Zachwiał się mówiąc to Władysław, taki ból uczuł w nodze, i Gratus z Tarnowa za rękę go podchwycił, aby nie padł. Ale natychmiast dźwignął się, chwilowe przemógłszy cierpienie, i chciał jechać, gdy go drudzy powstrzymali. Huniady podpadł na koniu i zobaczywszy Władysława mocującego się z bólem, począł wołać, że sam uszykuje wojsko, a król z oddziałem swych nieodstępnych pięciuset miał stanąć w pośrodku, między szykami a taborem.

W tej chwili ziemia tętnieć zaczęła i pułki na skinienie Huniada ustawiały się w półksiężyc.

W lewo ponad Dziewińskiem jeziorem zabrało miejsce pięć chorągwi węgierskiego rycerstwa, którym sam Huniady miał dowodzić. W pośrodku miejsce zostawiono dla króla z jego orszakami, który właśnie się zbierał wdziawszy swe najpiękniejsze zbroje i najwspanialsze szaty, bo dla wojska bój to święto uroczyste i musi się do niego przybrać, jak na ślub lub do trumny.

W prawo za chorągwią króla uszykowały się posiłki wołoskie, za nimi czarna węgierska chorągiew, pułk Szymona z Rozgonu biskupa Jagierskiego, ban Sławonii ze swymi, rota kościelna Cesarinięgo, a na prawo w step ś. Władysława chorągiew z biskupem Waradynu...

Z tyłu ustawiły się tabory, które zaprzęgano, aby za wojskiem mogły podążać...

Czasu do uszykowania się dość było, bo ów zapowiedziany nieprzyjaciół ukazał się dopiero, gdy słońce już ku południowi się miało.

Dotąd cisza była w powietrzu wielka i niebo pogodne a czyste. Król już stał w miejscu swem otoczony młodzieżą, gdy nagle z zachodu wicher, jak piorun silny, uderzył na szyki i wszystkie chorągwie, które ponad nimi stały podniesione wysoko, poszarpał i przyniół do ziemi. Żaden z tych, co je trzymali, nie zdołał się oprzeć sile tego huraganu.

Jedna tylko chorągiew ś. Jerzego przy królu, około której Zawiszowie stali, wytrzymała choć poszarpana...

W dolinie suchego krzewia i karłowatych drzewin dość było... Z po za nich naprzód Turcy się skryci ukazywać zaczęli, a na ich czele, z ogromnymi tarczami i kuszami, najdzielniejszy hufiec pieszych janczarów...

Na prawem skrzydle przy chorągwi ś. Władysława pierwszy bój się rozpoczął z wrzaskiem i piskiem dziczy, która nim sobie ducha dodawać zwykła... Były to właśnie najslabsze pułki biskupie i przy nich papieżki żołnierz kardynała, który nie wytrzymał gwałtownego natarcia...

Wszystka ta gromada, gdy raz popłoch między nią popadł, rzuciła się biegnąc w stronę Galaty, między cieśniną morską, jeziorem i górami ku Rumelii.

Napróżno dowodzący powstrzymać ich usiłowali... Część Turków, rzucając za siebie dziryty i oszczepy, puściła się w pogoń na zarośla i góry. Wołosa też, w pobliżu postawiona, samą się ujrawszy, uszła z placu i rozbiegła się na wsze strony, bezładnie.

Cudem prawie chorągiew ś. Władysława utrzymała się z garścią mężniejszych, ku której w pomoc kardynał Julian i ban w paręset koni pobiegli. Bitwa się tu cała skupiła... Część Turków ściagała uchodzących, inni gwałtownie na chorągiew napadli, ale tu znaleźli rozpaczliwy opór...

Gdy się to działo, stał jeszcze król w pośrodku chwilę, w tej nadziei, że po pierwszym starciu bój może się odmiennym szczęściem obrócić, lecz niecierpliwość jego i zapal załedwie otaczający pohamować mogli. Starszyzna zaklinała, aby się zachował na chwilę stanowczą...

Nie było jednak sposobu wstrzymać już, gdy chorągiew św. Władysława osaczoną zobaczył, spiął konia i na oślep rzucił się w tę gąszcz walczących, a za nim wierni towarzysze...

Grzegorz z Sanoka, który wraz z innymi duchownymi i dworem przy taborze stał na przedzie, ujrzał złocisty hełm jego poruszający się zdala i jak grom spadający na pohańców.

Hufiec królewski z taką gwałtownością padł na karki Turkom i taką w nich rzeź sprawił, że zastępy ich zachwiały się, ugięły i pierzchać poczęły.

Króla widać było ścigającego ich daleko, wśród tej błyszczącej kohorty młodzieży, która z podniesionymi mieczami za nim leciała. Z tyłu pozostała chorągiew ś. Władysława, której król w pomoc chciał spieszyć, zawsze jeszcze przez gromadę Turków obłożona.

Zwrócił się więc na jej obronę, i tu jeszcze mistrz widział go zwycięzcą. Ale z gór i krzaków coraz nowe płynęły tłumy pohańców, pole już nimi było usłane, nawała nowa cisnęła się na pobojuwisko...

Swoi i nieprzyjaciele zmieszali się w gąszcz wściekłą, wśród której stada wielbłądów, konie dzikie, ludzie i trupy zbijali się w kupy walczące, bo i ci co leżeli obaleni na ziemię, koniom podrzynali nogi, jeźdźców chwyтали za strzemiona...

Wśród wrzasku, ryku i rżenia, chrzęstu broni, świstu strzał, już ani głosu dowódców, ani nawoływania swoich nikt nie mógł dosłyszeć.

Król, który zwycięzko dotąd walcząc, ploszył przed sobą co żyło i kładł trupem, znalazł się nagle wśród zastępu pieszych janczarów, wielkimi tarczami jak murem osłonionych, wśród gradu strzał i beltów, które nawet zbroje żelazne przebijaly.

Sypano niemi z poblizkich wzgórzów, z za krzaków nieustannie...

Grzegorz z Sanoka, który dla lepszego widzenia na wóz wysoko naładowany się wdrapał, ujrzał króla jeszcze przeryzującego się przez te gąszcze i tłumy, ale z rycerstwa jego coraz ktoś ślaniał się i ubywał.

Złocene hełmy padały i znikaly... Przez jedną krótką chwilę zdawało się, iż spodziewać się było można zwycięstwa... Grzegorz obie ręce podniósł do góry. Wtem pułki, które króla popierać były powinny, zachwiały się w miejscu i rozsypaly jak bicz paciorków, gdy nic trzymająca go pęknie... Huniad szedł za królem jeszcze...

Mistrz zamknął oczy przerażony, a gdy je otworzył, w dali nie zobaczył już nic oprócz gęstego tłumy janczarów i Turków, rozbiegających się w pogoń na wszystkie strony...

W taborze zadrzało wszystko... ludzie przytomność stracili. Niektórzy chwyтали konie i dosiadłszy je, jak szaleni puszczali się nie patrząc gdzie biegli, oślep wrogowi pod miecze...

Grzegorz z Sanoka stracił też przytomność, nogi ugięły się pod nim, w oczach zaćmiło, w piersi zabrakło oddechu...

Orzeźwiła go rzucana na twarz woda i wołanie pachółka królewskiego, który mu do konia służył; lecz Grzegorz ani go zrozumieć, ani posłuchać nie mógł. Jak dziecko się dał pochwyć, na koń rzucić i pociągnąć sam już nie wiedział dokąd...

Słyszał tylko wrzask bojowy po za sobą, dokoła, w powietrzu, świst strzał, jęki konających... potem głuche wrzenie i szum, potem wiatr szeleszczący w gałęziach drzew...

Gdy do przytomności przyszedł, leżał na ziemi, wśród zarośli, a nad nim wierny Petrek klęczał okrwawiony i w dłoniach przyniesioną poił go wodą.

Noc nadeszła... a z nią cisza i ciemności, po wrzawie bitwy, po szalonej ucieczce, którą Petrek, trzymając osłabłego na koniu, kierował, zdająca się spoczynkiem grobu. Grzegorz usnął sądząc, że z bóleści dusznej na zawsze zamknie powieki...

Obudził go chłód poranka i Petrek stojący nad nim z końmi, a nagłący do dalszej ku Dunajowi ucieczki. Posłuszny mu mistrz wstał i poddał się jego wodzy... Stracił rachubę czasu, osłabił i życia już nie pragnął...

— Nad Dunajem jesteśmy! Bóg nas ocalił! — zawołał Petrek, który do leżącego na ziemi Grzegorza przybiegł przynosząc mu kawał chleba, gdzieś wyżebrany czy wydarty...

Po długim głodzie, chleb ten suchy wydał się najrozkoszniejszym jadem... Grzegorz odzyskał powoli zmysły... Leżeli wśród mokrych zarośli, nieopodal słyhać było szum rzeki...

Wtem od brzegu jej jęk się dał słyszeć... Petrek przestraszony porwał się i nastawił ucha...

Mistrz także usiłował się podnieść.

— To głos ludzki! — zawołał — w pomoc iść trzeba...

Prerażony pachołek napróżno starał się go wstrzymać, aby na niebezpieczeństwo się nie narażał i nie zdradził. Coraz wyraźniej dochodzące jęki nie dały wytrwać Grzegorzowi, który odepchnawszy Petrka, puścił się chwiejącym krokiem w zarośla ku rzece...

Ciągłe powtarzające się jęki coraz słabnącym głosem prowadziły go ku sobie... Rozpostarłszy gęste gałęzie, Grzegorz spojrział i stanął osłupiały...

W krwawej kałuży leżał człowiek w poszarpanej i podartej odzieży, na pół obnażony, ranny, drgając ostatnimi życia wysiłkami.

Twarz zaschła już w części, krwią okryta, nie dozwalała rysów rozpoznać.

Grzegorz przybliżył się ostrożnie, pokłąkł nad nim i schyliwszy nad nieszczęśliwym, krzyknął z podziwu i przerażenia. Poznał w nim konającego kardynała Cesariniego...

Umierający otworzył oczy, spojrział i dłoń wyciągnął ku niemu, ale ta bezsilna opadła⁴.

— Tyżes to? — zawołał ręce załamując Grzegorz...

Słabym, ledwie dosłyszalnym głosem Cesarini zamruczał.

— Jam jest, ratuj mnie... Z Huniadym zjechaliśmy po bitwie... Siedziałem w łódce, aby się przepawić przez Dunaj. Przewoźnik... złoto moje... wiosłem mnie ubił i wrzucił do wody...

Nie miał już mówić siły...

Grzegorz począł w głos modlitwę nad konającymi, którą Cesarini, poruszając usta, zdawał się powtarzać.

— Niech ci Bóg przebaczy — dodał w końcu — boś ty był sprawcą wszystkich nieszczęść naszych, a jeżeli król nasz, bohater ten, padł ofiarą... a! nie ma dla ciebie przebaczenia. Tyś go zabił!!

Z piersi kardynała wyrwał się słaby okrzyk, jęk raczej i z nim ostatnie wyszło tchnienie.

Straszne to były dni, gdy jedni po drugich do Budy przybywać zaczęli z placu boju, niedobitki nieszczęśliwe, którym życie prawie miłem nie było, z taką boleścią nieśli z sobą wspomnienie okropnej klęski...

Każdy przynosił jakąś wieść, baśń, pogłoskę, nikt nie umiał powiedzieć ani co się z królem stało, ani z tymi rycerzami, którzy razem z nim znikli...

⁴puścił się [...] w zarośla ku rzece... [...] W krwawej kałuży leżał człowiek... — Scena ta w życiu Grzegorza z Sanoka przez Kallimacha. (przyyp. aut.) [przyypis autorski]

Grzegorz z Sanoka leżał chorobą powalony, zniechęcony do życia... nie śmiejąc pomyśleć o powrocie do Polski, bo cóż tam miał odpowiedzieć biednej matce, któraby go spytała:

— Coś uczynił z synem moim?

Przez długi czas i na Węgrzech i w Polsce ludzono się jakąś dziwną nadzieją, że królowi ująć się i życie ocalić udało, że powróci.

Znajdowali się ludzie, którzy mówili, że go tam lub indziej widziano... Nierychło potem od Turków przysłała wiadomość, że głowę męczennika za wiarę, ściętą na placu boju, w tryumfie rzucono pod nogi Amuratowi...

Ze świetnego tego pocztu młodzieży polskiej, która go nie odstąpiła, nikt nie pozostał. Zginęli Amor i Gratus z Tarnowa, Marcin i Stanisław z Rożnowa, dwóch synów Zawiszy Czarnego i wielu a wielu innych.

Z wziętych w niewolę rannych Polaków, dwunastu najpiękniejszych, najurodzawszych, najdzielniejszych sułtan kazał wybrać, aby ich zmusić groźbą śmierci do zaparcia się Chrystusa.

Mężni młodzieńcy wiedzieli, jaki ich los czekał. Sprzysięgli się więc napaść na Amurata i śmierć mu zadać, a w popłochu starać zbiedz z Adrianopola. Razem z nimi zamkniętemu w więzieniu młodemu Bułgarowi zwierzyli tę tajemnicę, a ten, siebie ocalając, ich zdradził.

Czekała śmierć.

Zaparli się wszyscy w więzieniu i mężnie samobójstwem bohaterskiem żywot rycerski zamknęli. Taką naówczas młodzież miała Polska...

Grzegorz z Sanoka nierychło zebrał się na odwagę powrócenia do kraju. Naostatek tęsknota za nim, dawni towarzysze i przyjaciele skłonili go, aby opuścił Węgry i przybył znowu do Krakowa.

Pierwsza część żywota jego była dokonaną, czekała go tu wkrótce archikatedra lwowska, której resztę dni miał poświęcić.

Mąż wielkiego umysłu, nauki rzadkiej na owe czasy, samoistności sądu nadzwyczajnej, pozostawił po sobie pamięć jednego z najznakomitszych ludzi tej epoki.

Pamięć Warneńczyka, bohatera, który niedoszedszy lat dwudziestu zjednał sobie imię nieśmiertelne rycerskiem poświęceniem za wiarę, uczcił pierwszy i największy z polskich poetów wierszem, którym my to wspomnienie starych dziejów zakończymy:

We krwi nieprzyjacielskiej upadł zmordowany,
W pośród ziemi tureckiej jego poświęcone
Kości, nie są w ojczystym grobie położone...
Grób jego jest Europa, Słup śnieżne Bałkany.
Napis: wieczna pamiątka między chrześciany.

Drezno 1882.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/strzemienczyk>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Strzemieńczyk: (czasy Władysława Warneńczyka). T. 1, Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff [etc.], Kraków 1883.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0460-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.